



Juliette Benzoni



Katarzyna

Tom IV

Część pierwsza

Walter

Rozdział pierwszy

Przeklęty diament

W dłoni Katarzyny skrzył się złowieszczo czarny diament, rzucając blask na komnatę w fortecy Carlat, w której Katarzyna wraz z najbliższym otoczeniem znalazła schronienie po zburzeniu Montsalvy. Młoda kobieta zbliżyła dłoń do płomienia świecy. W jego świetle diament połyskiwał krwawo. Na stole leżały inne klejnoty, które dawno temu, gdy była królową Brugii i Dijon, uwielbianą i wszechwładną metresą Filipa Burgundzkiego, nosiła na co dzień. Znajdowały się wśród nich zachwycające ametysty, które dostała od pierwszego męża, Garina de

Brazeya, z okazji zaręczyn, rubiny i szafiry, diamenty i akwamaryny, topaz znad Morza Czarnego, karbunkuły* z Uralu, opale z Węgier, wreszcie pyszny naszyjnik z olbrzymich szmaragdów i diamentów indyjskich, ofiarowany przez księcia Filipa. Całą jej uwagę przykuł jednak czarny diament, który zakonnik Stefan Chariot wyjął z sakwy ukrytej w fałdach sutanny i rzucił na stół.

** Karbunkuły - minerały z grupy granatów, kamienie półszlachetne, ciemnoczerwona odmiana almandynu.*

Dawno temu Garin de Brazey kupił diament od weneckiego żeglarza, który chętnie się owego kamienia pozbył, gdyż przynosił nieszczęście. Wydawało się, że klejnot nie stracił nic ze swej złowieszczej mocy. Garin, skazany na śmierć, otrul się w więzieniu, chcąc uniknąć hańbiącej drogi na miejsce kaźni. Nad Katarzyną oraz tymi, których kochała, także zawisło nieszczęście, od kiedy weszła w jego posiadanie. Jej męża, Arnolda de Montsalvy'ego, uznano za zdrajcę, gdyż próbował uwolnić „czarownicę”, Joannę d'Arc, i wtrącono do więzienia za sprawą faworyta Karola VII, de La Tremoille'a. Ledwie uszedłszy śmierci, Arnold zastał swój zamek spalony i zrównany z ziemią z rozkazu króla. Ale jakby nie dość było nieszczęść, wkrótce okazało się, że w więzieniu zaraził się trędem. Od ośmiu miesięcy, stracony dla świata, stracony dla wszystkich, których kochał, wiódł nędzną egzystencję w przytułku dla trędowatych w Calves, żyjąc tylko po to, by cierpieć.

Palce Katarzyny zacisnęły się. Diament wydawał się ciepły, jakby był ludzką istotą. Jaką złą moc krył w sobie? Przez ile wieków ludzie będą przelewali z jego powodu krew? Mogłaby go zniszczyć, wrzucając do

ognia, ale czyż ten gest wydałby się zrozumiały wiernemu mnichowi czy starej damie, jej teściowej, siedzącej w wysokim fotelu i oniemiałej z podziwu? Czarny diament był wart krocie... a zamek Montsalvy czekał na odbudowę... Katarzyna rozwarła dłoń i diament potoczył się po stole.

- Przepiękny! - westchnęła Izabela de Montsalvy. - W życiu nie widziałam podobnego! To największy skarb naszej rodziny!

- Nie, matko - przerwała łagodnie Katarzyna. - Chcę się pozbyć tego diamentu. To przeklęty klejnot. A przy tym wart jest górę złota. Ten czarny kamień to nowy zamek, zbrojni ludzie, a dla mego syna należne mu miejsce, dające pieniądze i władzę!

- Szkoda! - odparła pani de Montsalvy. - Jest taki piękny!

- Lecz zbyt niebezpieczny - wtrącił milczący dotąd brat Stefan. - A czy wiesz, pani, że Nicole Son, właścicielka sklepu, która dała ci schronienie w Rouen, też nie żyje?

- Nie żyje!! Jak to nie żyje?

- Została zamordowana! Wyłowiono ją z Sekwany. Miała poderżnięte gardło.

Katarzyna milczała, lecz jej przerażone spojrzenie, utkwione w przeklętym kamieniu, było wystarczająco wymowne. Należało się pozbyć diamentu, i to jak najszybciej!

- Mimo wszystko - dodał mnich z uśmiechem - nie przesadzajmy i nie bądźmy przesądni. Może to tylko zbieg okoliczności. Ja sam przebyłem z nim całe królestwo, przez krainy pełne złoczyńców... i włos nie spadł mi z głowy!

Istotnie, należało uznać za cud, że w środku zimy, na początku 1433 roku, udało się bratu Stefanowi przejść przez nieszczęsną Francję, wydaną na pastwę rzezimieszków i wojsk angielskich szwendających się jeszcze tu

i ówdzie, ze skarbem ukrytym w płóciennym woreczku. Kiedy Katarzyna wraz z Arnoldem de Montsalvym uciekli z Rouen w noc po spaleniu na stosie Dziewicy Orleańskiej, klejnotami młodej kobiety zaopiekował się brat Stefan, najbardziej pewny tajny agent Jolanty, księżnej Andegawenii, hrabiny Prowansji i królowej Czterech Królestw, Aragonii, Sycylii, Neapolu i Jerozolimy, i on miał teraz zaszczyt oddać je ich prawowitej właścicielce.

Od wielu lat szerokie, obute we franciszkańskie sandały stopy nosiły brata Stefana po drogach i bezdrożach królestwa z poselstwem i rozkazami królowej Jolanty, teściowej Karola VII. Nikt nie posądziłby tego krągłego i dobrodusznego mnicha o tak zaszczytną misję. Dla Katarzyny jego przybycie było radosnym wydarzeniem. Brat Stefan był zawsze w rękach losu narzędziem, które łączyło ją z Arnoldem. Obecność mnicha ożywiła obrazy, których wspomnienie boleśnie raniło jej duszę. Tym razem, pomimo całej dobrej woli, brat Stefan nie może uczynić nic, by ich połączyć. Straszliwa choroba rozdzieliła małżonków na zawsze...

Katarzyna podeszła do okna. Ponad rozległym dziedzińcem panowała zupełna ciemność, lecz oczy kobiety nie potrzebowały światła, by patrzeć w stronę, gdzie znajdował się przytułek dla trędowatych. Wiąz łącząca ją z ukochanym mężem była zbyt silna, zbyt bolesna... Mogła tak stać nieruchomo całymi godzinami, z błędnym wzrokiem wpatrzonym w dal, nie zważając na łzy spływające po jej pięknej twarzy.

Brat Stefan zakasłał.

- Pani... czynisz sobie wielką krzywdę! Czy nic nie może złagodzić twego bólu?

- Nic, ojcze... Mój mąż był dla mnie wszystkim. Przestałam istnieć w dniu, w którym...

Nie dokończywszy mówić, zamknęła oczy. Brat Stefan w zamyśleniu ogarnął spojrzeniem jej szczupłą sylwetkę spowitą w surową, czarną suknię i zaczął sobie zadawać pytania. Czy Bóg stworzył takie bóstwo, aby miało zmarnieć pogrążone w żałobie w starym zamczysku wśród gór Owernii? Gdyby nie dziesięciomiesięczny synek, Katarzyna bez wahania podążyłaby za swym mężem do trędowatych, poddając się dobrowolnie najgorszej z powolnych śmierci. Brat Stefan szukał słów, które złagodziłyby tę rozpacz odgradzającą Katarzynę od świata. Co powiedzieć? Mówienie o Bogu nie miałoby sensu. Cóż znaczył Bóg dla tej bez pamięci zakochanej kobiety, kobiety, która swoją miłość wyniosła jak bóstwo na ołtarz. Dla Arnolda, do którego Katarzyna nigdy nie przestała należeć całym ciałem i duszą, z radością poszłaby choćby do piekła... Toteż, dziwiąc się własnym słowom, powiedział bez przekonania:

- Pani, nigdy nie należy wątpić w siłę opatrności. Częściej dotyka ona boleśnie tych, których kocha, aby później szczerze ich wynagrodzić...

Piękne usta Katarzyny wydeły się z pogardą. Zmęczona wzruszyła ramionami.

- Co mi po nagrodzie? Co mi po niebie, o którym z pewnością pragniesz mi opowiedzieć, bracie Stefanie? Gdyby zdarzył się cud i nawiedził mnie Pan, powiedziałabym mu: „Boże, ty jesteś Bogiem Wszechmogącym! Oddaj mi mojego męża i zabierz całą resztę, zabierz nawet życie wieczne... ale oddaj mi jego!”.

Mnich udał święte oburzenie, czując w głębi duszy, że to na nic się nie zda.

- Ależ to bluźnierstwo! „Zabierz całą resztę”! A czy pomyślałaś, pani, o synu? Skończ wreszcie z tą ponurą filozofią! Wiedz, że nie

przybyłem tutaj tylko po to, aby oddać ci klejnoty. Przysłała mnie królowa Jolanta. Potrzebuje cię!

- Sądziłam, że całkiem zapomniała o moim istnieniu.

- Królowa nie zapomina, zwłaszcza o kimś, kto jej wiernie służył!

Rzecz jest pewna: pragnie cię widzieć. Nie pytaj dlaczego, gdyż nie podała przyczyny... mogę się jej tylko domyślać.

Katarzyna uważnie spojrzała na mnicha. Tułacze życie wydawało się dla niego źródłem wiecznej młodości. Wcale się nie zmienił. Jego twarz była jak dawniej okrągła, świeża i dobroduszna. Katarzyna jednak tyle przeszła, że nie mogła wyzbyć się nieufności. Nawet najbardziej anielska twarz kryła w sobie zagrożenie.

- Co powiedziała królowa, przysyłając cię do mnie, bracie Stefanie?

Czy możesz powtórzyć mi jej słowa?

Mnich skinął głową.

- Są boleści nieuśmierzone - powiedziała królowa - lecz zemsta często przynosi ulgę w cierpieniu. Pojedziesz po panią de Montsalvy i przypomnisz jej, że nigdy nie przestała być moją dwórką. Żałoba nie może oddalić jej ode mnie.

- Jestem jej wdzięczna za pamięć, lecz czyż nie wie, że cały ród de Montsalvych to „zdrajcy”, wygnańcy poszukiwani przez namiestnika królewskiego? Ze tylko martwy de Montsalvy... albo trędowaty może ujść przed zbrojnymi ludźmi? Królowa wspomniała o mojej żalobie. To znaczy, że wie wszystko?

- Ona zawsze wie wszystko. Powiadomił ją pan Kennedy.

- To znaczy, że cały dwór musi o tym mówić - zauważyła Katarzyna gorzko. - Najwaleczniejszy kapitan króla w przytułku dla trędowatych! Co za sukces dla pana La Tremoille'a!

- Nikt oprócz królowej o niczym nie wie. Królowa potrafi milczeć! A pan Kennedy zapowiedział swoim ludziom, że własnoręcznie poderżnie gardło każdemu, kto piśnie choć słowo na temat losu, jaki spotkał kapitana. Dla całego świata pani małżonek nie żyje, nawet dla króla. Wydaje mi się, że mało wiesz, pani, o tym, co się dzieje pod twoim własnym dachem!

Katarzyna poczerwieniała. To była prawda. Od dnia, w którym mnich powiódł Arnolda do przytułku dla trędowatych w Calves, nie opuszczała zamku, odmawiała wyjścia do miasteczka, nie mogąc znieść widoku miejsc i ludzi. Przebywała w zamknięciu, wychodząc dopiero po zapadnięciu zmroku dla zaczerpnięcia świeżego powietrza na murach fortecy. Potrafiła stać na nich nieruchomo całymi godzinami ze wzrokiem utkwionym uparcie w jedno miejsce. Towarzyszył jej zawsze koniuszy, Walter Normandczyk, którego ongiś uratowała przed szubienicą, lecz trzymał się kilkanaście kroków za nią, nie chcąc zakłócać jej medytacji. Żołnierze spoglądali ze współczuciem i z niepokojem na tę zawsze dumnie wyprostowaną kobietę w czerni, z twarzą ukrytą pod woalem. Wieczorem przy ogniskach opowiadali sobie najdziwniejsze historie. Podobno piękna hrabina kazała ogolić sobie głowę i pokierszować twarz, by nigdy więcej nie wzbudzić w żadnym mężczyźnie miłości! Ludzie z miasteczka czynili znak krzyża na jej widok. Piękna pani de Montsalvy stawała się legendą...

- Masz rację, bracie - odparła Katarzyna, wzdychając. - Nic nie wiem, bo nic mnie nie interesuje oprócz jednego: zemsty! Jednakże nie pojmuję, dlaczego królowa pragnie w tym pomóc osobie wyjętej spod prawa.

- Nie jesteś nią, jeśli wzywa cię królowa. U niej będziesz bezpieczna. Co zaś tyczy się zemsty, tak się składa, że jest ona po myśli królowej. Zapewne nie jest ci wiadome, że La Tremoille dopuszcza się coraz nowych

zuchwałości i że ostatnio ludzie będący na jego usługach puścili z dymem dobra samej królowej w Maine i Andegawenii! Nadszedł czas wyrównania krzywd. Czy pojedziesz, pani? Pragnę dodać, że pan Kennedy wraz ze mną, twoim wiernym sługą, będziemy cię ochraniać w drodze.

Oczy Katarzyny nagle zabłysły, a policzki oblały się rumieńcem.

- A kto będzie pilnował Carlat? Co stanie się z moim synem? Co stanie się z matką?

Mnich zwrócił się w stronę siedzącej nieruchomo w fotelu Izabeli de Montsalvy.

- Pani de Montsalvy ma się udać wraz z dzieckiem do opactwa Montsalvy, gdzie przyjmie ją młody i odważny opat. Znajdą tam bezpieczne schronienie, a ty w tym czasie zmusisz króla, aby przywrócił twemu mężowi dobre imię i oddał jego dobra. Fortecą Carlat zajmie się nowy zarządca, którego przyśle hrabia d'Armagnac. A więc jak brzmi twoja decyzja?

Katarzyna podeszła do teściowej i upadłszy przed nią na kolana, ujęła jej pomarszczone, lecz piękne ręce w swe dłonie.

Wyjazd Arnolda niezwykle zbliżył obie kobiety. Dawną wyniosłość Izabeli zastąpiła wielka czułość, widoczna na pierwszy rzut oka.

- Co mam uczynić, matko?

- Bądź posłuszna, córko! Nie odmawia się królowej, a ponadto naszej rodzinie może to tylko wyjść na dobre.

- Wiem. Lecz ciężko mi będzie opuścić ciebie i Michała... a także oddalić się od...

Odwróciła twarz w stronę okna, lecz Izabela rzekła:

- Dla twojej miłości odległość nie ma znaczenia. Ruszaj w drogę bez obawy. Będę czuwać nad Michałem za nas obie!

Katarzyna ucałowała pośpiesznie dłonie starej damy i podniosła się z klęczek.

- A więc dobrze, ruszam w drogę. - Nagle jej wzrok padł na leżące pośrodku stołu klejnoty. - Wezmę ze sobą trochę tego, gdyż złoto mi się przyda. Zachowaj resztę, matko, i używaj wedle potrzeby!

Chwyliła czarny diament i ścisnęła mocno w dłoni, jakby chciała go zgnieść.

- Gdzie odnajdę królową?

- W Angers, pani... Stosunki między królem i jego teściową są jeszcze bardzo napięte. Królowa Jolanta czuje się bezpieczniej na swych włościach niż w Bourges czy Chinon.

- Niech będzie Angers. Ale pozwolisz, że wstąpimy do Bourges. Chcę prosić Jakuba Coeura, aby znalazł mi kupca na ten przeklęty kamień.

Wiadomość o rychłym wyjeździe ucieszyła przede wszystkim Hugona Kennedy'ego. Szkot źle się czuł wśród gór Owernii, które przypominały mu jego ojczyznę. Doskwierała mu też coraz bardziej ponura atmosfera panująca w zamczysku. Targały nim sprzeczne uczucia, z jednej strony odczuwał silny pociąg do młodej kobiety i głębokie pragnienie, aby pomóc jej zapomnieć o nieszczęściu, a z drugiej tęsknotę za dawnym obozowym życiem i męską kompanią. Ujrzeć znowu wesołe miasta w dolinie Loary i ruszyć w drogę w towarzystwie Katarzyny to było podwójne szczęście! Nie tracąc ani minuty, rozpoczął przygotowania do drogi.

Dla Waltera Malencontre'a perspektywa podróży też była dobrą nowiną, ale z innej przyczyny. Ten normandzki olbrzym, ongiś drwal, potomek wikingów, darzył Katarzynę uczuciem ślepym, fanatycznym i skrytym. Korzył się przed nią jak przed bóstwem. Nie wierzył w Boga,

lecz miał zakorzenione stare nordyckie przesady, antyczne legendy, które narodziły się na długich statkach, i uczynił ze swej pogańskiej miłości do Katarzyny rodzaj swoistego kultu. Od kiedy Arnold przebywał w przytułku dla trędowatych i od kiedy Katarzyna zaczęła opłakiwać męża, także dla

Waltera życie straciło sens. Przestał wychodzić z fortecy, a nawet nie garnął się do polowania.

Myśl o rozstaniu z Katarzyną była dla niego nie do zniesienia. Wydawało mu się, że mogłaby umrzeć, gdyby on przestał nad nią czuwać. Jednak czas okropnie mu się dłużył. Mijał dzień za dniem i ciągle nie było nadziei, że Katarzyna kiedykolwiek otrząśnie się ze smutku.

I oto, cudownym zrządzeniem losu, ten dzień nadszedł! Nareszcie opuszczą ponure zamczysko, ruszą w drogę, coś zacznie się dziać!

Walter, w swej prostocie, spojrzawszy na mnicha jako wysłannika opatrznosci.

Trzecią osobą cieszącą się z wyjazdu była Sara, wierna towarzyszka doli i niedoli Katarzyny. Pomimo swoich czterdziestu pięciu lat wyglądała młodo i pociągająco, tylko w jej kruczoczarnych włosach pojawiły się tu i ówdzie siwe pasemka, ale ciemna skóra pozostawała gładka i jędrna. Umiłowanie przygód było w niej silniejsze niż troska o własną wygodę. Ona również, podobnie jak Walter, cierpiała, widząc, jak Katarzyna pogrzebała się żywcem w Owernii w imię beznadziejnej miłości do potępińca z Calves. Brat Stefan zjawił się w samą porę! Wezwanie królowej wyrwie Katarzynę z jej boleści i zmusi do zajęcia się sprawami, o których przestała myśleć. Cyganka pragnęła, aby Katarzyna nauczyła się z powrotem żyć, nie zakochując się jednak. To prawda, że potrafiła kochać tylko jednego, ale wiadomo, że życie lubi płać figle. Często w ciszy nocnej pytała ognia i wody, co przyniesie przyszłość, lecz ogień gasł, a

woda pozostawała przejrzysta. Od czasu odejścia Arnolda Księga Życia była dla Sary nieodgadniona.

Martwiło ją tylko to, że ma opuścić małego Michała ubóstwianego nad życie. Nie mogła jednak pozwolić, aby Katarzyna samotnie ruszyła w nieznaną. Ponieważ dwór był miejscem zbyt niebezpiecznym, osobiście chciała opiekować się przyjaciółką; wiedziała, że Michałowi włos z głowy nie spadnie pod okiem babci, która za nim przepadała, znajdując we wnuku wierne odbicie utraconego syna.

Za kilka tygodni chłopczyk miał skończyć rok. Był duży i bardzo silny jak na swój wiek. W jego różowej, puciołowatej buzi jaśniała para żywych, jasnoniebieskich oczu, a główka pokryta była złocistymi lokami. Bardzo poważnie się wszystkiemu przyglądał, ale potrafił też śmiać się do rozpuku. Był niezwykle pogodnym dzieckiem. Dzielnie znosił, na przykład, wyrzynanie się ząbków, nie marudząc przy tym wcale. Kochali go wszyscy poddani, cała służba i miejscowi chłopci. Malec królował nad swoim małym światem jak niepodzielny władca, a jego najulubieńszymi niewolnikami była matka, babcia, Sara i stara Donata, chłopka de Montsalvyh, która służyła pani Izabeli jako garderobiana. Co się zaś tyczy Waltera, chłopiec na razie był raczej ostrożny. Jasnowłosa Normandczyk sprawiał na nim niezwykle wrażenie z powodu swej nadzwyczajnej siły. Inaczej mówiąc, malec nie kazał mu znosić swoich kaprysów, które widocznie miał zarezerwowane wyłącznie dla kobiet. W męskim towarzystwie trzeba umieć się zachować, tak więc mały jedynie szeroko uśmiechał się do swego olbrzymiego przyjaciela.

Opuścić syna - to było dla Katarzyny wielkie poświęcenie, gdyż przeniosła na niego całą miłość, której nie mogła już dać jego ojcu. Otoczyła go niespokojną czułością, cały czas była w pogotowiu, trzęsła się

nad nim jak skapiec nad swym skarbem. Był jedynym i najdroższym wspomnieniem nieobecnego męża, a zarazem ostatnim z rodu de Montsalvych. Za wszelką cenę należało zapewnić mu przyszłość godną znamienitych przodków, a zwłaszcza jego biednego ojca.

I dlatego, hamując łzy, zaczęła przygotowania do jego wyjazdu od razu następnego dnia rano. Jakże trudno było jednak nie płakać przy pakowaniu małych ubranek, z których większość była dziełem jej własnych rąk.

- Jestem straszną egoistką! - powiedziała do Sary, która pomagała jej w pakowaniu. - Wiem, że matka otoczy go troskliwszą opieką niż ja sama, że w opactwie nic złego stać mu się nie może i że nasza nieobecność, mam nadzieję, nie będzie trwała długo, lecz mimo to bardzo mi ciężko!

Czując, że głos Katarzyny słabnie, Sara zaczęła ją pocieszać.

- Mnie także jest smutno, że muszę go opuścić. Lecz to dla niego właśnie udajemy się w drogę, dla jego dobra!

I chcąc udowodnić siłę swego przekonania, z wigorem zabrała się do układania w kufrze podróżnym małych koszulek dziecka. Katarzyna w końcu się uśmiechnęła. Ta poczciwa, stara Sara nigdy się nie zmieni! Raczej da się poćwiartować, niż się przyzna, że jej ciężko. W przypadku Sary smutek przemienił się w złość, którą wyładowywała na martwych przedmiotach. Od kiedy się dowiedziała, że na jakiś czas musi opuścić ukochanego berbecia, zdążyła roztrzaskać dwie misy, trzy dzbany oraz figurkę świętego Geralda; po tym ostatnim wyczynie pobiegła do kaplicy, aby błagać niebiosa o wybaczenie.

W ferworze pakowania Sara wyszeptała:

- Właściwie to lepiej, że Fortunat nie chce z nami jechać. Michał będzie miał w nim znakomitego obrońcę...

Nagle przerwała, gryząc się w język, gdyż jej myśli powędrowały do Arnolda. Ból małego Gaskończyka można było niemal porównać do bólu Katarzyny. Fortunat był niezwykle przywiązany do swego pana i kochał go nad życie. Podziwiał jego waleczność i poczucie honoru, jego wojenne talenty oraz to coś, co kapitanowie Karola VII nazwali straszliwym charakterem de Montsalvy'ego, mieszankę gwałtowności, uporu i nieskończonej lojalności. To, że taka straszna choroba jak trąd ośmieliła się dotknąć jego pana, wstrząsnęło duszą Fortunata, a wkrótce wywołało w nim gniew, który następnie przemienił się w nieprzemijającą rozpacz. W dniu, w którym Arnold opuszczał rodzinę na zawsze, Fortunat zamknął się w wieży, nie chcąc uczestniczyć w jego odjeździe.

Dopiero Hugo Kennedy znalazł go leżącego na gołej ziemi, zasłaniającego sobie dłońmi uszy, aby nie słyszeć bicia dzwonów, i szlochającego jak dziecko. Fortunat włóczył się po zamczysku jak dusza potępiona, odzyskując chęć do życia tylko raz w tygodniu, w piątek, kiedy to zanosił kosz z jedzeniem do przytułku w Calves. Fortunat nie godził się, aby ktokolwiek mu towarzyszył. Chciał być sam. Nawet Walter, którego przecież bardzo lubił, nigdy nie dostał pozwolenia, aby mu towarzyszyć. Fortunat nigdy też nie jechał do Calves konno. Całą drogę dzielącą przytułek od Carlat, jakieś trzy mile, przebywał pieszo, jakby udawał się z pielgrzymką, uginając się pod ciężarem kosza, a w drodze powrotnej - okrutnego przygnębienia. Katarzyna chciała go zmusić raz pewnego, aby zabrał wierzchowca, ale Fortunat odmówił.

- Nie, nie, pani Katarzyno! Nawet nie wezmę osła! On nie może już dosiadać swoich ukochanych koni, a ja, jego koniuszy, mam stawić się w siodle przed moim biednym panem?!

Ogrom miłości i oddania wiernego sługi wstrząsnął Katarzyną. Przestała nalegać i z oczami błyszczącymi od łez chwyciła koniuszego za ramiona i ucałowała w oba policzki.

- Jesteś dzielniejszy ode mnie - wyszeptała. - Ja nie mam odwagi tam pójść. Myślę, że chyba umarłabym przed tą bramą, która nigdy się nie otwiera. Patrzą jedynie na dym wydobywający się z komina... Jestem tylko kobietą - dodała ze wstydem. - Lecz tym razem proszę cię, ażebyś wziął konia lub choćby mulicę. Wierzchowca zostawisz w pewnej odległości od...

Nazwa tamtego przeklętego miejsca nie mogła przejść jej przez gardło. Fortunat zaprzeczył tylko ruchem głowy.

Katarzyna zamilkła. W głębi serca rozumiała potrzebę tego małego Gaskończyka, aby dzielić cierpienie ze swoim panem.

Pewnego dnia ja też tam pojedę i więcej nie wrócę - pomyślała.

* * *

Wczesnym rankiem, stojąc na murach Carlat, patrzyła z Sarą i Walterem za oddalającymi się synem i teściową. Zza czarnego woalu zobaczyła stary, ciężki powóz z grubymi, skórzanymi zasłonami, który wygrzebano na tę okoliczność ze stajni zamczyska, przekraczający zamkowe podwoje. W dolinie przykrytej śniegiem hulał lodowaty wiatr, ale w powozie, do którego wstawiono piecyk napełniony żarem, ciepło ubranemu Michałowi nie powinno być zimno między babcią i Donatą. W otoczeniu uzbrojonej po zęby eskorty chłopiec był bezpieczny, lecz matka nie mogła powstrzymać łez, rozdarta tym przymusowym rozstaniem.

Tymczasem powóz dotarł już do pierwszych domów w miasteczku i Katarzyna dostrzegła czerwone i niebieskie czapki chłopów stłoczonych przy kościele. Kobiety powychodziły z domów ze swymi wrzecionami, a

mężczyźni pozdejmowali czapki na widok toczącego się powozu. W spowitej białym puchem wsi panowała całkowita cisza. Gdzieś snuły się szare smużki dymów z palenisk. Zza chmur zalegających nad górami przedzierało się pracowite słońce, rzucając ponury blask na lance eskorty i pióra czapli kiwające się przy nakryciach głów rycerzy.

Kiedy mała grupa zniknęła za lasem, zostawiając jedynie głębokie ślady na śniegu, Katarzyna odwróciła się do Sary. Cyganka, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i z oczami pełnymi łez, wpatrywała się w miejsce, gdzie zniknął orszak. Jej wargi drżały. Katarzyna odruchowo spojrzała na Waltera, który był już pochłonięty czymś innym. Zdawało się, że czegoś nasłuchuje. Jego twarz wyrażała takie napięcie, że Katarzyna, znając jego talenty myśliwego, natychmiast się zaniepokoiła.

- Czego tak nasłuchujesz, Walterze? Czy coś słyszysz?

Skinął głową i bez słowa pobiegł w kierunku schodów. Katarzyna rzuciła się w ślad za nim, lecz nie mogła nadążyć za olbrzymem. Zobaczyła tylko, jak przebiega co sił w nogach przez zamkowy dziedziniec i znika pod dachem kuźni, a za chwilę wybiega z niej w towarzystwie Kennedy'ego. Równocześnie z wieży dobiegł jej uszu donośny głos strażnika:

- Zbrojni ludzie na horyzoncie!

Katarzyna zawróciła i pobiegła z powrotem po schodach, unosząc dłonią rąbek sukni. Skierowała się do Czarnej Wieży. Chociaż nieznajomi nadciągali z drugiej strony, serce Katarzyny przepelił lęk o synka. Kiedy dotarła na szczyt wieży, Walter i zarządca byli już przy otworach strzelniczych. Katarzyna rzuciła się do jednego z nich: istotnie, na drodze z Aurillac widać było liczną grupę zbrojnych ludzi, która tworzyła na białym śniegu szarą plamę powoli sunącą ku zamczysku. Katarzyna zmrużyła

oczy, usiłując dostrzec znaki herbowe na ich chorągwiach, lecz odległość była jeszcze zbyt duża. Jedynie na przodzie dało się zauważyć długą czerwoną chorągiew łopoczącą na wietrze. Tymczasem obdarzony sokolim wzrokiem Walter już zdążył ją rozpoznać.

- Tarcza herbowa podzielona na cztery pola... półksiężyc i wąskie poprzeczne pasy... już gdzieś to widziałem!

Kennedy zasepił się i wymamrotał coś w swoim dialekcie, po czym krzyknął:

- Spuścić kratę! Podnieść most! Łucznicy na mury!

W mgnieniu oka w fortecy zapanował ruch: jedni rzucili się do spuszczenia kraty, drudzy do podnoszenia mostu, inni, niosąc łuki i halabardy, zajmowali pozycje na murach. Zewsząd słychać było okrzyki, nawoływania i szczęk broni. Zamek budził się gwałtownie z uspienia. Na murach układano stosy polan, wciągano kadzie na gorący olej. Katarzyna zbliżyła się do Kennedy'ego.

- Panie, dlaczego przygotowujesz zamek do obrony? Powiedz, kto się do nas zbliża?

- To Villa-Andrado, pies Kastylii! - odparł krótko Szkot i splunął z obrzydzeniem, po czym dodał: - Ubiegłej nocy strażnicy dostrzegli odblask pożaru od strony Aurillac. Nie przejąłem się tym zbyt, lecz widzę, że popełniłem straszny błąd. To był on!

Katarzyna oparła się o potężny filar rozdzielający strzelnice. Poprawiła woalkę potarganą przez wiatr i schowała zmarznięte ręce w szerokich rękawach. Imię Hiszpana obudziło w niej straszliwe wspomnienia. Rok temu Arnold walczył z oddziałami Kastylijczyka na murach Ventadour. Przypomniała sobie grotę służącą pasterzom za schronienie, w której wydała na świat syna. Znowu zobaczyła migotanie

ognia i wysoką postać Arnolda broniącego jej przed dziką zgrają. Nagle ujrzała pochyloną nad sobą kanciastą twarz Villi-Andrada płonąca pożądaniem. Łotr recytował chyba jakiś wiersz, którego słów nie mogła sobie przypomnieć... przysłał też kosz z żywnością... gdyby nie potworna niespodzianka, jaką im zgotował na koniec: dobra w Montsalvy zrównane z ziemią, zamek spalony aż po fundamenty z rozkazu Villi-Andrada przez porucznika Valetie, którego Bernard d'Armagnac kazał za to powiesić. A teraz Andrado znowu był na tropie Montsalvych.

Tymczasem do Katarzyny zbliżał się brat Stefan z lekkim uśmiechem na ustach.

- Co brata tak rozbawiło? - spytała nieco zirytowana.

- O, to zbyt wiele powiedziane! Ci ludzie mnie interesują... i zaskakują jednocześnie. Dziwny człowiek z tego Kastylijczyka. Wszędzie go pełno. Przysięgłbym, że jest w Albi, gdzie mieszkańcy nie mieli za jego sprawą powodów do radości. Od znajomego z Angers zaś dowiedziałem się, że ten wściekły pies...

- Czy rozmyślnie dobierasz, bracie, słowa? - przerwała Katarzyna, specjalnie podkreślając słowo „brat”.

Mały mnich zaczerwienił się jak panienka, lecz jednocześnie obdarzył młodą kobietę dobrodusznym uśmiechem.

- Masz, pani, po stokroć rację. Chciałem rzec, że pan Villa-Andrado spędzał zimę w Kastylii na dworze króla Jana. Jest oczywiste, że w Angers nie pobbrażano mu zbyt...

Chciałbym, żebyś słyszała, pani, jak królowa Jolanta wyraża się o nim...

Tymczasem zbrojna banda zbliżała się do podnóża fortecy. W pewnej chwili od reszty oddzielił się jeździec z wielką chorągwią i jedną

ręką skierował swego konia w stronę skalistego muru, na którym wznosił się zamek. Z tyłu podążał człowiek w fantastycznym stroju herolda. Z jego wyglądu można było wnosić, że przeszedł niejedno. Reszta oddziału zatrzymała się.

Zbliżywszy się do palisady, stanęli i podnieśli głowy.

- Kto tu jest dowódcą? - spytał herold.

Kennedy pochylił się, stawiając na murze szeroką stopę w bucie z grubej skóry, i zagrzmiął:

- Ja, Hugo Allan Kennedy z Gleneagle, kapitan króla Karola VII, dowodzę tym zamkiem z woli księcia d'Armagnac! Czy macie coś przeciwko temu?

Zbity z tropu herold wymamrotał kilka słów, zakaszlał dla dodania sobie odwagi, po czym dumnie podniósł głowę i zawołał:

- Ja, Fermoso, kapitan pana Rodryga de Villi-Andrada, hrabiego de Ribadeo, pana na Puzignan, na Talmont i na...

- Do rzeczy! - przerwał niecierpliwie Szkot. - Czego chce od nas pan Villa-Andrado?

Pierwszy jeździec, uznawszy, że negocjacje trwają za długo, spiął konia i stanął pomiędzy swoją chorągwią i heroldem. Spod uniesionej przyłbicy szyszaka, ozdobionego dwoma złotymi skrzydłami i koroną, ukazały się białe spiczaste zęby i krótka czarna broda.

- Udać się do was z wizytą - odpowiedział uprzejmie - i porozmawiać...

- Ze mną? - zapytał Kennedy z powątpiewaniem.

- Ależ nie, nie z tobą! Nie sądz jeno, że pogardzam twoim towarzystwem, mój drogi Kennedy. Lecz nie do ciebie mam sprawę, ale do pani de Montsalvy. Wiem, że jest tutaj.

- Czego od niej chcesz? - spytał nieufnie Szkot. - Pani Katarzyna nie przyjmuje nikogo!

- To, co mam do powiedzenia, powiem tylko jej, za twoim pozwoleniem. I śmiem sądzić, że zechce zrobić wyjątek dla przybywającego z daleka. Przekaż jej, że nie odjadę, dopóki mnie nie wysłucha!

Katarzyna, nie wychodząc z ukrycia, wyszeptała:

- Ciekawe, czego chce. Powiedz, że go przyjmę... ale samego! Niech przyjdzie bez eskorty! To da nam trochę czasu i mój syn dotrze do celu.

Kennedy dał znak, że zrozumiał, i wszczął pertraktacje z Hiszpanem. Tymczasem Katarzyna, w towarzystwie Sary i brata Stefana, opuściła swoje miejsce na murach. Powzięła decyzję bez wahania, ponieważ Villa-Andrado był człowiekiem pana de La Tremoille'a, a ponadto nigdy nie bała się stawić czoła niebezpieczeństwu. Jeśli Kastyljczyk przedstawiał sobą niebezpieczeństwo, a należało się tego spodziewać, lepiej było poznać prawdę natychmiast.

* * *

Chwilę potem Rodrygo de Villa-Andrado, w towarzystwie pазia niosącego jego szyszak, wszedł do wielkiej komnaty, w której czekała na niego Katarzyna. Siedząc w fotelu, z Sarą z jednej i bratem Stefanem z drugiej strony, patrzyła nieruchomo na niepożądanego gościa. Na widok tej dumnej kobiety lub raczej statui spowitej w czerń Hiszpan zawahał się na progu, po czym niepewnym krokiem ruszył w jej kierunku, a jego zwycięski uśmiech przygasł jak zdmuchnięta świeca.

Kiedy był już blisko niej, zgiął się w głębokim ukłonie, co nie przeszkodziło mu patrzeć spode łba na młodą kobietę.

- Pani - zaczął powściągliwie - składam dzięki za tę chwilę, którą zechciałaś mi poświęcić, lecz życzylbym sobie, abyśmy mogli rozmawiać bez świadków.

- Panie, zechciej zrozumieć, że nie mogę zadośćuczynić twemu życzeniu, dopóki nie dowiem się, co cię do mnie sprowadza! A poza tym, nie mam niczego do ukrycia przed Sarą, która się mną opiekuje, ani przed moim spowiednikiem, bratem Stefanem!

Brat Stefan powstrzymał uśmiech, słysząc takie kłamstwo, gdy tymczasem Kastylijczyk spoglądał na niego z wielką niechęcią.

- Znam brata Stefana - wymamrotał. - Pan de La Tremoille zapłaciłby drogo za jego starą głowę i resztkę siwych włosów...

Katarzyna podskoczyła, jakby użądliła ją osa, i, czując wzbierający gniew, przerwała Hiszpanowi:

- Panie Villa-Andrado! Nie wiem, co cię tutaj sprowadza, lecz niegrzecznie jest zaczynać wizytę od obrażania osób, które považam i które są mi drogie. Zechciej więc, bez dalszych wybiegów, wyjawić powód swojego przybycia!

Rodrygo powstał i, mimo że fotel Katarzyny stał dwa stopnie wyżej, jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy.

Płonące gniewem oczy Hiszpana zdawały się bezczelnie przenikać przeszkodę w postaci czarnej woalki.

- Wybacz mi, pani, zły to zaiste początek, zwłaszcza że przybywam w dobrych zamiarach. Osądź zresztą sama!

Katarzyna powoli usiadła, lecz temu nieoczekiwanemu gościowi, o którym nie było wiadomo, czy przybywa jako wróg, czy jako przyjaciel, nie wskazała krzesła. Mówił o dobrych intencjach... W końcu nie mogła tego wykluczyć, biorąc pod uwagę kosz z żywnością przysłany jej do

groty. Jednak dymiące ruiny zamku Montsalvy nakazywały zachować ostrożność. A do tego ten jego lisi uśmiech...

- Mów! - powiedziała krótko.

- Piękna hrabino - zaczął, przyklękając na jedno kolano na pierwszym stopniu. - Dotarła do mnie wiadomość o twoim nieszczęściu i moje serce posmutniało. Taka piękna, taka młoda i obarczona małym dzieckiem, nie może żyć bez obrońcy. Potrzebujesz, pani, męskiego ramienia i serca...

- W tym zamku nie brakuje męskich ramion ani wiernych serc czuwających nade mną i nad moim synem - przerwała mu Katarzyna. - Nie rozumiem, o co ci chodzi, panie! Czy możesz mówić jaśniej?

Na ziemistej twarzy Hiszpana pojawił się przelotny rumieniec. Zacisnąwszy wargi, znowu powstrzymał złość.

- Jak sobie życzysz, pani. Postaram się mówić tak jasno, jak tego chcesz. Katarzyno! Przybyłem, aby ci powiedzieć, co następuje: z łaski króla Francji, Karola, któremu wiernie służę...

Brat Stefan zakaszłał, dławiąc się.

- ...wiernie służę - grzmiał Hiszpan - a także z łaski mego pana, króla Jana II Kastylijskiego, jestem panem na Talmoncie, hrabią Ribadeo w Kastylii...

- Wielkie mi rzeczy! - przerwał uprzejmie mnich. - Król Jan II zwrócił ci tylko, co było twoje. Twój dziad, panie, który ożenił się z siostrą Jąkały z Villaines, był już wtedy hrabią de Ribadeo, jeśli się nie mylę. Co się zaś tyczy posiadłości Talmont, to przyjmij moje gratulacje! Wielki szambelan jest hojny dla tych, którzy mu wiernie służą, i chętnie ich wynagradza, rozdając... to, co do niego nie należy!

Katarzyna zauważyła, z jakim wysiłkiem Andrado pomija milczeniem złośliwe uwagi mnicha i jak nabrzmiewają żyły na jego skroniach. Odnosiło się wrażenie, że za chwilę pękną. Kastylijczyk zaczerpnął powietrza i ciągnął z zaciśniętymi zębami:

- Cokolwiek by mówić, przybyłem, aby złożyć wszystkie moje tytuły i dobra u twych stóp, pani. Szaty żałobne nie przystoją takiej piękności. Ty jesteś wdową, ja jestem wolny, bogaty, mam władzę... i kocham cię, pani. Czy wyjdiesz za mnie?

Chociaż Katarzyna spodziewała się wszystkiego, to jednak te słowa wprawiły ją w osłupienie. Jej oczy wyrażały teraz największe przerażenie, a dłonie nerwowo się zacisnęły.

- Prosisz więc mnie...

- Abyś została moją żoną! Będiesz miała we mnie męża, wiernego niewolnika i zbrojne ramię potrafiące cię obronić. A twój syn zyska ojca...

Wspomnienie małego Michała tylko wzmogło oburzenie Katarzyny. Jak ten człowiek śmiał sądzić, że będzie w stanie zastąpić Arnolda jej dziecku, i to człowiek, który... Nie! Tego nie można było tolerować! Drżąc z gniewu, gwałtownym ruchem uniosła woalkę, pod którą omal się nie udusiła, ukazując swą szczupłą, bladą twarz i wielkie, fiołkowe oczy błyszczące jak ametysty w słońcu. Obiema rękami chwyciła mocno poręcz krzesła, instynktownie szukając jakiegoś oparcia.

- Panie, raczysz twierdzić, że jestem wdową. W istocie noszę żałobę, lecz wiedz, że nigdy nie będę uważać się za wdowę! Mój najdroższy mąż żyje i żyć będzie tak długo, jak długo ja będę oddychać! A ty, panie, byłbyś ostatnim z ludzi, którego wzięłabym jako jego następcę!

- A dlaczegóż to, moja pani?

- Zapytaj o to ruiny Montsalvy, panie! Co do mnie, nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Żegnam pana!

Wstała, aby dać do zrozumienia, że wizyta skończona, lecz w tej chwili Kastylijczyk uśmiechnął się dwuznacznie.

- Śmiem sądzić, pani, że zostałem źle rozumiany. Prosiłem cię o rękę tylko przez... zwykłą kurtuazję, gdyż sprawy tak się mają, że... musisz wyjść za mnie... To rozkaz!

- Jaki rozkaz? Czyj rozkaz?

- A czyj, jak sądzisz, mógłby to być rozkaz? Króla Karola! Jego Wysokość, za wstawiennictwem szambelana Jerzego de La Tremoille'a, raczył zapomnieć o twoich postępках przeciwko koronie, twoich i świętej pamięci twego małżonka pod warunkiem, że zostaniesz moją posłuszną żoną... i że dzięki temu zaczniesz prowadzić przyzwoite życie!

Twarz Katarzyny z bladej stała się najpierw czerwona, a potem purpurowa ze złości, tak że przestraszona Sara położyła rękę na jej ramieniu, aby ją uspokoić.

Katarzyna była jednak tak wzburzona, że nic nie mogłoby jej uspokoić. Czyżby takie było jej przeznaczenie, aby ciągle jakiś książe dysponował jej osobą? Najpierw książe Burgundii, a teraz sam król! Zaciskając pięści i czyniąc nadludzkie wysiłki, aby powstrzymać drżenie głosu, krzyknęła:

- Nigdy nie spotkałam większego nikczemnika niż pan! I pomyśleć, że przez wdzięczność za kosz żywności przyrzekłam panu pobłażanie pomimo pana nędznych uczynków! Czy panu de La Tremoille'owi nie dość było tego, co uczynił z moim mężem? Czy jeszcze chce rządzić mną? Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób masz zmusić mnie do małżeństwa,

panie? Gdyż, jeśli się nie mylę, z pewnością pomyślałeś i o takim przebiegu wydarzeń?

- W rzeczy samej, przybyłem tu z armią - odpowiedział Hiszpan z ironią - co jasno dowodzi, jak wielką wagę przywiązuję do pani ręki. Mam pod sobą dwa tysiące ludzi i jeżeli mi odmówisz, zacznę oblężenie, aż zmięknieś i sama będziesz błagać mnie o łaskę!

- To może długo potrwać!

- Nie spiesz mi się... a wam po paru tygodniach zabraknie żywności. Sama się poddasz przed czasem, choćby dlatego, ażeby nie widzieć, jak twój własny syn umiera z głodu!

Katarzyna odetchnęła z ulgą. A więc nie wiedział nic o wyjeździe Michała! Trzeba utrzymywać go w tym przekonaniu jak najdłużej! Wzruszyła więc tylko ramionami.

- Zamek jest mocny i ma solidnych obrońców. Tracisz czas, panie!

- A pani spowoduje śmierć wielu niewinnych ludzi. Lepiej więc byłoby, żebyś się zgodziła dobrowolnie zostać moją żoną. Proszę, pomyśl, że dla twoich pięknych oczu odrzuciłem bardzo korzystną propozycję. Rękę samej Małgorzaty, córki księcia de Bourbon...

- Córki... z nieprawego łoża - wtrącił łagodnie brat Stefan.

- Ale to krew książęca! A przy tym nie zapominaj, że twój zarządca jest Szkotem, a wszyscy Szkoci są biedni, chciwi i nade wszystko kochają złoto!

Zaledwie wypowiedział te słowa, gdy z zakamarków komnaty wypadł Kennedy, który nie wiadomo kiedy zakradł się tam wraz z Walterem. Rycząc jak ranne zwierzę, rzucił się na Hiszpana i ucapiwszy go za kark i siedzenie, uniósł nad głową i pobiegł aż do drzwi, wyjąc i złorzecząc.

- Ale jedną rzecz Szkoci kochają bardziej niż złoto, przeklęty łotrze.
Honor! Przekaż to swemu panu!

Co widząc Walter, najwyraźniej niezadowolony, że zostawia mu się tak podłą zwierzynę, chwycił za kark pazia, włożył go sobie pod pachę i nieszczęsny ten sługa podzielił los swego pana.

Kiedy obaj zniknęli, brat Stefan zwrócił się do rozdygotanej Katarzyny, obdarzając ją swym niezawodnym, pocziwym uśmiechem.

- Już po wszystkim! I co ty o tym sądzisz, pani?

Katarzyna nic nie odpowiedziała, gdyż po raz pierwszy od bardzo dawna chciało jej się śmiać. Widok Villi-Andrada, przebierającego nogami i rękami jak wielki, czerwony pajak nad głową szkockiego olbrzyma, był rzeczywiście godny uwiecznienia.

Rozdział drugi

Ślady na śniegu

Kiedy nadszedł wieczór, nikt już nie pamiętał o tej krótkiej chwili wesołości. W baszcie u Kennedy'ego zebrało się kilka osób: Katarzyna, Sara, Walter, brat Stefan i seneszał Carlat, Gaskończyk Cabriac, zajmujący to stanowisko od dziesięciu lat. Był to prosty, pocziwy grubas, który nade

wszystko cenił własny spokój. Nie miał właściwie żadnych ambicji, lecz trzeba przyznać, że znał swe włości i okolicę jak nikt inny.

Przed zapadnięciem zmierzchu wszyscy udali się do budki strażnika, ażeby zbadać pozycje nieprzyjaciela. Na śniegu wyrastały jeden po drugim namioty podobne do trujących grzybów. Część żołnierzy zajęła chłopskie chaty. Ich mieszkańcy opuścili je w popłochu i schronili się w fortecy. Wszędzie, gdzie było choć trochę miejsca w stajniach czy stodołach, tłoczyli się ludzie razem ze zwierzętami, które poszły w ślad za właścicielami, tak że w fortecy panował zgiełk niemal jarmarczny. Kiedy zapadła noc, wokół fortecy zapłonęły ogniska. Czerwone pióropusze dymów rozjaśniały ciemności, z których wyłaniały się wykrzywione twarze posiniałe z zimna, istne maski karnawałowe. Katarzynie zdawało się, że widzi piekielną otchłań pełną demonów. Ta noc zniweczyła optymizm Kennedy'ego, który z trwogą patrzył, jak wokół fortecy zaciskają się czerwone kleszcze.

- Co z nami będzie? - spytała Katarzyna.

Zwróciwszy w jej stronę swoją twarz dumnego doga, wzruszył ramionami.

- Na razie, pani, mniej się troszczę o nas, a bardziej o Maclarena. Jesteśmy otoczeni. Obawiam się, w jaki sposób uda mu się jutro przedrzeć, wracając z Montsalvy. Zostanie schwytyany... uwięziony... albo i gorzej! Villa-Andrado jest gotowy na wszystko, żeby zmusić nas do poddania się. Będą go wypytywali, a wiadomo, co się pod tym kryje. Villa-Andrado będzie chciał się dowiedzieć, skąd wraca.

Katarzyna zbladła. Jeśli zaczną torturować Maclarena, to powie im, gdzie jest mały Michał. Cóż za wspaniały zakładnik! Katarzyna dobrze

wiedziała, że zgodzi się na wszystko, aby uwolnić syna ze szponów Villi-Andrada.

- Powtarzam pytanie - powiedziała drżącym głosem. - Panie Kennedy, co zrobimy?

- Do diabła, żebym to ja wiedział!

- Trzeba - przerwał spokojnie brat Stefan - by jeden człowiek opuścił w nocy fortecę i udał się w kierunku Montsalvy na spotkanie Maclarena. Najważniejsze, żeby udało mu się przedostać. Wydaje mi się, że od strony muru północnego nie widać ani jednego ogniska.

Kennedy wzruszył potężnymi barami odzianymi w skórę.

- Czy kiedykolwiek oglądałeś skałę w tym miejscu? Jest lita, czarna, gładka i opada pionowo w dół. Trzeba niezwykle długiego sznura i nie lada śmiałka, który potrafiłby spuścić się po niej w dół, nie skręcając sobie przy tym karku.

- Mogę spróbować - rzucił zniechęca Walter, zbliżając się do kominka. Katarzyna otworzyła usta, żeby zaprotestować, lecz seneszal ją uprzedził.

- Nie potrzeba sznura, aby pokonać mur i skałę... Są schody!

W jednej chwili wszystkie oczy skierowały się na niego. Kennedy chwycił go za ramię.

- Jakie schody? Co ty bredzisz?

- Prawdziwe schody, wąskie i kręte, wykute w skale. Zaczynają się w jednej z baszt. O ich istnieniu wiedziały tylko dwie osoby: Cabanes i ja. Tymi schodami uciekł ten łotr, Bezrogie Byczysko, gdy...

Katarzyna zadrżała na wspomnienie dnia, w którym ten gaskoński rzezimieszek próbował zepchnąć ją do przepaści. Często potem nawiedzały

ją koszmary, w których widziała czerwoną i spoconą, nabrzmiąłą od obleśnej żądz zabijania twarz grubego sierżanta.

- Jak poznał tę tajemnicę? - wyszeptała zdziwiona. Mały seneszał spuścił głowę z zakłopotaniem i zaczął ugniatać w dłoniach beret.

- To mój ziomek... Obydwaj pochodzimy z Gaskonii - wymamrotał. - Nie mogłem dopuścić, aby stało mu się coś złego... Nie mogłem narazić go na śmierć...

Katarzyna zamilkła. W chwili, kiedy seneszał wyjawiał jej tajemnicę takiej wagi, nie mogła żądać od niego dalszych wyjaśnień. Kennedy nie zniósłby tego. Był wpatrzony w ogień i całkowicie nieobecny. Machinalnie zapytał, czy kobieta przeszłaby tymi schodami, a uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, powiedział:

- Mam lepszy pomysł. Skorzystamy z tego, że Villa-Andrado nie zdążył jeszcze całkowicie otoczyć fortecy. Pewnie doszedł do wniosku, widząc skałę od strony północnej, że nie jest to takie pilne. Obawiam się jednak, że jutro może zmienić zdanie. Tak więc jedyną szansę mamy tej nocy. Pani Katarzyno, proszę przygotować się do drogi.

Na policzkach Katarzyny pojawiły się lekkie rumieńce, a jej dłonie odruchowo się zacisnęły.

- Czy mam iść sama?

- Nie. Będą ci towarzyszyć Sara, brat Stefan i Walter. Oczywiście, ten ostatni opuści panią, gdy już wyjedziecie z Carlat, i uda się na spotkanie Maclarena, podczas gdy wy będziecie czekać na niego w Aurillac. Dostanie rozkaz, aby udał się wraz ze swymi ludźmi na wasze spotkanie i by ochraniał was w dalszej drodze.

- A co pan będzie robił w tym czasie?

Szkot wybuchnął głośnym śmiechem, który w cudowny sposób rozładował napiętą atmosferę panującą w wieży. Jego śmiech przepędził wszystkie demony strachu i przerażenia.

- Ja? Przez kilka dni będę się tu bawił z Villi-Andradem. Muszę też poczekać na nowego zarządcę, lecz on nie zdoła zbliżyć się do Carlat, dopóki będzie trwało oblężenie. Za parę dni, kiedy już będziecie wystarczająco daleko, by nie obawiać się pościgu, zaproszę tutaj Villę-Andrada, by zobaczył, że was tu nie ma. Kiedy tylko się o tym dowie, na pewno odstąpi od oblężenia. Wtedy przekażę władzę mojemu następcy i spakuję bagaże.

Brat Stefan zbliżył się do Katarzyny i ujął jej zimne dłonie w swe ręce.

- Co myślisz o tym, moje dziecko? Sądzę, że przez usta kapitana przemawia głos rozsądku.

Tym razem Katarzyna obdarowała mnicha ciepłym, promiennym uśmiechem, po czym spojrzała radośnie na wielkiego Szkota, który poczerwieniał z emocji.

- Sądzę, że to dobry pomysł - powiedziała z wypiekami na twarzy. - Pójdę się przygotować! Chodź, Saro! A panu, panie Kennedy, będę wdzięczna, jeśli zechce pan przygotować męskie stroje dla mnie i dla Sary.

Cyganka westchnęła ciężko. Nie znosiła męskiej odzieży, w której jej obfite kształty z trudem się mieściły. Najwidoczniej jednak czas przygód się nie skończył i, chcąc nie chcąc, trzeba było zgodzić się na to, co nieuniknione.

Chwilę później, w swoim pokoju, Katarzyna przeglądała z niejakim zdziwieniem męskie fatałaszkę, które przysłał jej Kennedy. Pożyczył je od

swojego pazia, a był to ni mniej, ni więcej tylko strój ludowy, jaki noszono w jego stronach. Tamtejsi górale, przyzwyczajeni do ostrego klimatu, mieli twardą skórę. Ich codzienny przyodziewek składał się z obszernego kawałka wełny w barwach klanu, z flanelowej kurtki i kolczugi. Draperia była zwykle umocowana na ramieniu za pomocą blaszki z kutego żelaza. Głowę przykrywał hełm lub płaski beret ozdobiony piórem czapli. Na dworze króla Karola VII, u którego tworzyli słynną od 1418 roku szkocką straż, założoną przez konetabla Johna Stuarta z Buchan, nosili posrebrzane zbroje i bogate pióropusze z piór czapli, lecz poza dworem najchętniej przywdziewali swój tradycyjny strój, w którym czuli się najwygodniej.

Tak więc Kennedy przysłał Katarzynie szkocki tartan w rodowych kolorach: zielonym, czerwonym i żółtym, do tego czerwoną kamizelkę i niebieski beret, krótkie skórzane botki oraz torbę z koziej skóry. Z myślą o mrozie dołączył getry w tym samym kolorze co beret i obszerny, czarny płaszcz do konnej jazdy.

- Kiedy Maclaren dobieje do was, będziesz, pani, mogła uchodzić za jego pazia - powiedział kapitan - nie odróżniając się od reszty grupy.

Podobny strój, lecz o wiele większy, przysłał Sarze. Z początku Cyganka oponowała.

- Przecież możemy uciec, nie narażając się na ośmieszenie! Jak ja będę wyglądać w tych kolorowych fataląszkach?

- A jak ja wyglądam? - odpowiedziała Katarzyna, która zdążyła już się przebrać, zaledwie zamknęły się za Kennedym drzwi.

Na koniec rozczochrała włosy i nasunęła beret na czoło. Stała przed polerowanym cynowym lustrem i podparwszy się pod boki, przyglądała się sobie krytycznie. Wolałaby sto razy kolor czarny, ażeby pozostać wierną złożonemu ślubowi: nosić tylko kolor czarny i biały.

Jednak ta noc miała być wyjątkowa i mimo wszystko przeszył ją przyjemny dreszcz. W tym śmiesznym stroju przybrała buńczuczną minę młodego pazia o dziewczęcej, zbyt ładnej twarzy. Sara, która obserwowała ją w milczeniu, mruknęła:

- Czy to wypada być tak piękną? Obawiam się, że moje odbicie w lustrze nie będzie równie udane.

- Musisz upiąć szarfę na piersi - doradziła jej Katarzyna. - W przeciwnym razie będzie widać, że jesteś kobietą.

Sama zrobiła to samo, mimo że zabandażowała sobie piersi przed włożeniem opończy. Następnie owinęła się czarnym płaszczem i skierowała do drzwi, do których właśnie ktoś pukał.

- Czy jesteście gotowe? - usłyszała głos Kennedy'ego.

- Wejdz - odparła Katarzyna zajęta napełnianiem torby z koziej skóry drogocennymi kamieniami, wśród których zabłyszczał złowrogo czarny diament.

Sara również zapakowała część klejnotów. Na progu stanął uśmiechnięty Szkot.

- Jaki piękny z pani paż! - zauważył, nie kryjąc zachwytu. Katarzyna nie uśmiechnęła się jednak.

- Ta maskarada wcale mnie nie bawi - odparła. - Spakowałam moje czarne stroje i włożę je, kiedy tylko to będzie możliwe. Tymczasem ruszajmy...

Rzuciła pożegnalne spojrzenie na pokój, w którym przeżyła chwile szczęścia i bolesną pokutę. Wydawało jej się, że wśród tych surowych murów błąka się uśmiech Arnolda, że słyszy śmiech Michała. Uczuła ściśnięcie gardła, lecz nie pozwoliła, by emocje nad nią zapanowały. W tej chwili potrzebowała całej swojej odwagi i zimnej krwi. Zdecydowanie

odwróciła się od znajomego wnętrza i oparła dłoń na rękojeści sztyletu zatknętego u pasa. Był to ten sam sztylet z krogulcem, którym Arnold zabił Marię de Comborn; dla Katarzyny stanowił jedną z najdroższych pamiątek. Przy tych kilku calach błękitnej stali, wiele razy rozgrzewanej ręką jej męża, czarny diament był tylko kamieniem bez wartości.

Na dziedzińcu czekał już Kennedy ze zgaszoną pochodnią, a także brat Stefan i Walter, który bez słowa odebrał od Sary zawiniątko z ubraniami. Mała grupa ruszyła gęsiego w stronę murów. Mróz zaczynał dawać się we znaki, a lodowaty wiatr wznosił tumany białego pyłu, w których ginęły zgarbione postaci. W miarę zbliżania się do murów podmuchy wiatru łagodniały, lecz pomimo grubego płaszcza Katarzyna skostniała z zimna, zanim dotarli do wieży wskazanej przez Cabriaca. Czekał na nich w środku, przytupując i poklepując się po bokach. Z niskiego sklepienia spływała woda, zamieniając się natychmiast w czarne, błyszczące sople lodu.

- Musimy się pośpieszyć - powiedział Cabriac. - Wkrótce wszędzie księżyc i będzie was widać na śniegu jak w biały dzień. Kastylijczyk na pewno wszędzie rozstawił strażę!

- Ale - przerwała Katarzyna - jak przejdziemy przez palisadę, która otacza skałę?

- Zostaw to mnie, pani - odparł Walter. - Ruszajmy w drogę! Seneszał ma rację. Nie mamy czasu do stracenia!

Uniósł ukryty pod zgniłą słomą właz, odsłaniając ciemny otwór prowadzący do schodów. Katarzyna zawahała się i odwróciwszy się w stronę Kennedy'ego, podała mu rękę, mówiąc:

- Panie, przyjmij podziękowanie za wszystko, co dla nas uczyniłeś, za twą przyjaźń i ochronę. Nigdy nie zapomnę chwil tutaj spędzonych.

Dzięki tobie... nie były aż tak okrutne. I mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się u królowej Jolanty.

W skąym świetle rzucanym przez pochodnię zobaczyła pojaśniałą twarz Szkota i jego lśniące, śnieżnobiałe zęby.

- Gdyby to zależało tylko ode mnie, nastąpiłoby to jak najszybciej, ale w naszych czasach nikt nie może być pewny jutra. Nie wiadomo, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy... - Głos uwiązł mu w gardle, chwycił Katarzynę za ramiona, mocno przycisnął do siebie i pocałował łapczywie, zanim zdążyła się obronić. Następnie wypuścił ją z uścisku i zaczął się śmiać jak dziecko, któremu udała się sztuczka. - Teraz przynajmniej umrę bez żalu! Katarzyno, przebacz mi, to już się nigdy więcej nie powtórzy... ale miałem na to taką okrutną ochotę!

Jego słowa były tak szczere, że Katarzyna uśmiechnęła się mimowolnie. Nagły przyływ czułości tego kanciastego mężczyzny nie był jej całkiem niemiły. Walter pobladł.

- Ruszajmy, pani Katarzyno! - rozkazał oschle.

Uniósł w górę lucywo i ruszył pierwszy do ukrytych schodów. Katarzyna podążyła za nim, następnie Sara i brat Stefan na końcu. Zagłębiając się w skalne czeluście, słyszała, jak mnich żegna się ze Szkotem, zalecając mu, aby nie zatrzymywał się zbyt długo w Owernii. Na koniec dodał:

- Nadchodzi znowu czas walki! Wkrótce będziesz potrzebny konetablowi*!

- Bądź spokojny! Nie dam mu długo na siebie czekać!

** Konetabl - naczelny wódz francuskich wojsk królewskich od XI wieku do roku 1627. Tytuł wywodzi się łacińskiego comes stabuli i*

oznaczał początkowo, w starożytnym Rzymie i wczesnym średniowieczu nadzorcę stajni.

Potem Katarzyna nie słyszała już nic. Wysokie, nierówne, wykute niedbale w litej skale schody zagłębiały się prawie pionowo pomiędzy dwoma przezartymi zębem czasu murami. Każdy krok po oblodzonych stopniach groził upadkiem. Kiedy w końcu dotarli do kępy krzaków, które zasłaniały wylot schodów, Katarzyna westchnęła z ulgą. Dzięki staraniom Waltera, który osłaniał ją przed kolczastymi gałęziami, nie doznała przy przechodzeniu większego uszczerbku. Jej oczom ukazała się jednak o wiele gorsza przeszkoda - wysokie, ostro zakończone pale tworzące palisadę przylegającą do skały.

Katarzyna zmierzyła wzrokiem przerażającą zaporę.

- Nigdy nie uda się nam jej pokonać. Lepiej zawróćmy od razu. Pale są zbyt ostro zakończone, aby można było wspiąć się na nie po sznurowej drabinie.

- Oczywiście - powiedział spokojnie Walter. - Po to jest palisada!

Co powiedziawszy, ruszył w prawo. Przy siódmym palu zatrzymał się, chwycił potężny zaostzony pień i z wysiłkiem, od którego żyły nabrzmiały mu na skroniach, wyjął jego dolną część - był bowiem przepołowiony w środku, lecz zamocowany z takim znanstwem, że nie odróżniał się od reszty. W powstałym w ten sposób wąskim otworze ukazało się strome zbocze opadające aż do strumienia i kilka chat osady w Cabanes na przeciwległym wzgórzu. W tej właśnie chwili zza chmur wyłonił się błydy księżyc, rzucając srebrzystą poświatę na śnieżne połacie, na oszronione krzaki i drzewa, które stały się widoczne niczym w białym

dzień. Przycupnięci za palisadą uciekinierzy popatrzyli z rozpaczą na rozpościerający się przed nimi śnieżnobiały dywan.

- Będzie nas widać jak na dłoni - szepnął brat Stefan. - Wystarczy, żeby któryś ze strażników odwrócił głowę w tę stronę, a jesteśmy zgubieni...

Nikt nie odpowiedział. Mnich wyraził jasno to, o czym myśleli wszyscy. Tylko Katarzyna nie mogła opanować zdenerwowania.

- Co robić? Nasza jedyna szansa, to uciec tej nocy, zanim całkowicie okrążą zamek. Jeśli jednak nas zauważą, zostaniemy uwięzieni.

Jakby na potwierdzenie tych słów, w pobliżu dały się słyszeć głosy. Walter wsunął ostrożnie głowę do otworu i prawie natychmiast cofnął ją z powrotem.

- Pierwszy posterunek znajduje się zaledwie kilka sążni stąd. Około dziesięciu ludzi... Musimy czekać...

- Na co? - rzuciła zniecierpliwiona Katarzyna. - Aż wstanie dzień?

- ...aż księżyc się schowa. Dzięki Bogu, w zimie dzień wstaje późno.

Nie pozostawało nic innego, jak czekać na mrozie i w śniegu. Cała czwórka, wstrzymując oddechy, wpatrywała się w bladą twarz księżyca. Ciężkie chmury przepływały jednak szybko nad ich głowami, nie chcąc zasłonić zdradzieckiej świetlistej tarczy. Ręce i stopy Katarzyny zlodowaciały. Niewiele pomagało pocieranie przez Sarę jej pleców, gdyż uczucie ciepła szybko mijało, a zdenerwowanie rosło.

- Dłużej nie wytrzymam! - szepnęła do Waltera. - Musimy coś zrobić... Trudno, zaryzykujemy! Nie słysząc żadnych odgłosów. Może strażę posnęły?

Walter znowu wyjrzał przez otwór w palisadzie. W tym momencie silny podmuch wiatru uniósł tumany syckiego śnieżnego puchu, który

zawirował w powietrzu. Równocześnie księżyc schował się wśród ciężkich chmur i wokół pociemniało. Walter rzucił na Katarzynę szybkie spojrzenie.

- Czy możesz, pani, pobiec?

- Myślę, że tak.

- No, to biegnij! Teraz!

Wyszedł pierwszy, przepuścił pozostałą trójkę i podczas gdy oni zbiegali po ośnieżonym stoku, on zajął się wstawieniem słupa na swoje miejsce. Katarzyna pędziła ile tchu w piersiach, chociaż jej zmarznięte kończyny były zdrętwiałe i niemal sztywne. Strome zbocze uciekało jej spod stóp, a serce waliło jak oszalałe. Siłą rozpędu wpadła w kępę krzaków prawie zupełnie przysypanych śniegiem. Walter jednak już był przy niej, już dźwigał ją z ziemi.

- Trzeba biec szybciej - złościł się, przyspieszając kroku i podtrzymując Katarzynę silnym ramieniem.

- A nasze ślady... Zobaczą je! Trzeba je zatrzeć!

- Nie mamy czasu! Hej! Wy tam! Wejdźcie do potoku i nie wychodźcie z niego, dopóki nie dojdziecie do tamtych drzew.

Sam również rzucił się do strumienia. Cienka warstwa lodu załamała się pod jego ciężarem, a na twarz wyczerpanej kobiety trysnęła lodowata woda. Walter, nie zważając na to, biegł dalej ile sił w nogach i nie spuszczał oka z księżyca. Wydawało mu się, że za chwilę ukaże się znowu, gdyż przez zasłone chmur przedzierały się już pierwsze jego promienie. Na szczęście sosnowy las był już blisko. Normandczyk postawił Katarzynę na ziemi i zabrał się do łamania gałęzi.

- Schowajcie się w lesie, a ja tymczasem zatrzę ślady!

Katarzyna, Sara i brat Stefan ruszyli między drzewa, podczas gdy Walter za pomocą sosnowych gałęzi usuwał ze śniegu ślady stóp.

Ledwo zbiegowie zdążyli ukryć się w gęstwinie, księżyc wyszedł zza chmur. Opadając z wyczerpania, rzucili się na zwałony pień dla nabrania oddechu. Z tego miejsca widać było Carlat w całej okazałości: potężny zamek sterczący na podobnej do dzioba statku skale, mury obronne, dzwonnice i wieże, a u jego stóp zacieśniający się wokół pierścien najeźdźcy. Katarzyna przesłała wdzięczne myśli Kennedy'emu. Dzięki niemu znalazła się poza zasięgiem wroga i mogła dotrzeć do Angers...

Głos Waltera przerwał jej rozmyślenia.

- Nie czas jeszcze myśleć o odpoczynku. Szmat drogi przed nami, a dzień już blisko!

Szli więc dalej. Po raz pierwszy od długiego czasu Katarzyna obcowała z przyrodą, czuła zapach ziemi i lasu, który tak kochała. Odnajdywała na nowo bliskość dużych drzew, które wiele już razy udzieliły jej bezpiecznego schronienia. Otulone białym puchem zarośla wyglądały jak postaci z bajek, a sosny, dotykające śnieżnymi sukienkami aż do ziemi, były prawie nierealne. Na polanach w blasku księżyca migotały tysiące kryształków wśród ciszy i uśpienia. Niegodziwość ludzka, wojny, a także cierpienia serca nie miały tutaj wstępu. Katarzyna pomyślała o pustelnikach żyjących samotnie w głębi lasu. Tyle piękna mogło złagodzić każde cierpienie. Zmęczenie i dokuczliwy chłód zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przed sobą widziała wielką postać Waltera sunącego równym krokiem i starała się stąpać po jego śladach; reszta czyniła tak samo. Wydawało się, że olbrzym jest częścią lasu, że urodził się w nim jak jedno z drzew. Nagle stanął, nadstawiając ucha i zatrzymując ich ruchem ręki. Z oddali dochodziły przenikliwe dźwięki trąbki.

- Pobudka? Już tak blisko do świtu?

- Jeszcze nie. I obawiam się, że to nie pobudka. Zaczekajcie tu chwilę!

I w mgnieniu oka Walter objął pień dębu, wspiał się po nim zręcznie jak małpa i zniknął przyjaciołom z oczu. Dźwięk trąbki brzmiał nadal.

- To w obozie czy w zamku? - zastanawiał się głośno brat Stefan.

- W zamku nie mieliby powodu, żeby grać na trąbkach... chyba żeby zostali zaatakowani - zaczęła Katarzyna, lecz nie dokończyła, gdyż w tej chwili z drzewa zsunął się Walter, a właściwie spadł jak pocisk pomiędzy nią a mnicha.

- To w obozie! Przy murze północnym jest pełno ludzi! Musieli zauważyć nasze ślady. Widziałem, jak wsiadają na konie!

- Co teraz zrobimy? - jęknęła Sara. - Nie wygramy z końmi, a jeśli odkryją nasze ślady za źródłem...

- To możliwe - przyznał Walter. - To całkiem możliwe. Dlatego teraz się rozdzielimy. I tak musielibyśmy to zrobić o świcie. Wy ruszycie do Aurillac, a ja udam się sam na spotkanie Maclarena. Oni będą szli moim śladem...

- Chyba żeby natrafili na nasz - przerwała Sara.

- Nie natrafiają, gdyż wdrapiecie się na to drzewo i przeczekacie tam ukryci, aż pościg się oddali. Możecie się nie obawiać, potrafię odciągnąć ich wystarczająco daleko, abyście mogli spokojnie iść w swoją stronę.

Katarzynie zdawało się, że nagle magiczne piękno lasu zniknęło. Rozstać się z przyjacielem, a na dodatek wiedzieć, że narażony jest na niebezpieczeństwo, umierać z niepokoju o jego los? Łatwiej jest pokonywać niebezpieczeństwo razem...

- A jeżeli cię dogonią i...

Nie dokończyła, z jej oczu trysnęły łzy i potoczyły się po policzkach, błyszcząc w blasku księżyca. Na szerokiej twarzy olbrzyma ukazał się radosny uśmiech.

- ...i zabijają? Czyż tak? - spytał łagodnie. - Nic nie mogą mi zrobić, Katarzyno! Widziałem łzy w twoich oczach... nic nie może mi się stać! A teraz róbcie, co kazałem! Na drzewo!

Pochwycił Katarzynę w talii i bez żadnego wysiłku posadził ją na gałęzi. Potem przyszła kolej na Sarę, w końcu na mnicha. Siedząc tak jedno koło drugiego, wyglądali niczym trzy przerażone wróble. Walter wybuchnął śmiechem.

- Podobni jesteście do wystraszonych piskląt! Ale nie obawiajcie się. Drzewo jest pochyle. Wejdźcie jak najwyżej i zachowujcie się cicho. Jeśli się nie mylę, za godzinę będą tu żołnierze. Pamiętajcie, nie wolno wam zejść, póki nie odjadą! No, odwagi!

Siedząc nieruchomo, patrzyli, jak Walter ubija śnieg wokół drzewa, a potem robi ślady prowadzące w przeciwnym kierunku. W końcu pożegnał ich jednym ruchem dłoni i ruszył żwawo w stronę Montsalvy. Dopiero kiedy zniknął im z oczu, spojrzeli po sobie.

- Tak więc - przerwał ciszę brat Stefan - czyńmy, jak kazał. I przebacz mi, Katarzyno, lecz muszę zakasać habit.

Co mówiąc, podwinął fałdy okrycia i wcisnął za przepasujący go sznur, który zacisnął mocno na brzuchu, ukazując chude, żylaste łydki i szerokie, gołe stopy w sandałach. Z galanterią pomagał Sarze wspinać się na konary. Katarzyna zaś, odnajdując dawną zwinność, bez trudu wdrapywała się sama. Wkrótce znaleźli się wśród takiej gęstwiny konarów, na których ostały się pożółkłe i wyschnięte liście, że stali się zupełnie niewidoczni.

- Teraz musimy uzbroić się w cierpliwość - powiedział spokojnie brat Stefan, sadowiąc się wygodnie. - Ja tymczasem zmówię różaniec za tego dzielnego chłopca. Czuję, że przydadzą mu się modlitwy, mimo że w nie nie wierzy.

Katarzyna także próbowała się modlić, lecz jej pełne obaw myśli podążały za Walterem. Nie miała odwagi przyznać się przed sobą, co by czuła, gdyby Normandczykowi przytrafiło się coś złego. Stał się jej drogi, a przez swoje poświęcenie i wierność podbił część jej serca. Wraz z Sarą był tym, co najmocniej łączyło ją z przeszłością. Jego pewność siebie i jasny umysł pozwalały nie bać się życia, nie bać się bólu. Ale teraz, kiedy potężna sylwetka Waltera zniknęła za drzewami, poczuła się kruchą i bezbronną istotą.

- Boże, spraw, żeby nic mu się nie stało! - modliła się w duszy, starając się dostrzec kawałek nieba pomiędzy konarami. - Jeśli odbierzesz mi ostatniego przyjaciela, co mi pozostanie?

Tymczasem do uszu zbiegów doszedł tętent końskich kopyt, szcęk broni, pokrzykiwania ludzi i ujadanie psów. Najwyraźniej ludzie Villi-Andrada odkryli kierunek ucieczki. Brat Stefan i Sara uczynili znak krzyża.

- Widzę ich - wyszeptał mnich. - Nadjeżdżają...

Katarzyna odruchowo ścisnęła duchownego za ramię.

Pośród gałęzi załśnił żołnierski hełm. Śnieg tłumił kroki, lecz słyszeć było trzaskające pod ciężarem zbroi gałęzie. Torowali sobie drogę wśród zarośli, tnąc szpadami na lewo i prawo. Uciekinierzy wstrzymali oddech...

Żołnierze szli powoli, jakaś dziesiątka łuczników z bronią na ramieniu, a za nimi tyleż samo żołnierzy w siodłach. Byli to Kastyljczycy i Katarzyna nie rozumiała ich języka, ale ponieważ robiło się coraz jaśniej,

mogła dostrzec oliwkowe, niewzbudzające zaufania twarze i długie, czarne wąsy. Z przerażeniem zauważyła, że jeden z nich miał przytroczony do siodła wianek ludzkich uszu. Człowiek ten, jakby poczuł czyjaś obecność, zatrzymał się tuż pod dębem i coś krzyknął zachrypniętym głosem. Na jego wołanie nadbiegł drugi żołnierz i wtedy serce Katarzyny zamarło. Lecz wkrótce sprawa się wyjaśniła: jeździec chciał, żeby kompan pomógł mu zacisnąć końską uzdę. Gdy to zostało zrobione, ruszyli w dalszą drogę. Chwilę później pod drzewem nie było już nikogo. Z piersi zbiegów wydobyło się zgodne westchnienie ulgi. Pomimo mrozu brat Stefan musiał wytrzeć sobie spocone czoło i odrzucił kaptur habitu na plecy.

- Boże, ile strachu się najadłem! - rzucił jednym tchem. - Ale, ale, nie ruszajmy się jeszcze.

Zbiegowie odczekali parę chwil, zgodnie z instrukcjami Waltera. Kiedy w lesie nie było słyhać już żadnego odgłosu oprócz dalekiego piania spóźnionego koguta, mnich przeciągnął zdętwiałe członki, ziewnął szeroko, po czym obdarował towarzyszkę niedoli zachęcającym uśmiechem.

- Sądzę, że teraz możemy już zejść. Ci poczciwcy tak solidnie zdeptali cały śnieg w okolicy, że nasze ślady nie mogą nas już zdradzić!

- Słusznie - podchwyciła Katarzyna, ześlizgując się z gałęzi na gałąź.
- Lecz czy zdołamy odnaleźć dobry kierunek?

- Zaufaj mi, pani. Tak się składa, że znam tę okolicę, w młodości bowiem przebywałem przez kilka miesięcy w opactwie w Aurillac. Proszę iść za mną. Kierując się słońcem, musimy dotrzeć do przeorstwa w Vezac, gdzie znajdziemy odpoczynek, a jak zapadnie noc, ruszymy w dalszą drogę.

Pierwsze nieśmiałe promienie słońca dodały otuchy obydwu kobietom. Kiedy znalazły się pod drzewem, które posłużyło im za kryjówkę, Katarzyna wybuchnęła śmiechem, przyglądając się ich niezwykłym kostiumom.

- Wiesz, do czego jesteśmy podobne? - powiedziała do Sary. - Do Gedeona, papugi, którą podarował mi książę Filip w Dijon.

- To całkiem możliwe - odparła z niezadowoleniem Cyganka. - I wierz mi, że sama wolałabym być teraz Gedeonem i grzać się przy kominku u wuja Mateusza!

Ruszono więc w drogę i wkrótce przewidywania brata Stefana się spełniły. Las się skończył, a ich oczom ukazała się niewysoka dzwonnica przeorstwa w Vezac wyłaniająca się z porannej mgły nad doliną.

* * *

O świcie dnia następnego Katarzyna, Sara i brat Stefan dotarli do bram Aurillac na chwilę przed ich otwarciem. Z murów rozległo się granie rogu, do którego wkrótce dołączyło walenie młotków kotlarzy. Pomimo rześkiego, czystego powietrza czuło się mdlące wyziewy z okolicznych garbarni. Nad brzegiem Jordany stało mnóstwo mężczyzn, którzy pochylali się nad piwnymi, pochyłymi stołami, przez które lała się lodowata woda.

- Woda w tej rzece niesie złoto - wyjaśnił brat Stefan. - Ci ludzie przepuszczają ją przez gęste sita, na których zatrzymują się kawałeczki drogiego kruszcu. Proszę zauważyć, że są nadzorowani.

W istocie, uzbrojeni strażnicy nie spuszczały oczu ze zbieraczy złota. Stali w pobliżu robotników, opierając się na pikach. Zbieracze byli chudzi i odziani w nędzne, dziurawe łachy, spod których przeświecały zsiniałe od mrozu ciała. Strażnicy i zbieracze stanowili takie przeciwieństwo, że to Katarzynę wprost uderzyło. Szczególnie jeden ze zbieraczy zwrócił jej

uwagę. Był stary, zgarbiony i ledwo trzymał się na nogach, a jego powykęcane reumatyzmem palce wczepiały się rozpaczliwie w sito. Drżał z zimna i wyczerpania, co zdawało się szczególnie bawić jednego ze strażników. Kiedy stary próbował wyjść na brzeg, wymierzył mu cios rękojeścią lancy. Stary stracił równowagę, zachwiał się i upadł. Wywołało to wybuch śmiechu wśród wszystkich strażników.

Widząc to, Katarzyna zapalała gniewem. Jej dłoń zacisnęła się nerwowo na rękojeści sztyletu Arnolda. Zanim brat Stefan zauważył, co się święci, wyciągnęła broń zza pasa i rzuciła się na człowieka z laną, nie zdając sobie sprawy z własnej słabości ani z przewagi przeciwnika. Zaskoczenie było całkowite. Ostrze sztyletu przeszło ramię strażnika, który zawył i tracąc równowagę, runął na ziemię, a Katarzyna, jak wściekła lwica, opadła na niego.

- Ty łotrze! Nie pozwolę, abys zabijał starców! - krzyczała, ciągle uderzając na oślep, a strażnik kwiczał jak zarzynana świnia i nawet się nie bronił.

Gniew dodawał Katarzynie sił. Tymczasem kompani strażnika, widząc, co się dzieje, opadli na nią gromadą jak rój much.

- Dalejże, na Szkota! - zawył jeden z nich. - Bij! Zabij!

Ten krzyk uratował Katarzynę, gdyż z drugiego brzegu odpowiedział inny głos:

- Naprzód! W imię świętego Andrzeja!

I do spienionej wody rzuciła się grupa jeźdźców, która ze wzniesionymi szpadami zaatakowała strażników.

Katarzyna poczuła nagle, że ręce, które ją trzymały, słabną. Wstała. Jej własne dłonie były pełne krwi, a człowiek, którego napadła, nie dawał znaków życia. Leżał nieruchomo w śniegu zmieszonym z błotem i miał

otwarte oczy. Katarzyna zrozumiała, że go zabiła, lecz nie poczuła ani wyrzutów sumienia, ani obrzydzenia. Z zimną krwią zanurzyła sztylet w nurtach Jordany, po czym zatknęła go spokojnie za pasek. Wokół niej trwała walka pomiędzy strażnikami z Aurillac a jej nieoczekiwanymi wybawicielami, wśród których rozpoznała Waltera, walczącego ramie w ramię z wielkim Szkotem. Wokół nich wymachiwało szpadami kilkunastu ludzi: był to Maclaren i jego rycerze. Serce kobiety wypełniło się radością.

- Bogu niech będą dzięki! Odnalazł ich!

Idąc wzdłuż brzegu, dotarła do Sary i brata Stefana, którzy schronili się za zburzonym po części murem. Sara rzuciła się na przyjaciółkę jak lwica, która odnalazła swoje małe, wyściskała ją, po czym wymierzyła jej siarczysty policzek.

- Chyba oszalałaś! Chcesz, żebym przez ciebie umarła?

Katarzyna zachwiała się od uderzenia i chwyciła się za piekący policzek, lecz Sara już była u jej stóp, błagając o przebaczenie i wylewając morze łez. Katarzyna pomogła jej wstać, przycisnęła biedną kobietę do serca i łagodnie gładziła po głowie. Wtedy jej spojrzenie napotkało wzrok mnicha.

- Ojczy, zabiłam człowieka... i wcale tego nie żałuję!

- A kto by go żałował? - westchnął brat Stefan. - Odprawię mszę za duszę tego nieszczęśnika. Szczerze jednak wątpię, czy mu to pomoże... A tobie, moje dziecko, dam rozgrzeszenie!

Tymczasem bitwa dobiegała końca. Strażnicy leżeli pokodem na śniegu zabici lub ranni, a Maclaren zwoływał swoich ludzi. Walter zeskoczył z konia i z promiennym uśmiechem zbliżył się do Katarzyny.

- Nic ci się nie stało, pani? Co za szczęście! Ty żyjesz! Dając upust radości, chwycił ją za ramiona i potrząsnął, nie zdając sobie sprawy ze

swej siły i walcząc z okrutną ochotą, aby przycisnąć ją do siebie i zmiążyć jej usta pocałunkiem. Nagle Katarzyna poczuła, że miękną jej kolana i że całe jej ciało sztywnieje, a ramię przeszył dojmujący ból. Zakreśliło jej się w głowie i pociemniało w oczach. W uszach słyszała brzęczenie.

- Ty zakuta pało! - usłyszała jak przez mgłę. - Nie widzisz, że jest ranna?

Katarzyna poczuła, że olbrzym rozluźnił uścisk i w tej chwili straciła wszelkie czucie. W wirze walki nawet nie zwróciła uwagi na dźgnięcie w ramię.

Walter wziął ją na ręce i ostrożnie ułożył na swym rumaku, a Maclaren poprawiając się w strzemionach, rzucił:

- Musimy uciekać! Za chwilę będziemy mieć na karku wszystkich ludzi przeora! W drogę!

- Ależ ona potrzebuje opieki! - krzyknęła Sara.

- Zajmiemy się nią później. A teraz wskakujcie na konie!

Dwaj potężni Szkoci pomogli Sarze i bratu Stefanowi i wkrótce cała grupa ruszyła z kopyta, ścigana złorzeczeniami nadciągającej odsieczy przeora. Wokół zbiegów śmigwały strzały i pociski kuszy, wszelako nie czyniąc krzywdy żadnemu. Odpowiedział im srogi śmiech Kennedy'ego.

- Żołnierze przeora nie są warci złamanego szeląga! Jedno, co potrafią robić, to klepać różańce i tarzać się w rozpuście z dziewczkami!

Rana Katarzyny okazała się niegroźna; głęboka na jeden cal, krwawiła obficie, lecz nie była bolesna. Co prawda zeszywniałe ramię ciążyło jak ołów, lecz Katarzyna szybko odzyskała przytomność. Gdy grupa odjechała dosyć daleko, Maclaren zarządził postój. Podczas gdy jego ludzie zajęli się jedzeniem i piciem, Sara zabrała Katarzynę w ustronne

miejsce i tam ją opatrzyła, sporządzając bandażę z podartej koszuli, którą wyjęła z zawiniątka, smarując ranę przyjaciółki balsamem z baraniego sadła i jałowca, który dostała od jednego ze Szkotów. Potem obie kobiety posiliły się nieco chlebem i serem, popijając winem, zanim Maclaren dał sygnał do wymarszu. Katarzyna czuła ogromne znużenie. Trudy nocnego marszu i stoczona bitwa dawały o sobie znać.

Tym razem Maclaren kazał jej wsiąść na swojego konia pomimo sprzeciwu Waltera.

- Nie utrzyma się za tobą! Nie widzisz, że pada ze zmęczenia?

- To ją przywiążę! Czy zapomniałeś, kto tu rozkazuje?

Chcąc nie chcąc, Walter musiał przystać na takie rozwiązanie.

Maclaren należał do tych ludzi, którym nie sposób się sprzeciwić i którzy zmierzają prosto do celu, nie troszcząc się o skutki. Mocno przywiązawszy do siebie ślaniającą się kobietę, stanął na czele zastępu i wkrótce jego Szkoci i czterech zbiegów zagłębili się w groźne ostępy Masywu Centralnego.

Oparta o plecy Maclarena Katarzyna pozwalała się unosić jego wierzchowcowi. Wkrótce otoczyły ich skaliste góry z wygasłymi wulkanami i głębokie, bezludne doliny, w których panowała głęboka cisza. Tylko z rzadka można było w nich dostrzec jakąś chatę, przeważnie szczelnie zamkniętą przed mrozem. Zwykle o obecności ludzi świadczyły nietrwałe arabski popielatego dymu snujące się tuż nad powierzchnią śniegu. Większość chat była wykuta w zastygłej czarnej lawie, a w środku tłoczyli się ich mieszkańcy wraz z rudymi krowami o skreconej sierści, które z nadejściem lata rozchodziły się po soczystych dolinach, znacząc zielen traw swym ognistym ubarwieniem...

Katarzyna pomyślała, że ta surowa kraina jest piękna nawet pod płaszczem śniegu, który tylko podkreślał jej dzikie oblicze.

Pomimo niewielkiej gorączki i tępego bólu w ramieniu jej ciało popadało powoli w dziwny błogostan. Mężczyzna, do którego była przywiązana, przekazywał jej swoje ciepło, a jego szerokie plecy zasłaniały ją skutecznie od przenikliwego wiatru. Oparłszy się wygodnie, zamknęła oczy. Ogarnęło ją dziwne uczucie więzi z jeźdźcem, ale nie z powodu skórzanych lejców, którymi była do niego przywiązana. A przecież nigdy dotąd nie miała okazji przyjrzeć się temu człowiekowi. Zasklepiona od dawna w swoim bólu, zamknięta w fortecy, nie dostrzegała żadnych mężczyzn, a zwłaszcza nieznajomych, którzy z rzadka pojawiali się w Carlat.

I oto, w tym męskim przebraniu, obudziła się w niej na nowo kobieca natura. Pomimo ogromnej, nieuleczalnej miłości do Arnolda, wypełniającej jej serce aż po brzegi, nie mogła nie zauważyć, że Maclaren był mężczyzną wielkiej urody - wysokim, szczupłym i tak zwinnym jak ostrze szpady. Jego wąska twarz o profilu przypominającym drapieżnego ptaka i kwadratowa szczęka pozwalały domyślać się nieprzejednanego uporu. Głęboko osadzone pod czarnymi brwiami błękitne oczy były zimne i drwiące.

Kiedy przed chwilą chwycił Katarzynę wpół, aby posadzić ją na koniu, spojrzał na nią przeciągle. Jego wzrok przeszył kobietę jak ostrze sztyletu. Poczowała się dziwnie rozbrojona. Jego oczy zdawały się mówić, że pozbawiona swych szat żałobnych pani de Montsalvy jest taką samą kobietą jak inne, kobietą z krwi i kości. Nie umiała zdecydować się, czy to wrażenie było jej miłe, czy nie.

* * *

Z nadejściem wieczoru zatrzymano się w stodole u chłopca, który, przerażony tym niespodziewanym najściem, nie ośmielił się również odmówić ani czarnego chleba, ani koziego sera. Sara wybrała dla swej pani miejsce w pobliżu ogniska.

Wyczerpana, czując pulsowanie krwi w zranionym ramieniu i w skroniach, właśnie miała zasnąć, kiedy podszedł do niej Maclaren.

- Jesteś chora, pani - powiedział, przeszywając ją trudnym do wytrzymania spojrzeniem. - Musimy zająć się tą raną! Proszę mi ją pokazać!

- Zrobiłam wszystko, co należy! - zaatakowała Sara. - Teraz trzeba czekać, żeby się zagoiło.

- Widzę, że nigdy nie leczyłaś zranień od niedźwiedzi pazurów - odparł Szkot, uśmiechając się nieznacznie. - Powtarzam, proszę mi to pokazać!

- Zostaw ją w spokoju! - usłyszeli z tyłu ponury głos Waltera. - Nie waż się tknąć Katarzyny przeciwko jej woli!

Pomiędzy płomieniami ogniska i Maclarenem pojawiła się potężna sylwetka Normandczyka. Katarzyna odniosła wrażenie, że to jeden z niedźwiedzi, o których wspominał kapitan. Wyglądał groźnie z ręką zaciśniętą na trzonku siekiery zatkniętej u pasa.

- Zaczynasz mnie denerwować, przyjacielu! - odpowiedział Maclaren i dodał z pogardą: - Czy jesteś koniuszym pani Katarzyny, czy jej mamką?... Chcę tylko ją wyleczyć. Chyba że wolisz, aby jej ramię spokojnie zgniło?

- Bardzo mnie boli, Walterze - przerwała w porę Katarzyna. - Jeśli potrafi ulżyć memu cierpieniu, będę mu stokrotnie wdzięczna. Pomóż mi, Saro...

Walter nie odpowiedział, tylko, zgarbiwszy się, z kamienną twarzą usunął się w najbardziej oddalony zakamarek stodoły. Tymczasem Katarzyna z pomocą Sary wstała i obydwie zabrały się do odwijania bandaża.

- Wy tam! Odwrócić się! - rzuciła Cyganka w stronę żołnierzy, którzy jeszcze nie spali.

Ostrożnie zdjęła z niej flanelową opończę, kolczugę, a następnie, kiedy Katarzyna została w samych getrach i koszuli, kazała jej usiąść i wprawnym ruchem rozerwała kołnierz, aby dostać się do rannego ramienia. Maclaren spokojnie przyglądał się temu z boku, bezczelnie ślizgając się oczami po jej długich udach, krągłych biodrach i dochodząc aż do piersi, których zarys, pomimo zabandażowania surowym płótnem, mógłby niejednego mężczyznę zwalić z nóg. Kiedy była już gotowa, Maclaren bez słowa rozerwał założony przez Sarę opatrunek i przytknął do rany tłącą się żagiew z ogniska, a usłyszawszy syczenie, zmarszczył brwi; rana nie wyglądała pięknie. Była nabrzmiała i przybierała niezdrowy, sinawy odcień.

- Jeszcze trochę, a infekcja gotowa - mruknął. - Lecz zrobię, co trzeba. To będzie bolało... Odwagi!

Oddalił się, aby zaraz wrócić z manierką z koziej skóry i z małą torbą, z której wyciągnął garść szarpi. Ukłękawszy przy chorej, chwycił za swój sztylet i jednym, szybkim jak błyskawica cięciem otworzył ranę. Katarzyna nie zdążyła nawet krzyknąć. Kątem oka zauważyła tylko cienką stróżkę krwi spływającą z ramienia.

Wtedy Szkot nasączył tampon w płynie z manierki i bezceremonialnie zaczął czyścić nim ranę.

- Uprzedzam, że będzie piekło - powiedział.

Rzeczywiście, piekło tak mocno, że Katarzyna musiała zacisnąć zęby. Powstrzymała gwałtownie krzyk, lecz z oczu trysnęły jej łzy. Jedna z nich upadła na dłoń Maclarena. Kapitan spojrzał na swą ofiarę z nieoczekiwaną łagodnością i uśmiechnął się.

- Skończone! Jesteś pani bardzo dzielna.

- Co to za medykament? - spytała rozogniona Sara.

- Maurowie nazywają go tchnieniem Boga i leczą nim swoich chorych. Zauważono, że zapobiega zakażeniom trudno gojących się ran.

Mówiąc, zakładał świeże bandaże. Jego ręce były teraz bardzo delikatne, tak że Katarzyna zapomniała o bólu. Ręka kapitana jakby machinalnie dotknęła jej pleców, zatrzymując się na nich w przelotnej pieśczoście, która wprowadziła jej ciało w nieoczekiwane drżenie. Pomieszanie gniewu i wstydu zabarwiło jej policzki na czerwono, a jednocześnie ta bezczelna męska dłoń obudziła w niej świadomość z dziką siłą zdławionej młodości. Sądziła, że jej zmysły na zawsze pozostaną w uśpieniu, ponieważ serce umarło, a tymczasem ta ulotna chwila wyrwała ją brutalnie z dotychczasowego odrętwienia. Odwróciła głowę, aby nie napotkać wzroku, który natarczywie szukał jej oczu, i nerwowo poprawiła koszulę.

- Dzięki ci, panie! Już prawie nie boli. A teraz, jeśli pozwolisz, udam się na spoczynek.

Jan Maclaren opuścił ręce i skłoniwszy się, odszedł bez słowa, ścigany podejrzliwym spojrzeniem Sary. Katarzyna czerwona aż po czubek głowy - pośpiesznie ubrała się i ułożyła na słomie. Chciała zamknąć oczy,

kiedy pochyliła się nad nią Cyganka z wypiekami na twarzy i szelmowskimi ognikami w źrenicach.

- Moja duszko - zaczęła cichym szeptem - nie wystarczy cię umrzeć, aby wszystko w tobie umarło... Zobaczysz, życie przyniesie ci jeszcze niejedną niespodziankę!

Katarzyna wołała nie odpowiadać. Zamknęła mocno oczy, aby nie myśleć i zasnąć. W stodole słychać było gardłowe chrapanie Szkotów i ciche, melodyjne pochrapywanie brata Stefana. Do tych odgłosów dołączył miarowy oddech Sary. Cały ten koncert długo nie pozwalał Katarzynie znaleźć ukojenia nieznośnych myśli. Za chwilę dogorywający ogień zgasł i została ze swymi myślami sama w całkowitych ciemnościach.

W odległym kącie stodoły ktoś inny czekał bezskutecznie na sen. Tym kimś był Walter.

Cios toporem

Kiedy nadszedł ranek i zaczęto przygotowania do dalszej drogi, Katarzyna czuła się już znacznie lepiej. Gorączka spadała. Natychmiast postanowiła to wykorzystać i kazała Maclarenowi, okulbaczyć konia. Zaczęła się teraz bać bezpośredniego kontaktu z młodym Szkotem podczas długiej jazdy, lecz ten odparł zniecierpliwiony:

- Skąd wezmę dla ciebie konia, pani? Jedyne wolne dałem twojemu koniuszemu Fortunatowi, aby mógł udać się do Montsalvy. Mnich i Sara też jadą każde na jednym wierzchowcu z moimi ludźmi. A nie mogę zabrać konia jeszcze jednemu i oddać go tobie, abyś mogła harcować, jak ci się podoba. Czyżby nie w smak ci było podróżowanie ze mną?

- Nie, nie... oczywiście, że nie - odpowiedziała trochę zbyt szybko - ...lecz pomyślałam sobie...

Maclaren pochylił się tak, aby nikt nie usłyszał jego słów.

- Boisz się mnie, ponieważ wiesz, że nie jesteś dla mnie tylko pomnikiem odzianym w czarne szaty, który się podziwia z daleka, lecz kobietą z krwi i kości, której się pożąda, nie bojąc się jej o tym powiedzieć!

Piękne usta młodej kobiety wydeły się pogardliwie, lecz policzki spłonęły rumieńcem.

- Nie masz się czym szczycić, panie, że trzymasz mnie w garści, bo jestem słaba i bez obrony! Insynuujesz, że twój dotyk mógłby mnie zmieszać? Jeśli tak, to w drogę! Lecz strzeż się, mój panie, bo w razie potrzeby potrafię ci dać nauczkę, na jaką zasłużysz!

Kapitan wzruszył ramionami, zwinnie wskoczył na konia i uśmiechając się drwiąco, podał Katarzynie dłoń. Kiedy zajęła już miejsce za jego plecami, chciał znowu opasać ją popręgiem, lecz napotkał zdecydowany opór.

- Mam już dosyć sił, aby trzymać się sama. Nie pierwszy to raz jadę konno, mój panie!

Kapitan postanowił nie nalegać i dał znak do odjazdu.

* * *

Przez cały dzień nie zdarzyło się nic ciekawego. Na tym pustkowiu z rzadka można było napotkać jedynie jakichś chłopów, którzy na widok zbrojnych ludzi czmychali ile sił w nogach. Wojna dała im się tak dotkliwie we znaki, niszcząc ich dobytek, dziesiątkując najbliższych i wyciskając morze łez, że już nawet nie chcieli wiedzieć, do czyjego obozu należeli ci, którzy kolejno pojawiali się na horyzoncie. Wróg czy przyjaciel, każdy był tak samo niebezpieczny, tak samo okrutny. Na widok błyszczącej w słońcu lancy zamykali pośpiesznie drzwi i ryglowali okna. Za niemymi murami ich domostw można było odgadnąć wstrzymywane oddechy, bijące serca i spocone ze strachu skronie. Myśląc o tym, Katarzyna nie mogła pozbyć się uczucia pewnego zażenowania.

Koń, który niósł ją i Maclarena, był dzielnym dereszem. Prawdziwy ciężki koń bojowy, stworzony do zmagania i walki, a nie do śmigania wśród

drzew czy dzikich galopad po nagich wyżynach. To była Morgana! Na wspomnienie swej małej klaczy Katarzyna poczuła ścisnięcie serca. Co prawda, wyjeżdżając z Carlat, poleciła Kennedy'emu, żeby nad nią czuwał, ale czy szkocki kapitan nie miał aż nadto innych zajęć?...

Na rozmyślaniach minął Katarzynie cały dzień. Maclaren nie odezwał się do niej ani słowem. Wydawało się już, że porzucił swoje zapaly, lecz wieczorem, kiedy stanęli na odpoczynek w Mauriac, pomagając jej zsiąść z konia, ścisnął ją w pasie mocniej, niżby należało. Zaledwie jednak Katarzyna stanęła na własnych nogach, kapitan wypuścił ją z uścisku i jak gdyby nigdy nic udał się do swoich ludzi, aby zająć się rozlokowaniem ich w kwaterze. Tymczasem Sara przybiegła do Katarzyny i spytała prosto z mostu.

- Jak go znajdujesz?

- A ty?

- Nie wiem... Jest w tym człowieku jakaś niezwykła siła... ale wyczuwam przy nim cień śmierci...

Katarzyna zadrżała.

- Zapominasz, że to ja dzielę z nim jednego konia?

- Nie - odparła Sara powoli. - Nie zapominam, lecz mam przeczucie, że ty sprowadzisz nieszczęście na tego człowieka...

Aby ukryć zmieszanie, Katarzyna oddaliła się bez słowa w stronę kaplicy. W ciemnym korytarzu natknęła się na mnicha, który zbliżał się do niej, oświetlając sobie drogę płonąca pochodnią.

- Czego tutaj szukasz? - spytał zaskoczony. - Kwatery żołnierzy znajdują się w głębi dziedzińca...

- Jesteśmy kobietami - przerwała Katarzyna. - Podróżujemy w przebraniu, aby nas nie rozpoznano.

Mnich zmarszczył rzadkie brwi. Jego twarz o barwie pożółkłego pergaminu wyrażała wielkie niezadowolenie.

- Tak nieskromny strój nie przystoi w domu bożym! Kościół potępia kobiety przywdziewające podobne stroje. Jeśli chcecie tu wejść, nałóżcie skromne szaty, które przystoją białogłowom! Jeśli nie, to oddalcie się z tego świętego miejsca!

Było to po myśli Katarzyny, która źle się czuła w swoim przebraniu. Zerwała z głowy kapelusz z piórami i potrząsnęła złocistymi lokami.

- Pozwól nam wejść! Kiedy tylko znajdziemy ustronne miejsce, przebierzemy się w nasze szaty. Jestem hrabina de Montsalvy i proszę o schronienie na noc!

Twarz mnicha rozchmurzyła się nagle.

- Witaj w naszych skromnych progach, córko! - powiedział, pochylając się w ukłonie. - Chodźcie za mną!

Poprowadził kobiety do jednego z pokojów zarezerwowanych dla co znamienitszych gości. Cztery nagie ściany, proste łóżko z cienkim matercem i kilkoma wysłużonymi kołdrami, taboret i lampka oliwna stanowiły skromne umeblowanie pomieszczenia. Na ścianie wisiał prosty krzyż wyrzeźbiony w kamieniu, a przy kominku piętrzył się stos polan przygotowanych do podpalenia.

Zaledwie za mnichem zamknęły się drzwi, Sara rozpałała ogień, podczas gdy Katarzyna z podejrzanym pośpiechem zrzuciła ubranie pożyczone jej przez Kennedy'ego,

- Widzę, że bardzo ci spieszno! - zauważyła Sara. - Mogłabyś poczekać, aż pokój się nagrzej!

- Nie mogę czekać! Pragnę jak najszybciej stać się znowu sobą! Kiedy odzyskam mój normalny wygląd, nikt nie ośmieli się mnie obrazić!

- Masz rację - podchwyciła Sara. - Ja także nienawidzę tego przebrania. W mojej starej sukni przynajmniej nie wyglądam śmiesznie!

* * *

O świcie obie kobiety wysłuchały mszy w kaplicy, przyjęły błogosławieństwo od najstarszego mnicha, po czym udały się do towarzyszy ucieczki. Kiedy w drzwiach kaplicy pojawiła się czarna dama z Carlat, oświetlona czerwonymi promieniami wschodzącego słońca, Maclaren wzdrygnął się i zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Za to twarz Waltera zabłysła radością. Od dwóch dni Normandczyk trzymał się na uboczu z pochmurną miną, a Katarzyna na próżno nawoływała go, aby się zbliżył. W końcu musiała zrezygnować. Desperacja olbrzymia stawała się zbyt namacalna.

Walter, zgrabnie uprzedziwszy Maclarena, podbiegł do Katarzyny.

- Co za szczęście znowu cię widzieć, pani! - rzucił radośnie, tak jakby stracił ją z oczu na wiele miesięcy.

Po czym dumny jak paw podał jej ramię i oboje ruszyli w kierunku żołnierzy.

Maclaren podparłszy się pod boki, łypał na nich okiem, a kiedy zbliżyli się do niego, obrzucił Katarzynę przenikliwym spojrzeniem od stóp do głów.

- Czy zamierzasz, pani, podróżować konno w tym odzieniu?

- A dlaczego nie? Czy kobiety podróżują inaczej? Zażądałam męskiego stroju, bo wydawał mi się bardziej praktyczny, lecz popełniłam błąd.

- Błędem jest zakładanie tego czarnego woalu! Nie należy chować przed światem tak zachwycającej twarzy!

I niedbale, jakby od niechcienia, uniósł rąbek muślinowej zasłony, kiedy potężna dłoń Waltera chwyciła go w przegubie.

- Puść to, panie, jeśli nie chcesz, żebym zmiążdżył ci ramię!

Maclaren nie zamierzał wypuścić rąbka woalki i zaczął się śmiać.

- Hola, łobuzie! Zaczynasz działać mi na nerwy! Do mnie, żołnierze!

Zanim jednak ludzie kapitana rzucili się na Waltera, brat Stefan, który właśnie wychodził z kaplicy, wbiegł pomiędzy nich, by ich rozdzielić. Jedną ręką chwycił Waltera za nadgarstek, drugą zaś dłoń Maclarena, tę, która trzymała woalkę.

- Puście obaj! W imię Boga... i króla!

W głosie mnicha było tyle przekonującej siły, że obaj mężczyźni, jak na rozkaz, podporządkowali się.

- Dziękuję ci, bracie Stefanie - rzekła Katarzyna, wzdychając z ulgą.

- A teraz ruszajmy w drogę! Już dosyć zmarnowaliśmy czasu! Co do ciebie, panie Maclaren, to mam nadzieję, że w przyszłości będziesz wiedział, jak rycerz ma się zachowywać wobec damy!

Zamiast odpowiedzi, Szkot schylił się i połączył obie ręce w taki sposób, aby Katarzyna mogła postawić na nich stopę. Była to oznaka cichej klęski, a zarazem rycerski gest poddania. Katarzyna uśmiechnęła się triumfalnie, lecz jednocześnie, nie zdając sobie sprawy z własnej kokieterii, ruchem dłoni odrzuciła do tyłu ciemną woalkę. Jej wzrok zagłębił się w jasnoniebieskich oczach młodzieńca, po czym, oparłszy czubek bucika na jego dłoniach, wsiadła na wierzchowca. Następnie cała grupa wskoczyła na koń i wkrótce opuściła Mauriac.

Nikt nie zauważył, że twarz Waltera na nowo posmutniała.

* * *

Daleko było jeszcze do południa, kiedy jeźdźcy dotarli do Jaleyrac. Kiedy stanęli na obrzeżu leśnej gęstwiny, ich oczom ukazała się dolina porośnięta żytem i gryką, a w samym jej środku leżało potężne opactwo ze skromnym miasteczkiem sprawiającym wrażenie niezwykle spokojnego. Być może spowodowały to słabe promienie słońca, w których błyszczał nieskalanie biały śnieg, być może łagodny odgłos dzwonów, ale było w tym widoku coś niezwykłego. W dodatku mieszkańcy nie zabarykadowali się jak w innych osadach, a nawet dało się zauważyć spory ruch na jedynej drodze prowadzącej do przysadzistego klasztoru. Maclaren zatrzymał konia, aby zrównać się z tym, na którym jechał brat Stefan. Siedząc okrakiem za chudym Szkotem, pulchny mnich zdawał się zadowolony ze swojego położenia.

- Co robią ci wszyscy ludzie? - spytał krótko Maclaren.

- Udają się do kościoła - odpowiedział duchowny. - W Jaleyrac czci się prochy świętego Meena*, mnicha przybyłego ongiś w te strony z kraju Gallów, którego bretońskie opactwo zostało obrabowane i spalone przez Normandczyków. Mnisi puciekali na cztery strony świata, a święty Meen zajął się trędowatymi.

**Św. Meen - zmarły w 617 r. bretoński święty.*

To ostatnie słowo uderzyło Katarzynę prosto w serce. Nagle cała pobladła i aby nie upaść, musiała wesprzeć się na ramieniu Maclarena.

- Trędowaci... - wyszeptała słabym głosem, który uwiązał jej w gardle.

Tłum nadciągający drogą miał w sobie coś przerażającego. Były to niewątpliwie istoty ludzkie, lecz trudno było odgadnąć, która z nich jest mężczyzną, a która kobietą. Opierając się na kulach w kształcie litery T lub na laskach, wlekli się po śniegu, ukazując swe poczerńiałe członki lub kikuty rąk czy nóg. Widać było wśród nich twarze przetrawione przez wrzody i strupy. Okrutne człowieczeństwo jakby wydarte prosto z piekieł, które wśród jęków i śpiewania psalmów wyciągało do sanktuarium pożądlive szyje i ręce. Odziani w szare habity mnisi, pochylając w ich stronę ogolone głowy, pomagali im wspinać się po drodze prowadzącej do świątyni.

Z drugiej strony osady nadciągała procesja złożona z mężczyzn ubranych w jednakowe popielate tuniki z naszytym na nich szkarłatnym sercem, z twarzami ukrytymi pod czerwonymi kapturami. Każdy z nich poruszał kołatką, która terkotała ponuro w czystym, zimowym powietrzu. Tłum chorych rozstał się przed nimi z przerażeniem. Nagle te strzępy ludzkich istnień zaczęły uciekać najszybciej, jak tylko mogły, w kierunku klasztoru lub w stronę domów, aby nie zetknąć się z procesją nieczystych, sami będąc nieczyści. Widok ten ożywił zadawniony ból Katarzyny, który stał się znowu tak przeszywający jak pierwszego dnia. Ci nędznicy byli teraz światem jej męża, człowieka, którego nie potrafiła przestać kochać.

Zaniepokojona Sara zauważyła ból przeszywający twarz Katarzyny i łzy spływające po jej bladych policzkach. Cyganka spostrzegła też, że jej pani nie spuszcza oczu z wysokiego zakonnika i nagle zrozumiała dlaczego. Był to bowiem furtian z przytułku dla trędowatych w Calves. Widać przywiódł tu swoich chorych, aby błagać świętego Meena o ich uzdrowienie. Nagle tok jej myśli został przerwany przez coś, na co nieświadomie czekała od dłuższej chwili: rozpaczliwy krzyk Katarzyny.

- Arnoldzie! Arnoldzie! - rozległo się po dolinie.

Człowiek idący blisko brata furtiana, wysoki i szczupły, który z jakąś dziwną lekkością dźwigał na swych szerokich ramionach brzemie nieszczęścia, nie mógł być nikim innym jak Arnoldem de Montsalvym.

Bardziej dzięki swej miłości niż spojrzeniu Katarzyna rozpoznała męża. I zanim skamieniała ze zgrozy Sara zdążyła ją powstrzymać, ześlizgnęła się na ziemię i unosząc w dłoni końce długiej sukni, ruszyła biegiem po śniegu. Walter i brat Stefan rzucili się za nią. Normandczyk dzięki swoim długim nogom wkrótce wyprzedził mnicha, lecz Katarzyny, unoszonej siłą uczucia, nie udało mu się dogonić. Nic nie mogło powstrzymać jej szaleńczego pędu, ani głęboki śnieg, ani wyboista droga. Niemal frunęła w powietrzu, a za nią łopotał na wietrze czarny woal. Kierowała nią tylko jedna uparta myśl: zobaczyć go, pomówić z nim!

Szczyście silne jak górski strumień owładnęło jej duszą.

Radość Katarzyny przeraziła Waltera, gdyż wiedział, że nie może ona trwać długo. Co zobaczą jej oczy, kiedy Arnold odsłoni twarz? Czy przez te miesiące, które spędził w przytułku, nie zmienił się? Czy też ujrzy oblicze zniekształcone przez chorobę? Przyśpieszył biegu i krzyknął:

- Katarzyno! Na Boga! Poczekaj!

Jego silny głos poniósł się tak daleko, że dotarł do pochodu trędowatych. Zakonnik odwrócił się, a wraz z nim jego towarzysze.

To był Arnold! Radość przepelniła nadzieją serce Katarzyny, która już zaczynała tracić oddech. Może stanie się cud? Może Bóg zlituje się nad nią i wysłucha jej modlitw szeptanych w bezsenne noce?... Jeszcze tylko ten jeden wysiłek i ujrzy go!

Wyciągając przed siebie ręce, starała się biec szybciej i szybciej, głucha na nawoływania Waltera, który nie mógł jej dogonić.

Arnold rozpoznał ją również. Katarzyna usłyszała, jak krzyknął:

- Nie, nie! - odpychając ją zawczasu obiema rękami odzianymi w rękawiczki.

Potem szepnął coś zakonnikowi, który natychmiast ruszył na spotkanie młodej kobiety i zagroził jej drogę. Rzuciła się ślepo na niego, lecz napotkała tylko rozpostarte ramiona zagrządzające jej drogę.

- Przepuść mnie! Przepuść! - jęknęła. - To mój mąż... Muszę się z nim zobaczyć!

- Nie, moja córko, nie zbliżaj się! Nie masz do tego prawa... on tego nie chce...

- Kłamiesz! - zawyła. - Arnoldzie! Powiedz, żeby mnie przepuścił!

Kilka kroków od nich nieruchomo stał Montsalvy. Jego wykrzywiona od bólu twarz wyrażała okropne cierpienie.

- Nie, Katarzyno, nie, moja miłości... Odejdź! Nie wolno ci się zbliżyć! Pomyśl o naszym synu.

- Kocham cię - jęknęła zrozpaczona kobieta. - Nie potrafię cię nie kochać! Pozwól mi się zbliżyć.

- Nie mogę! Bóg mi świadkiem, że ja też cię kocham! I że chciałbym wyrwać sobie tę miłość z serca, bo mnie zabija! Jednak musisz odejść!

- Święty Meen czyni cuda!

- Nie wierzę w to!

- Mój synu - wtrącił zakonnik, nie puszczając Katarzyny - nie bluźnij!

- Nie bluźnię, lecz czy ktoś widział w tym miejscu chociaż jedno cudowne ozdrowienie? Nie! Nie ma nadziei! I jeśli zgodziłem się udać do tego miejsca, to uczyniłem to bardziej ze względu na towarzyszy niedoli niż na siebie!

Mówiąc te słowa, odwrócił się i ciężkim krokiem odszedł w ich kierunku.

Katarzyna zaszlochała.

- Arnoldzie! Nie odchodź! Posłuchaj...

On jednak nie słuchał. Podpierając się długim kosturem wędrownym, szedł przed siebie, nie oglądając się do tyłu. Tymczasem Walter dogonił Katarzynę, delikatnie odsunął ją od zakonnika i przycisnął jej ciało wstrząsane rozpaczliwym szlochem do swej piersi.

- Odejdź, bracie, odejdź szybko!... I powiedz panu Arnoldowi, żeby się nie smucił.

Zakonnik ruszył przed siebie, a tymczasem dołączyli, ledwo dysząc, Sara i brat Stefan. Za nimi nadciągnęli Szkoci na koniach. Ostatnim wysiłkiem Katarzyna wyrwała się z uścisku Waltera, lecz łzy zalewające jej twarz przesłoniły wszystko i zobaczyła tylko dwa oddalające się punkciki, szary i czerwony. Normandczyk bez trudu przyciągnął ją do siebie.

Scenę tę przerwał zimny głos Maclarena.

- Podsadź ją na mojego konia i ruszajmy! Nie traćmy czasu!

Walter jednak, spojrzawszy na Szkota z nienawiścią, podniósł Katarzynę i posadził ją na własnym koniu, którego jeden z ludzi Maclarena trzymał za uzdę.

- Za pozwoleniem, teraz ja zajmę się panią de Montsalvy, czy ci się to podoba, czy nie! Nawet gdyby mój koń miał paść! Ty nic nie rozumiesz, panie, nie pojmujesz jej bolesti!

Maclaren chwycił za szpadę, wyciągnął ją do połowy i rzucił wściekle:

- Milcz, chamie! Powinienem ci odciąć ten plugawy język!

- Na twoim miejscu, panie, nie próbowałbym tego! - odpalił Normandczyk z groźną miną, kładąc dłoń na trzonku topora zatkniętego u pasa.

Maclaren nie odpowiedział, lecz spiąwszy nerwowo wierzchowca, ruszył przed siebie.

* * *

Wieczorem stanęli w małej oberży w dolinie Dordonii. Katarzyna zdawała się niczego nie widzieć przez spuchnięte powieki. Ogarnęło ją zupełne zobojętnienie. Nie czuła nic oprócz czarnej rozpacz, takiej samej jak tego dnia, kiedy Arnold został wyrwany ze świata żywych. To nieoczekiwane spotkanie było dla jej udręczonego serca znakiem Boga, odpowiedzią na jej nieustanne prośby, było znakiem nadziei. Przekreślone zostały dni naznaczone cierpieniem, a jej zranione serce, które, być może, zaczynało się goić, teraz krwawiło silniej niż przedtem.

Przez cały dzień, wtulona w pierś Waltera jak chore dziecko, poddawała się miarowemu kołysaniu konia, nawet nie otwierając oczu. Potem zaniecono ją po krzywych schodach do małej klitki, w której stało zwykłe drewniane łóżko. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Sara ułożyła ją w pośłaniu jak małe dziecko. Katarzyna zwinęła się w kłębek. Stać się jak najmniejszą... schować się przed wrogim, okrutnym światem... zniknąć...

Przyływ energii, który wyrwał ją z jej wegetacji, wyczerpał się. Miała dosyć walki, dosyć życia... Michał nie potrzebował jej tak bardzo; miał babcię, a brat Stefan z pomocą królowej Jolanty wyprosi u króla łaskę dla Montsalvyh... Nie może dłużej żyć z tą pustką, którą zostawił w jej sercu i życiu Arnold, nie może dłużej żyć z tą raną, która dzisiaj jeszcze bardziej się zaogniła...

Z trudem podniosła powieki. W pokoju było niemal tak cicho i ciemno jak w grobowcu. W skąpym świetle rzucanym przez prawie już wygasłe węgielki zobaczyła swe szaty, na których położyła sztylet Arnolda... Wystarczy jeden ruch i wszystko się skończy...

Spróbowała się podnieść i wyciągnąć rękę, lecz na próżno. Wstrząsana zimnymi dreszczami, ciężko opadła na posłanie... Gdzieś w pobliżu słyhać było czyjeś głosy. Była to pora wieczery, ludzie musieli siadać do stołów. Jednak te odgłosy, te wszystkie oznaki życia były jej tak obce, jakby została zamurowana w środku jakiejś wielkiej góry.

Zamknęła oczy i westchnęła boleśnie...

Hałasy dochodzące z dołu zagłuszyły ciche skrzypienie drzwi. W stronę posłania prześlizgnęła się wysoka postać. Nieznajomy oparł jedno kolano na łóżku i położył rękę na ramieniu Katarzyny. Pod jej dotknięciem dziewczyna zadrżała. Z trudem otworzyła powieki i ujrzała pochyloną nad sobą twarz Maclarena. Ale nie zdziwiło jej to wcale. Była w stanie całkowitego zobojętnienia i nic już nie mogło jej zaskoczyć.

- Nie spałaś, pani... Cierpisz i niepotrzebnie torturujesz swe serce...

W głosie kapitana brzmiała ukryta złość. Katarzyna wyczuła jego zdenerwowanie, lecz nie starała się wcale poznać jego przyczyny.

- Jakie znaczenie może to mieć dla ciebie, panie?

- Jakie znaczenie? Otóż od wielu miesięcy przypatruję ci się, pani, z bardzo daleka! Nigdy nie zwróciłaś najmniejszej uwagi na żadnego z nas, no, może z wyjątkiem pana Kennedy'ego, ponieważ go potrzebowałaś! Wszyscy wiemy, że wiele wycierpiałaś, lecz w naszych północnych krajach nie wylewa się długo próżnych łez. U nas życie jest zbyt ciężkie, by marnować je na łzy i westchnienia!

- Po co te słowa? Powiedz jasno, o co ci chodzi. Jestem taka zmęczona...

- Zmęczona? A któż w dzisiejszych czasach nie jest zmęczony? Czy sądzisz, że tylko ty cierpisz na tym padole łez? Czy tylko ty to potrafisz; schować się w ciemnym kącie jak zaszczute zwierzę i wylewać łzy bez opamiętania?

Zapomnieć, kim jesteś, zapomnieć, że jesteś kobietą z krwi i kości!

Jego twardy, pogardliwy, a zarazem ciepły głos przeszywał bolesną, lecz bezpieczną zasłonę, za którą była schowana. W gruncie rzeczy czuła niejasno, że miał rację.

- U nas - mówił dalej - również umierają mężczyźni, powolną lub nagłą śmiercią, ich żony cierpią podobnie, sercem i ciałem, lecz żadna z nich nie ma czasu uzalać się nad sobą. Życie jest codzienną walką, a łzy i westchnienia to zbytek.

Katarzyna z trudem usiadła na posianiu, przyciskając do piersi kołdrę.

- No i co z tego? Do czego zmierzasz, panie? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Maclaren uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem, widząc w końcu jakąś reakcję.

- Właśnie do tego zmierzam!... I jeszcze do tego...

W tej samej chwili chwycił ją w ramiona, zanim zdążyła się zorientować w jego zamiarach. Położył dłoń na jej włosach, delikatnie odchylił jej głowę do tyłu i wpił się w jej usta. Próbowwała go odepchnąć, lecz na próżno. Usta Maclarena były ciepłe i miękkie, a uścisk jego ramion wzbudził w niej poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce, mimo woli, poczuła dziwną przyjemność, taką jak wtedy, kiedy ją leczył. Przestała myśleć i

poddała się swemu kobiecemu instynktowi, staremu jak świat, który nakazywał jej znaleźć przyjemność w bliskości mężczyzny. Jedni upijają się, ażeby zapomnieć, lecz pieszczoty i miłość także upajają, a Katarzyna doświadczała właśnie takiego rodzaju upojenia.

Kładąc Katarzynę na poduszkach, kapitan podniósł na chwilę głowę i utkwiał w kobiecie płonące i dumne spojrzenie.

- Pozwól mi się kochać! Przy mnie zapomnisz o smutku i łzach!
Dam ci tyle miłości, że...

Katarzyna nie pozwoliła mu skończyć, gdyż ogarnięta jakąś dziwną gorączką przywarła ustami do ust Maclarena, przyciągając go do siebie. Nagle stał się jedyną rzeczywistością w jej koszmarnym świecie, ciepłą rzeczywistością, której pragnęła się uczepić ze wszystkich sił. Spleceni opadli na posianie, nie troszcząc się o cały świat w oczekiwaniu nadchodzącej rozkoszy. Katarzyna pragnęła całkowitego unicestwienia, poddania się woli silniejszego. Zamknęła oczy...

Jednak to, co nastąpiło po chwili, znowu sprowadziło ją brutalnie w jej koszmarny świat, z którego na krótką chwilę wyrwał ją Maclaren. Usłyszała jego straszny krzyk, który odbił się bolesnym echem w jej głosie, potem obejmujące ją ciało mężczyzny wyprężyło się w konwulsjach, oczy wyszły mu z orbit, a z ust buchnęła krew.

Katarzyna z okrzykiem zgrozy uniosła się na posłaniu, instynktownie naciągając na siebie całą pościel. Wtedy zobaczyła stojącego obok posłania Waltera, którego oczy wyglądały jak oczy szaleńca. Jego ręce zwisały nieruchomo wzdłuż tułowia. W plecach Maclarena tkwił topór.

Przez chwilę Katarzyna i Walter przyglądali się sobie w milczeniu, jakby widzieli się po raz pierwszy. Przerazenie sparaliżowało Katarzynę. Twarz olbrzyma, wyrażająca bezlitosne okrucieństwo, zmieniona była nie

do poznania. Nie panował nad sobą i Katarzyna widząc, że podnosi swe olbrzymie pięści, myślała, że i ją zabije, lecz nie uczyniła nic, aby się bronić, gdyż była do tego zupełnie niezdolna. Jej mózg pracował, lecz ciało było całkiem bezwładne.

Czuła się jak w koszmarnym śnie, w którym chce się uciekać przed niebezpieczeństwem, a nie można oderwać stóp od ziemi, chce się krzyczeć, lecz żaden krzyk nie wychodzi z gardła...

Ręce Waltera opadły jednak bezwładnie i tajemne siły, które nie pozwoliły Katarzynie się ruszyć, zniknęły. Odwróciła głowę i spojrzała na trupa Maclarena z pewną dozą zdziwienia i obawy. Jakież to łatwe i szybkie, śmierć... Zdążył ledwie krzyknąć, a w chwilę potem leży już bez czucia... mężczyzna, w którego ramionach omdlewała jeszcze parę chwil temu, nagle przestał istnieć! Powiedział: „Przy mnie zapomnisz”, lecz nawet nie miał czasu, aby podporządkować ją swojej woli! Z trudem przełknęła ślinę, po czym słabym głosem zapytała:

- Dlaczego...?

- Ośmielasz się pytać? - przerwał brutalnie Walter. - Czy to wszystko, co pozostało z twojej miłości do pana Arnolda? Jak możesz brać kochanka w dniu, w którym spotkałaś męża? I pomyśleć, że tak wysoko cię oceniałem. Wyżej niż jakąkolwiek kobietę! A tymczasem cóż usłyszałem przed chwilą? Że mruczysz jak kotka w ramionach obcego mężczyzny!

Nagły przyływ gniewu przepędził resztki jej strachu. Ten człowiek był mordercą, a sam stawał przed nią jak sędzia.

- Jakim prawem ośmielasz się mieszać do mojego życia? Czy dałam ci takie prawo?

Uczył jeden krok w jej stronę, rzucając złe spojrzenie i zaciskając pięści.

- Zostałaś oddana pod moją opiekę i do ostatniej kropli krwi, ostatniego tchnienia będę cię bronił. Ja sam zabiłem w sobie miłość do ciebie i nieokiełznane pożądanie, jakie we mnie wzbudzałaś, gdyż miłość twoja i pana Arnolda wydawała mi się zbyt czysta, zbyt piękna. Musiałem wszystko poświęcić, aby osłonić tak wielkie uczucie!

- I co mi teraz zostało z tej miłości? - krzyknęła Katarzyna, nie panując nad sobą. - Jestem sama, na zawsze sama, nie mam męża, nie mam miłości... Nie dalej jak wczoraj Arnold odepchnął mnie!

- Zrobił to, umierając z żalu, że nie może wziąć cię w ramiona! Kocha cię tak mocno, że nie mógł dopuścić do tego, abyś i ty gniła za życia podobnie jak on! A ty, nędzna kobieto, zauważyłaś tylko to, że cię odepchnął! I co uczyniłaś? Rzuciłaś się w ramiona pierwszego lepszego? Dlatego, że idzie wiosna i poczułaś zew natury jak jakieś zwierzę? Jeśli potrzebny był ci mężczyzna, nic więcej, to dlaczego wybrałaś tego obcokrajowca o zimnych jak lód oczach, dlaczego nie mnie?

Przy tych słowach walił się potężną pięścią w piersi, że aż dudniło, a jego głos grzmiał jak uderzenie pioruna. Katarzyna w głębi duszy przyznawała mu rację. Teraz, kiedy chwila zapomnienia minęła, nie potrafiła zrozumieć, jaka siła pchnęła ją w ramiona Maclarena. Było jej wstyd jak nigdy dotąd. Pomimo palącego wstydu spojrzała na Waltera, w którego oczach zapaliły się niespokojne ogniki. Czowała, że w jednej chwili, nie troszcząc się o ciało zabitego, olbrzym rzuci się na nią. Po tym, co tutaj zobaczył, nic nie zdoła go powstrzymać! W pytaniu „dlaczego nie ja?” wyrażały się cała jego złość, jego urażona ambicja, niespełniona miłość i

pogarda. Czują, że przestała być dla tego olbrzyma świętością, a stała się tylko zbyt długo pożądaną kobietą.

Powstrzymując drżenie spowodowane palącym spojrzeniem Waltera, rzuciła, starając się zachować spokój:

- Odejdź! Nie chcę cię więcej widzieć!

Walter roześmiał się, ukazując dwa rzędy lśniących zębów.

- Przepędzasz mnie, pani? Ależ oczywiście, to twoje prawo! Ale przedtem...

Katarzyna odsunęła się pod ścianę, aby odeprzeć nadchodzący atak, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi i na progu ukazała się Sara. Szybkim spojrzeniem ogarnęła całą scenę, Katarzynę, która przywarła do ściany, Waltera prężącego się do skoku i trupa Maclarena leżącego na posłaniu w kałuży krwi.

- Na rany Chrystusa! Co tu się stało?

Katarzyna odetchnęła z ulgą. Potężna postać Cyganki rozwiąła napięcie, jakie zapanowało w tych murach. Demony zła zniknęły, zostawiając miejsce zimnej rzeczywistości... Spokojnym głosem, nie starając się niczego zataić, Katarzyna opowiedziała, w jaki sposób Walter zabił Maclarena. W tym czasie Normandczyk, którego gniew już minął, opadł na brzeg posłania, odwracając się tyłem do swej ofiary. Schował głowę w potężnych dłoniach i zdawał się nie interesować tym, co teraz z nim robią. Wydawało się, że oboje, on i Katarzyna, nieświadomie pragną zdać się na decyzje Sary.

- Co za jatka! - burknęła Cyganka po wysłuchaniu opowieści Katarzyny. - Ciekawe, jak teraz z tego wybrniemy? Co powiedzą Szkoci, kiedy odkryją śmierć swego komendanta?

W tej samej chwili, jakby na zawołanie, dały się słyszeć dochodzące z dołu nawoływania kompanów Maclarena.

- Maclaren, czekamy na ciebie! Mają tu niezłe wino! Zejdź do nas!

- Przyjdą tu po niego - wyszeptała Sara. - Musimy ukryć ciało. Nie mogą dowiedzieć się prawdy, inaczej poleje się krew!

Walter nadal siedział nieruchomo, lecz Katarzyna zrozumiała doskonale, co Cyganka ma na myśli. Szkoci zażądają głowy Waltera. Uznają tylko prawo odwetu: oko za oko, ząb za ząb! Dowódca zabity, morderca musi zapłacić głową! Katarzyna poczuła, że nie mogłaby tego znieść. W końcu, co ją obchodził Maclaren? Przecież go nie kochała. Cóż mogło znaczyć jej chwilowe zaślepienie? Ale żeby Walter miał zginąć z rąk Szkotów, do tego nie mogła dopuścić! Nagły impuls pchnął ją do stóp Normandczyka i kazał jej ucześcić się jego rąk.

- Uciekaj! Zaklinam cię! Uciekaj, zanim odkryją trupa!

- Nic mnie nie obchodzi, czy odkryją, że jestem mordercą! Po prostu zabijają mnie. No i co z tego?

- Nie chcę, abyś umierał! - błagała Katarzyna.

- Wypędziłaś mnie, pani... Śmierć uwolni cię ode mnie na zawsze!

- Nie wiedziałam, co mówię! Byłam zaślepiona! Obraziłeś mnie, dotknąłeś do żywego... lecz miałeś rację! Teraz ja proszę cię o przebaczenie!

- Dostyc tego! - przerwała Sara. - Posłuchajcie lepiej odgłosów dochodzących z dołu.

W istocie, Szkoci domagali się swego komendanta coraz natarczywiej, waląc w stoły łyżkami i miskami. Dał się też słyszeć łoskot przewracanej ławy, po czym nagle na schodach usłyszano kroki zbliżające się do pokoju Katarzyny. Katarzyna potrząsnęła ramieniem Waltera.

- Miej dla mnie litość, jeśli kiedyś wzbudziłam w tobie choć źdźbło uczucia, uciekaj, ratuj się!

- Dokąd mam uciec? Czy tam, gdzie już nigdy cię nie zobaczę?

- Wróć do Montsalvy, do Michała, i czekaj, aż przyjadę! Pośpiesz się! Zmykaj, a chyżo!

Tymczasem Sara już otwierała okienko wychodzące na dach. Do pokoju wpadło ostre, zimowe powietrze... Kroki na schodach zbliżały się i słychać było pijane głosy.

- Pomówię z nimi, by zyskać na czasie. Konie są w stajni. Jeśli uda się nam zyskać dwie do trzech godzin, będziesz uratowany!

I zwinnie wymknęła się przez uchylone drzwi. W samą porę, gdyż w tej chwili błysnęło za nimi światło świecy i dał się słyszeć gromki głos.

- Co to za hałasy? - zapytała ostro Sara. - Czy nie wiecie, że pani Katarzyna jest cierpiąca? Właśnie z trudem zasnęła, a wy przychodzicie wydzierać się pod jej drzwiami! Czego chcecie?

- Wybacz, pani - odparł zbity z tropu Szkot. - Szukamy naszego kapitana.

- I przychodzicie tutaj? Co za pomysł!

- Tutaj... - bełkotał żołnierz, zapomniawszy języka w gębie - bo nasz kapitan powiedział, że wybiera się z wizytą do nadobnej pani... ażeby zobaczyć, jak się czuje...

- No to wiedz, że tu go nie znajdziesz! Szukajcie gdzie indziej!... Widziałam go przed chwilą, jak zmierzał do owczarni za jedną dziewczką!

Katarzyna słuchała tej wymiany zdań z bijącym sercem. Jej dłoń zacisnęła się odruchowo na dłoni Waltera. Czowała, jak drży. Wiedziała jednak, że to nie ze strachu.

Zza drzwi słyhać było oddalające się kroki i hałaśliwe rozmowy. Sara postanowiła towarzyszyć żołnierzom, chcąc mieć pewność, że będą prowadzić poszukiwania we wskazanym miejscu, tak aby Walter mógł niepostrzeżenie umknąć przez okienko.

- Odeszli! - westchnęła z ulgą Katarzyna. - Teraz możesz uciekać!

Tym razem Walter usłuchał, przełożył przez okno jedną nogę, lecz zanim zniknął zupełnie, odwrócił się i spojrział na Katarzynę pytającym wzrokiem.

- Na pewno cię ujrzę? Przysięgasz?

- Jeżeli będziemy żyli, przysięgam! A teraz zmykaj! - I przebacysz mi?

- Jeśli w tej chwili nie znikniesz z mych oczu, nie przebaczę ci do końca życia!

Nieśmiały uśmiech zakwitł na ustach Waltera, który ze zwinnością kota, zadziwiająco u takiego olbrzyma, prześlizgnął się przez wąskie okienko, zsunął po dachu na ziemię i chwilę potem jego potężna sylwetka na koniu już tylko majaczyła w oddali. Na szczęście głęboki śnieg zagłuszył odgłosy ucieczki.

Katarzyna zamknęła okienko i drżąc z zimna, zabrała się do podsycania ognia. Jej zmęczenie i przygnębienie zniknęły, a obecność nieruchomego ciała rozciągniętego na łóżku nie napępiała jej serca strachem. Umysł miała niezwykle jasny i spokojnie zaczęła się zastanawiać, co należało teraz zrobić. Najpierw usunąć trupa z pokoju. Nie może tutaj zostać. Z pomocą Sary wyniosą go przez okno i porzucą w pobliżu oberży, na przykład nad brzegiem wody. Szkoci znajdą go najwcześniej nad ranem, co da Walterowi całą noc przewagi nad pościgiem, gdyż nie należało mieć złudzeń: Szkoci ruszą w pościg za

mordercą ich komendanta... Śmiertelna rana zadana toporem zbyt jasno dowodziła, kto zadał śmiertelny cios.

Sara zastała Katarzynę ubraną.

- No i... - rzuciła niecierpliwie, odwracając głowę w stronę Cyganki.

- Udało mi się ich przekonać, że Maclaren umizga się w owczarni do jednej z dziewczek służebnych. Wrócili do stołów. A my? Co teraz zrobimy?

Katarzyna przedstawiła swój naprędce obmyślony plan. Sara słuchała, otwierając usta ze zdziwienia.

- Sądzisz, że takie wielkie ciało zmieści się w wąskim okienku? To się nam nie uda!

- Musi się udać! Wystarczy chcieć! A teraz idź poszukać brata Stefana. Musimy go o wszystkim uprzedzić. Będzie nam potrzebny.

Sara zaniechała wszelkiej dyskusji. Kiedy Katarzyna mówiła w taki sposób, wiedziała, że jej opór na nic się nie zda. Posłusznie wyszła z pokoju i po chwili wróciła z mnichem, któremu po drodze opowiedziała całą historię. Brat Stefan, który w swym życiu widział niejedno, nie okazał zdziwienia i nie tracąc czasu, zabrał się do realizacji planu Katarzyny. Pośpiesznie zmówił kilka pacierzy nad zabitym, po czym, zakasawszy rękawy, powiedział:

- Ja wyjdę na dach, a wy podacie mi ciało. Potem opuszczę je na dół.

- Ale on jest duży i ciężki pomimo swej chudości - zaniepokoiła się Sara.

- Mam więcej siły, niż możesz sądzić, moja córko! Dosyć tej gadaniny! A teraz do dzieła!

Najpierw pomógł obu kobietom przenieść ciało w pobliże okienka, po czym sam prześlizgnął się na zewnątrz. Noc była spokojna, lecz mróz ścisnął tęgi. Z dołu nie dochodziły żadne odgłosy; widocznie wino

uderzyło Szkotom do głów i wszyscy się pospali. Ciało nieszczęsnego Maclarena było już sztywne i Katarzyna z Sarą dokonywały nadludzkich wysiłków, aby precyzyjnie je przez okno. Pomimo mrozu obydwie były zlane potem, a ich serca waliły ze strachu. Gdyby ktoś ich zobaczył, sam Pan Bóg wie, co by się stało! Rozwścieczeni Szkoci powiesiliby ich na najbliższym drzewie, bez żadnego sądu... Ale wokół zalegała głęboka cisza i nie widać było żywego ducha.

Brat Stefan chwycił ciało i zsunął je na brzeg dachu.

- Niechaj jedna z was przyjdzie do mnie i przytrzyma trupa, podczas gdy ja będę schodził na dół - syknął.

Katarzyna bez wahania wsunęła się w wąski otwór i ostrożnie zeszła w stronę mnicha. Przytrzymała ciało, aby duchowny mógł dosięgnąć ziemi.

- Gotowe! Opuszczaj go teraz powoli! Powoli!... Dobrze, trzymam go! Możesz wrócić do pokoju, ja zajmę się resztą.

- A którądy wrócisz?

- Zwyczajnie, przez drzwi. Mój habit nie wzbudzi niczyjego podejrzenia.

Katarzyna powoli ruszyła z powrotem, podciągając się na rękach. W końcu chwyciły ją silne ręce Sary i wciągnęły do środka. W pokoju było prawie tak zimno jak na dworze. Cyganka zaprowadziła Katarzynę do łóżka, posadziła ją na brzegu i przyłożyła do jej wilgotnego czoła drżącą dłoń.

- Poszukam czegoś na rozpalkę i przyniosę ci trochę zupy - powiedziała, zapalając świecę i przyglądając się z obrzydzeniem zakrwawionej pościeli. - Trzeba ją spalić... A oberżycie cichcem zapłacą się za straty.

Katarzyna milczała. Jej myśli były teraz przy pędzącym w ciemnościach nocy Walterze, a serce wypełniał niepokój. Jak sobie da radę bez jego silnego ramienia? Dlaczego traci kolejno tych, których kocha? Znowu jest sama z wierną Sarą. Jednak to, co się stało, stało się wyłącznie z jej winy. Gdyby przepędziła Maclarena, kiedy pochylał się nad nią, wszystko to by się nie wydarzyło. Młody Szkot żyłby, a Walter nie musiałby uciekać.

Kiedy Sara powróciła z naręczem polan i miską zupy, wydała się Katarzynie bardzo zadowolona.

- Na dole pijanice leżą pokotem, jedni na stołach, inni na ławach. Przed Walterem cała noc. Na razie wszystko idzie pomyślnie.

- Łatwo ci mówić! Powiedz raczej, że wszystko idzie na tyle dobrze, na ile w ogóle cokolwiek może dobrze iść w podobnym nieszczęściu!

* * *

Dalszy ciąg wypadków przebiegał dokładnie tak, jak przewidziały Sara z Katarzyną. O świcie jeden ze Szkotów odkrył ciało Maclarena leżące w śniegu w pobliżu owczarni. Natychmiast pobudził śpiących kamratów i jeden z nich, najstarszy wiekiem, niejaki Alan Scott, objął nad resztą dowództwo i powiadomił troje wędrowców o woli żołnierzy.

- Przykro mi - rzekł zwracając się do Katarzyny - ale musimy pomścić śmierć naszego komendanta!

- Na kim, na czym? Jaką możecie mieć pewność, że zabójcą jest...

- ...twój koniuszy, pani? Co do tego nie ma żadnej wątpliwości! Cios został zadany toporem!

- Tutejsi ludzie także posługują się toporami - odparła nerwowo Katarzyna. - Sara powiedziała wam, że widziała Maclarena zmierzającego z dziewczką służebną w stronę owczarni!

- A kim była owa dziewczka? Nie, pani, to próżna rozmowa i na nic się nie zda! Jesteśmy gotowi rzucić się w pościg za tym człowiekiem! Ślady na śniegu są wyraźne, a zresztą, gdyby był niewinny, toby nie uciekał!

- A czy dalibyście mu szansę obrony?

- Z całą pewnością nie! Dlatego słusznie zrobił, że uciekł, a naszym obowiązkiem jest go dopaść. Ruszajcie więc sami w dalszą drogę!

- Czy to tak spełniacie rozkazy kapitana Kennedy'ego? - nie dawała za wygraną Katarzyna.

- Gdy się dowie, co się stało, przyzna nam rację! A poza tym, wydaje się, że ty, pani... nie przynosisz szczęścia... Moi ludzie nie chcą więcej ci służyć...

Katarzyna zamilkła, pojmując, że dalsza dyskusja na nic się nie zda. Drżała tylko na myśl, że przyjdzie jej samej lub prawie samej przebyć dalszą drogę. Starła się ukryć swój strach, odpowiedziała więc twardo:

- Zgoda! Możecie ruszać! Nie będę was zatrzymywać!

- Chwileczkę! - odparł Alan Scott. - Będę potrzebować twego mnicha. Połowa mych ludzi ruszy natychmiast, reszta zostanie tu ze mną, aby zająć się panem Maclarenem. Potrzebuje modłów, a w okolicy nie ma żadnego duchownego.

To, że chciał pochować swego kapitana po chrześcijańsku, było normalne i Katarzyna nie starała się temu sprzeciwić. Grób zostanie szybko wykopany, potem tylko krótka msza żałobna. To nie potrwa długo. Niedaleko, nad brzegiem rzeki, stała kapliczka, a wokół niej rozproszonych było kilka krzyży.

- Wasz zamiar jest godny - powiedziała. - Poczekamy, aż dokonacie pochówku.

- To może potrwać dłużej, niż myślisz, pani.

W istocie, uroczystości trwały nieskończenie długo. Był to najdłuższy dzień w jej życiu. W pewnej chwili Scott oddalił się w kierunku osady. Pomyślała, że udał się na poszukiwanie stolarza, aby obstałować trumnę, lecz jakież było jej zdziwienie, kiedy po pewnym czasie zobaczyła, jak - wspomagany przez czterech swych ludzi - ciągnie wielką kadź na ser. Wkrótce kadź została zaciągnięta nad brzeg rzeki, podparta kamieniami i napelniona do połowy wodą. Potem zaczęto gromadzić wielkie ilości drewna. Zaciekawieni chłopcy przyglądali się tym przygotowaniom z bezpiecznej odległości.

- Co to wszystko znaczy? - spytała Katarzyna mnicha. - Czy przed pogrzebem mają zamiar przygotować coś do zjedzenia?

Ale brat Stefan pokręcił przecząco głową. Sprawiał wrażenie, że wie, co się święci.

- To znaczy, moje drogie dziecko, że Scott nie ma zamiaru pozostawić kości swego kapitana w ziemi owerniackiej.

- Ciągle nie pojmuję...

- Ależ to proste! Otóż do kotła włożą ciało kapitana i będą gotować je tak długo, aż można będzie wyjąć kości, które Alan Scott z łatwością zawiezie w skrzyni do swego kraju. Ciało zostanie pochowane tutaj po chrześcijańsku.

Obie kobiety pobladyły jednocześnie.

- Ależ to ohydne! Czy ci barbarzyńcy nie znają innych sposobów? Mniej okrutnych? Dlaczego nie spalą ciała?

- Ta praktyka jest dowodem wielkiego szacunku dla nieboszczyka - wyjaśniał spokojnie brat Stefan. - Stosuje się ją wtedy, kiedy zabalsamowanie ciała jest niemożliwe lub zmarłego trzeba daleko przewieźć. I musisz wiedzieć, moje dziecko, że nie jest to zwyczaj

wyłącznie szkocki. Wielki konetabl Du Guesclin został podobnie potraktowany, kiedy mu się zmarło pod Chateauneuf-de-Randon. Biedaka zabalsamowano, lecz kiedy pochód dotarł do Puy, spostrzeżono, że zabalsamowanie było niewystarczające. Wówczas postanowiono go ugotować, tak jak to teraz uczyni Alan Scott z wszelkimi honorami dla nieżyjącego dowódcy... ale radzę ci, byś odeszła z tego miejsca.

Tymczasem spod kotła buchnęły pierwsze płomienie, a dwóch ludzi niosło wśród uroczystej ciszy nieboszczyka ułożonego na noszach skleconych z gałęzi. Przerazona tym, co miało nastąpić, Katarzyna chwyciła Sarę za rękę i pociągnęła za sobą w kierunku oberży, brat Stefan zaś ruszył spokojnie w stronę kotła. Jego obowiązkiem było odprawiać modły przez cały czas trwania uroczystości.

Gotowanie trupa trwało cały dzień. Przez cały ten czas brat Stefan modlił się za duszę zmarłego, klęcząc w śniegu nad brzegiem Dordogne. Przestraszeni chłopci pouciekali do swych domostw, błagając niebiosy, aby uchroniły ich przed gniewem tych dzikich ludzi. Oberżystka nie ośmieliła się wyjść za próg, pomimo że Katarzyna powtórzyła jej to, co usłyszała od mnicha. Z dala dobiegały tylko uderzenia młotka, którym stolarz zbijał skrzynię na kości kapitana. Sara klepała zdrowaśki, Katarzyna jednak nie potrafiła się modlić, gdyż rozgrywająca się scena była gorsza niż koszmarny sen.

Uroczystość dobiegła końca dopiero z zapadnięciem zmroku. W świetle pochodni resztki ludzkiej powłoki Maclarena zostały pogrzebane w pobliżu kapliczki... Gdyby nie obecność mnicha, okoliczni chłopcy nigdy nie dopuściliby do tego barbarzyńskiego rytuału, a Alan Scott miałby przeciw sobie ich widły i topory.

Kiedy rzucona została ostatnia gruda ziemi na to coś, co nie znalazłoby nazwy w żadnym języku, a co jeszcze niedawno było młodym, pięknym mężczyzną, szkoccy rycerze wśród złowieszczej ciszy wskoczyli na koń i bez słowa ruszyli w drogę. Do siodła Alana Scotta przytroczona była skrzynia z ociosanego drewna.

Rozdział czwarty

Wędrowiec

Czasy wielkiej świetności oberży „Pod Czarnym Saracenenem”, czasy, w których cała kraina płynęła mlekiem i miodem, dawno przeminęły. Kiedy w okolicy odbywały się huczne jarmarki, stawali u „Saracena” liczni kupcy udający się do Limoges, słynącego ze sztuki emalierskiej. Inni przybywali po owczą wełnę, jeszcze inni po dywany i gobeliny. Wtedy kociołki w kuchni bulgotały przez cały dzień, a różna nie przestawały się obracać, drażniąc nozdrza zmęczonych wędrowców zapachem soczystych mięs. Od świtu do późnej nocy słychać było w oberży śmiechy i krzyki pijących, które mieszały się z tupotem nóg ślicznych oberżystek. Kiedy jednak po całym dniu wędrówki po dzikiej i opustoszałej okolicy Millevaches Katarzyna, Sara i brat Stefan stanęli u progu „Saracena”, jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, było skrzypienie starego szyldu kołyszącego się na wietrze. Dawno przebrzmiały trąbki strażników i osada zamknęła się na noc w ciemnym labiryncie wąskich uliczek, jak skąpiec

chroniący swój skarb. Nieliczni o tej porze przechodnie przyśpieszali kroku na widok trójki nieznajomych. Odgłos końskich kopyt zwabił na próg oberży „Pod Czarnym Saraceniem” człowieka w białym fartuchu, którego wielki brzuch nie pasował do żylastych nóg i żółtawej cery, a obwisłe policzki zdradzały, że schudł zbyt szybko. Jego wymowne westchnienie na widok podróżnych nie świadczyło zbyt dobrze o stanie spiżarni. Grzecznie Zdjąwszy nakrycie głowy, mężczyzna ruszył w kierunku przybyłych, którzy zsiadali z koni.

- Szlachetne panie - powiedział uprzejmie - i ty, przewielebny ojciec, czym „Czarny Saraceniem” może wam służyć?

- Strawą i posłaniem, mój synu - odpowiedział brat Stefan pogodnie.
- Przebyliśmy szmat drogi. Nasze konie są zdrożone... i my również. Czy znajdziemy u ciebie gościnę? Mamy czym zapłacić.

- Niestety, wielbny ojciec, nawet gdybyś mi ofiarował cały worek złota, nie znajdziesz u mnie nic oprócz zupy ziołowej i trochę czarnego chleba. „Czarny Saraceniem” nie jest już tym, czym był ongiś i nie zobaczycie tu teraz niczego z jego dawnej świetności.

W tej chwili do uszu zgromadzonych przed oberżą dotarł tętent końskich kopyt.

- Boże, uchwaj przed jeszcze jednym klientem! - westchnął oberżysta.

Na nieszczęście dla imię Amabla do oberży zbliżał się kolejny strudzony wędrowiec, o czym świadczył jego zakurzony płaszcz i powalane błotem nogi wierzchowca. Katarzyna, minąwszy oberżystę, weszła do środka zajazdu, aby się ogrzać. Usłyszała głos pytający o gościnę i o miejsce dla konia. Spojrzała na przybysza, starając się

rozpoznać jego twarz pod szerokim rondem kapelusza, lecz oberżysta roz-
wiał jej niepewność, mówiąc:

- Niestety! Mistrzu Coeurze*, wiesz doskonale, że czy biedny, czy bogaty, czy pełny, czy pusty, mój dom jest dla ciebie zawsze otwarty! Oby niebo sprawiło i przyszedł taki dzień, w którym „Czarny Saracen” znowu będzie mógł godnie cię przyjąć!

** Jakub Coeur (1395-1456) - francuski kupiec i finansista z okresu panowania Karola VII.*

- Amen! - dopowiedział wesoło Jakub Coeur, schodząc z konia. Zaledwie jego stopy dotknęły ziemi, nieprzytomna z radości Katarzyna rzuciła mu się w ramiona.

- Jakubie! Jakubie! Skąd się tu wziąłeś? Co za szczęście!

- Katarzyno!... To znaczy, chciałem rzec... pani de Montsalvy! Co pani tutaj robisz?

- Mów mi Katarzyno, drogi przyjacielu! Już od dawna zdobyłeś do tego prawo. Gdybyś wiedział, jak się cieszę z naszego spotkania! Jak się ma Bronia i dzieci?

- Jak najlepiej! Ale wejdźmy do środka. Tam będzie wygodniej rozmawiać. Imć oberżysto, jeśli możesz rozpalić ogień, będziemy mogli zjeść podwieczorek. W płóciennych workach wiszących u mego siodła znajdziesz dwie szynki, do tego polec słoniny, ser i orzechy.

Podczas gdy imć Amable rzucił się do rozpakowywania tak cennej zawartości worków, które spadły z nieba, Jakub Coeur, ująwszy Katarzynę pod ramię, pociągnął ją do oberży, pozdrawiając po drodze Sarę. W niskiej izbie, w której z potężnych poczemniałych belek, zamiast niegdysiejszych

wędzonek, zwisały ostatnie warkocze cebuli, siedział brat Stefan, grzejąc się przy kominie. Katarzyna chciała przedstawić sobie obu mężczyzn, lecz spostrzegła, że się znają, i to bardzo dobrze.

- Nie wiedziałem, że powróciłeś ze Wschodu, mistrzu Jakubie - rzekł brat Stefan. - Nie doszły do mych uszu żadne słuchy na ten temat.

- A to z tej przyczyny, że wróciłem cichcem. Wiązałem wielkie nadzieje z tą podróżą i jeśli nawet spotkałem ciekawych ludzi i zobaczyłem wiele miejsc godnych uwagi, to wszystko straciłem w tej przygodzie.

Podczas gdy imć Amable i jedyna służąca, jaka mu została, krzątali się w kuchni i nakrywali stół do wieczerzy, wędrowcy posiadali na ławach przy kominku, aby się rozgrzać. Katarzyna, szczęśliwa ze spotkania ze starym przyjacielem, patrzyła na niego uporczywie. Jej wzrok napotykał często spojrzenie Jakuba. Brązowe oczy mężczyzny błyszczały w płomieniach kominka, a usta rozszerzały się w szczęśliwym uśmiechu.

Opowiadał, jak to na wiosnę wyruszył na żaglowcu „Notre-Dame et Saint-Paul”, należącym do mieszczanina Jana Vidala z Narbonne, i jak wraz z innymi kupcami z Narbonne i Montpellier zawijał do wszystkich krajów orientalnych leżących u wybrzeży Morza Śródziemnego w celu nawiązania stosunków handlowych. Zwiedził Damaszek, Bejrut i Trypolis, Cypr i wyspy archipelagu, w końcu zawinął do Aleksandrii i Kairu, przywożąc wspomnienia, których magia czaiła się w głębi jego spojrzenia.

- Powinnaś zamieszkać w Damaszku - powiedział na koniec. - Trzydzieści lat temu miasto to zostało spalone i zrównane z ziemią przez Mongołów pod wodzą Tamerlana, ale tamte czasy minęły bez śladu. W tym mieście wszystko jest urządzone z myślą o kobietach. Można tam znaleźć błyszczące jedwabie, przezroczyście muśliny, pozłacane i posrebrzane, cudowne pachnidła, klejnoty, a dla podniebienia niebiańskie

słodkości, z których najpyszniejszy jest bez wątpliwości czarny nugat, do tego śliwki kandyzowane w cukrze, które zwie się mirobolanami.

- Mam nadzieję, że przywiozłeś wszystkiego po trochu - przerwał brat Stefan. - Król niezwykle ceni te rzeczy, nie mówiąc o damach dworu.

Jakub Coeur westchnął wymownie, a z drugiego końca izby odpowiedziało mu jak echo westchnienie imię Amabla, podsłuchującego, jak kuśnierz opowiada o egzotycznych frykasach.

- Niestety, niczego nie przywiozłem. Co prawda, sprzedałem cały mój zapas skór, pościeli z Berry i koralu z Marsylii, i mogłem za to kupić wiele pięknych i cennych rzeczy, ale Niestety „Notre-Dame et Saint-Paul” to wysłużony statek i była to jego ostatnia podróż. Kiedy dopływaliśmy do wybrzeży Korsyki, rozszalała się potężna burza, która rzuciła nas na skały, i statek pękł na pół. Znaleźliśmy się w morzu. Łąd na szczęście był blisko. Pomimo szalejącego huraganu dopłynęliśmy do brzegu... Tam czekało na nas następne nieszczęście. Otóż na Korsyce mieszkają ludzie na wpół dzicy. Jeżeli morze nie wyrzuci im oczekiwanej zdobyczy, wtedy zapalają na brzegu ogniska, by przyciągnąć statki na skały. Możecie się domyślić, że tylko czekali na nasze ładunki. Ci łupieżcy powynosili z rozbitego kadłuba wszystkie kufry i oczywiście nie mieli zamiaru ich oddać. Nie było sensu nalegać: zabiliby nas wszystkich bez litości. Musieliśmy się zgodzić na ich warunki, dzięki czemu zawiedli nas do portu w Ajaccio, gdzie znaleźliśmy kapitana, który zgodził się zabrać nas do Marsylii, uzyskawszy przedtem obietnicę, że zapłacimy mu po przyplynięciu. Tak więc wróciłem do Bourges całkowicie zrujnowany, biedny jak mysz kościelna - dokończył Jakub Coeur ze śmiechem.

- Całkiem zrujnowany? - nie dowierzając, spytała Katarzyna, która z zapartym tchem przysłuchiwała się opowieści starego przyjaciela. - Ale nie wyglądasz na bardzo przejętego.

- Lamenty nic tu nie pomogą. A zresztą już raz byłem zrujnowany w tej nieprzyjemnej historii z mennicą. Znowu muszę zaczynać od zera. Mój teść pożyczył mi pieniądze, które pozwolą mi kupić trochę towaru na następną podróż.

- Znowu ruszasz w świat?

- Oczywiście! Nie wyobrażasz sobie, Katarzyno, ile możliwości czeka na kupca na Wschodzie. Weźmy na przykład sułtana Kairu. Posiada on bajeczne góry złota, ale za to nie ma srebra. Wiem, gdzie znajdują się stare kopalnie eksploatowane dawniej przez Rzymian i od tamtych czasów opuszczone. Opuszczone, lecz nie wyczerpane! Mam zamiar wykopać to srebro, zawieźć je do Kairu i kupić za nie złoto o wiele taniej niż w Europie. Och! Gdybym dysponował teraz większym kapitałem!

Podczas gdy Jakub Coeur opowiadał, wyobraźnia Katarzyny zaczęła gorączkowo pracować. Ten człowiek o błyskotliwej inteligencji był zdolny poruszyć cały świat, aby wyrwać mu bogactwo. Jeśli zaś chodzi o nowe pomysły, to sypał nimi jak z rękawa. Katarzyna nie zastanawiała się dłużej.

- Sądzę, mój przyjacielu, że mam potrzebny ci kapitał!

- Ty, pani?

Zdziwienie kuśnierza było bezgraniczne. Wiedział, że Montsalvy'owie byli zrujnowani i potępieni przez króla. Także ekwipunek Katarzyny i jej towarzyszy nie pozwalał myśleć o bogactwie. Młoda kobieta uśmiechnęła się tajemniczo i zagłębiła dłoń w sakiewce, wyciągając z niej czarny diament.

- Za ten klejnot możesz kupić cały statek, przyjacielu!

W tej chwili dały się słyszeć okrzyki najszczerzego zdziwienia. W dłoni Katarzyny diament błyszczał jak czarne słońce. Imć Amable z wrażenia aż upuścił miskę. Wzrok Jakuba zatrzymywał się to na klejnocie, to na niewzruszonej twarzy Katarzyny.

- Oto słynny diament wielkiego skarbnika Burgundii! - powiedział wolno. - Jaki doskonały! Nigdy nie widziałem równie wspaniałego klejnotu!

Delikatnie wziął kamień do ręki i poruszył nim w taki sposób, że załśnił w płomieniach jak nocna gwiazda. Katarzyna zarumieniła się.

- Weź go, przyjacielu, sprzedaj i wyciągnij z niego, ile tylko się da!

- Nie chcesz zachować podobnej wspaniałości? Ten klejnot wart jest królestwo!

- Wiem. Lecz wiem także, że to przeklęty klejnot. Wszędzie, gdzie się pojawi, sieje nieszczęścia, a ci, którzy go posiadają, nigdy nie znajdują spokoju. Trzeba go sprzedać, Jakubie... może wtedy wreszcie nieszczęście mnie opuści? - dodała głucho.

Brzmienie jej głosu nie uszło uwagi kuśnierza.

- Nie wierzę w te historie, Katarzyno. Piękno nie może szkodzić. A ten diament to czyste piękno. Jeśli mi go powierzysz, wyciągnę z niego dobrobyt dla całego królestwa!

Na morza spuszczę karawele, wyrwę tej zniszczonej ziemi jej głęboko ukryte bogactwa i oddam je w dwójnasób! Uczynię cię bogatą, a także siebie i króla!

- A więc jest twój, Jakubie! Mam nadzieję, że potrafisz odebrać mu jego złowrogą moc i spowodujesz, że zaczniesz służyć dobru nas wszystkich. Jeśli jednak ci się to nie uda, nie przejmiesz się tym, prawda?

- Przyjmuję go tylko jako lokatę lub pożyczkę, jeśli wolisz. Oddam ci wszystko z nawiązką. Odbudujesz Montsalvy, a twój syn stanie w rządzie największych tego świata, tych, których piękne nazwisko łączy się z dużą fortuną. Ale, ale! Imć oberżysto! Chyba nie pozwolisz umrzeć nam z głodu? Gdzie nasza wieczerza?

Wyrwany z osłupienia oberżysta pobiegł do kuchni po zupę. Jakub Coeur wstał i podał Katarzynie rękę.

- Chodźmy na wieczerzę, moja piękna współniczko, i niech dzięki będą Bogu za to, że mogliśmy się spotkać. Daleko zajdziemy, ty i ja, albo nie nazywam się Jakub Coeur!

Pomógł jej zająć miejsce przy stole, po czym, upewniwszy się, że imć Amable i jego służąca odeszli, wyszeptał:

- Byłaś pani wielce nieostrożna, pokazując klejnot w oberży. Imć Amable jest godny zaufania, lecz zapominasz, że pan de La Tremoille pragnie zdobyć ten klejnot. Musisz być bardzo ostrożna, zbliżając się do dworu.

- Ależ to się dobrze składa. Sprzedaj mu diament! Jakub Coeur zaśmiał się i wzruszył ramionami.

- Pani, jak możesz być tak naiwna? Jeśli szambelan dowie się, że mam klejnot, moja skóra nie będzie wiele warta. Dlaczego miałby zapłacić za coś, co może zabrać... nawet gdyby musiał zabić?

- Oto dlaczego Kastylijczyk Villa-Andrado chce mnie wziąć za żonę z błogosławieństwem La Tremoille'a! Ziemie de Montsalvych dostałyby się Kastylijczykowi, a La Tremoille zadowoliliby się diamentem!

- Nie doceniasz się, moja droga! Kastylijczyk jest rzeczywiście zadurzony w tobie, jak sądzę. To ciebie pożąda!

Oczywiście nie pogardzi także twoimi dobrami. Król je skonfiskował, lecz z pewnością by mu je oddał.

- W każdym razie - przerwał brat Stefan - sądzę, że lepiej będzie, jeśli już jutro rano diament odjedzie wraz z tobą, panie.

- Kiedy tylko kupię towary, po które tu przyjechałem, natychmiast ruszam w drogę do Beaucaire, gdzie żyje mnóstwo bogatych Żydów. Znam pewnego rabina, Izaaka Abrabanela, którego brat jest przywódcą żydowskim w Toledo, a cała rodzina jest niezwykle bogata. Da mi za klejnot tyle złota, ile zażądam!

Brat Stefan zakaszłał na znak, że wraca oberżysta, skrzyżował dłonie i pochylając głowę nad miską, zmówił modlitwę, której biesiadnicy wysłuchali w nabożnym milczeniu, po czym wszyscy ochoczo zabrali się do wzmocnienia sił, tak bardzo nadwerężonych trudami wędrówki.

Katarzyna poczuła wielką ulgę, kiedy czarny diament zniknął w sakwie Jakuba Coeura. Czowała, że udało jej się spłacić dług zaciągnięty wobec przyszłości. Michał będzie bogaty dzięki Coeurowi, a jeśli nawet ona sama i Arnold nie otrzymają królewskiego przebaczenia, może prowadzić wygodne życie poza granicami Francji. Jednak Katarzyna chciała czegoś więcej. Bogactwo stanowiło tylko część jej planu. To, czego pragnęła najbardziej, to doprowadzić do klęski wielkiego szambelana i uzyskać królewską amnestię dla Arnolda i dla siebie. Nazwisko de Montsalvych musi odzyskać dawny blask, w przeciwnym razie jej życie straci sens...

Przez cały posiłek Jakub Coeur snuł plany na przyszłość. Nie zadał Katarzynie ani jednego pytania o męża ani o cel podróży. Z pewnością nie chciał jakimś niezręcznym pytaniem obudzić jej bolesnych wspomnień. Ale w spojrzeniach rzucanych ukradkiem od czasu do czasu widać było

nieme zapytanie. Zastanawiał się, jakich użyć słów, aby, nie okazując niedyskrecji i nie raniąc Katarzyny, dowiedzieć się, co zamierza teraz uczynić z własnym życiem. Wreszcie z pomocą przyszło mu poczucie humoru.

- Przez chwilę pomyślałem, że dobrze by ci było na Wschodzie. Czy nie chciałabyś się rzucić w wir przygody wraz ze mną?

Katarzyna pokręciła przecząco głową.

- To nie dla mnie, Jakubie. Jest kilka osób, które na mnie liczą, i mam jeszcze wiele do zrobienia na tej ziemi. Czeka mnie walka, którą wierz mi, chętnie zamieniłabym na wszystkie burze na Morzu Śródziemnym, gdybym nie pragnęła za wszelką cenę doprowadzić jej do końca. Ale...

Katarzyna nie skończyła, gdyż Jakub przerwał jej ruchem dłoni. Jego przenikliwy wzrok skierowany był w głąb sali, w miejsce, gdzie zniknął imć Amable. Po chwili zaczął mówić o błahostkach, zmieniając całkiem tok rozmowy.

Po skończonym posiłku podał Katarzynie dłoń, aby zaprowadzić ją do jej pokoju. W tej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawił się z powrotem imć Amable, wysoko niosąc zapaloną świecę, którą oświetlił drogę na spoczynek swoich gości. Pochód zamykali brat Stefan i Sara, która dosłownie padała ze zmęczenia.

Przed izbą, którą miały dzielić ze sobą kobiety, rozstali się. Kobiety zamknęły się u siebie, a kuśnierz i brat Stefan udali się na pięterko.

Wkrótce w „Czarnym Saracenie” zaległa cisza.

Sara rzuciła się na posłanie w ubraniu i natychmiast zasnęła. Katarzyna zdjęła sukienkę i buty i wślizgnęła się do pościeli obok Cyganki.

Z głębokiego snu, w którym i ona pogrążyła się natychmiast, wyrwało ją ciche pukanie do drzwi, podobne raczej do chrobotania myszy. Jednak nie była to mysz. W pokoju panowały egipskie ciemności. Świeca wypaliła się do końca i Katarzyna dotarła do drzwi po omacku, starając się nie potrącać mebli, co mogłoby postawić na nogi cały dom. Osoba, która stała za drzwiami, z pewnością nie chciała zwrócić na siebie uwagi... W końcu udało się jej dotrzeć do celu.

W progu zobaczyła Jakuba Coeura. Był w ubraniu, miał na sobie nawet płaszcz i kapelusz. Przytknąwszy palec do ust, nakazał Katarzynie milczenie, po czym wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jego twarz wyrażała niepokojącą powagę.

- Przebacz mi, Katarzyno, to najście, lecz jeśli nie chcesz skoro świt znaleźć się w więzieniu wicehrabstwa, przyjmij moją radę, ubierz się, obudź Sarę i chodź ze mną. Brat Stefan jest już w stajni. Czas nagli!

- Dlaczego? Co się stało, na Boga?

- To się stało, że widok pewnego diamentu wzbudził niechlubne skłonności uczciwego dotąd człowieka. Niedawno imć Amable, zamknąwszy oberżę, pobiegł do opata, aby donieść, że pod jego dachem przebywają groźni złoczyńcy poszukiwani przez wielkiego szambelana. Licząc na hojną zapłatę za wiadomość o słynnym klejnocie, imć Amable jest gotów posiać nas na stos.

- Skąd wiesz to wszystko? - spytała Katarzyna, nie mogąc opanować zdziwienia.

- Ponieważ śledziłem naszego gospodarza, kiedy wyszedł. Jego zachowanie podczas wieczerzy wydało mi się podejrzane. Czerwienił się i bladł na przemian, ręce drżały mu jak w febrze i raz po raz zerkał na moją sakwę. Znam go od wielu lat, lecz nauczyłem się ostrożności, kiedy w grę

wchodzi złoto. Na szczęście pokój, który zajmuję wraz z bratem Stefanem, znajduje się nad bramą. Czekałem na niego, ponieważ miałem złe przeczucia. I rzeczywiście, zobaczyłem, jak wychodzi ukradkiem, gdy mógł przypuszczać, że wszyscy już śpią. Ześlizgnąłem się po dachu i podążyłem jego śladem. Gdy skierował się w stronę zamku, zrozumiałem, że słusznie uczyniłem, śledząc go.

- I co potem? Co stało się potem? - spytała Katarzyna, śpiesznie wkładając sukienkę. - Czy doniósł o nas?

- Oto pytanie, którego byś nie zadała, gdybyś go widziała, jak wybiegał z oberży, zacierając ręce. Ponadto, miałem okazję potwierdzić swoje podejrzenia. O świcie, przed otwarciem bram, mamy zostać aresztowani.

- Kto ci o tym powiedział?

Jakub Coeur uśmiechnął się i Katarzyna pomyślała, że jak na człowieka, któremu groziło więzienie, jest niezwykle spokojny i odprężony.

- Tak się składa, że mam w mieście kilku przyjaciół, o czym imć Amable nie wiedział. Jeden z nich, Justyn Esperat, syn skarbnika sekretu wyrobu dywanów, jest sierżantem w garnizonie. Ruszyłem więc do zamku i zażądałem widzenia z nim. Złota moneta potrafi wiele, a tak się składa, że młody Esperat ma zmysł kupiecki. Nie chcąc, aby ojciec stracił dobrego klienta, bez oporu zdradził mi rozkazy, jakie otrzymał do wykonania o świcie.

Katarzyna skończyła sznurować sukienkę i potrząsnęła mocno śpiącą Sarą.

- To świetnie, że jesteś tak dobrze poinformowany, ale to nas nie uratuje. Jak uciekniemy z miasta otoczonego wysokim murem, jak

sforsujemy potężne bramy strzeżone w dzień i w nocy? Znajdujemy się w potrzasku, gdyż miasto jest zbyt małe, by można było się w nim schować.

- Mam jednak nadzieję, że uda się nam wydostać. Pośpiesz się, Katarzyno. Brat Stefan pewnie już przygotował konie.

Katarzyna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Liczycie, że uda się nam uciec na koniach? Jesteś szalony! Koń narobi hałasu, a cztery konie jeszcze więcej!

Twarz Jakuba rozbłysła na chwilę w uśmiechu, gdy uścisnął lekko jej ramię.

- Postaraj się mi zaufać, droga przyjaciółko! Nie mogę przysiąc, że zdołam wyciągnąć cię z opresji, ale przysięgam, że uczynię wszystko, co w mej mocy! A teraz dosyć tej gadaniny. Do dzieła!

W mgnieniu oka obie kobiety były gotowe do drogi. Sara, przeczuwając niebezpieczeństwo, szybko się zebrała i po chwili cała trójka schodziła ostrożnie po schodach. Wokół panowała tak głęboka cisza, że słychać było tylko łomotanie ich serc. Na dole Jakub Coeur pociągnął Katarzynę w stronę drzwi wychodzących na zaplecze oberży, tam zgasił świecę, postawił ją na ziemi, zamknął drzwi i pchnął obie kobiety w stronę stajni, gdzie migotało blade światelko.

- To my, bracie - szepnął.

W istocie, brat Stefan krzątał się przy koniach. Ścierkami, które zabrał po drodze z kuchni, starannie owijał kopyta, a miał przy tym tak natchnioną minę, jakby odmawiał brewiarz. Jakub i Sara rzucili się do pomocy. Po chwili wszystko było gotowe do wyjazdu i podczas gdy Jakub pobiegł otworzyć wrota, pozostali wyprowadzili konie na ulicę. Wokół panowały ciemności, tylko w oddali widać było skąpe światelko przy

moście zwodzonym, prowadzącym do zamku. Niżej, niedaleko kościoła, wznosiła się wieża bez okien.

- To więzienie - powiedział jakby od niechcienia Jakub, chcąc podsycić odwagę Katarzyny. - Chodźcie za mną! Musimy dotrzeć do zamku!

- Do zamku? - odpowiedziała jak echo Katarzyna.

- Oczywiście, przy murze obronnym czeka na nas Justyn Esperat. Powyżej mur zamkowy łączy się z murami miasta... Niebo nam sprzyja. Tej zimy mróz tak ścisnął, że w jednym miejscu mur pękł i zrobiła się wyrwa. Otwór ten jest strzeżony we dnie i w nocy, z tym że od godziny pierwszej straż przy nim trzyma Esperat...

Podejście było bardzo strome, im wyżej, tym trudniej było oddychać. W dodatku należało mocno trzymać zwierzęta za uzdy, aby się nie ślizgały. Wkrótce zbliżyli się do muru zamkowego. Wielki most zwodzony był podniesiony, ale drugi, prowadzący do bramy, został spuszczonej. Strzegł go żołnierz oparty na dwusiecznym toporze. Jakub Coeur zatrzymał ich ruchem dłoni i podszedł do Katarzyny.

- Musimy przejść prawie przed nosem strażnika. Trzeba więc czymś zająć jego uwagę... Sądzę, że to zadanie w sam raz dla brata Stefana. Habit czyni cuda!

Katarzyna miała wielką ochotę spytać o więcej szczegółów, lecz mnich już oddawał cugle swego konia w ręce Jakuba.

- Pozwólcie mi działać! Uważajcie tylko, kiedy nadejdzie sposobna chwila, i starajcie się nie robić hałasu.

Nalozyłszy kaptur na głowę, wsunął ręce w rękawy i ruszył dziarskim krokiem w stronę mostu, gdzie oparty na swej broni strażnik kiwał się smętnie jak czapla. Odgłosy kroków obudziły go.

- Kto tam? - spytał zmęczonym głosem. - Czego chcesz, mój ojczy?
- Jestem brat Ambroży z klasztoru Świętego Jana - łągał jak z nut
mnych. - Przynoszę ostatnią pociechę umierającemu.

- A któż to jest umierający? - spytał strażnik z zaciekawieniem.
- Albo to ja wiem? Przysłano od was po księdza, aby wyspowiadał
umierającego. Nic więcej nie wiem!

Strażnik odsunął hełm na tył głowy i jął się po niej drapać z
zakłopotaniem. Najwyraźniej nie wiedział, co zrobić. W końcu zarzucił
swoją dwusieczny topór na ramię i oznajmił:

- Nie dostałem żadnego rozkazu, bracie. Nie mogę cię wpuścić, ale
poczekaj tu chwilę!

- Pośpiesz się, mój synu - rzucił mnich tonem nieznoszącym
sprzeciwu. - Przemarżłem do szpiku kości!

Strażnik zniknął pod niskim łukiem bramy.

- Teraz! - szepnął Jakub Coeur.

Cała trójka opuściwszy kryjówkę, ruszyła przed siebie. Owinięte
szmatami kopyta nie robiły najmniejszego hałasu i wkrótce wszyscy
zniknęli z pola widzenia.

Tymczasem powrócił strażnik.

- Wybacz, ojczy - powiedział - ale musiała nastąpić pomyłka, bo nikt
nie jest umierający.

- A jednak jestem pewny...

- Z pewnością to pomyłka albo jakiś żartowniś...

- Żartowniś? Nie godzi się żartować ze sługi bożego! - oburzył się
szczerze brat Stefan.

- Do kroćset! W dzisiejszych czasach nie trzeba niczemu się dziwić!
Gdybym był na waszym miejscu, ojczy, szybko wróciłbym do ciepłego
łóża!

Brat Stefan wzruszył ramionami i głębiej nasunął kaptur.

- Żeby nie chodzić po próżnicy, udam się do starej Marii, która ma
się niedobrze. Kiedy zbliża się śmierć, noce są długie. Niechaj Bóg cię ma
w opiece, mój synu!

I brat Stefan ruszył swoją drogą, a strażnik wróciwszy na
stanowisko, zapadł w poprzednie otepienie.

Kilka chwil później mnich dogonił swych towarzyszy. Jakub Coeur
bez słowa stanął na czele grupy. Znajdowali się teraz w wąskim przejściu
pomiędzy murami miasta a murami zamku. Unosiły się w nim tak
nieznośne zapachy, że nawet mróz nie był w stanie ich stłumić. Konie
ślizgały się na stertach odpadków, ponieważ okoliczni mieszkańcy znaleźli
sobie tutaj wygodne miejsce do wyrzucania śmieci.

Nagle w murze ukazał się otwór, trochę nieba i na jego tle czyjaś
ciemna sylwetka.

- Czy to ty, mistrzu Jakubie?

- To my, Justynie! Czy jesteśmy spóźnieni?

- Bardzo! Do świtu już niedaleko. Musicie się pośpieszyć.

Oczy Katarzyny powoli przyzwyczajały się do ciemności.

Zauważyła szczupłą postać łucznika z rogiem zwisającym u boku.

- Czy sądzisz, że wszystko się uda, Justynie?

- Nie obawiajcie się, panie! Naczelnik będzie przekonany, że imć
Amable wypił za dużo i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby szukać was
tutaj. A zresztą, w tym okropnym błocie ślady kopyt będą niewidoczne.

- Dzielny z ciebie młodzian, Justynie! Wynagrodzę cię sowicie.

Justyn roześmiał się beztrosko.

- Wynagrodź to memu ojcu, mistrzu Jakubie, zamawiając u niego kilka pięknych dywanów, kiedy już będziesz moźny i bogaty. Marzy o tym, żeby utkać najpiękniejszy gobelin świata i ciągle kreśli wizerunki kobiet i fantastycznych ptaków.

- Twój ojciec jest wielkim artystą, wiem to od dawna, i będę o nim pamiętał. Do zobaczenia, moje dziecko, i dzięki jeszcze raz. Wiem, że sporo ryzykujesz, mimo że się tego wypierasz.

- Co warta byłaby przyjaźń bez ryzyka, panie? Jedźcie z Bogiem i nie martwcie się o mnie, lecz pośpieszcie się, na litość boską!

Jakub ścisnął bez słowa dłoń młodzieńca i cała grupa przeszła przez otwór w murze. Za nim rozciągała się wyżyna, po której hulał wiatr, dalej teren gwałtownie się wznosił. Przez jakiś czas zbiegowie szli pieszo, trzymając konie za uzdy. Wokół rozjaśniało się i widać było targane wichrem nagie gałęzie drzew.

Na rozstaju dróg, w miejscu gdzie stał kamienny krzyż, Jakub się zatrzymał.

- Tutaj się rozdzielimy, Katarzyno. Ja pójdę w stronę Clermont, potem dotrę do Prowansji. Wy pójdziecie na lewo. Niedaleko stąd znajduje się klasztor świętego Alpinina, gdzie możecie się zatrzymać, aby trochę odpocząć i poczekać do świtu.

- Nie ma mowy, Jakubie! Musimy nadrobić szmat drogi. Źal mi tylko, że musimy się rozstać!

Instynktownie kuśnierz i młoda kobieta oddalili się nieco od swoich towarzyszy, pozostawiając ich przy koniach. Sara i brat Stefan zabrali się do zdejmowania szmat z ich kopyt.

Katarzyna bardzo żałowała, że Jakub musi ich opuścić. Dla niej był uosobieniem męskiej siły dającej poczucie bezpieczeństwa, którego tak jej brakowało od ucieczki Waltera. Czarne godziny poprzedzające nadejście świtu napęłniły ją strachem przed nieznaną drogą, która była przed nimi.

Nigdy jeszcze nie czuła tak dotkliwej tęsknoty za prawdziwym ogniskiem domowym, za normalnym życiem, jak u stóp tego kamiennego krzyża. Chwyliła mocno rękę Jakuba, a do jej oczu napłynęły łzy.

- Jakubie, dlaczego jestem skazana na wieczną tułaczkę i ciągłą samotność?

Gdy podniosła na niego zapłakane oczy, ujrzała twarz tak piękną, że instynktownie przez jej głowę przebiegła szalona myśl. Jakub chwycił jej drobne ręce i przycisnął do piersi.

- Katarzyno... - wyszeptał drżącym ze wzruszenia głosem - nie rozstawajmy się! Jedź ze mną! Zabiorę cię na Wschód, pojedziemy do Damaszku, gdzie uczynię cię królową, rzucę do twych stóp wszystkie skarby wyrwane sercu Azji! Czuję, że mógłbym góry przenosić z tobą i dla ciebie!

Chwila słabości Katarzyny szybko minęła. Łagodnie wyjęła swe dłonie z rąk Jakuba i uśmiechnęła się.

- Przeżyliśmy chwile strachu, jesteśmy zmęczeni, czyż nie, drogi Jakubie? Byłabym ci przeszkodą w twoich dalekich podróżach. I co stałoby się z twoim szczytnym planem, który ma przynieść królestwu bogactwo i powodzenie?

- Co mi po tym wszystkim! Ty jesteś więcej warta niż całe królestwo! Od chwili kiedy cię ujrzałem pierwszy raz wśród dwórek królowej Marii, zrozumiałem, że dla ciebie wyparłbym się wszystkiego!

- Nawet żony i dzieci?

Zapadła cisza. Słysząc było tylko ciężki oddech Jakuba, który walczył z samym sobą. Po chwili z jego krtani wydobył się gardłowy, lecz zdecydowany głos.

- Nawet ich... Tak, nawet ich, Katarzyno!

Nie pozwoliła mu powiedzieć nic więcej. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Dawno już zauważyła, że Jakub kierował ku niej swe najczulsze uczucia, ale nie przypuszczała, że to miłość. Dla niej był gotów na wszystko, porzuciłby rodzinę i bogactwo.

Katarzyna potrząsnęła głową.

- Nie, Jakubie, nie popełnimy tego szaleństwa, którego potem byśmy żalowali. I ja, i ty mamy ważne zadania do spełnienia w tym kraju. Poza tym kochasz Bronię, chociaż przez moment byłeś gotowy sprawić jej ból. Co do mnie... moje serce umarło wraz z moim mężem.

- To nieprawda! Jesteś młoda i piękna...

- Wiedz, drogi przyjacielu - przerwała Katarzyna, specjalnie podkreślając słowo „przyjaciel” - że całe życie oddycham, cierpię dla i przez Arnolda. Jest całym moim życiem, jedyną miłością. Od kiedy go straciłam, jestem ciałem bez duszy, i to może dobrze, bo to mi pozwoli spełnić moje zadanie bez zmrużenia oka.

- Jakie zadanie?

- To nie ma znaczenia! Ale może kosztować mnie życie. Gdyby tak się stało, pamiętaj, Jakubie, że powierzyłam ci los mego syna, Michała de Montsalvy'ego, i módl się za mnie, przyjacielu! Żegnaj!

Ujęła szarpane wiatrem połę płaszcza i odwróciła się, by odejść do Sary i brata Stefana.

- Nie, Katarzyno! Nie żegnaj... lecz do zobaczenia!

Na dźwięk tych słów twarz Katarzyny przeszył bolesny skurcz. Były to te same słowa, które wypowiedziała na drodze z Carlat, na wpół oszalała z cierpienia za utraconym Arnoldem... Życie toczyło się jednak dalej, a Jakub wchłonięty zostanie przez swoje awanturnicze życie za pierwszym zakrętem drogi, która ich rozdzieli.

To dobrze.

Pochyliła się nad Sarą, która - skulona z zimna - siedziała na kamieniu, i podała jej rękę, aby pomóc jej wstać, a jednocześnie uśmiechnęła się do brata Stefana.

- Wybaczcie, że kazałam wam na siebie czekać. Mistrz Coeur prosił, ażeby was pożegnać w jego imieniu. A teraz ruszajmy w drogę.

Wsiadli na konie i bez słowa ruszyli przed siebie. Droga wiła się wzdłuż stawu. Katarzyna spojrzała za siebie. W słabym świetle księżyca dostrzegła oddalającą się postać Jakuba Coeura, którego poły płaszcza trzepotały na wietrze.

Jeździec nie odwrócił się ani razu.

Katarzyna westchnęła cicho i wyprostowała się w siodle. Ta chwila słabości była ostatnią przed pokonaniem La Tremoille'a. Tam, dokąd zmierzała, było zbyt niebezpiecznie, by mogła sobie pozwolić na takie dowody bezsilności.

Część druga

Zemsta

Rozdział piąty

Rycerze królowej

Katarzyna stała w głębokim obramowaniu okna zamku w Angers i z roztargnieniem patrzyła przed siebie. Po wielu dniach wędrówki ogarnęło ją takie zmęczenie, że nie była nawet w stanie zainteresować się tym, co ją otaczało. Przez dwanaście długich dni wędrówki przez Limousin nękany nędzą i głodem, przez Marches i Poitou, gdzie na każdym kroku widać było krwawe ślady angielskiego ciemiezcy, troje wędrowców musiało walczyć z zimnem, z ludźmi, a nawet z wilkami, które podchodziły do stodół będących najczęściej ich schronieniem. Zdobycie strawy także stanowiło nie lada problem. Gdyby nie napotkane po drodze opactwa, których bramy otwierały się na widok habitu brata Stefana oraz glejtu

królowej Jolanty, Katarzyna i jej towarzysze bez wątpienia umarliby z głodu i nigdy nie dotarliby do królewskiej rzeki.

Wreszcie otwały się przed nimi potężne mury Angers. Miasto sprawiało wrażenie spokojnego i uporządkowanego. Ani śladu żebraków, pijanych żołnierzy czy sprzedajnych dziewczek. To miasto stworzone dla przyjemności i uciech, ze swoimi ogrodami, niebieskimi dachami i białymi domami, zamieniło się w fortecę gotową do obrony.

Na każdym kroku widać było, że Jolanta Andegaweńska umiała rządzić, pomagać i bić się.

Wrażenie to potęgował zamek, którego ogromne wieże odbijały się w nurtach Maine. Istny las błękitnych stożkowatych dachów, błyszczących jak stal, jeżące się dzwonnice i chorągwie. Przy otworach strzelniczych krzątali się rycerze niosący obosieczne topory, halabardy i oszczepy, a na szczycie wieży łopotał wielki sztandar targany wichrem i smagany deszczem od morza. Widać było na nim insygnia królowej, krzyż Jerozolimy, szlak Sycylii, lilię andegaweńską i pasy Aragonii.

Po przekroczeniu głębokiej fosy wędrowcy stanęli na obszernym dziedzińcu przesłoniętym kurtyną deszczu. Przemoczeni do suchej nitki, marzyli o suchym łóżku z prawdziwą pościelą, w którym można by wygodnie rozciągnąć udręczone ciała po wielu nocach przespanych na gołej ziemi. Najpierw jednak należało stawić się przed królową Jolantą. Brat Stefan zostawił swe towarzyszki w wielkiej komnacie o wysokich oknach wychodzących na rzekę, a sam udał się do królowej, aby oznajmić o ich przybyciu. Sara opadła ciężko na ławę przy płonącym kominku i natychmiast usnęła. Katarzyna stanęła obok niej. Całe ciało miała tak obolałe, że nie chciała usiąść w obawie, że potem nie będzie mogła wstać.

Brat Stefan nie dał długo na siebie czekać. Po chwili pojawił się z powrotem.

- Chodź, moje dziecko, królowa czeka na ciebie!

Rzuciwszy okiem na Sarę, która nie dawała oznak życia, Katarzyna ruszyła w ślad za duchownym. Przeszli przez niskie drzwi, przy których stało w rozkroku dwóch strażników z halabardami, nieruchomych jak posągi. Przed nimi otworzyła się duża komnata, której ściany pokrywały gobeliny przedstawiające różne postaci. Salę oświetlały płomienie kominka i wielkie, żółte świece stojące na trójnogu z brązu.

W oczy rzucało się olbrzymie łoże z podwieszonymi purpurowymi zasłonami, na których wyhaftowane były lilie Francji. W kącie siedziała dama dworu zajęta robótką.

Na szerokim hebanowym krześle wyłożonym poduszkami, trzymając stopy na grzejniku, siedziała królowa. Katarzynę uderzyły spustoszenia, jakich na tej dumnej i delikatnej twarzy dokonały trzy minione lata. Jej hebanowe włosy posiwiały, czoło i policzki pokryły się głębokimi bruzdami, a matowa cera pożółkła jak pergamin. Te miesiące nieustannej walki z przekleństwem Francji, z jej wrogami, Anglikami i Burgundczykami, pozostawiły piętno na tej pięknej twarzy, oplakującej uwięzionego syna, księcia Rene*, który wpadł w ręce Filipa Burgundzkiego w bitwie pod Bugneville.

** Rene II Lotaryński - syn Jolanty Andegawskiej (1451-1508), książę Lotaryngii od 1473. W latach 1493-1508 tytularny król Neapolu i Jerozolimy. Przyszły król.*

W wieku pięćdziesięciu czterech lat królowa Czworoga Królestw była starą kobietą. Jedyne jej piękne i władcze czarne oczy zachowały żywy blask młodości. Skurczone ciało zaś ukryte było w fałdach czarnych szat i w poduszkach. Kiedy jednak Katarzyna przyklękła u jej stóp i królowa uśmiechnęła się, w mgnieniu oka odzyskała cały swój dawny czar. Wyciągnęła do niej idealnie białą dłoń.

- Nareszcie, moje dziecko - powiedziała dobrotliwie. - Już od dawna pragnę cię zobaczyć.

Katarzyna, bardzo wzruszona, padła do jej stóp. Jolanta była jedyną osobą z otoczenia króla, do której miała zaufanie. Chciała wyciągnąć do niej ręce, aby prosić o wsparcie i pomoc, lecz głos uwiązał jej w gardle i ukrywając twarz w dłoniach, wybuchnęła szlochami.

Królowa przez chwilę przyglądała się leżącej u jej stóp kruchej postaci w nędznych szatach. Ona również zauważyła zmęczenie na dawno niewidzianej twarzy oraz ogrom bóleści i rozpacz w fiołkowych oczach. Z westchnieniem współczucia wstała z krzesła, objęła Katarzynę i oparła jej zapłakaną twarz na swym ramieniu.

- Płacz, moja mała - szepnęła. - Płacz. Łzy przynoszą ulgę. - Nie wypuszczając Katarzyny z objęć, odwróciła się i powiedziała: - Zostaw nas same, pani de Chaumont! Idź przygotować pokój dla pani de Montsalvy.

Dama dworu pokłoniła się głęboko i bezszelestnie odeszła. Tymczasem królowa poprowadziła Katarzynę do ławy wyściełanej aksamitem i usiadła obok niej. Ze swej sakiewki wyciągnęła buteleczkę z wodą królowej Węgier, wylała kilka kropel na chusteczkę i przyłożyła ją do czoła Katarzyny. Intensywny zapach postawił Katarzynę na nogi. Zawstydzona, chciała paść królowej do nóg, lecz została powstrzymana silną ręką.

- Porozmawiajmy jak kobieta z kobietą. Jeśli posłałam brata Stefana po ciebie, to dlatego, że nie jesteś dla mnie zwykłą damą dworu i nie czas na wspólne wylewanie łez. Nadeszła godzina, aby pozbyć się człowieka, który jest przyczyną twojego nieszczęścia, ciemnego typu, który bogaci się, wyprzedając królestwo. Nadchodzi koniec twoich cierpień!

- Byliśmy ścigani, potępieni jak złoczyńcy, zostaliśmy zrujnowani, zabrano nam wszystko. Bylibyśmy martwi, gdyby hrabia de Padriac nie przyszedł nam z pomocą. Mój syn utracił nazwisko, stracił swe ziemie... a mój mąż jest trędowaty... Co gorszego może nas jeszcze spotkać?

- Zawsze może się stać coś gorszego - odparła łagodnie królowa - lecz w chwili obecnej najważniejszą dla mnie rzeczą jest przywrócić dawny blask przyszłości. Widzisz, moje dziecko... bardzo lubiłam twego męża. To był wzorowy szlachcic i jeden z najdzielniejszych rycerzy w królestwie. Ofiary de La Tremoille'a są zbyt drogie memu sercu, abym nie chciała pomścić ich jak należy. Czy mogę liczyć na twą pomoc?

- Właśnie dlatego przybywam - odparła Katarzyna z błyskiem w oku. - I oczekuję, wasza wysokość, że zechcesz mnie w tym dziele prowadzić i wspierać.

Królowa właśnie miała odpowiedzieć, kiedy na dziedzińcu podniosła się wrzawa i rozniósł się głos trąbek.

Jolanta wstała, by podejść do okna wychodzącego na dziedziniec. Katarzyna ruszyła za nią. Po dziedzińcu rozpierzchli się we wszystkie strony rycerze, chwytając za oręż. Z książęcych apartamentów przybiegli możni panowie, paziowie i koniuszowie. Wyglądali tak, jak gdyby przed chwilą zstąpili z wiszących gobelinów.

Królowa jęła niecierpliwie tupać nogą.

- Co oznacza cała ta wrzawa? Co znaczy to zamieszanie?

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich pani de Chaumont.

- Miłościwa pani! Konetabl nadjeżdża!

- Richemont*? Niebo go tu sprowadza! Zaraz go przyjmę!

Odwróciła się do Katarzyny, chcąc zabrać ją z sobą, lecz widząc jej zmęczoną twarz, powiedziała z dobrocią:

- Udaj się na spoczynek, moja droga. Pani de Chaumont zaprowadzi cię do twego pokoju. Jutro cię wezwę i ustalimy nasz plan.

** Artur de Richemont (1393-1458) - od 1425 r. konetabl Francji. Należał do grona stronników Joanny d'Arc.*

Katarzyna ukloniła się i bez słowa podążyła za damą dworu. Posłusznie dała się zaprowadzić do pokoju, którego okna wychodziły na główny dziedziniec. Nie miała ochoty na rozmowę i pani de Chaumont uszanowała jej milczenie. Była to miła blondynka o okrągłej twarzy i dużych, wesołych oczach, która z trudem utrzymywała swą młodość na wodzy. Mając dopiero dwadzieścia lat, już od pięciu była mężatką i matką dwójki dzieci, chociaż wcale na to nie wyglądała. Mimo że miała wielką ochotę na rozmowę, uśmiechała się tylko, widząc, że Katarzyna potrzebuje spokoju i odpoczynku.

- To tu, pani de Montsalvy! Zaraz przyślę służące, które pomogą ci się rozgościć. Czy życzysz sobie kąpieli?

Na myśl o tej dawno zapomnianej przyjemności oczy Katarzyny ożywiły się.

- O tak! Bardzo chętnie! - odpowiedziała, oddając uśmiech młodej kobiecie. - Wydaje mi się, że moje ciało jest pokryte błotem całego królestwa!

- Za chwilę będzie gotowa! - odparła Anna de Chaumont i zniknęła tak szybko, że tylko jej czerwona sukienka zafurkotała w drzwiach.

Katarzyna chciała rzucić się na łożo, lecz jej uwagę przykuł rozgardiasz dochodzący z dziedzińca. Poruszał się tam istny las pochodni i cała armia służących w liberiach, paziów, rycerzy, szlachty i pięknych pań. Wszyscy tłoczyli się wokół zastępu rycerzy zakutych w żelazo. Jeden z nich dzierżył dużą białą chorągiew, na której widniała dzika świnia i mały, zielony dąb. Z przodu widać było człowieka z podniesioną przyłbicą, zsiadającego z konia przy pomocy koniuszego. Katarzyna rozpoznała groźnego Bretończyka po szramie na policzku. Królowa Jolanta zeszła do niego po schodach, wyciągając ręce na powitanie. Na jej twarzy malował się promienny uśmiech. Richemont ukląkł i ucałował wyciągniętą dłoń. Katarzyna ze swojego miejsca nie mogła słyszeć, o czym rozmawiają, lecz odniosła wrażenie, że między królową a konetabłem istniało całkowite zrozumienie, i ta myśl była wielce pocieszająca. Pamiętała, jaką sympatią darzył Richemont Arnolda, a także z jakim uporem dążył do celu. Tak, królowa Jolanta i Artur de Richemont to dwa filary, na których można było zbudować przyszłość Michała!

Chwilę potem, siedząc w wielkiej kadzi wypełnionej gorącą, pachnącą wodą, zapomniała o trudach ostatnich dni i o zmęczeniu. Zamknawszy oczy, oddawała się z lubością kojącemu działaniu ciepła wkradającego się w każdy zakamarek jej ciała. Miała wrażenie, że pozbywa się nie tylko brudu, ale strachu i cierpienia, i że ubył jej dziesięć lat. Jej umysł stawał się jaśniejszy, a krew zaczynała szybciej krążyć.

Znowu poczuła się młodą, silną kobietą. Tak, nadal była piękna - widziała to w spojrzeniach służących, które pomagały jej wejść do kadzi - i sprawiało jej to przyjemność.

Łoże było przygotowane. Służąca trzymała gorące prześcieradło zagrzane przy kominku. Katarzyna wstała i ręką jęła otrzepywać krople wody spływające po udach. W tej samej chwili dał się słyszeć na korytarzu odgłos kroków, drzwi się otwarły i do pokoju wtargnął nieznajomy mężczyzna.

Katarzyna była tak zaskoczona, że zauważyła tylko wysoką sylwetkę intruza i jego jasne włosy. Wyrwawszy prześcieradło z rąk służącej, owinęła się nim pośpiesznie, nie zważając na to, że się zamoczy.

- Jak śmiesz? Wyjdź! Natychmiast wyjdź! - krzyknęła pełna oburzenia.

Nieznajomy, nie spodziewając się takiego widoku, stał z rozdziawionymi ustami jak słup soli.

- Na co czekasz? Wyjdź! Chyba słyszysz, co do ciebie mówię? - wykrzykiwała rozgniewana Katarzyna.

- Kim jesteś? - spytał w końcu nieznajomy.

- To nie twoja rzecz! Ale za to mogę ci powiedzieć, kim ty jesteś: nieokrzesanцем! Czy wyjdiesz wreszcie?

- Ale... ale - bełkotał nieszczęśnik.

- Bez żadnego ale! Czego jeszcze tu sterczysz?

Rozwścieczona Katarzyna porwała wielką gąbkę pływającą w kadzi i kapiącą od wody rzuciła w nieprzyjaciela, celując tak wprawnie, że pocisk trafił go w twarz, a woda spłynęła na błękitny żupan. Tym razem przeciwnik postanowił się poddać. Mamrocząc pod nosem przeprosiny, uciekł, czyniąc okropny hałas ostrogami.

Wówczas Katarzyna wyszła z kąpieli z godnością obrażonej królowej, ale obie służące stały jak wryte, nie czyniąc najmniejszego ruchu, aby jej pomóc.

- No, co tak stoicie, moje panny? - spytała ostro.

- Czy szlachetna pani wie, kogo raczyła potraktować w ten sposób? - wybełkotała wreszcie jedna z nich. - To pan Piotr de Breze! Zaufany królowej, a poza tym...

- Dostyc tego! - przerwała Katarzyna. - Nawet gdyby był królem, zrobiłabym to samo! A teraz wytrzyjcie mnie! Jest mi zimno...

Katarzyna nie bez pewnego rozbawienia wypędziła ze swych myśli niedyskretnego gościa, życząc sobie, aby nie było jej dane znowu kiedyś go spotkać, gdyż czuła się ośmieszona.

* * *

Ale, jak na złość, właśnie jego pierwszego ujrzała następnego dnia w sali przyjęć, do której wezwała ją królowa. Rzecz dziwna, lecz wcale się tym nie przejęła. Spokojny sen, obfite śniadanie i dokładna toaleta uczyniły cuda. Czuła, że jest innym człowiekiem, gotowym do walki na śmierć i życie.

Królowa przysłała jej cały stos ubrań do wyboru. Katarzyna wybrała suknię z czarnego brokatu, do tego kamizelkę obszywaną sobolim futrem. Na głowę nałożyła spiczasty stroik, z którego spływały potoki srebrzystego muślinu. Jej wejściu towarzyszyły szepty zachwytu, lecz ona w milczeniu zbliżyła się do tronu królowej. W sali oprócz niej i Jolanty byli sami mężczyźni, z których najwyższy niewątpliwie był Piotr de Breze, a najbardziej władczy Artur de Richemont. Obydwaj stali na stopniach tronu. Obok królowej, lecz nieco poniżej, zasiadał starzec w okularach, biskup Angers.

Konetabl wyszedł na spotkanie Katarzyny. Ukłoniwszy się, podał jej dłoń i wyszeptał:

- Witaj wśród nas, pani de Montsalvy! Jesteśmy szczęśliwi, widząc cię żywą i zdrową. Wiele wycierpiałaś dla naszej sprawy! Twój małżonek był jeszcze taki młody, kiedy walczył u mego boku pod Azincourt*, ale jego waleczność była dla innych przykładem. Kochałem go jak syna i oplakuję jego śmierć!

** Bitwa pod Azincourt, stoczona 25.10.1415 r., była jednym z ważniejszych starć wojny stuletniej. Doszło do niej w pobliżu miasta i zamku Azincourt (północna Francja), gdzie maszerującym z Normandii w kierunku portu Calais wojskom angielskim króla Henryka V zastąpiła drogę znacznie silniejsza armia Karola VI. Akcja sztuki „Henryk V” Williama Szekspira toczy się wokół tej słynnej bitwy.*

Katarzyna ujrzała w pełnym świetle twarz bretońskiego księcia poraną dawnymi szramami i parę jasnoniebieskich, szczerych oczu nadal wzbudzających zaufanie, jak wtedy, kiedy ujrzała go po raz pierwszy, w dniu jego zaręczyn z siostrą Filipa Burgundzkiego. Ten człowiek miał coś z niewzruszoności muru i z czystości ostrza szpady. Katarzyna uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego dłoni.

- Panie, twoje przywitanie wzruszyło mnie bardziej, niżli mogłabym to wyrazić. Proszę cię, abyś rozporządził moją osobą tak samo, jak rozporządzałbyś moim ukochanym mężem, gdyby Bóg raczył mi go zostawić. Nie żądam niczego na tym padole, chcę tylko jednego - pomścić Arnolda i oddać memu synowi to, co mu się należy.

- I tak się stanie, pani! Chodźmy! Ramię w ramię podeszli do tronu, gdzie czekała na nich królowa.

- Pokłoń się, moje dziecko, wielbnemu biskupowi i usiądź tutaj - rzekła, wskazując Katarzynie aksamitną poduszkę leżącą na stopniu.

Kiedy Katarzyna usiadła, przystąpiono do prezentacji obecnych panów. Oprócz Piotra de Brezego, który nie spuszczał z niej oczu, był tu pan de Chaumont, mążzonek młodej Anny, brat Anny, Jan de Bueil, Ambroży de Lore, Pregent de Coetivy, przyjaciel konetabla, wreszcie z boku skromnie wyglądający koniuszy Richemonta, Tristan Eremita. Wszyscy młodzi, oprócz konetabla, który zbliżał się do czterdziestki. Po kolei każdy z nich złożył pocałunek na dłoni Katarzyny, a pan de Breze dorzucił jeszcze wymowne spojrzenie, od którego Katarzyna zaczerwieniła się po czubek głowy. Odpowiedziała na nie surowym spojrzeniem i odwróciła głowę.

Głos zabrała królowa.

- Mości panowie! Teraz jesteśmy w komplecie, gdyż nie możemy liczyć na przybycie kapitanów La Hire'a i Xaintrailles'a, którzy walczą w Pikardii. W czasie poprzedniego zebrania we wrześniu w Cannes zawiązaliście spisek mający na celu usunięcie de La Tremoille'a. Nie muszę przypominać wam jego niecných uczynków. Nie dość, że wydał Joannę d'Arc, że wprowadził terror w królestwie, że doprowadził króla do nędzy, podczas gdy sam się wzbogaca, nie dość, że zrujnował i wrzucił do lochu najlepszego spośród nas, Arnolda de Montsalvy'ego, nie dość, że wydał Anglikom miasto Montargis należące do pani de Richemont, że wszczął wojnę na naszych ziemiach i że kazał puścić z dymem i spustoszyć swojemu sługusowi, Villi-Andradzie, Owernię, Limousin i Langwedocję, ten człowiek ośmiela się przeciwstawić próbom pojednania,

których podjęliśmy się wraz z księciem Burgundii! Od ponad roku legat papieski, kardynał de Sainte-Croix Mikołaj Albergati, naradza się z wysłannikami Burgundii, jak doprowadzić do zawarcia pokoju, a co w tym czasie robi La Tremoille? W październiku napada na Dijon i usiłuje doprowadzić do zamordowania księcia Filipa, odwodzi go od ugody z Anglikami! To nie może dłużej trwać! Nigdy nie uda nam się wypędzić Anglika i doprowadzić do pokoju w królestwie, dopóki wielki szambelan będzie trzymał króla w swoich szponach! Panowie! Przysięgliście, że Francja się go pozbędzie! Słucham, co macie mi do zaproponowania!?

Kiedy królowa skończyła, zapanowała głęboka cisza. Katarzyna wstrzymała oddech, rozważając usłyszane słowa. Zrozumiała, w jakim oddaleniu od tych wszystkich wydarzeń żyła dotąd. Odkryła też, z pewnym zdziwieniem, że wiadomość o próbie zamordowania jej dawnego amanta, Filipa Burgundzkiego, nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Tak jakby to ciało innej kobiety, a nie jej własne płonęło wtedy w ramionach pięknego księcia.

Tymczasem oczy zebranych skierowały się na konetabla, który ze spuszczoną głową i skrzyżowanymi na piersi ramionami trwał w głębokim zamyśleniu. Ciszę przerwał osiemdziesięcioletni biskup. Jego drżący głos zabrzmiał jak pęknięty dzwonek.

- Dwa razy już, wielmożny konetablu, usunąłeś od króla jego niegodnych faworytów. Czyż miałbyś się zawahać teraz, kiedy trzeba to uczynić po raz trzeci? Czymże różni się pan de La Tremoille od Piotra de Giaca, którego kazałeś wsadzić do worka i wrzucić do rzeki, albo od pana Camusa de Beaulieu, któremu kazałeś poderznąć gardło? Dlaczego więc La Tremoille ciągle jest przy życiu?

- Dlatego, że ten szakal potrafi się strzec. Ciągłe ma się na baczności, gdyż wie, że jest znieawidzony. Przysięgliśmy, że zginie, lecz nie jest to rzecz łatwa...

- Nie rozumiem, co was jeszcze powstrzymuje. To prawda, żyjesz z dala od dworu. Ale masz dosyć oddanych ludzi!

- La Tremoille otacza się tylko zaufanymi ludźmi, a król, którego nie odstępuje ani na krok, jest jego najlepszym strażnikiem - przerwał Richemont. - Od początku lata zamknęli się razem w fortecy w Amboise. Nie, to nie chęci nam brak, lecz środków!

Na takie dictum biskup zerwał się na równe nogi, nie mogąc opanować wzburzenia.

- Wprawny łucznik trafi do każdego celu! Kiedy La Tremoille wychodzi...

- On nigdy nie wychodzi! Jest taki gruby i ciężki, że żaden koń nie jest w stanie go udźwignąć. Podróżuje w zamkniętej karocy, otoczony strażnikami, i nawet w nocy nie zdejmuje kolczugi.

- Uderzcie w nocy!

- On nie korzysta z królewskich apartamentów, które uważa za niepewne. Na noc zamyka się w wieży, gdzie strzeże go pięćdziesięciu zbrojnych ludzi.

- A więc trucizna do posiłku! Richemont westchnął.

- Dania, które spożywa, i wino próbuje najpierw trzech oficerów królewskich - odpowiedział ponuro przyjaciel Richemonta, Pregent de Coetivy.

Pan de Bueil krzyknął ze złości, zerwał z nosa okulary i cisnął nimi o posadzkę.

- Czy tylko tyle masz nam do powiedzenia, panie konetablu? Czy przyznajesz się do swej niemocy, a może pan de La Tremoille jest diabłem wcielonym? Na rany Chrystusa! Toż to człowiek z krwi i kości, otoczony ludźmi słabymi i przekupnymi, którzy sprzedadzą swoje przywiązanie za garść złota!

- Ja osobiście strzegę się przywiązania, które można kupić, wielbny biskupie. Potrzebny nam jest człowiek nie tylko zdolny do poświęcenia, ale i gotowy poświęcić swoje życie, gdyż trzeba uderzyć prawie że na oczach króla, a śmiałek nie wyjdzie z tego żywy. A więc, panowie, który spośród was gotów jest wbić swój sztylet w gardło La Tremoille'a i umrzeć natychmiast od ciosów strażników?

Na pytanie konstabla odpowiedziała głęboka cisza. Rycerze spoglądali na siebie z zakłopotaniem. Serce Katarzyny napełniło się gniewem. Byli wśród nich najdzielniejsi z dzielnych, a jednak żaden z nich nie wystąpił do przodu, każdy pragnął walczyć w blasku dnia, w chwale i szczęku broni, wśród łopotania chorągwi, lecz zabijać w cieniu, uderzyć z zasadzki po to, aby zginąć pod ciosami służby, tego ich duma nie mogła znieść. A może nie ucierpieli wystarczająco od La Tremoille'a? Inaczej niczego bardziej by nie pragnęli niż jego głowy, i to za każdą cenę!

Ich zamki nie spłonęły, ich nazwiska nie zostały zbrukane i żaden z nich nie utracił najdroższej sercu istoty!

Katarzyna poczuła w ustach gorzki smak żółci, a całym jej ciałem wstrząsnęła bezsilna złość i kiedy królowa głosem zdradzającym głębokie niezadowolenie powiedziała: „Ależ, mości panowie, musicie podjąć męską decyzję”, wstała z miejsca i uklękła przed tronem.

- Za pozwoleniem Waszej Wysokości, ja jestem gotowa podjąć się zadania, przed którym uchylają się ci rycerze! Nie mam już nic do

stracenia oprócz własnego życia... a ono nie ma dla mnie żadnego znaczenia, jeśli mogę pomścić mego ukochanego męża. Racz tylko pamiętać, pani, o moim synu i opiekować się nim.

Wokół Katarzyny podniosła się wrzawa. W jednej chwili wszyscy panowie podbiegli do schodów, na których klęczała Katarzyna, a każdy z nich zaciskał dłoń na rękojeści szpady.

- Niechaj Bóg mi przebaczy! - krzyknął Piotr de Breze z przejęciem.
- Wydaje mi się, że pani de Montsalvy uważa nas wszystkich za tchórzki! Czy możemy dopuścić, aby nas tak znieważała?

Ze wszystkich stron odezwały się rozgniewane głosy, które przerwał lodowaty głos Katarzyny.

- Za pozwoleniem królowej i jaśnie pana konetabla, śmiem twierdzić, mości panowie, że szkoda tracić czas na próżną gadaninę! Nie chodzi o to, aby wyznaczyć najdzielniejszego z was, lecz aby na zimno zdecydować o śmierci człowieka i o tym, jakich środków należy do tego użyć. Otóż, mości panowie, żaden ze sposobów, o jakich tutaj wspomnieliście, nie wydał mi się dobry.

W tej chwili rycerze rozstąpili się, dając przejście człowiekowi zwanemu Tristanem Eremitą, który był koniuszym konetabla. Flamand z bladoniebieskimi oczami oraz zimną, niewzruszoną, zarazem pospolitą i pełną majestatu twarzą, miał około trzydziestu lat.

Zgiął kolano przed królową, czekając, aby mu pozwoliła mówić. Richemont rzucił pytające spojrzenie na Jolantę, po czym rzekł:

- Królowa pozwala ci mówić! Co masz do powiedzenia?
- To, co następuje: wielkiego szambelana nie można dopaść na zewnątrz, ponieważ w ogóle nie wychodzi; musi się więc to stać w siedzibie króla.

- Właśnie to stwierdziliśmy - powiedział Jan de Breze z niezadowoleniem. - Innymi słowy, jest to niemożliwe!

- Być może jest to niemożliwe w zamku Amboise - ciągnął Tristan Eremita, nie tracąc rezonu - ponieważ gospodarz jest po jego stronie, lecz byłoby to możliwe w zamku, którego właściciel byłby naszym sprzymierzeńcem, na przykład w Chinon. Jego zarządca, pan Raoul de Gaucourt, przyłączył się potajemnie do pana konetabla i jest mu całkowicie oddany!

Po plecach Katarzyny przebiegł zimny dreszcz; Raoul de Gaucourt... Dawny zarządca Orleanu! Człowiek, który nienawidził Joanny d'Arc i walczył z nią zajadle! Co takiego mógł mu uczynić La Tremoille, że tak radykalnie zmienił obóz?

- To byłoby możliwe, gdyby udało się sprowadzić króla, a wraz z nim La Tremoille'a do Chinon. Lecz wielki szambelan nie lubi Chinon, gdzie na każdym kroku żyje pamięć Dziewicy Orleańskiej, a mieszkańcy zachowali jej obraz w swych sercach. La Tremoille nigdy nie zgodzi się zawieźć tam króla, znając jego słabą naturę. Bałby się, żeby król nie usłyszał w Wielkiej Komnacie echa głosu Joanny! Nie wie, że Gaucourt jest nasz, lecz nigdy nie zgodzi się zabrać króla do Chinon!

- A jednak musi go tam zabrać! - krzyknęła Katarzyna.

- Czy nikt nie ma na niego żadnego wpływu? Każdy człowiek ma jakiś słaby punkt, który wystarczy wykorzystać. Jaki jest słaby punkt szambelana?

- Słusznie, szambelan ma dwie słabości: złoto i kobiety - rzucił Ambroży de Lore, wysoki rudzielec, który nigdy się nie uśmiechał. - Gdyby znalazła się taka kobieta, która zawróciłaby mu w głowie, być może

popęłniłby jakieś głupstwo - mówił, przyglądając się z bezczelną natarczywością Katarzynie.

Jego intencja była tak jasna, że opanowało ją nagłe uczucie buntu. Za kogo ją uważał ten cyniczny człowiek? Czy miał zamiar wprowadzić do łóżka La Tremoille'a żonę Arnolda de Montsalvy'ego? Powstrzymała się jednak od ostrej repliki, która cisnęła się na usta... A może to nie jest taka głupia myśl? Od zawrócenia w głowie mężczyźnie do oddania się mu jest długa droga, a kto wie czy...

Ale tok jej myśli przerwał gniewny głos Piotra de Brezego. On także, tak jak i wszyscy pozostali, pojął sens słów pana Ambrożego i rzucił się na niego czerwony ze złości.

- Jesteś szalony! Kogo masz na myśli? Zaslugujesz, żebym ci wsadził twoje bezczelne słowa do gardła, mimo że jesteś moim przyjacielem, gdyż nigdy nie dopuściłbym...

- Spokój, panie de Breze! - przerwała królowa. - W końcu nasz przyjaciel nie powiedział nic takiego, co mogłoby dotknąć panią de Montsalvy. Jedynie jego wzrok był niedyskretny. Zapomnijmy o tym!

- W każdym razie - powiedział Richemont - La Tremoille wystrzega się wielkich dam. Są zbyt inteligentne, a ponadto ich pozycja pozwala im na porównania, które nie zawsze są dla niego korzystne. On lubi kobiety rozpustne, kobiety sprzedajne, zręczne w rozlicznych grach miłosnych, a także piękne wieśniaczki, z którymi wyprawia, co mu się żywnie podoba.

- Zapominasz o młodych paziach, panie! - wtrącił sarkastycznie Tristan Eremita. - Teraz wielki szambelan delektuje się jeszcze czymś innym. Otóż od ponad miesiąca w fosach Amboise zainstalowała się grupa Egipcjan czy Cyganów. Mieszczanie boją się ich, gdyż oni kradną, przepowiadają przyszłość i potrafią rzucić urok. Z tego strachu są dla nich hojni.

Mężczyźni są kowalami lub grają na instrumentach. Kobiety tańczą. Niektóre z nich są bardzo piękne, a La Tremoille czasem każe przysłać którąś do zamku dla swoich uciech i sądzę, że to bardziej jego wola niż głód zatrzymuje tych ludzi w Amboise.

Katarzyna słuchała z wielkim zainteresowaniem mowy Flamanda, tym bardziej że zdawało się, iż zwraca się zwłaszcza do niej. Na razie nie mogła jednak zrozumieć, do czego zmierza.

- A więc sugerujesz - rzekł wyniośle Jan de Bueil - że mamy się zmówić z tymi dzikusami? Cóż za wspianiała gwarancja powodzenia! Każdy z nich sprzeda nas La Tremoille'owi za parę kur!

- W żadnej mierze, panie - odpowiedział Tristan ze wzrokiem utkwionym w Katarzynie. - Sądziłem, że kobieta inteligentna, sprytna i odważna, w odpowiednim przebraniu...

- Do czego zmierzasz? - przerwał Breze podejrzliwie.

Tristan wahał się z odpowiedzią, ale Katarzyna zrozumiała, co miał na myśli i dlaczego obawiał się reakcji innych rycerzy. Odgadła jego pomysł wówczas, kiedy zaczął mówić o Cyganach. Ta myśl bardzo jej się spodobała. Uśmiechnęła się do Flamanda i położyła dłoń na ramieniu pana de Breze.

- Sądzę, że zrozumiałam myśl pana Tristana - powiedziała spokojnie.

- Chciał powiedzieć, że jeżeli za wszelką cenę chcę zemścić się na La Tremoille'u, jestem najlepszą osobą do zagrania tej roli!

Na takie słowa zapanowała nieopisana wrzawa. Wszyscy panowie zaczęli krzyczeć jednocześnie, lecz dominował cienki głos biskupa. Tylko Ambroży de Lore nie odzywał się ni słowem, jedynie jeden z kącików jego ust rozciągnął się w czymś, co od biedy można było nazwać uśmiechem.

Królowa musiała podnieść głos.

- Uspokójcie się, mości panowie! - rzekła stanowczo. - Pojmuję wasze wzburzenie na tak hardą propozycję, ale krzyki są nam niepotrzebne. Jesteśmy w obliczu tak trudnej sytuacji, że najmniejsze szanse powodzenia... jak i najbardziej szalone, powinny być rozpatrzone z zimną krwią. Co do ciebie zaś, Katarzyno, czy zastanowiłaś się należycie nad swoimi słowami i pomyślałaś o niebezpieczeństwie, na jakie się narazisz?

- Wszystko obmyślałam, pani, i nie sędzę, aby było nie do przezwyciężenia. Jeśli mogę służyć tobie i królowi, mszcząc się za najdroższe mi osoby, będę uważała się za szczęśliwą.

Konetabl odszukał wzrok Katarzyny i wpił się weń swym błękitnym spojrzeniem niczym drapieżny ptak.

- Ryzykujesz życie na każdym kroku. Czy wiesz, że jeśli La Tremoille cię rozpozna, to nie ujrzysz świtu dnia następnego? Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wiem, panie - odparła z lekkim ukłonem - i przyjmuję to ryzyko! A ponadto chciałabym, abyś nie czynił go większym niż jest. Wielki szambelan prawie mnie nie zna. Byłam dwórką królowej Marii i rzadko znajdowałyśmy się w otoczeniu króla. La Tremoille widział mnie dwa lub trzy razy, zawsze w otoczeniu innych dam dworu i tylko przelotnie, tak iż nie może mnie rozpoznać, zwłaszcza w przebraniu.

- A więc doskonale! Na wszystko masz odpowiedź, pani! Podziwiam twoją odwagę.

Konetabl odwrócił się, chcąc powiedzieć coś do Tristana Eremity, ale przerwał mu Jan de Bueil.

- Zakładając, że przyjmiemy propozycję pani de Montsalvy i że pozwolimy jej zagrać tę niebezpieczną rolę, nie możemy mieć pewności,

że uczyni to w sposób dosyć przekonujący. Ci Cyganie mają swoje dziwne zwyczaje...

- Zwyczaje, które znam - przerwała mu Katarzyna. - Moja wierna towarzyszka, Sara, jest jedną z nich. Została ongiś sprzedana na targu niewolników w Wenecji.

- Lecz czy ci ludzie zgodzą się być naszymi współnikami? - spytał Piotr de Chaumont. - Są dzicy i wolni.

Na wąskich wargach Flamanda pojawił się uśmiech, w którym czaiła się groźba.

- Ale kochają złoto i boją się kata. Wystarczy nastraszyć ich sznurem i obiecać ładną sumkę. A do tego ta Sara jest jedną z nich i z pewnością zostanie dobrze przyjęta... Jeśli pozwolisz, panie konetablu, ja sam chciałbym zaprowadzić panią Katarzynę do obozu Cyganów. I będę utrzymywał z wami łączność.

- Sądzę, że ten plan jest dobry - odparł konetabl. - Zgadzam się. Czy ktoś ma coś przeciwko niemu?

- Nie, nic - odparł biskup. - Boimy się tylko, że tak szlachetna i uczciwa pani ryzykuje swą duszę i ciało w niebezpiecznym przedsięwzięciu...

- Nie ma obawy, Wasza Świątobliwość - rzekła Katarzyna. - Umiem się bronić.

- Ale jest jedna sprawa, którą chciałbym wyjaśnić - nalegał biskup. - Jak uda ci się zmusić La Tremoille'a, aby opuścił Amboise i udał się do Chinon? Lubi Cyganki, zgoda, lecz nie sądzę, by pozwalał im sobą rządzić. A ty nie będziesz w jego oczach nikim więcej niż jedną z nich...

Katarzyna roześmiała się i jej śmiech w cudowny sposób rozchmurzył ponure czoła rycerzy.

- Co do tego, mam pewien pomysł, lecz pozwól, Wasza Świątobliwość, że go teraz nie wyjawię. Wiedz tylko, że mam zamiar wykorzystać najsilniejszą słabość szambelana: umiłowanie złota!

- A więc niechaj Bóg cię prowadzi, moja córko! Będziemy modlić się za ciebie.

I podał Katarzynie do ucałowania lewą dłoń, na której lśnił wielki szafir, a prawą uczynił na jej czole znak krzyża.

Serce Katarzyny bilo jak bęben. Nareszcie nadszedł czas walki, czas spotkania z szakalem w jego własnej norze!

- Panowie - zabrzmiał uroczyście głos królowej - zanim się rozstaniemy, przysięgnijcie, że wiernie strzec będziecie naszego sekretu i że nie ustaniecie w wysiłkach, dopóki człowiek, któremu przysięgliście śmierć, będzie przy życiu! Przysięgnijcie i niech nas wspomaga Matka Boska i Jezus Chrystus!

Rycerze wyciągnęli prawe ręce nad krzyżem z szafirów, który biskup zdjął z szyi.

- Przysięgamy! - zakrzyknęli jednocześnie. - La Tremoille zginie albo my zginiemy!

Potem, jeden za drugim, podchodzili do królowej i przyklękając na jedno kolano, całowali jej dłoń, po czym wychodzili z wielkiej sali.

Jedynie Richemont i Tristan Eremita pozostali, aby omówić szczegóły wyprawy. Królowa rozmawiała z konetabłem, a Katarzyna podeszła do Flamanda.

- Chciałam ci podziękować - powiedziała cicho. - Twój koncept uratował nas wszystkich i sędzę, że to znak przeznaczenia. Nie mogłeś przecież wiedzieć, że moja służąca...

- A jednak wiedziałem, pani - odpowiedział Tristan. - Nie dziękuj mi! To nie ja wpadłem na ten koncept, lecz ty sama mi go podsunęłaś!

- Wiedziałaś? Ale skąd?

- Wiem zawsze to, co chcę wiedzieć! Lecz nie obawiaj się: będę służył ci tak samo wiernie, jak służyć konetablowi!

- Dlaczego? Wcale mnie nie znasz!

- To prawda, ale nie muszę spotkać kogoś dwa razy, aby poznać jego wartość. Będę ci służył z prostej przyczyny: mam na to ochotę!

Zagadkowy Flamand opuścił Katarzynę i zbliżył się do konetabla, zostawiając kobietę z jej myślami. Kim był ten dziwny człowiek, zwykły koniuszy, który potrafił dowiedzieć się o niej wszystkiego? Było w nim coś niepokojącego, lecz Katarzyna zdecydowała się przyjąć go jako towarzysza przygody.

Spieszno jej było do Sary, poprosiła więc o pozwolenie odejścia. Wychodząc z sali, natknęła się na Piotra de Brezego. Wydawał się niezwykle poruszony.

- Łaskawa pani - zwrócił się do niej drżącym głosem. - Czy możesz ofiarować mi kilka chwil rozmowy? Mam ci wiele do powiedzenia!

- Aż tyle? - spytała ironicznie Katarzyna. - Myślałam, że wszystko już sobie powiedzieliśmy wczoraj wieczorem!

Na wspomnienie tamtego spotkania Breze zawstydzził się i Katarzyna pomimo urazy zauważyła, że ten kolos - czerwieniący się jak dziecko - jest czarujący, a przy tym przystojny jak młody Bóg. Poczula, że jej uraza znika jak za dotknięciem różdżki. Spojrzała na niego już nie tak surowo, a nawet przyjęła jego dłoń. Podeszli do okna. Katarzyna usiadła na kamiennej ławie i podniosła oczy na olbrzyma.

- A więc słucham! Co masz mi do powiedzenia?

- Najpierw chciałem przeprosić cię, pani, za wczoraj. Wpadłem do tego pokoju, bo zazwyczaj ja go zajmuję. Nie wiedziałem, że jest zajęty.

- Wobec tego przebaczam ci. Czy o to ci chodziło?

Piotr de Breze nie odpowiedział od razu. Stał, mnąc nerwowo końce żupana.

- Muszę ci coś wyznać - wyrzucił wreszcie z siebie, nie próbując nawet podnieść oczu na Katarzynę.

Piotr de Breze nie spotkał dotąd równie pięknej kobiety, a blask jej fiołkowych oczu tak onieśmiał tego człowieka, przed którym uciekli lord Scales i Thomas Hampton, że nie był w stanie wymówić słowa.

- Słucham - rzekła spokojnie Katarzyna.

Zacisnął dłonie, nabrał powietrza jak pływak rzucający się do wody i rzekł:

- Pani, odrzuć myśl o planie, nie idź tam! Po co ci to? Chcesz, aby La Tremoille zginął? Przysięgam, że pójdę tam sam i w obliczu króla zadam mu śmiertelny cios w twoim imieniu!

- To by było wystawienie się na pewną zgubę. Król kazałby cię wrzucić do lochu i stracić!

- Co mi tam! Wolę to, niż widzieć, jak narażasz życie! Na litość boską... zrezygnuj z tego! Miej litość dla siebie... i dla mnie! Nie umiem dobierać słów, jestem niezręczny... - ale wiesz już, że cię kocham, nie muszę ci tego mówić...

- I kochając mnie, chcesz dla mnie umrzeć? Piotr upadł do jej stóp, wznosząc na Katarzynę przepelnione uczuciem oczy.

- Niczego nie pragnę bardziej! - wyszeptał.

- A ja chcę, abys żył! Musisz wiedzieć, że to, co mnie popycha do tego czynu, to pamięć człowieka, którego nazwisko noszę, jedyne go człowieka, którego kochałam i zawsze będę kochać!

- Och! Nie mam nadziei, że kiedyś mnie pokochasz - westchnął. - Widywałem często kapitana de Montsalvy'ego, kiedy jeszcze byłem zwykłym paziem, a potem koniuszym, i podziwiałem go jak żadnego innego rycerza. A także zazdrościłem mu. Był taki, jaki ja chciałem być: silny, odważny, pewny siebie! Która kobieta, mając miłość takiego mężczyzny, chciałaby drugiego?... Ja wcale nie mam złudzeń...

- A jednak - przerwała Katarzyna, nie chcąc dać poznać po sobie wzruszenia - każda kobieta mogłaby być dumna, kochając cię.

- Ale w porównaniu z nim jestem niczym? Czy to chciałaś mi dać do zrozumienia przed chwilą? Czy kochałaś go do tego stopnia?

Na wspomnienie utraconego szczęścia serce Katarzyny nappełniło się bólem. Jej ciałem wstrząsnął szloch, a po policzkach popłynęły łzy.

- Nadal kocham Arnolda najbardziej na świecie! Oddałabym życie i zbawienie mej duszy za jedną choćby godzinę z nim. Widzisz więc, że niczego przed tobą nie ukrywam. Przed chwilą mówiłeś mi o niebezpieczeństwie, na jakie się narażę. Wiedz zatem, że gdybym nie miała syna, już dawno szukałabym śmierci...

- A więc widzisz, pani, że musisz żyć! Pozwól mi sobie pomóc, chcę być twym przyjacielem i obrońcą. Jesteś taka bezbronna, taka delikatna. Przysięgam, że nie będę ci się narzucać ze swoją miłością, niczego nie będę żądać, pozwól mi tylko, abym został twoim rycerzem. Wyjdź za mnie! Mam dobre nazwisko, fortunę... i wiele ambicji.

Katarzyna była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Jesteś szybki, panie rycerzu! - rzekła, wstając z ławy. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy!

- Ja mam prawie dziesięć lat więcej!

- Cóż to szkodzi! Masz wygląd młodej dziewczyny i jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek nosiła ziemia! Czy chcesz, czy nie, będziesz damą mego serca i odtąd będę nosił tylko twoje barwy!

- Moje barwy to barwy żałoby, panie... Czy zanim mnie spotkałeś, nie miałaś damy serca?

Ku wielkiemu zdumieniu Katarzyny Piotr de Breze zrobił okropny grymas i krzywiąc się, powiedział z wyraźną niechęcią:

- Damy nie mam, nie! Mam narzeczoną. Nazwa się Joanna de BecCrespin i... jest taka brzydka, że nie mogę tego opisać.

Katarzyna wybuchnęła śmiechem i atmosfera od razu stała się mniej napięta. Piotr także się roześmiał. Katarzyna spontanicznie wyciągnęła do niego obie dłonie, w których rycerz ukrył twarz.

- Pilnuj narzeczonej, Piotrze, a dla mnie zachowaj przyjaźń. Bardzo jej potrzebuję.

Rycerz rzucił na nią spojrzenie pełne nadziei.

- Czy mogę czuwać nad tobą, nosić twe barwy i bronić cię?

- Oczywiście! Jednakże pod warunkiem, że nie uczynisz nic, co mogłoby przeszkodzić moim planom. Przyrzekasz?

- Przyrzekam... - odparł rycerz bez specjalnego entuzjazmu. - Ale będę czuwać w Amboise przez cały czas, gdy ty tam będziesz, a gdyby stało ci się coś złego...

Twarz Katarzyny spoważniała, oczy pociemniały, a w kącikach ust pojawiła się zmarszczka zaciętości.

- Jeśli zginę, wykonując zadanie, i jeśli naprawdę mnie kochasz, wtedy zrób to, co mi zaoferowałeś. Jeśli umrę, zabij ze względu na pamięć o mnie wielkiego szambelana! Zrobisz to?

Piotr de Breze wyciągnął szpadę i zacisnąwszy dłoń na rękojeści, wyrzucił z siebie jednym tchem:

- Przyrzekam na święte relikwie znajdujące się w tej szpadzie!
Przyrzekam!

Rozdział szósty

Mistrz Wilhelm

Wchodząc do pokoju, Katarzyna ze zdziwieniem ujrzała, że Sara bierze się za łby z Tristanem Eremitą. Jej wrzaski słyhać było aż na schodach, za to Flamand odpowiadał jej o wiele spokojniej. Przybycie Katarzyny przerwało szarpaninę. Sara, czerwona ze złości, miała przekrzywiony czepek.

- Co tu się wyprawia? - spytała Katarzyna. - Wasze krzyki słyhać aż na galerii!

- Ja nie podnosiłem głosu, pani! - tłumaczył się Tristan.

- To mi nie wyjaśnia przyczyny waszej zwady. A zresztą... nie wiedziałam, że się znacie.

- Poznaliśmy się przed chwilą - wyjaśnił Flamandczyk bez entuzjazmu. - I muszę ci od razu zakomunikować, łaskawa pani, że twoja służąca nie zgadza się z naszymi planami.

Te słowa jeszcze bardziej podsyciły rozjątrzenie Sary, które tym razem obróciło się przeciw Katarzynie.

- Jesteś szalona! Chcesz przebrać się za Cygankę i w takim stroju zbliżyć się do szambelana? Powiedz mi po co? Żeby tańczyć przed nim jak Salome przed Herodem?

- W rzeczy samej! Z tą wszakże różnicą, że stawką będzie jego własna głowa! Doprawdy zadziwiasz mnie, Saro. Myślałam, że ucieszysz się, mogąc odwiedzić swoich.

- Nie ma żadnej pewności, że to są ludzie z mego plemienia. Ja nie należę do każdego wędrownego szczepu. Jestem z potężnego plemienia Kalderas, które kiedyś wędrowało za hordami Czyngis Chana, i nie ma żadnego dowodu na to, że ludzie obozujący pod Amboise są z z nim spokrewnieni.

- Żeby to sprawdzić, najlepiej do nich pójść! - przerwał Tristan.

- Nie wiesz, co mówisz. Ci Cyganie to mogą być Dżaci, a oni mnie nie przyjmą...

- Dostyc tego! - przerwała zniecierpliwiona Katarzyna. - Ja udam się do Cyganów z panem Eremitą. Ty możesz zostać tutaj. Kiedy ruszamy, panie?

- Jutro w nocy.

- Dlaczego nie tej nocy?

- Dlatego, że tej nocy czeka nas inne zadanie. Czy mogę cię prosić, pani, abyś zdjęła nakrycie głowy?

- A może jeszcze suknię? - rozzłościła się Sara. - Toaleta damy nie jest przeznaczona dla męskich oczu!

- Toteż nie chcę cię zastąpić. Muszę tylko coś zobaczyć.

Katarzyna posłusznie wyciągnęła szpilki, które podtrzymywały jej stroik, i rozpuściła włosy, które złotym deszczem opadły na ramiona.

- Szkoda, że nie są dłuższe... To może wydać się dziwne, gdyż wszystkie te diabelskie Cyganki mają długie, czarne włosy sięgające do pasa...

W jednej sekundzie Sara skoczyła Tristanowi do oczu, krzycząc, że ona także jest taką „diabelską Cyganką” i żeby miał się na baczności.

Katarzyna z trudem odciągnęła rozjuszoną kobietę od jej ofiary.

- No, uspokój się, Saro! Pan Eremita nie chciał cię obrazić!

Powiedział, co mu ślina na język przyniosła. Nieprawdaż, Tristanie?

- Właściwie... - tłumaczył się Tristan bez większego przekonania. - Mój język był zbyt szybki, ot co! Ale wracajmy do twoich włosów, Katarzyno.

- Obcięłam je jakiś rok temu. Czy to wielka przeszkoda?

- Nie, nie. Nie mamy wiele czasu! Czy możesz udać się ze mną na wyprawę do miasta dziś wieczorem, Katarzyno?

- Tam gdzie ona, tam i ja! - oświadczyła Sara. - I chciałabym poznać takiego, który mi w tym przeszkodzi!

Flamandczyk ciężko westchnął i spojrzał krzywo na Cygankę.

- Jeśli musisz... Podobno umiesz trzymać język za zębami. A więc czy pójdziesz ze mną, Katarzyno?

- Oczywiście! Przyjdź po nas, kiedy nadejdzie stosowna chwila.

Będziemy na ciebie czekać! Dokąd pójdziemy?

- Nie zadawaj żadnych pytań i postaraj się mi zaufać!

Sara, mile połączona komplementem Tristana, uspokoiła się i zabrała do czesania swojej pani. Przez chwilę Flamandczyk przyglądał się zręcznym rękóm Cyganki uwijającym się wokół głowy Katarzyny.

- Dziś wieczorem trzeba będzie włosy ukryć, a jutro najstosowniejszy będzie męski strój - powiedział Tristan.

W tej chwili Sara upuściła grzebień i spinki, stanęła przed Flamandczykiem podpierając się pod boki i przytknąwszy swój nos do jego nosa, wycedziła:

- Nie licz na mnie, mój chłopcze! Możesz przynieść męski strój dla pani - a myślę, że ona to lubi - lecz jeśli chodzi o mnie, to żadna siła nie zmusi mnie nigdy więcej do wciskania się w te śmieszne rury, które nazywacie getrami, ani w te nie mniej śmieszne krótkie tuniki nazywane żupanami. Jeśli chcecie, abym przebrała się za mężczyznę, znajdźcie mi mnisi habit. Przynajmniej można się w nim ruszać!

Tristan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz widząc Sarę w tak bojowej postawie, uśmiechnął się tylko, po czym oznajmił:

- Właściwie nie jest to zły pomysł... A więc do wieczora, Katarzyno!

* * *

Dawno przebrzmiały dźwięki dzwonów na Anioł Pański, kiedy Katarzyna, Tristan i Sara opuścili zamek i zagłębili się w dzielnicę handlową otaczającą katedrę Świętego Maurycego. Wszystkie okiennice były pospuszczane, tylko przez szpary można było tu i ówdzie dostrzec światło świecy lub lampki oliwnej. Miasto, nad którym królowały strzeliste wieże katedry, wkrótce miało zagłębić się we śnie.

Trzy cienie przesuwaly się bezszelestnie wąskimi uliczkami. Katarzyna i Sara odziane w ciemne płaszcze, z głowami ukrytymi w kapturach, były prawie niewidoczne na tle czarnych murów. Tristan

nasunął na oczy wielki, czarny kapelusz, osłaniając się od deszczu. Bruk był śliski, a w powietrzu unosiła się woń ryb.

- To ulica Rybaków - objaśnił. - Wkrótce będziemy na miejscu.

Kobiety przyśpieszyły kroku. Niebawem zapach ryb zastąpiła mdła woń atramentu i kleju. Byli na ulicy Wytwórców Pergaminu. Wokół panowały ciemności, tylko z jednego okna przenikały wąskie strużki światła. Tristan zatrzymał się przed tym oknem, a raczej przed drzwiami znajdującymi się tuż poniżej. Oczom Katarzyny, przyzwyczajonym do ciemności, ukazał się krzywy, jakby zgarbiony dom zbudowany z kamienia. Drzwi były niskie, lecz solidnie wzmocnione żelaznymi ćwiekami. Nad nimi wisiał szyld przedstawiający kartkę pergaminu o lekko zawiniętych rogach.

Tristan chwycił za kołatkę i powoli, trzy razy, zastukał. Po chwili dobiegł ich cichy odgłos kroków. Drzwi otworzyły się bez hałasu i na progu ukazała się drobna staruszka w popielatej sukience, białym fartuszką i białym czepku.

- Mistrz Wilhelm czeka na ciebie, panie, i na was, szlachetne panie!

W głębi wąskiego korytarza widać było schody oświetlone lampką oliwną. Nagle dał się słyszeć gromki głos dochodzący z góry.

Katarzyna zadrżała. Ten głos był podobny do głosu Waltera! Jednak gdy po chwili jego właściciel ukazał się na schodach, okazało się, że nie ma ani włosów, ani brwi, ani brody, za to jego policzki i czoło usiane są dziwnymi czerwonymi plamami. Spod nasuniętego na czoło czarnego beretu spoglądały przekrwione, zmęczone oczy. Katarzyna musiała powstrzymać odruch obrzydzenia na widok tak odpychającej istoty. Maszkara przypatrywała się jej uparcie, zacierając ręce i bez przerwy oblizując spieczzone wargi.

- A więc to jest ta dama, której skóra ma pociemnieć... Najpierw wsadzimy ją do kąpieli... a potem zajmiemy się włosami...

Katarzyna cofnęła się odruchowo, a Sara zmarszczyła brwi.

- Do kąpieli? - wystraszyła się. - Ale ja...

- To konieczne! - odparł mistrz Wilhelm z wielkim namaszczeniem. - Twoja skóra musi zmienić kolor!

Sytuacja stała się napięta i Tristan zrozumiał, że czas wkroczyć do akcji.

- To będzie kąpiel ziołowa, pani Katarzyno, która nie może nikomu zaszkodzić. Sara pani pomoże. Myślę jednak, że najpierw muszę ci przedstawić mistrza Wilhelma. Od lat zajmuje się sztuką zdobniczą i jest jednym z najlepszych w tym zawodzie we Francji. Oprócz tego, przez długi czas był jednym z najwyśmienitszych członków Bractwa Męki Pańskiej, które w Paryżu wystawiało przepiękne misteria. Sztuka makijażu i zmiana wyglądu nie mają przed nim tajemnic. Niejedna szlachetnie urodzona z Angers, widząc swe siwiejące włosy, dyskretnie ucieka się do jego pomocy.

Człowieczek ciągle zacierał ręce, słuchając z przymkniętymi powiekami mowy pochwalnej Flamandczyka. Katarzyna, której przez moment wydawało się, że trafiła do gniazda czarownic, teraz trochę się uspokoiła i chcąc okazać nieco uprzejmości, zaczerpnęła powietrza i spytała:

- A teraz nie wystawiasz misteriów?

- Wojna, szlachetna pani, i nędza panująca w Paryżu rozproszyły nasze bractwo. Ponadto z moim wyglądem wolę się nie pokazywać na deskach scenicznych...

- Miałeś wypadek, panie? Wilhelm zachichotał nerwowo.

- Niestety! Pewnego dnia, kiedy wcielałem się w postać szatana i poruszałem się wśród płonących żywicą pochodni przedstawiających piekło, mój kostium się zapalił. Byłem na granicy śmierci... ale udało mi się przeżyć... w stanie takim, jak widzisz... Pozostała mi moja sztuka zdobnicza i rady, których udzielam, kiedy jakaś trupa daje przedstawienie. A teraz chodź ze mną, szlachetna pani. Kąpiel czeka i nie należy dopuścić, żeby wystygła.

Czarownik ruszył przodem, prowadząc Katarzynę do swojej pracowni. Było to przytulne pomieszczenie, wypełnione zwiniętymi rulonami pergaminu, pełne słoików z kolorowymi farbami, pędzli cienkich jak włoski zrobionych ze świńskiego włosa lub z sierści kuny leśnej. Na pulpicie leżała wielka stronica mszału, na której złotym tle mistrz Wilhelm malował miniaturę Ukrzyżowania. Wzrok Katarzyny zatrzymał się na zaczętych dziełach.

- Jesteś, panie, wielkim artystą - powiedziała z przejęciem.

W zmęczonych oczach mistrza Wilhelma błysnęła duma.

- Szczera pochwała jest zawsze miła sercu - odparł. - Tędy, szlachetna pani.

Mały gabinet, do którego weszli po odsunięciu zasłony, tym razem przypominał całkowicie gniazdo czarownic. Wokół paleniska z cegieł, przy którym stała wielka balia pełna gorącej, ciemnej wody, walało się mnóstwo słoików, retort oraz wypchanych zwierząt.

Katarzyna spojrzała nieufnie na brunatny płyn, w którym miano ją zanurzyć.

- Co wsypaliście do wody? - spytała podejrzliwie.

- Zioła, same zioła - odpowiedział z kamiennym spokojem mistrz Wilhelm. - Pozwolicie, że ich skład pozostanie moim sekretem. Mogę

tylko powiedzieć, że są wśród nich także łupiny z orzechów... Teraz, piękna pani, musisz się w nich zanurzyć aż po szyję i polewać twarz jak najczęściej. Po kwadransie efekt gotowy!

- I jak będę wtedy wyglądać?

- Będiesz miała ciało tak śniade jak ta szacowna osoba, która ci towarzyszy.

- I... już na zawsze taka zostanę? - zaniepokoiła się Katarzyna, wyobraziwszy sobie minę teściowej i małego Michała, gdyby ją ujrzeni przemienioną w Cyganke.

- Nie, nie obawiaj się. Kolor będzie stopniowo znikał. Po dwóch miesiącach nie zostanie ani śladu. Pośpiesz się, bo woda stygnie!

Po tych wyjaśnieniach mistrz, jakby niechętnie, ruszył ku wyjściu. Sara zasunęła starannie zasłony, zasłoniwszy swoimi szerokimi plecami szparę, która przecież mogła pozostać. Katarzyna rozebrała się szybko i zamknąwszy oczy, zanurzyła się w tajemniczej kąpieli. Jej nozdrza napęliły się słodką, lecz równocześnie pieprzową wonią. Woda była miła i ciepła i obrzydzenie Katarzyny nagle zniknęło. Wstrzymując oddech i zamykając oczy, zanurzyła głowę raz, dwa razy, dziesięć razy.

- No i jaka jestem? - spytała niespokojnie Sarę, która podała jej suche prześcieradło.

- Teraz można cię wziąć za moją córkę! Niesamowite! Trzeba tylko zrobić coś z twoimi jasnymi włosami.

Do uszu kobiet doszedł głos mistrza.

- Skończyłyście? Ale jeszcze się nie ubieraj, poplamiałabyś ubranie!

Owinięta prześcieradłem Katarzyna przeszła do pomieszczenia obok, gdzie czekali na nią obaj mężczyźni. Na trójnogu stała miska pełna gęstej,

czarnej mazi. Mistrz wskazał Katarzynie taboret z czerwoną poduszką, a gdy usiadła, pokrył jej włosy mazią o mocnej, nieprzyjemnej woni.

Tristan skrzywił się, ściskając sobie nos.

- Co za okropieństwo! Czy kobieta może być pociągająca, wydzielając podobny smród?

- Kiedy balsam zadziała za około godzinę, umyjemy włosy, pozabawiając je przykrej woni.

- Z czego jest zrobiony?

- Z galasówki, rdzy, rzymskiego wiotriolu i baraniego mięsa.

Wszystkie te składniki zostały roztarte, przedestylowane i zmieszane z łożem.

- O, szalony! Rzymski wiotriol może ją zabić! - krzyknęła Sara.

- Uspokój się, kobieto! We wszystkim trzeba umieć zachować właściwą miarę! Każda trucizna jest śmiertelna, jeśli zostanie użyta w nieodpowiedniej ilości...

Długie palce mistrza pieściły delikatnie włosy Katarzyny. Masując jej płową głowę, mówił sam do siebie:

- To prawdziwa zbrodnia, żeby czernić tak jasne, błyszczące włosy, ale nie zaszkodzi to urodzie pięknej pani. Będzie jeszcze bardziej pociągająca...

- A czy ten czarny kolor wyblaknie również? - spytała Katarzyna.

- Niestety, nie! Włosy muszą odrosnąć i stopniowo można będzie przycinać czarne końce.

- Ja się tym zajmę! - rzuciła Sara.

Katarzyna powstrzymała westchnienie. Nie żeby żałowała nowego poświęcenia, nie! Ale myśl, że będzie musiała obciąć włosy, była dla niej przykra.

Przez całą godzinę trzymała na głowie balsam, którego wyziewy paliły jej oczy i skórę. Aby ją rozerwać, Wilhelm wziął w ręce wiołę i delikatnie trącając struny, zanucił półgłosem:

Drży ostatni liść

Jesień żniwo zbiera

U cmentarza bram

Zimne serce me...

Piosenka była smutna, muzyka łagodna, a mały człowieczek oddawał się swej muzyce zupełnie. Katarzyna zapomniała o całym świecie. Tristan i Sara siedzieli zasłuchani. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony, mistrz Wilhelm odłożył wiołę na bok i rzekł:

- Czasami wzywa mnie królowa, kiedy źle się czuje, i prosi, żebym jej zaśpiewał. Znam wiele ballad i pieśni z jej rodzinnej Aragonii. Lubię dla niej śpiewać, bo to szlachetna pani o wielkim sercu.

Mówiąc, usuwał balsam z włosów Katarzyny. Potem umył je i energicznie wysuszył. Były kruczoczarne. Następnie wyjął z kuferka małe zawiniątko, w którym znajdowały się długie, czarne pasemka włosów, i zaczął upinać je we włosach Katarzyny, pokazując Sarze, jak należy to robić.

- Z wiekiem włosy rzędą, a ten fortel pozwala na zachowanie bujnej fryzury.

Potem nabrał trochę czarnej maści z małego srebrnego puzderka i posmarował nią brwi i rzęsy swej ofiary.

- Są ciemne i grube, ale trzeba je trochę przyczernić. Czy wiesz, pani, że bardzo ci w tym do twarzy? - spytał mistrz, podając Katarzynie małe, okrągłe lustro.

Katarzyna spojrzała na swe odbicie i krzyknęła zaskoczona. To była ona sama, a jednocześnie ktoś inny. Jej fioletowe oczy w czarnej oprawie rzęs i brwi zdawały się jeszcze bardziej niezgłębione, na opalonej twarzy usta zdawały się czerwiejsze, a zęby bielsze. Była inna, zniewalająco frywolna i niebezpieczna. Tristan przyglądał się jej, nie ukrywając zadowolenia.

- Nie oprze ci się! - stwierdził z przekonaniem w głosie. - Dobra robota, mistrzu Wilhelmie! Weź to... i trzymaj język za zębami!

Podał mu pękatą sakiewkę, lecz, o dziwo, gospodarz odepchnął wyciągniętą dłoń.

- Jak to, odmawiasz przyjęcia zapłaty za swój trud?

- Nie... nie, panie, lecz nie w taki sposób! - Odwrócił się w stronę Katarzyny, która nadal przeglądała się w lusterku. - Złota mam pod dostatkiem, lecz... jeśli piękna pani pozwoli mi pocałować swą dłoń, będę się czuł wynagrodzony stokrotnie.

Katarzyna, nie zastanawiając się i zapominając o obrzydzeniu, jakie w niej na początku wzbudził ten człowieczek, wyciągnęła w jego kierunku obie dłonie.

- Dziękuję ci, mistrzu Wilhelmie! Oddałeś mi przysługę, której nigdy nie zapomnę!

- Skromny zakamarek w najdalszym zakątku twojej pamięci uczyni ze mnie najszczęśliwszego z ludzi! I znikome miejsce w twoich modlitwach... gdyż bardzo ich potrzebuję. - To mówiąc, wręczył Katarzynie małe, srebrne puzderko z czarną maścią, potem drugie, podobne, zawierające

gęsty, czerwony krem i malutką flaszeczkę. - Czerwienią ożywisz swe wargi. Córy bohemy mają ogień pod skórą, twoje usta zaś są zbyt blade. We flaszeczce są mocne perfumy. Używaj ich z umiarem, gdyż jedna ich kropla wystarczy, aby rozpaść każdego mężczyznę!

* * *

Dochodziła północ, kiedy Katarzyna i jej towarzysze stanęli u bram zamku. Nie spotkali po drodze żywej duszy oprócz czarnego kota, który z przeciągłym miauknięciem przebiegł im drogę, na co Sara przeżegnała się pośpiesznie.

- Zły znak... - wymamrotała.

Katarzyna postanowiła jej nie słuchać. Po opuszczeniu domu mistrza Wilhelma poczuła, że jest inną kobietą. Teraz musi przybrać jeszcze nowe nazwisko. Katarzyną de Montsalvy stanie się na powrót po spełnionej zemście... Wtedy, za pomocą alkoholu etylowego, jak radził mistrz Wilhelm, zetrze resztki makijażu, obetnie czarne włosy, które teraz wydały jej się tak samo sztuczne jak pasemka dopięte przez mistrza, i wróci do Owernii, by żyć blisko ukochanego...

Kiedy wróciła do swego pokoju, zrzuciła odzienie i stanęła przed dużym polerowanym lustrem, w którym mogła zobaczyć całą swoją sylwetkę. Jej skóra była tak ciemna jak skóra Sary, a przy tym gładka i delikatnie połyskująca w świetle lampki oliwnej. Ciało wydawało się szczuplejsze i bardziej sprężyste. Czerwone usta rozchyłały się jak egzotyczna orchidea, a ciemne oczy błyszczały jak gwiazdy pod czarnymi łukami brwi.

- Prawdziwa z ciebie diablica - wyszeptała Sara.

- I dopóty będę diablicą, dopóki człowiek, którego nienawidzę, nie zginie!

- A czy pomyślałaś o innych mężczyznach, których będziesz przyciągać i przed którymi nie obroni cię teraz ani twoje nazwisko, ani pozycja? Staniesz się tylko zwykłą Cyganką, którą można zgwałcić, powiesić albo spalić na stosie wedle gustu i upodobania, a zarazem istotą niebezpieczną, przekłątą.

- Wiem. I będę się bronić wszelkimi sposobami. Użyję wszystkich środków, aby dojść do celu!

- A czy oddasz się mężczyźnie, jeśli zajdzie taka potrzeba?

- Nawet samemu katu, jeśli los tak zechce! Nie jestem już Katarzyną de Montsalvy, lecz dziewczyną twojej rasy. I nazywam się... No, właśnie... Jak mnie nazwiesz?

Sara zamyśliła się na chwilę, po czym oznajmiła:

- Tchalai... To znaczy „gwiazda” w naszym języku... Dopóki jednak tam nie dotrzemy, będziesz dla mnie Katarzyną! Nie, nie podoba mi się to wszystko!

Katarzyna odwróciła się i ze złością krzyknęła:

- A myślisz, że mnie się to podoba? Ale nie zaznam spokoju, dopóki nie pomszczę Arnolda, spalonych dóbr Montsalvy i mego syna! Inaczej moje życie nie będzie nic warte!

* * *

Rankiem Katarzyna siedziała posłusznie na taborecie i poddawała się zabiegom Sary, która przyczepiała jej sztuczne pasemka, kiedy zapukano do drzwi. Na progu stanął Tristan Eremita. Zrobiwszy kilka kroków, znalazł się w kręgu światła padającego z okna na posadzkę. Był blady jak papier i z ledwością mógł wymówić słowo.

- Co ci się stało? - zaniepokoiła się Katarzyna.

- Mnie nic... Ale tej nocy mistrz Wilhelm został zasztyletowany w swoim domu... Służąca odkryła ciało nad ranem, kiedy poszła go obudzić... przed śmiercią był torturowany...

Nastąpiła straszliwa cisza. Katarzyna poczuła, że słabnie, lecz znalazła jeszcze dosyć siły, aby spytać:

- Czy myślisz, że to przez nas?

Tristan nie odpowiedział, tylko opadł ciężko na taboret. Jego twarz postarzała się nagle o dziesięć lat. Sara wlała trochę wina do kubka i podała go Flamandczykowi.

- Pij, to ci dobrze zrobi.

Tristan wypił wino jednym haustem.

- Odpowiedz szczerze, czy to z powodu wykonanej pracy?

Tristan wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Mistrz Wilhelm miał z pewnością nieprzyjaciół, gdyż zajmował się różnymi ciemnymi sprawkami. Niejedna dziewczyna oczekująca dziecka została przez niego uwolniona od kłopotu... Być może to tylko zbieg okoliczności...

- Jednak ty w to nie wierzysz?

- Uczciwie mówiąc, nie wiem. Chciałem się dowiedzieć, co w tej sytuacji postanowicie. Możecie zmienić decyzję, a w takim przypadku zwołam radę na nowo. - Wstał z miejsca, lecz Katarzyna powstrzymała go jednym szybkim gestem.

- Nie! Zostań! Przed chwilą wystraszyłam się, to prawda! Byłeś taki blady. Ale teraz wyglądasz już lepiej. Nie mam zamiaru się wycofać. Sprawy zaszły za daleko. Plan jest dobry i mam zamiar wykonać go do joty! Ty, jeśli taka jest twoja wola, możesz od nas odstąpić!

Na twarzy Flamandczyka pojawił się straszny grymas.

- Bierzesz mnie za tchórze, Katarzyno? Kiedy podejmuję się jakiegoś zadania, zmierzam prosto do celu, nie bacząc na nic! Jeżeli chcecie, możemy wyruszyć choćby dziś w nocy. Mam głąt, który otworzy przed nami bramy miasta. Lepiej, żeby nikt nie widział, jak opuszczamy zamek. Nie powinnaś też dzisiaj wychodzić ze swego pokoju. Odpoczywaj i nabieraj sił. Będą ci potrzebne. Królowa sama przyjdzie do ciebie po nieszpórach.

- A więc zgoda!

- W takim razie mogę powiedzieć panu de Brezemu, że jesteś cierpiącą i nie chcesz z nikim się widzieć? - spytał Tristan, wskazując palcem drzwi. - Od godziny chodzi tam i z powrotem.

- Powiedz mu, co ci się podoba, na przykład... że przyjmę go jutro.

Flamandczyk odpowiedział szerokim uśmiechem na uśmiech, którym obdarzyła go Katarzyna. Jedynie Sarze nie było do śmiechu.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że to prawdziwe gniazdo os?

Młoda kobieta wzruszyła tylko ramionami i odparła:

- Nie dbam o to!

Rozdział siódmy

Cyganie

Oto gniazdo, z którego musimy wykurzyć dziką bestię - ozwał się Tristan Eremita, wskazując końcem bicia zamek mający po drugiej stronie rzeki. - Widzicie, jak jest strzeżone?

Troje jeźdźców stojąc nad brzegiem Loary, w pobliżu starego mostu rzymskiego, patrzyło w kierunku gniazda wroga, z którym wkrótce mieli się zmagać. Katarzyna uważnie przyglądała się skalistej ostrodze, rozciągniętej wzdłuż rzeki jak śpiący lew, górującej nad nią fortecy: surowe, czarne mury, dwanaście masywnych wież, ciężka baszta, hurdycje* i machikuły**, które musiały być często używane, wszystko to odcinało się ponuro od nadrzecznego krajobrazu, nad którym unosił się już lekki, lecz wyczuwalny powiew wiosny. Jedyne las chorągwi łopoczących nad murami przydawał nieco wesołości tej smętnej budowli.

** Hurdycja - drewniany ganek w górnej części murów obronnych, zaopatrzony w otwory strzelnicze.*

*** Machikuł - w murach obronnych wysunięty ganek z otworami w podłodze, przeznaczonymi do miotania przez nie pocisków, lania gorącej smoły itp.*

Sara opuściwszy na plecy mnisi kaptur, spojrzała na zamek z nieufnością.

- Jeśli tam się dostaniemy, to nie wyjdziemy z niego żywi!

- Udało nam się wyjść z bardziej niebezpiecznego zamku. Pamiętasz pana de Rais'go?

- Dziękuję bardzo! Jeszcze nie zapomniałam, jak Sinobrody chciał mnie upiec żywcem - odpowiedziała, drżąc, Cyganka.

- Jesteśmy blisko celu, co robimy?

Tristan odwrócił się i wskazał palcem małą oberżę niedaleko drogi, której zielono-żółto-czerwony szyld oznajmiał wędrowcom, że w „Winnicy Królewskiej” podaje się najlepsze wina z Vouvray.

- Wejdźcie do środka i zaczekajcie na mnie. Ja muszę zobaczyć się z przywódcą plemienia. Rozłokujcie się, posilcie, lecz nie pijcie zbyt wiele. Wina z Vouvray są doskonałe, lecz szybko uderzają do głowy.

- Za kogo nas uważasz, dobrodzieju? Za jakieś pijanice? - rozzłościła się Sara.

- Skądże znowu, ale mnisi mają dosyć nadszarpniętą w tej materii reputację! Nie ruszajcie się stąd, dopóki nie wrócę!

Kiedy rzekomy mnich i fałszywy koniuszy zsiadłszy z koni, przywiązali je przy „Winnicy Królewskiej”, Tristan puścił się biegiem w stronę mostu i zniknął im z oczu. Karczma była pusta, więc oberżysta krzątał się żywo przy tak nieoczekiwanych gościach. Miał jeszcze w zapasie świniaka w zalewie solnej, a także trochę kapuśniaku, co zaserwowane wraz ze słynnym winem smakowało wybornie. Po trzech dniach jazdy kobiety były wygłodniałe i z ochotą zabrały się do jedzenia. Po napełnieniu żołądków świat wydał im się całkiem przyjazny.

Tristan wrócił o zmierzchu zmachany i markotny, lecz w jego wzroku błyszczała nadzieja. Ale najpierw oznajmił, że nie będzie mówił, dopóki nie wychyli dzbana wina, gdyż zaschło mu w gardle.

Trawiona ciekawością Katarzyna patrzyła niecierpliwie, jak Tristan wychyla łąpczywie dzban wina, aż w końcu nie wytrzymała:

- No więc... mówże!

Tristan odstawił naczynie, wytarł rękawem usta i rzuciwszy w jej stronę drwiące spojrzenie, rzucił:

- Widzę, że ci spieszno rzucić się w paszczę lwa!

- Owszem, spieszno mi! - odparła sucho. - Żądam odpowiedzi!

- A więc możesz być kontenta! Wszystko przygotowane. Z jednej strony masz szczęście, ale tylko z jednej, gdyż stosunki między obozem Cyganów i zamkiem są raczej napięte.

- A ci Cyganie - przerwała Sara - z jakiego są plemienia? Czy pomyślałeś, żeby się tego dowiedzieć?

- Powinnaś się ucieszyć. To są Kalderasi. Utrzymują, że są chrześcijanami i że mają list papieża Marcina V, który pomarł dwa lata temu, co nie przeszkadza wcale, aby ich przywódca Fero uważał się za księcia Egiptu.

W tej chwili twarz Sary pokraśniała. Kiedy Tristan skończył, wesoło klasnęła w dłonie.

- Są z mego plemienia! Teraz mogę być spokojna, że przyjmą mnie dobrze!

- Tak, zostaniesz przyjęta, ale tylko przywódca zna prawdę o pani Katarzynie. W oczach pozostałych Cyganów będzie uchodzić za twoją siostrzenicę, która wraz z tobą została sprzedana na targu niewolników, kiedy była mała.

- Powiedz, Tristanie, co przywódca myśli o naszym planie?

Eremita zmarszczył czoło.

- Udzieli ci wszelkiej pomocy, gdyż pali go nienawiść. La Tremoille dla własnego kaprysu zabronił mu opuszczania fosy zamkowej, w której rozbity jest obóz, ponieważ lubi oglądać tańce dziewcząt z jego plemienia. A poza tym, jeden z Cyganów został schwytany na kradzieży w pałacowym ogrodzie i powieszony dziś rano. Fero dawno by uciekł, gdyby nie obawiał się, że jego ludzie zostaną zdziesiątkowani podczas długiej drogi. Dlatego twierdzę, że w pewnej mierze masz szczęście, chociaż wejdiesz do gniazda czarownic.

- Nie dbam o to! Trzeba mi tam iść!

- Na razie jest jeszcze zbyt zimno, żeby chodzić boso, spać pod gołym niebem albo w starym wozie, znosić trudy i...

Katarzyna parsknęła śmiechem tak nagle, że Tristan urwał w pół słowa.

- Dostyc tego, mości Tristanie! Gdybyś lepiej znał moje życie, wiedziałbyś, że nie lękam się takich przeciwności. Gotujmy się więc do drogi!

Po zapłaceniu oberżycie troje spiskowców ruszyło w drogę, kierując się w stronę mostu na rzece. Od kilku dni było ciepło. Wokół panowała cisza, przerywana tylko cichym pluskiem wody wśród sitowia i odgłosem końskich kopyt. Katarzyna wdychała z lubością miły zapach ziemi. Most doprowadził wędrowców do podnóży samego zamku. Trzy cienie zatrzymały się nad brzegiem fosy. Katarzynie wydało się, że przed nią otworzyły się bramy piekieł. Pośrodku obozowiska płonęło potężne ognisko, wokół którego siedzieli na gołej ziemi Cyganie. Nie poruszali się, tylko z ich ust dobywały się dźwięki na kształt melodyjnej skargi, głuchej i

monotonnej, której od czasu do czasu odpowiadało echo bębnów z oslej skóry.

Czerwone płomienie tańczyły na ciemnych skórach pokrytych tatuażami. Kobiety w poszarpanych odzieniach miały gęste, tłuste i błyszczące włosy, grube wargi, cienkie, orle nosy i płonące dzikim blaskiem oczy, nawet u tych starych, których skóra pomarszczona była bardziej niż pergamin. Wiele z nich nosiło rozchełstane koszule.

Mężczyźni byli brudni i niechlujni, z poskręcanyimi jak wełna włosami. Na głowach mieli podarte kapelusze lub hełmy znalezione w przydrożnych rowach. U wszystkich błyszcząły w uszach ciężkie, srebrne pierścienie. Te nieruchome twarze, te oczy wpatrzone w buchające płomienie, ta skarga ciągnąca się w nieskończoność, wszystko to przejęło Katarzynę zimnym dreszczem. Spojrzała pytająco na Sarę, lecz ta przytknęła szybko palec do ust.

- Nie wolno się odzywać ani poruszać - wyszeptała.

- Dlaczego? - spytał Tristan.

- Bo to jest ich rytuał żałobny. Oni czekają na ciało mężczyzny, którego powieszono dziś rano.

W rzeczy samej, od zamku zbliżała się niewielka procesja. Na jej czele kroczył wysoki chudzielec, pochodnią oświetlając drogę czterem towarzyszom, którzy na swych barkach nieśli nieruchome ciało. Kiedy zwłoki zostały złożone przy ognisku, cicha skarga urwała się. Cyganie wstali z ziemi, a kilka kobiet uklękło przy zmarłym. Najstarsza z nich, tak chuda, że wyglądała, jakby miała skórę przyklejoną do szkieletu, zaintonowała śpiew zachrypłym głosem. Kiedy przestała, śpiew podjęła inna, młodsza.

- To matka i żona zmarłego - wyjaśniła szeptem Sara. - Śpiewają o zaletach zabitego.

Ceremonia dobiegała końca. Przywódca pochylił się nad nieboszczykiem i włożył mu w zęby monetę, po czym czterej mężczyźni podnieśli ciało i zeszli z nim nad brzeg rzeki, gdzie wrzucili je do ciemnego nurtu.

- To już koniec - powiedziała Sara. - Zmarły wróci do kraju swych przodków.

- A więc możemy się już do nich zbliżyć? - spytał Tristan. W tej jednak chwili Sara nagle zaczęła głośno śpiewać.

Jej mocny głos zabrzmiał w ciszy nocnej jak dzwon, przywołując echo dalekiej ojczyzny. Cyganie odwrócili się w stronę nowo przybyłej i stanęli w bezruchu jak zakłęci. Tymczasem Sara, nie przestając śpiewać, ruszyła w ich stronę, pokonując zbocze fosy. Za nią ruszyła Katarzyna i Tristan prowadzący konie. Cyganie, jak zakłęci, rozstąpili się przed przybyszami. Kiedy ci stanęli przed przywódcą, Sara na chwilę zamilkła, po czym rzekła:

- Jestem Czarna Sara, a w moich żyłach płynie ta sama krew, co w twoich. A to jest moja siostrzenica, Tchalai, a tamten człowiek pomógł nam przedostać się do was. Czy nas przyjmiecie?

Fero podniósł powoli ciężką rękę i położył ją na ramieniu Sary.

- Bądź pozdrowiona, siostrze. Człowiek, który was przyprowadził, nie kłamał. Jesteś jedną z nas i twoja krew jest czysta, bo znasz stare, rytualne pieśni, które znali tylko najlepsi spośród nas. A co do niej - tu jego wzrok przeszył na wskroś Katarzynę - jej uroda będzie klejnotem naszego plemienia. Chodźcie, nasze kobiety zajmą się wami.

Pokłoniwszy się Sarze, poprowadził Tristana do ogniska, a tymczasem wokół nowo przybyłych kobiet stłoczyły się Cyganki, które wśród potwornego jazgotu, zaprowadziły je do wozów stojących nieopodal jednej z wież.

Godzinę później Katarzyna leżąc pomiędzy Sarą a starą Orką, matką powieszonoego, próbowała się rozgrzać i uporządkować myśli. Tristan odjechał do „Winnicy Królewskiej”, gdzie miał się zatrzymać i czuwać. Zabrał ze sobą ubrania obu kobiet, gdyż pierwszą rzeczą, o jaką zadbały Cyganki z plemienia, było przebranie nowo przybyłych we własne stroje.

Katarzyna, ubrana w płócienną, szorstką koszulę, która drażniła jej skórę, z bosymi nogami, przykryta jakąś postrzępioną, kolorową derką, skulona jak szczenię, przytulała się do Sary, aby się trochę ogrzać. Oddałaby wszystko za garść słomy, lecz w wozie przykrytym dziurawą plandeką na rozklekotanej podłodze leżały tylko stare szmaty, które miały chronić przed przeciągami i twardymi deskami... Z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie; słysząc je, Sara szepnęła:

- Jesteś pewna, że nie będziesz żałować?

Katarzynie nie umknął ślad ironii brzmiący w tych słowach.

Zacisnąwszy zęby, odpowiedziała:

- Niczego nie żałuję, tylko trochę mi zimno...

- Nie przejmuj się, nie będziesz marzła zbyt długo. Po pierwsze dlatego, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, a po drugie nadchodzi wiosna.

Katarzyna nie odpowiedziała. Czowała, że Sara szybko przystosowała się do trudów cygańskiego życia i że nie miała dla niej żadnego współczucia. W jej głosie wyczuwało się zadowolenie, ciche zadowolenie z powrotu do swych korzeni. Katarzyna przysięgła sobie, że sprostą

zadaniu, choćby ze względu na Sarę. Dokładniej owinęła się dziurawą derką, starając się schować lodowate stopy. Obok niej stara Orka spała jak zabita.

* * *

Następnego dnia Katarzyna zręcznie wmieszała się w kolorowy tłum, co pozwoliło jej ocenić rozmiar nędzy koczowniczego plemienia. W nocy nie było widać ani brudnych ciał i ubrań, ani nędznych wozów. Światło dnia ukazało na wpół nagie dzieci, chude konie i psy wałęsające się po obozowisku w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Niektórzy Cyganie wyplatali kosze z wikliny, ale większość zajmowała się wyrabianiem kotłów. Ich kowalskie ogniska były prymitywne: trzy kamienie zamiast paleniska, miech z koziej skóry wprawiany w ruch za pomocą stóp i następny kamień spełniający rolę kowadła. Cyganki spędzały dni na wrózeniu z ręki i gotowaniu. Chodząc, kręciły prowokująco biodrami. Wiele z nich miało obnażone piersi, lecz wszystkie nosiły długie aż do kostek spódnice.

- U nas wstydlivość łączy się z nogami - oznajmiła Sara z godnością.
- Piersi związane są tylko z karmieniem dzieci.

Mężczyźni, ze swymi dzikimi oczami i białymi zębami byli podobni do demonów, młode kobiety wyglądały jak niespokojne diablice, a stare przypominały czarownice. Wszyscy razem Katarzynę przerażali.

Największy strach budził w niej jednak wielki Fero. Kiedy na nią patrzył, przygryzając nerwowo wargi, jego barbarzyńska twarz wydawała się jeszcze bardziej złowroga, a czarne oczy błyszczały jak u żbika. Nigdy jednak do niej nie przemówił, tylko przechodził wolno obok, po czym odwracał się i patrzył za nią, gdy się oddalała.

Katarzyna czuła się całkiem zagubiona i instynktownie trzymała się Sary, która doskonale czuła się wśród swoich i korzystała z szacunku, jaki jej okazowali. Bez Sary, ona, fałszywa Cyganka, niemówiąca ich językiem, zostałaby odtrącona. Sara, na wszelki wypadek, utrzymywała, że jej siostrzenica jest przygłupia. Było to dość wygodne, ale Katarzyna źle się czuła, gdy na jej widok ustawały rozmowy, a w spojrzeniach można było odczytać zawiść kobiet i mroczne pożądanie mężczyzn.

- Ci ludzie mnie nie lubią - powiedziała do Sary po trzech dniach. - Gdyby nie twoja obecność, nigdy by mnie nie zaakceptowali.

- Czują, że jesteś obca - odpowiedziała Sara. - To ich dziwi i drażni. - Myślą, że masz w sobie coś nadprzyrodzonego, lecz nie wiedzą, co to takiego. Niektórzy wierzą, że jesteś dobrą wróżką, która przyniesie im szczęście - sam Fero stara się ich o tym przekonać. Inni mówią, że przynosisz nieszczęście, zwłaszcza kobiety, które potrafią czytać w oczach swoich mężczyzn.

- A więc co robić?

Sara wzruszyła ramionami i ruchem głowy wskazała na górujący nad nimi zamek.

- Trzeba czekać. Może wkrótce La Tremoille zażąda, aby przysłano mu inne tancerki. Fero mówi, że dwie Cyganki przebywają w zamku od ośmiu dni, co nigdy się nie zdarza. Podejrzewa nawet, że zostały zamordowane...

- I zgadza się na to? - krzyknęła Katarzyna.

- A co może zrobić? Boi się, tak jak wszyscy. Wie, że musi być mu posłuszny i dostarczać kobiety, nawet jeśli jego serce buntuje się przeciwko temu. Szambelan może w każdej chwili kazać strzelać swoim

lucznikom, i nikt im w tym nie przeszkodzi, a do tego, nie można liczyć na mieszkańców miasteczka, którzy boją się Cyganów jak zarazy.

Katarzyna poczuła, że Sara podzielała wściekłość Fera, gdyż kobiety, które poświęcano dla przyjemności La Tremoille'a, były tej samej rasy, co ona.

- To nie potrwa długo - starała się pocieszyć przyjaciółkę. - Prośmy niebiosy, aby pozwoliły mi jak najszybciej dostać się do zamku!

- Modlić się o sprowadzenie niebezpieczeństwa na twoją głowę?
Jesteś szalona!

Katarzyna nie myślała jednak o niczym innym, jak tylko o upragnionej chwili, kiedy dzięki kaprysowi szambelana stanie z nim twarzą w twarz. Co wieczór przy ognisku przypatrywała się tańczącym dziewczętom, zapamiętując ich ruchy, aby tańczyć tak jak one, gdy przyjdzie czas. Fero nigdy nie odezwał się do niej ani słowem, lecz ona wiedziała, że to dla niej kazał tańczyć dziewczętom co wieczór. Jej wzrok często napotykał jego ponure i zagadkowe spojrzenie.

Pomimo przeciwności Katarzynie udało się zaprzyjaźnić z dwiema kobietami: ze starą Orką, która co prawda nie mówiła zbyt wiele, lecz za to godzinami potrafiła się wpatrywać w jej twarz. Gadano, że straciła zmysły po śmierci syna, ale Katarzyna znajdowała w jej przyjaznym spojrzeniu ukojenie. Drugą kobietą, która nie okazywała jej wrogości, była siostra Fera - Tereina. Nieszczęsna dziewczyna była garbata i oszpecona na skutek upadku z konia i pomimo swoich dwudziestu lat wyglądała na dwanaście. Tylko jej oczy, jak dwa głębokie jeziora zdawały się widzieć dalej i więcej niż oczy innych i pozwalały zapomnieć o jej brzydocie.

Tereina podeszła do Katarzyny następnego dnia po jej przybyciu i bez słowa, uśmiechając się nieśmiało, wręczyła jej kaczkę, której sama

ukręciła szyję. Katarzyna zrozumiała, że był to podarunek powitalny, lecz nie mogła powściągnąć ciekawości.

- Skąd ją masz?

- Stamtąd, z przyklasztornej sadzawki.

- A czy wiesz, że nie wolno zabierać cudzej własności?

Tereina otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Przecież Bóg stworzył zwierzęta po to, by żywiły ludzi. A więc dlaczego niektórzy chcą je zatrzymać tylko dla siebie?

Katarzyna nie wiedziała, co odpowiedzieć na takie dictum.

Upieczoną kaczką podzieliła się z Tereiną. Od tej pory dziewczyna przywiązała się do niej i pomagała się przyzwyczaić do nowej sytuacji. Siostra przywódcy zajmowała szczególne miejsce w plemienu. Trudniła się zielarstwem, odpędzała choroby, łagodziła śmierć i wzbudzała miłość. Dlatego wszyscy szanowali ją i bali się jej jednocześnie.

Czwartego dnia o zmierzchu Fero nie wezwał Sary i Katarzyny do ogniska, przy którym co wieczór spożywały posiłek. Pozostały przy kociołku starej Orki, gdzie w milczeniu spożyły potrawę sporządzoną ze zboża i słoniny przyprawioną dzikim czosnkiem. W obozowisku panowała ponura cisza, gdyż nadal brak było wiadomości o dziewczętach przebywających w zamku. Tego wieczoru Fero zamknął się w swoim wozie. Niebo zasnuły ciężkie, burzowe chmury i było niezwykle ciepło jak na tę porę roku. Katarzyna ledwie tknęła tłustą zupę, od której ostrego zapachu zrobiło się jej niedobrze. Postanowiła udać się do wozu, aby się zdrzemnąć, kiedy koło ogniska pojawiła się Tereina. Jej blada twarz wyłaniająca się z ciemności wyglądała jak zjawa.

- Mój brat cię wzywa, Tchalai! Zaprowadzę cię do niego.

- Czego chce? - spytała Sara, podnosząc się z miejsca.

- Nie śmiałybym go o to spytać.

- Idę z nią!

- Fero powiedział: Tchalai sama! Nie powiedział Tchalai i Sara!

Chodź już, moja siostrze! Fero nie lubi czekać.

Dziewczyna ruszyła pierwsza i Katarzyna bez słowa podążyła za nią. Jedną za drugą szły przez uspijony obóz. Ogniska przygasły, noc była ciemna i nie było widać drogi. Nagle przed kobietami wyrósł wóz z pełnymi kołami, który służył Fero za mieszkanie. Ze środka przenikał na zewnątrz blask lampki oliwnej.

Tereina zatrzymała się i odwróciwszy się w stronę Katarzyny, powiedziała z błyszczącymi oczami:

- Tchalai, droga siostrze, wiesz, że cię kocham.

- Tak, zawsze byłeś dla mnie dobra.

Cyganka z fałd spódnicy wyjęła małą fiolkę i wcisnęła ją w dłoń Katarzyny.

- Co to jest? - spytała podejrzliwie Katarzyna.

- Coś, czego teraz bardzo potrzebujesz. Zajrzałam w głąb twego serca, Tchalai. Jest zimne jak gład, a ja chcę, żeby twoje serce ożyło na nowo. Wypij miksturę bez obawy, chyba że nie masz do mnie zaufania - powiedziała z takim smutkiem w głosie, że Katarzyna straciła resztkę podejrzliwości.

- Ufam ci, Tereino, lecz powiedz, dlaczego właśnie dziś?

- Bo dziś wieczorem będziesz tego potrzebować. Wypij bez strachu, to są dobroczynne zioła. Po nich nie poczujesz zmęczenia ani zwątpienia. Przygotowałam tę miksturę dla ciebie... ponieważ cię kocham.

Jakiś impuls kazał Katarzynie podnieść fiolkę do ust. Wydzielał się z niej silny, lecz przyjemny zapach ziół. Resztki strachu zniknęły. Przecież

trucizny nie podaje się z taką czułością w głosie... Jednym tchem wychyliła zawartość i zakaszła. Mikstura paliła jak ogień. Lecz już po chwili, Katarzyna poczuła się silniejsza i odważniejsza. Uśmiechnęła się do Tereiny.

- Czy teraz jesteś zadowolona?

W odpowiedzi Tereina uściśnęła jej rękę i rzuciła pośpiesznie:

- Tak... idź już! Czeka na ciebie.

I zniknęła nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

W istocie, pod uniesioną plandeką widać było czarną sylwetkę mężczyzny. Bez słowa podał Katarzynie rękę, aby pomóc jej wejść do środka, po czym spuścił plandekę.

W tej chwili niebo przecięła błyskawica i dał się słyszeć daleki grzmot. Katarzyna zadrżała. Czerwone usta Fera rozbłysły bielą zębów.

- Boisz się burzy?

- Nie, nie... jestem tylko zaskoczona. Czego tu się bać!

Kolejny, potężniejszy grzmot zagłuszył jej słowa. Równocześnie lunął deszcz, siekąc gwałtownie napięte płótno dachu. Fero rzucił się na stos kołder, które służyły mu za posłanie. Zdjął żupan, zostając w samych pąsowych getrach. W świetle lampki oliwnej wiszącej na żelaznym rusztowaniu wozu błyszczała jego ciemna skóra i długie czarne włosy zaczesane do tyłu. Nie spuszczał oczu z Katarzyny, która stała przy wejściu, uśmiechnął się z pewną ironią.

- Myślę, że rzeczywiście nie boisz się niczego... ponieważ przyszedłeś tutaj. Czy wiesz, dlaczego posłałem po ciebie?

- Mam nadzieję, że się tego dowiem!

- W istocie, chciałem ci powiedzieć, że pięciu moich ludzi chce cię wziąć za żonę. Są gotowi bić się o ciebie. Będziesz musiała wybrać jednego z nich.

Katarzyna wzdrygnęła się na podobną myśl.

- Jesteś niespełna rozumu. Zapominasz, kim jestem i dlaczego tu przebywam? Muszę dostać się do zamku, to wszystko!

W spojrzeniu Fera pojawił się błysk okrucieństwa.

- Nie zapomniałem o niczym. Jesteś wielką damą, wiem! Ale jeśli żyjesz wśród nas, musisz, chcąc nie chcąc, być posłuszna naszym zwyczajom! Kiedy kilku mężczyzn pożąda wolnej kobiety, musi ona wybrać jednego z nich, chyba żeby wołała tego, który zwycięży w walce. Jesteś piękna, a moim ludziom nie brakuje odwagi. Walka będzie ostra!

Katarzyna zawrzała gniewem. Ten bezczelny mężczyzna, na dodatek prawie nagi, rozciągnięty na posłaniu, dysponował jej wolnością z nieznośnym cynizmem. Tego było za wiele!

- Nie możesz mnie do tego zmusić! Pan Tristan Eremita...

- Twój towarzysz? Nie ośmieli się wtrącać. Jeśli chcesz tu pozostać, musisz przynajmniej udawać, że żyjesz zgodnie z naszymi zwyczajami. Nikt nie zrozumiałby, dlaczego jedna z mych poddanych nie stosuje się do naszych praw!

- Ale ja nie chcę... - jęknęła Katarzyna. - Czy nie możesz mi tego oszczędzić? Dostaniesz tyle złota, ile zechcesz! Nie chcę należeć do żadnego z tych mężczyzn, nie chcę, żeby bili się o mnie, nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Złączyła dłonie w błagalnym geście, a jej oczy napęłniły się łzami. Dzika twarz Fera nieco złagodniała.

- Chodź tu - rzekł spokojnie.

Katarzyna patrzyła na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Wtedy powtórzył zdecydowanym tonem:

- Chodź tu!

Ponieważ stała jak zaklęta, wyprostował się i chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie tak, że upadła na kolana obok posłania. Krzyknęła z bólu, lecz on wybuchnął śmiechem.

- Jak na kogoś, kto niczego się nie boi, masz dziwną minę. Ale wiedz, że nie zrobię ci krzywdy. Posłuchaj mnie tylko, piękna pani... Ja także jestem szlachetnie urodzony. Jestem księciem Egiptu, w moich żyłach płynie krew pana tego świata, zdobywcy, przed którym drżą królowie!

Jego ręka ślizgała się powoli wzdłuż nagiej ręki Katarzyny, szukając krągłości ramienia. Widziała go teraz z bliska, dziwiąc się, że ma skórę tak delikatną, a oczy tak błyszczące. Pod dotknięciem jego ręki zrobiło się jej gorąco. Oczy Katarzyny zamgliły się, a ciało przeszyły palące dreszcze. Nagle poczuła, że chciałaby, aby ręka pieszcząca jej ramię odważyła się na więcej...

Przerażona siłą swego pożądania chciała uciec, wyrwać się z uścisku, lecz na próżno.

- Czego chcesz? - spytała.

Fero przyciągnął ją do siebie tak blisko, że jego gorący oddech palił jej usta.

- Jest tylko jeden sposób, abyś mogła uciec od moich ludzi, tylko jeden: nie pożąda się własności wodza...

Katarzyny próbowała roześmiać się pogardliwie, lecz z przerażeniem usłyszała, że jej śmiech zabrzmiał fałszywie.

- A więc do tego zmierzałeś?

- Dlaczego nie? Żądanie moich ludzi jest prawdziwe. Dodam tylko, że jeżeli zależy ci na walce... ja także będę się bił o ciebie!

Fero przycisnął ją do swej piersi, pochylając się nad jej twarzą tak nisko, że aż ustami musnął jej czoło.

- Przypatrz mi się dobrze, piękna pani. Powiedz, czym różnię się od tych możnych, dla których chowasz swe wdzięki? Wielki szambelan, któremu chcesz się oddać, jest tłusty, odpychający i stary, więc miłość jest dla niego trudną zabawą. Ja jestem młody, a moje ciało jest sprawne. Mogę cię kochać całymi nocami, nie odczuwając zmęczenia. Dlaczego więc nie chcesz mnie wybrać?

Jego gardłowy głos podziałał na Katarzynę z taką siłą, że krew w jej żyłach zawrzała. Z niedowierzaniem odkryła, że nie ma ochoty się bronić, że chce słuchać tego głosu, że pragnie miłości. Uczucie, które nią zawładnęło i które gotowe było rzucić ją w ramiona tego człowieka, było tak gwałtowne i jednocześnie tak zwierzęce, że ogarnęło ją przerażenie. Nagle zrozumiała, co Tereina dała jej do wypicia. To był eliksir miłości! Diabelska mikstura, która miała pchnąć ją, zgodną i uległą, w ramiona wodza Cyganów!

Wtedy z pomocą przybył jej nagły przypływ dumy. Z furią wyrwała się z jego ramion i na kolanach cofnęła się w głąb wozu, próbując gorączkowo się podnieść. Odruchowo sięgnęła do paska, za który zawsze zatknięty był sztylet Arnolda. Ale Cyganka Tchalai nie miała sztyletu przy sobie i ręka Katarzyny zacisnęła się bezsilnie na kawałku materiału. Podobny do wielkiego kota Fero patrzył na nią przekrwionymi oczami.

- Odpowiedz! - zagrzmiął. - Dlaczego nie chcesz mnie wybrać?

- Dlatego, że cię nie Kocham! Dlatego, że brzydzę się tobą!

- Kłamiesz! Masz na to taką samą ochotę jak ja! Szkoda, że nie widzisz swych zamglonych oczu, i szkoda, że nie słyszysz swego urywanego oddechu!

Katarzyna, cała czerwona od gniewu, krzyknęła:

- To nieprawda! To Tereina kazała mi wypić jakąś diabelską miksturę, a ty wiedziałeś o tym i liczyłeś na to! Ale nie będziesz mnie miał, ponieważ ja tego nie chcę!

- Tak sądzisz? - spytał ironicznie i jednym zwinnym susem był przy niej.

Wziął ją w ramiona. Próbowwała się wyślizgnąć, ale ledwie mogła oddychać.

- Zostaw mnie... Rozkazuję, abys mnie zostawił... Roześmiał się jej prosto w twarz.

- Twoje serce wali jak oszalałe, lecz jeśli rozkazujesz, abym cię zostawił, mogę usłuchać... Mogę również wezwać tamtych mężczyzn, którzy chcą się bić o ciebie, a ponieważ nie mam zamiaru stracić jednego z nich z winy twoich wielkich oczu, przywiążę cię w tym wozie i wydam na ich łaskę. Kiedy każdy z nich cię posiadzie, przynajmniej będą wiedzieli, czy mają dalej ochotę bić się o ciebie. Ja będę ostatni w kolejce... A więc, czy nadal rozkazujesz, abym cię puścił?

Katarzynie pociemniało przed oczami. Ten prostak ośmielał się mówić o niej jak o rzeczy bez znaczenia, którą się pogardza po zdobyciu. Zraniona w swej miłości własnej i przerażona groźbą błyszczącą w jego oczach, postanowiła ulec pragnieniu swego udęczonego ciała. Jednocześnie poczuła przemożną chęć podporządkowania sobie tego bezczelnego dzikusa i uczynienia z niego swego niewolnika. Był to zresztą jedyny sposób, aby uniknąć najgorszego...

Nagle przestała się opierać. Fero, zaskoczony, że usta, których tak pożądał, dotykają jego ust, przywarł do nich chciwie. Diabelski eliksir wyzwolił w Katarzynie wszystkie piekielne moce. Nie mogła walczyć z Ferem, którego serce waliło przy jej sercu, a pod dotykiem jego rąk jej biodra zaczynały wibrować. Zresztą nie dało się już zatrzymać miłosnego szалу Cygana, głuchego i ślepego na wszystko, co nie było ciałem kobiety, które trzymał w swym uścisku.

Katarzyna zamknęła oczy i poddała się nadciągającej burzy. Wczepiając się paznokciami w wilgotne od potu ramiona Fera, wyszeptwała:

- Kochaj mnie, kochaj z całych sił... lecz wiedz, że nie wybaczę ci... jeśli nie doprowadzisz mnie do szału.

Zamiast odpowiedzi Fero rzucił się na ziemię, pociągając ją wraz ze sobą i spleceni oboje potoczyli się po twardej podłodze.

Przez całą noc szalała burza, wstrząsając wozami, wyginając drzewa, wrywając dachówki. Ale Katarzyna i Fero niczego nie słyszeli.

Wielokrotnie odradzającemu się pożądaniu mężczyzny odpowiadała szaleństwem nieskrępowana wstydlivością Katarzyna, oznajmiając krzykiem gwałtowność rozkoszy.

* * *

Kiedy pierwsze podmuchy świeżości wilgotnego świtu wślizgnęły się do wozu i dotknęły spoconych ciał obojga kochanków, Katarzyna przebudziła się z głębokiego snu, w którym wraz z Ferem pogrążyła się przed paroma chwilami. Czuła śmiertelne znużenie, a w ustach gorycz jak po wypiciu zbyt dużej ilości wina. Z trudem odsunęła bezwładne ciało Fera, nie budząc go, i wstała. Wokół niej wszystko zawirowało, nogi się pod nią uginały i czuła mdłości. Na skroniach wystąpiły kropelki zimnego

potu i na chwilę zamknęła oczy. Po omacku odszukała swoją koszulę, włożyła ją z wielkim wysiłkiem i wyszła z wozu.

Deszcz przestał już padać, lecz nad rzeką ciągnęły się długie pasma mgły. Wszędzie ścieliły się połamane gałęzie. Nagie stopy Katarzyny zagłębiły się w gęstym błocie.

Po zrobieniu kilku kroków zauważyła, że przy jednym z wozów czai się jakaś postać. Była to Tereina. Na jej twarzy malowało się zwycięstwo. Na ten widok Katarzyna zapalała gniewem. Rzuciwszy się na Cygankę, chwyciła ją za czerwony szal.

- Co dałaś mi do wypicia? Odpowiedz natychmiast! Rozkazuję ci!

W natchnionym uśmiechu Tereiny nie było ani cienia strachu.

- Wypiłaś miłość... Dałam ci do wypicia najsilniejszy z moich eliksirów miłości, aby twe serce rozgorzało w płomieniu, który trawił mego brata. Teraz należysz do niego... i będziecie razem szczęśliwi. Teraz jesteś moją prawdziwą siostrą!

Katarzyna z westchnieniem wypuściła z rąk czerwony szal.

Powstrzymała się od wymówek. I tak na nic by się nie zdały. Tereina niczego przecież o niej nie wiedziała. Widziała w niej tylko jedną z dziewcząt swojej rasy, której pożądał jej brat, i myślała, że uczyni ich szczęśliwymi, rzucając ją w jego ramiona. Nie wiedziała, że miłość i pożądanie mogą być śmiertelnymi wrogami...

Mała Cyganka ujęła dłoń Katarzyny i przytuliła swój policzek w geście zupełnego zachwyty.

- Wiem, że byliście bardzo szczęśliwi - wyszeptała poufnym tonem. - Podśluchiwałam całą noc... i ja też byłam szczęśliwa.

Katarzyna poczuła, że jej twarz staje się purpurowa. Na wspomnienie tych wydarzeń zaląła ją fala wstydu. Ona, Katarzyna de Montsalvy,

omdlewająca w ramionach Cygana. Nienawidziła siebie. Tajemniczy eliksir spełnił swoją rolę i w niej samej zagnieździła się ta druga, ta, która ulegała rozkoszy w uścisku Filipa Burgundzkiego, ta, która gdyby nie wtargnięcie Waltera, oddałaby się Maclarenowi, ta, która odczuwała dziwne podniecenie w obecności niektórych mężczyzn, ta, która zagłuszała krzyk jej serca w całości oddanego mężowi... Błoto, w którym zagłębiały się jej stopy, było tak samo gęste i cuchnące, jak to, z którego była ulepiona nieszczęsna ludzka natura.

Delikatnie położyła dłoń na głowie Tereiny.

- Idź spać - powiedziała łagodnie. - Jesteś przemoczona i zziębnięta.

- Ale powiedz, że jesteś szczęśliwa! Powiedz, Tchalai! Katarzyna uczyniła jeszcze ostatni wysiłek, aby nie zranić tej niewinnej istoty.

- Tak... bardzo szczęśliwa - odparła, hamując łzy.

* * *

Katarzyna z ciężkim sercem zmierzała w stronę rzeki, nie zważając na ostre kamienie, które raniły jej stopy. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy poczuła zimne fale. Wydawało się, że gęsta mgła chciała ukryć jej hańbę. Loara toczyła swe wezbrane, wielkie, kłębiące się po nocnej ulewie wody ze zdwojoną siłą. Katarzyna miała ochotę zanurzyć się w jej spienionym nurcie. Królowa rzek zawsze jej sprzyjała, więc tego smutnego poranka zwróciła się do niej, żeby uśmierzyła chore serce.

Bezwiednie zrzuciła z siebie ubranie i weszła do wody. Prąd był silny i z trudem mogła iść po dnie, po którym toczyły się kamienie. Kiedy zimna woda sięgnęła brzucha, Katarzyna zaczęła się trząść i jej ciało pokryło się gęsią skórką, lecz nie zważając na nic, zanurzała się coraz bardziej. Wkrótce woda sięgnęła jej do ramion. Zamknęła oczy. Nic nie słyszała oprócz wielkiej ciszy. Czy nie lepiej skończyć z tym życiem bez

nadziei? Kiedy była czysta, walka wydawała się łatwa, a zwycięstwo pociągające. Ale teraz? Oddała się nieznanemu jak zwykła dziewczyna, między nią a jej mężem utworzyła się przepaść nie do przebycia. Jeżeli Bóg pozwoli, aby choć raz dane jej było go ujrzeć, czy odważy się spojrzeć mu prosto w oczy?

Arnoldzie, czy potrafiłbyś mi przebaczyć, gdybyś wiedział... gdybyś wiedział...?

Nie, na pewno by nie przebaczył. Był zbyt zazdrosny. Sam skazał się na tortury, aby dochować jej wierności. Jak więc mógłby zrozumieć?... Już nie było o co walczyć. Nawet mały Michał jej nie potrzebował... Tak dobrze byłoby zagłębić się w tym przyjaznym nurcie, stopić się z rzeką na zawsze... Tak łatwo... Przekroczyć tajemny próg, za którym są już tylko zapomnienie i śmierć...

W tej chwili dały się słyszeć opętane krzyki Sary. Jej głos zabrzmiał jak rozzwierający zew życia, które chciała opuścić, zew przywołujący tyle wspomnień, że Katarzyna instynktownie przywarła stopami do umykającego dna. W ułamku sekundy ujrzała Sarę rozpaczającą nad jej martwym ciałem wyrzuconym przez rzekę na piach... Usłyszała szloch starej przyjaciółki... i nagle poczuła, że nie chce umierać. Walcząc z coraz silniejszym prądem, raz idąc, raz płynąc, odnajdując w sobie resztki utraconych sił, dotarła do brzegu. W miarę jak powracała do życia, coraz wyraźniej widziała sylwetkę Sary nad brzegiem rzeki.

Opatulona szarym kocem Cyganka przyciskała do piersi ubranie Katarzyny, a jej ciałem wstrząsał szloch. Kiedy Katarzyna ociekając wodą i słaniając się na nogach, wyłoniła się z mgły, Cyganka wydała głuchy okrzyk i rzuciła się, aby ją przytrzymać. Katarzyna odsunęła się jednak, mówiąc słabym głosem:

- Nie dotykaj mnie... Brzydzę się sobą... Jestem zbrukana...

Nie zważając na te słowa, Sara otoczyła ją ramionami, osuszyła jej ciało kocem, ubrała i poprowadziła do obozowiska.

- I to był powód, żeby umrzeć, moje biedactwo? Ponieważ mężczyzna posiadał twoje ciało przez jedną noc? Czy muszę ci przypominać, że to tylko początek... że nie zdajesz sobie sprawy z tego, co się wyprawia w zamku?

- Jednak tej nocy to się stało z mojej woli... Wypiłam jakiś przeklęty eliksir, który dała mi Tereina! I w ramionach Fera przeżyłam chwile rozkoszy! Rozumiesz? Rozkoszy! - krzyknęła.

- No i co z tego? - chłodno przerwała jej Sara. - To nie twoja wina. Nie chciałaś tego. A to, co ci się przytrafiło tej nocy, znaczy akurat tyle, co zwykły katar.

Katarzyna nie pragnęła jednak pociechy. Rzuciła się na twarde posłanie, które dzieliła z Sarą, i szlochała aż do wyczerpania. To było zbawienne. Wraz ze łzami odpłynęły z jej umysłu ostatnie opary narkotyku, pozostawiając rozdzierające uczucie hańby. W końcu zasnęła wyczerpana i spała aż do południa. Po przebudzeniu dowiedziała się od starej Orki, że jeszcze tego dnia, o zmierzchu, zostanie złączona z Ferem zgodnie z cygańskim zwyczajem.

Po wyjściu Orki Katarzyna wpadła w prawdziwą wściekłość. Ten bezczelny Fero! Jakby mało mu było, że uczynił z niej swą kochankę, to jeszcze musiał się z nią ożenić! Nie mogąc znieść tej myśli, ciskała najgorszymi przekleństwami pod jego adresem, aż Sara musiała ją uciszać, przykładając jej rękę do ust.

- Nie bądź głupia! To, że Fero chce się z tobą ożenić, dla ciebie nie ma żadnego znaczenia. Jeśli go nie zechcesz, to inni będą mieli do ciebie

prawo. Jeśli odmówisz, musimy uciekać, i to zaraz! Lecz dokąd uciekać? I jak?

- Dlaczego mówisz, że to nie ma dla mnie znaczenia? - spytała Katarzyna na wpół przyduszona dłonią Sary.

- Bo to nie będzie prawdziwy ślub. Wędrowcy nie mieszają Pana Boga do rzeczy tak prostej jak złączenie dwóch istot. Ponadto, to nie Katarzynę de Montsalvy weźmie Fero za żonę, lecz córę Egiptu o imieniu Tchalai, zjawę, która zniknie pewnego dnia!

Katarzyna potrząsnęła głową i popatrzyła na Sarę z niepokojem. Dlaczego jej wierna przyjaciółka była taka nieczuła? Dlaczego ten ślub był dla niej sprawą tak naturalną? A dla niej samej prawdziwym okropieństwem?

- To silniejsze ode mnie - powiedziała. - Mam wrażenie, że byłoby to nadużycie zaufania Arnolda... zdradzić go jeszcze raz.

- W żadnym razie! Przecież nie jesteś sobą! A poza tym, to małżeństwo zapewni ci pewną pozycję w plemienu. Od tej pory nikt nie będzie się ciebie bał!

* * *

Tego wieczoru, udając się w stronę ogniska, przy którym czekali na nią Fero i świętujący Cyganie, Katarzyna miała wrażenie, że popełnia świętokradztwo. Mężczyźni powrócili z połowu z pełnymi siatkami i w całym obozie roznosił się zapach smażonych ryb. Zewsząd rozlegały się dźwięki tamburynów, wokół kociołków tańczyły dzieci, a w koszykach kwiliły niemowlęta.

Wszystkie te przygotowania podsyciły jeszcze bardziej obrzydzenie Katarzyny. Całą swoją istotą broniła się przed tą maskaradą, do której ją nakłaniano, obawiając się, że naturalną kolejną rzeczą będzie wspólne

życie, wspólne noce... Nie widziała się w roli żony Fera, usługującej mu, tak jak to robiły inne kobiety. Miała ochotę uciec raz na zawsze, tym bardziej że teraz zaczęła się go bać. Wiedział przecież, kim była naprawdę.

Początkowo myślała, że wódz jej sprzyja. Tymczasem teraz wydawało się, że chce raczej wykorzystać sytuację. Kto wie, czy pozwoli jej odejść, kiedy zostanie wezwana do zamku? Myśl o przyjętej na siebie misji powstrzymywała jednak Katarzynę od ucieczki. Na razie nie było żadnego śmiertelnego niebezpieczeństwa i należało próbować szczęścia aż do końca. Z całych sił starała się wymyślić coś, co by jej pomogło uniknąć niechcianego, okropnego małżeństwa. Kobiety ubrały ją w najbardziej kolorowe stroje, jakie znalazły w kufrach. Zdjęły z niej koszulę z grubego płótna i owinęły jej kibić kawałkiem zwiewnego, zielonego jedwabiu ze srebrnymi frędzlami. W uszach zawiesiły srebrne pierścienie, a na szyi ciężki wisior z małych srebrnych blaszek. Na głowie umocowały coś w rodzaju korony. W oczach kobiet można było wyczytać podziw dla jej urody.

Zachwycone oczy Fera, który wyszedł jej na spotkanie, wyrażały jeszcze większy zachwyt i dumę. Ujął ją za rękę, aby poprowadzić przed oblicze *phuri dai*, najstarszej i najmądrzejszej kobiety w plemienu, strzegącej prastarych tradycji, której władza dorównywała władzy wodza. Przypominała sowę, a jej oczy były zielone jak trawa na wiosnę. Na zapadniętych policzkach miała liczne tatuaże, a spod czerwonej chusty sterczały kosmyki długich, szarych włosów, co czyniło ją podobną do czarownicy. Katarzyna spojrzała na nią z przerażeniem, ponieważ ta kobieta była uosobieniem niechcianego małżeństwa, do którego zmusił ją los. *Phuri dai* stała pośród starszyny, a płomienie ogniska rzucały na jej twarz krwawy blask. Śpiew kobiet i mężczyzn mieszał się ze zgiełkiem

instrumentów. Kiedy młoda para zatrzymała się przed nią, *phuri dai* wyciągnęła z zakamarków swych łachmanów długie, kościste szpony i wzięła kawał czarnego chleba, który podał jej brodaty Cygan. Zapadła cisza i Katarzyna zrozumiała, że nadeszła decydująca chwila. Zacisnęła mocno zęby, aby nie krzyknąć. Czy nic nie mogło przeszkodzić tej ponurej farsie?

Ręce starej kobiety, pokryte cienką, wysuszoną skórą, rozerwały chleb na pół. Potem z wielkim namaszczeniem wzięła szczyptę soli z małej srebrnej solniczki, gdyż był to produkt rzadki i niezwykle cenny. Posypała nią kawałki chleba, po czym jeden z nich wręczyła Katarzynie, drugi Feroowi.

- Kiedy będziecie mieli dosyć tego chleba i tej soli, będziecie też mieli dosyć siebie. A teraz zamieńcie się swymi kawałkami.

Uroczyste słowa starej zrobiły na Katarzynie pewne wrażenie, machinalnie wzięła od Fera jego chleb i podała mu swój, po czym oboje ugryźli kawałek twardej skórki.

Fero nie spuszczał oczu z Katarzyny, tak że musiała w końcu przymknąć powieki, nie mogąc znieść dzikości pożądania płonącego w jego źrenicach... Za chwilę znowu będzie do niego należała, chociaż nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie tylko nie pragnęła Fera, ale całe jej jestestwo buntowało się przeciwko temu, co miało wkrótce nastąpić.

- Dzban, podać dzban! - krzyknęła stara.

Podano jej gliniany dzban, który za pomocą kamienia rozłupała nad głowami małżonków. Wyleciało z niego kilka ziaren zboża. Stara pochyliła się nad klepiskiem i starannie policzyła rozsypane ziarna.

- Naliczyłam siedem ziaren - oznajmiła, kierując wzrok na Katarzynę. - Przez siedem lat Tchalai należeć będzie do Fera!

Fero z okrzykiem triumfu przyciągnął do siebie Katarzynę, aby ją pocałować. Katarzyna czując, że traci grunt pod nogami, nie miała siły się bronić. Wokół nowożeńców rozległy się okrzyki radości.

Zanim usta Fera zdążyły się wpić w usta Katarzyny, z ciemności wyskoczyła dziewczyna o kruczonych włosach, rzuciła się pomiędzy małżonków i z całej siły odepchnęła Katarzynę od Fera.

- Hola, mój panie! Czyż zapomniałaś o mnie i o swojej przysiędze, że będę twoją jedyną rommi... twoją jedyną kobietą?!

Katarzyna miała ochotę krzyknąć z radości. Patrzyła na dziewczynę jak na cudowną wybawicielkę. Nieznajoma miała dumną twarz, śniadą cerę, orli nos, migdałowe źrenice, lśniące warkocze i sukienkę z czerwonego jedwabiu, która odcinała się swą elegancją na tle tego całego szmacianego tłumu. Na jej szyi błyszczał złoty łańcuch.

Fero wydał się całkowicie zaskoczony.

- Dunicha! Zniknęłaś wiele dni temu! Myślałem, że nie żyjesz!

- I widzę, że szybko znalazłeś pocieszenie! Kim jest tamta?

Wskazała na Katarzynę gestem pełnym urazy i zawziętości, co nie wróżyło nic dobrego. Katarzyna, szczęśliwa z powodu takiego obrotu sprawy, przypatrywała się dziewczynie z zaciekawieniem. Była to bez wątpienia jedna z tancerek, które dwa tygodnie temu La Tremoille wezwał do zamku. Katarzyna paliła się, aby zasypać ją pytaniami na temat życia w zamku.

Tymczasem kłótnia pomiędzy Dunichą a Ferem stawała się coraz gwałtowniejsza. Przywódca Cyganów bronił się jak mógł przed zarzutem, iż nie dochował wierności. Dlaczego Dunicha nie dała znaku życia? Co do niego, to teraz jego prawowitą żoną była Tchalai i nigdy się jej nie zrzeknie.

- Przyznaj się, że wolałbyś, abym była martwa! Ale przysięgałeś mi i ja, Dunicha, uznaję twój ślub za nieważny! Nie miałeś prawa tego zrobić!

- Ale zrobiłem to! - ryknął Fero. - I niczego nie można już zmienić!

- A właśnie, że można! - odpaliła Dunicha, rzucając dzikie spojrzenie migdałowych oczu na Katarzynę. - Sądzę, że znasz nasze zwyczaje? Kiedy dwie kobiety kłócą się o jednego mężczyznę, wtedy muszą stanąć do pojedynku na śmierć i życie! Żądam, aby temu zwyczajowi stało się za-
dość! Jutro o zachodzie słońca staniemy do walki, ty i ja!

To powiedziawszy, bez słowa odwróciła się na pięcie, przecięła krąg Cyganów i z dumnie podniesioną głową oddaliła się w cień. Stara *phuri dai*, która połączyła Fera z Katarzyną, zbliżyła się do niej i odsunęła ją od mężczyzny, który chwycił swą połowicę za rękę.

- Musicie się rozdzielić aż do chwili walki. Tchalai należy do przeznaczenia. Zgodnie z naszymi prawami będą jej pilnować cztery kobiety z plemienia, a inne cztery zostaną przy Dunisze. Jak powiedziałam, niech się stanie!

Nastąpiła śmiertelna cisza. Fero patrzył na żonę ze smutkiem. Aż do walki nie wolno mu będzie nawet się do niej odezwać. Uroczystość zakończyła się niespodziewanie. Instrumenty umilkły, słychać było tylko trzaskanie ognia. Nagle obok Katarzyny pojawiła się Sara, która położyła swą dłoń na nagim ramieniu Katarzyny.

- Tchalai jest moją siostrzenicą - powiedziała Cyganka. - Będę jej pilnowała wraz z Orką. Możesz wyznaczyć dwie pozostałe kobiety!

- Nie, tylko jedną! - krzyknęła Tereina, która nagle wyrosła przy swojej przyjaciółce. - Jest siostrzenicą Sary, ale również moją siostrą!

Phuri dai wyraziła zgodę kiwnięciem głowy. Potem władczym gestem chudego palca przywołała do siebie siwą kobietę, która była jej

siostrą, wyznaczając ją na czwartą strażniczkę. Otoczona czterema kobietami, Katarzyna wróciła do wozu Orki, gdzie jak więzień miała czekać aż do momentu walki. Minęło uczucie wyzwolenia, którego doznała w chwili, kiedy Dunicha wyrwała ją z rąk Fera. Niedawno groziła jej małżeńska farsa, a teraz była żywym trupem! W jej żyłach zawrzała krew. Za dużo tego dobrego! A zwyczaje tych dzikusów były barbarzyńskie. Rozporządzano nią, jak się komu podobało, nie pytając jej o zdanie. Cyganie zdecydowali, że poślubi Fera, potem, że będzie się bić z tą tygrysią, i to o mężczyznę, którego nie kochała!

- Uprzedzam cię - szepnęła Sarze na ucho - że nie będę walczyć. Nawet nie wiem, co to takiego. Nigdy w życiu się nie biłam i nie zamierzam próbować, nawet gdyby...

Sara chwyciła ją za rękę i ścisnęła gwałtownie.

- Zamilcz, na miłość boską!

- Nie będę dłużej milczała! Przeciwnie, powiem tym kobietom, wykrzyczę im...

- Zamknij się wreszcie! Zrozum, że ryzykujesz życie... jeśli się dowiedzą, że nie chcesz się bić!

- A jutro, czy nie będę ryzykować życiem? Przecież ona mnie zabije!

- Tak, wiem, ale uspokój się. Mam pewien pomysł. Kiedy wszyscy zasną, ja spróbuję wydostać się z obozu i pobiegnę do oberży, aby zawiadomić pana Tristana. On z całą pewnością potrafi cię uratować. Ale zaklinam cię, nie daj znać po sobie, że się boisz! Moi bracia nie przebaczą tchórzostwa. Przegnaliby cię, smagając biczami, skazaliby na śmierć głodową.

Oczy Katarzyny zognomniały z przerażenia. Miała wrażenie, że wokół niej zaciska się diabelska pułapka i że o własnych siłach nigdy nie uda się jej z niej wydostać. Sara wyczuła jej przestrasz i przytuliła ją.

- Odwagi, maleńka! Mistrz Tristan i ja wydostaniemy cię z opresji.

- Byłby czas, żeby się wreszcie pojawił - powiedziała Katarzyna z urazą. - I pomyśleć, że miał czuwać nade mną z bliska.

- Przypomnij sobie, że miał wkroczyć do akcji tylko w razie niebezpieczeństwa.

Sara rozejrzała się ostrożnie. Dwie stare Cyganki spały jak zabite. Jedynie Tereina czuwała, siedząc przy lampce oliwnej, w czerwonym kocu; wpatrywała się w płomyk niewidzącymi oczami, podobna do lunatyczki i nieruchoma.

- Teraz jest odpowiednia chwila - szepnęła. - Idę!

Ze zwinnością zaskrońca wyslizgnęła się cicho na zewnątrz, podczas gdy Katarzyna z ciężkim sercem, lecz z nadzieją pokładaną w starej przyjaciółce, położyła się, aby się trochę przespać. Jednak sen nie przychodził. Leżała z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w dziurawej plandecie, starając się uspokoić szaleńcze bicie serca... Cisza przygniatała ją, więc w końcu, nie mogąc tego wytrzymać, zawołała cichutko:

- Tereina, śpisz?

Mała Cyganka odwróciła powoli głowę i położyła się obok Katarzyny.

- Czego chcesz, siostrze?

- Muszę wiedzieć, czy moja rywalka, Dunicha, jest zaprawiona w takich walkach? Na co będziemy się bić?

- Na noże. I, niestety, nie jest to dla niej pierwszozna. Nie ma lepszej niż ona. Walczy jak tygrysica. Już dwie kobiety, które podobały się Ferowi, zginęły z jej ręki.

Katarzyna słuchała z przerażeniem, coraz bardziej żalując, że dała się zapędzić w ślepy zaułek. Jeżeli Tristan nie wkroczy do akcji, to Cyganka z całą pewnością poderżnie jej gardło i nikt nawet nie kiwnie palcem. Także Fero, zakochany w niej na zabój, nie mógł przeszkodzić temu szaleństwu. Po prostu poddał się plemiennemu prawu. I, zapewne, po walce będzie szukał pociechy w ramionach zwycięskiej Dunichy.

- Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci pewien narkotyk, który podwoi twoje siły i twoją odwagę. A teraz musisz odpoczywać.

Katarzyna zachnęła się. Dostyc już miała aptecznych sztuczek Tereiny, a w dodatku wcale nie chciało jej się spać. Cały czas myślała, by uciec, uciec jak najdalej od tych istot żądnych krwi, z którymi nieopatrznie połączył ją los. Czuła się tak, jakby wpadła do gniazda żmij, które oplatały ją aż po szyję, a ona nie mogła wydostać się z ich kłębowiska. Dusila się, a regularny oddech śpiących kobiet napawał ją złością. Miała ochotę wyć.

Nagle pomyślała, że jej życie było zbyt cenne dla spiskowców z Angers, żeby Tristan pozwolił jej tak głupio zginąć. Ale nawet ta myśl nie pomogła jej na chwilę zmrużyć oka. Godziny ciągnęły się w nieskończoność, odmierzane okrzykami strażników na wieżach zamku. Świt nie osłabił jej strachu, a Sary jak nie było, tak nie było! Co mogła tak długo porabiać w oberży? A może została pojmana?

W końcu jej znajoma twarz ukazała się w wejściu do wozu.

Katarzyna odetchnęła z ulgą.

- Nareszcie! Tak się bałam, że nie mogłam zasnąć.

- Wiedziałam, że będziesz się martwić, dlatego przyszłam, ale...
muszę tam wrócić...

- Wrócić?... Dlaczego?

- Tristan zniknął... Zaginał dwa dni temu. Wyszedł z obozu i tyle go
widzieli. Przeszukałam już kawał miasta, aby się czegoś dowiedzieć.
Muszę go znaleźć przed zachodem słońca.

- A co będzie, jeśli go nie znajdziesz? - spytała Katarzyna, tłumiąc
strach.

- Wolę o tym nie myśleć. Może trzeba będzie wyjawić, kim jesteś,
ale wtedy ryzykujesz swoje życie i życie Fera, którego Cyganie oskarżą o
to, że wprowadził do obozu obcą, czyli gadji.

- A co mnie obchodzi Fero? Nie chcę umierać dla niego! Czy nie
prościej byłoby powiedzieć Dunisz, że nie mam najmniejszej ochoty
zajmować jej miejsca i że z największą chęcią zrzeknę się Fera?

- Takim postępkem obraziłabyś śmiertelnie wodza, który nie może
sobie pozwolić na to, żeby ktoś okazał mu pogardę. Twój los byłby nie do
pozazdroszczenia. Biczowanie... no i cała reszta.

Katarzyna krzyknęła gniewnie. Wszędzie jeżyły się przeszkody!
Znikąd ratunku! Wszystko skazywało ją na śmierć. A teraz żyć chciała
bardziej niż kiedykolwiek, całą mocą swej młodości. Życie stało się
drogocenne, ponieważ chciano jej je odebrać.

- Muszę za wszelką cenę odnaleźć Tristana. Nie bój się! Wrócę,
jeśli...

Urwała w pół słowa, szybko musnęła ustami czoło Katarzyny i
ponownie zniknęła w porannej mgle. Katarzyna rwała się, żeby pobiec za
przyjaciółką, lecz dzięki nadludzkiemu wysiłkowi woli nie uczyniła tego.
Gdyby uciekła, cały jej plan runąłby w gruzy, musiałaby powrócić do

Angers i przyznać się, że się poddała, będąc tak blisko celu. A w dodatku... przyjmując tę rolę, nie wiedziała, że trzeba będzie ryzykować życiem wiele razy. Należało zgodzić się z tym, że to właśnie ten pierwszy raz... Nagły przypływ dumy postawił ją na nogi. Tak! Jeśli musi stanąć do walki na noże, zrobi to! Nie cofnie się przed niczym! Poczowała wstyd z powodu swojego strachu. Żeby tylko nie myśleć o Michale, o tym, że może nigdy więcej go nie zobaczyć! Będzie myślała o ukochanym Arnoldzie, dla którego La Tremoille musi zginąć!

A jednak kiedy po niemającym końca dniu słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, a Sara ciągle nie wracała, ogarnęła ją panika. Pilnujące ją kobiety nie wydawały się zdziwione tym, że Sara zniknęła. Tereina ze łzami w oczach była wyrazicielką ich przypuszczeń:

- Zły znak! Czarna Sara nie chciała patrzeć, jak umiera jej siostrzenica.

Katarzyna w głębi serca zaczęła przyznawać jej rację. Jednakże kiedy nadeszła wyznaczona godzina i trzy kobiety zaprowadziły ją na umówione miejsce, zacisnęła zęby i z wysoko podniesioną głową postanowiła stawić czoło temu, co ją czekało. Tyle razy zaglądała śmierci w oczy, że nie mogła teraz odwrócić się do niej plecami.

Zanim wyszły z wozu, Tereina podała jej do wypicia zawartość małego dzbanuszka. Katarzyna wychyliła go bez wahania. Jeśli ta mikstura, która miała dodać jej sił, okaże się tak samo skuteczna jak eliksir miłości, będzie się bić jak lwica!

W miejscu gdzie zazwyczaj pracowali kowale, przygotowano pole walki, wielką pustą przestrzeń, wokół której zgromadzili się ludzie z plemienia, stojąc w ciszy nieruchomo na kształt miedzianych posągów. Na pniu drzewa przykrytym skórami siedzieli Fero i stara *phuri dai*. Z drugiej

strony widać było zbliżającą się Dunichę wraz ze strażniczkami. W środku pustego placu stał stary Cygan o imieniu Yakali, który był głównym doradcą Fera. Miał na sobie coś w rodzaju opończy wykonanej z kolorowych kawałków materiału, opadającej aż do stóp. Na głowie, która wyglądała jak wyrzeźbiona w dębowym drewnie, nosił futrzaną czapkę, całą przeżartą przez mole, z wystającym z niej długim, czarnym piórem. W każdej ręce dzierżył sztylet.

Gdy obie kobiety stanęły obok siebie, zdjęto z nich ubranie, zostawiając je w samych koszulach, które ściśnięto w pasie skórzanymi sznurówkami. Potem Yakali bez słowa wręczył każdej sztylet i oddalił się w stronę pozostałych Cyganów.

Katarzyna stała twarzą w twarz z Dunichą. Przerazał ją nóż, który wetknięto jej do ręki. Jak się nim posłużyć? Czy nie lepiej dać się od razu zabić? Oczy Cyganki lśniły jak dwa węgle na ogorzalej twarzy, lecz ku zdziwieniu Katarzyny nie było w nich śladu nienawiści, tylko jakaś dzika radość z tego, co miało nastąpić. Pomyślała ze zgrozą, że rywalka pewna jest zwycięstwa i z góry cieszy się na jej śmierć.

Potoczyła wzrokiem po cichym tłumie, licząc, że może ujrzy wśród gapiów Tristana albo przynajmniej Sarę. Coś złego musiało się jej przytrafić, inaczej nigdy nie zostawiłaby jej samej w takiej chwili.

Tymczasem Fero dał znak ręką i Dunicha ruszyła z miejsca. Powoli, powoli, najpierw w lewo, potem w prawo, kręciła się wokół Katarzyny. Uśmiechała się... Katarzyna poczuła dziwne ciepło ogarniające jej członki. To nie był strach! To mikstura Tereiny zaczynała działać.

Nagle Cyganka rzuciła się niespodziewanie na przeciwniczkę ze wzniesionym sztyletem. Katarzyna zdążyła się uchylić i śmiertelne ostrze rozerwało tylko kawałek koszuli. Dunicha, straciwszy równowagę, upadła

na klepisko, więc Katarzyna, nie tracąc ani sekundy, skoczyła na nią, odrzucając precz sztylet, z którym nie wiedziała, co począć. Pragnęła za wszelką cenę rozbroić przeciwniczkę. Chwyciła Dunichę za nadgarstek i ściskając z całych sił, próbowała wytrącić jej zdradziecką broń. Tłum zaszemrał z zadowoleniem.

Dunicha była jednak większa i silniejsza. Wytężając siły i rozdymając nozdrza, gwałtownym ruchem odepchnęła Katarzynę, która krzyknęła z bólu. Cyganka bowiem ugryzła ją w ramię, zmuszając do wypuszczenia swej ofiary. Teraz ona leżała na ziemi, a Dunicha przyciskała ją, dusząc kolanem.

Czuła, że zbliża się śmierć. Czytała to jasno w zwycięskim uśmiechu przeciwniczki. Cyganka ściskała Katarzynę za szyję, tak jakby szukała najlepszego miejsca do zadania ostatniego ciosu. Katarzyna zamknęła oczy.

- Arnold, ukochany... - wyszeptała w myślach. Nagle do jej uszu dobiegł gromki głos:

- Rozdzielić te kobiety! Natychmiast!

Katarzynie zdało się, że to dzwony wielkanocne dzwonią na Zmartwychwstanie. Z jej piersi wyrwało się głębokie westchnienie wdzięczności, któremu zawtórowało wycie wściekłej Dunichy, brutalnie oderwanej przez dwóch łuczników od przeciwniczki. Dwaj inni postavili chwiejącą się Katarzynę na nogi. Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu. Obie kobiety znowu stały twarzą w twarz, lecz tym razem przytrzymywane silnymi ramionami łuczników. Między nimi stał wysoki mężczyzna, wytwornie ubrany w zielono-czarne brokaty, i śmiał się pogardliwie.

W tej chwili radość Katarzyny zgasła i pociemniało jej w oczach. Ratunek bowiem był gorszy niż niebezpieczeństwo: człowiekiem, który ją uratował, był Gilles de Rais!

W ułamku sekundy stanęły jej przed oczami wieże w Champtoce, ponure okropieństwa, jakie wydarzyły się w tym zamczysku, polowanie na człowieka, z którego Walter ledwo uszedł z życiem, stos, na którym Gilles miał zamiar spalić Sarę, wreszcie straszna twarz Jana de Craona i rozdzierająca skarga jego zranionego serca, kiedy się dowiedział, jakim potworem jest jego wnuk...

Liczyła, że w stroju cygańskim nie zostanie rozpoznana, a ponieważ marszałek utkwiał natarczywe spojrzenie w jej pokrytej kurzem twarzy, spuściła głowę, udając skrzepowanie z powodu swej nagości. W istocie, jej koszula wiele ucierpiała w czasie walki... tymczasem Dunicha wrywała się nadaremnie z rąk łuczników. Powietrze przeszył ostry głos Gilles'a:

- Puścić ją wolno i przepędzić mi biczami całą tę zgraję!

- A co zrobić z tą kobietą, panie? - zapytał człowiek, który trzymał Katarzynę.

Jej serce przestało bić, kiedy znienawidzony głos rozkazał:

- Zabrać ją!

W norze szakala

Wraz z zapadnięciem nocy Katarzyna została wepchnięta do jednej z komnat w wieży. Gdy łucznicy wlekli ją do zamku, bała się, że wrzucą ją do straszego lochu jak wtedy w Rouen. Tymczasem znalazła się w obszernym i gustownie umeblowanym pokoju. Kamienne mury pokryte były gobelinami i wschodnimi jedwabiami w kolorach ciemnej czerwieni i srebra, a ścielące się wszędzie poduszki mieniły się błękitem, czerwienią i złotem, kolorami rodu Amboise, który niedawno, z woli króla, został pozbawiony swych dóbr.

W głębi kusilo wielkie kwadratowe łóżce z rozsuniętymi zasłonami, wyścielone białą lnianą pościelą i aksamitnymi kołdrami. Spać! Wyciągnąć udręczone ciało, pokryte siniakami i zadrapaniami. Jednak wielki miecz leżący na stole, stojąca w kącie zbroja oraz porozrzucone tu i ówdzie męskie stroje, jak również wykwintne przybory toaletowe i jedwabne koszule widoczne w pootwieranych skrzyniach świadczyły wymownie, że znajduje się w komnacie samego Gilles'a de Rais'go. Nie wiedziała już, co się z nią dzieje, ale strach jej nie opuszczał. Wspomnienie pobytu u Gilles'a de Rais'go było zbyt bolesne. W sumie jej koszmar trwał nadal.

Dlaczego Rais kazał ją tu przywlec i co zamierzał z nią zrobić? Nie mógł jej rozpoznać. A więc? Jeśli odkryje, kim jest, czeka ją pewna śmierć. A jeśli nie odkryje, to i tak, znając jego pociąg do rozlewu krwi,

może zabić Cyganke, jeśli przyjdzie mu na to ochota... A wcześniej weźmie ją siłą... Tak czy inaczej, groziła jej śmierć. Jaki inny powód niż chęć zabawienia się pchnął Rais'go do przyprowadzenia sobie Cyganki?

Katarzyna zbliżyła się do kominka, w którym strzelały wysokie płomienie, i rzuciwszy się na ławę usłaną poduszkami, wyciągnęła w kierunku ognia zziębnięte dłonie i bose stopy. Jej ciało - ledwo okryte rozdartą koszulą - drżało z zimna, lecz zbawienne ciepło walczyło zwycięsko z wilgotnym rzeczonym powietrzem i chłodną nocą. Oczy Katarzyny bezwiednie wypełniły się łzami, które, kropla po kropli, spływały na surową koszulę. Poczula doskwierający głód. Zresztą od czasu przybycia do obozu Cyganów nigdy nie jadła do syta. Bolały ją wszystkie członki i czuła, że drętwieje ze zmęczenia. Jak na razie wynik jej działania był przygnębiający: wpadła w ręce Gilles'a de Rais'go, najgorszego wroga! Sara i Tristan nie wiadomo gdzie się podziewali. Została sama.

Pograżona w rozpacz, nie pomyślała nawet, że wreszcie znalazła się w zamku, do którego przecież pragnęła się dostać za wszelką cenę...

Przez otwarte, wąskie okno dolatywały dźwięki piosenki. Po drugiej stronie dziedzińca, w apartamentach królewskich, śpiewał jakiś mężczyzna, przygrywając sobie na harfie.

Piękna moja, o czym rozmyślasz?

Co myślisz o mnie?

Nie ukrywaj przede mną...

Katarzyna uniosła głowę, odrzucając do tyłu czarny kosmyk włosów, który spadł jej na czoło. Była to ulubiona piosenka Xaintrilles'a. Śpiewak oddawał się swej muzyce w wyszukany sposób, podczas gdy jej stary

przyjaciel strasznie fałszował. Tę właśnie piosenkę śpiewał w obozie w Arras i wspomnienie tych drogich chwil dodało jej sił. Jej myśli stały się bardziej jasne, krew zaczęła krążyć w żyłach i Katarzyna powoli odzyskała panowanie nad sobą. Przypomniała sobie słowa konetabla de Richemonta: *La Tremoille nie mieszka w apartamentach królewskich. Spędza noce w wieży strzeżony przez pięćdziesięciu zbrojnych wojów...* W wieży? Przecież znajdowała się w wieży! Odruchowo spojrzała na kamienne sklepienie, którego łuki ginęły w ciemności wysoko nad jej głową. Człowiek, którego szukała, musiał być tam, na górze... na wyciągnięcie ręki!

Zajęta swymi myślami nie usłyszała otwieranych drzwi. Gilles de Rais posuwistym krokiem zbliżył się do kominka. Ale dopiero kiedy stanął przed Katarzyną, zauważyła jego obecność. Aby nie wypaść z odgrywanej roli, żywo wstała z miejsca i przybrała wystraszoną minę, której zresztą nie musiała udawać: sama obecność tego człowieka nappełniała ją trwogą. Jej serce biło jak oszalałe i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Gilles gwałtownie chwycił ją za ramiona i bez żadnych wstępów wpił się w jej usta. Pocałunek nie trwał jednak długo.

- Tfu! Ależ ty cuchniesz, piękniśiu! - rzucił z obrzydzeniem, odpychając ją precz. - Nie widziałem jeszcze większego brudasa!

Wszystkiego się spodziewała, ale nie czegoś takiego! Wiedziała, że jest brudna, ale żeby tak jej to wytknąć, to było nie do zniesienia.

Tymczasem Gilles klasnął w ręce i w tej samej chwili pojawił się rycerz uzbrojony po zęby. Marszałek rozkazał, by przyprowadził dwie pokojówki. Kiedy po chwili wrócił ze służącymi, de Rais, wskazując na Katarzynę, powiedział:

- Zabierzcie tę miłą osobę do łaźni i zajmijcie się nią! A ty, łuczniku, masz czuwać, aby panna nam nie uciekła!

Chcąc nie chcąc, Katarzyna ruszyła za strażnikiem. Jedna ze służących na widok ciemnej skóry uczyniła za jej plecami znak krzyża. Obydwie drżały z wielkiej bojaźni przed tą Cyganką, którą przyszło im się zajmować. Katarzyna pomyślała z zadowoleniem, że jej przebranie spełnia swą rolę, lecz obawiała się efektu kąpieli: czy farba mistrza Wilhelma przetrzyma kontakt z wodą? Jej włosy były nadal kruczoczarne, a w kieszonce koszuli miała zaszyte dwa małe pudełka, które dał jej stary artysta. Ale co ze skórą?

Na szczęście wkrótce się przekonała, że kolor trzyma, tylko woda w balii zabarwiła się na lekko żółtawy odcień. Oddawała się z rozkoszą błogiemu ciepłu i zapachowi wonnych olejków. Zamknęła oczy, chcąc trochę uporządkować myśli i uspokoić uparty strach, który ścisnął ją za gardło. Wolała nie myśleć o tym, co ją czeka. Ta błoga chwila była być może ostatnia...

Pragnęła godzinami siedzieć w ciepłej wodzie i zapomnieć o całym świecie, lecz Gilles przypomniałby o sobie. Pokojówki pomogły jej wyjść z kąpieli i ubrały w cieką koszulę z jedwabiu i w tunikę dalmatyńską z szerokimi rękawami, uszytą z ciężkiego samitu*, w zielone paski na białym tle.

** Samit - gęsty jedwab.*

Kiedy jednak kobiety zabrały się do jej włosów, odepchnęła je gwałtownie, wskazując im drzwi gestem tak dzikim, że biedaczki wycofały się pośpiesznie, obawiając się z pewnością, żeby Cyganka nie rzuciła na nie uroku. Katarzyna natomiast obawiała się ujawnienia prawdy, że jej bujne włosy nie są całkiem naturalne. Kiedy została sama, rozplotła warkocze

i czesała je długo, usuwając z nich resztki kurzu, po czym wplotła w nie białe wstążki, poprawiła zarys brwi i nałożyła sporo różu na usta. Żeby walczyć, nawet na straconej pozycji, należało się uzbroić w całą dostępną broń kobiecą. Czysta i ładnie odziana, pewna swojej urody, poczuła się na nowo panią de Montsalvy. Zresztą, co przyznawała, z trudem przychodziło jej odgrywanie narzuconej sobie roli. Ale ponieważ rzuciła się do wody, trzeba było pływać. Gdyby tylko udało się uspokoić skurcze pustego żołądka...

Odważnie otworzyła drzwi pokoju kąpielowego, za którymi stały służące i strażnicy. Tym ostatnim zabłyśły oczy na jej widok.

- Jestem gotowa! - rzuciła spokojnie i ruszyła przed siebie zdecydowanym krokiem, jakby szła do boju.

Po chwili znalazła się w pokoju Gilles'a, gdzie stwierdziła z ulgą, że stół jest zastawiony wszelką strawą. Ten fakt upewnił ją w przekonaniu, że marszałek nie pragnie jej śmierci. Gdy się chce kogoś zgładzić, to się go przedtem nie zaprasza na ucztę!

Pan de Rais czekał, siedząc niedbale w wysokim, rzeźbionym krześle, lecz Katarzyna - zapominając o strachu - zauważyła jedynie smakowicie pachnącego kurczaka z przyrumienioną skórką, pasztety, konfitury, butelki z winem i wiele innych przysmaków...

Rais obserwował, jak rozchylają się jej nozdrza, i w końcu spytał:

- Jesteś głodna? Szybko przytaknęła. - To siadaj i jedz!

Nie kazała sobie dwa razy powtarzać. W pierwszej kolejności sięgnęła po kawał pasztetu, który zniknął błyskawicznie w jej ustach. Nigdy jeszcze nie jadła czegoś tak pysznego. Na drugi ogień poszedł kurczak, którego połowa podzieliła los pasztetu. Tymczasem Gilles nalał jej duży kielich czerwonego wina, które wychyliła jednym haustem. Po

tym poczuła się tak dobrze, że nie zwróciła nawet uwagi na to, że marszałek obserwuje ją jak kot mysz. W tej chwili mogłaby zmierzyć się nawet z samym Belzebubem.

Aby lepiej widzieć, jak połyka kandyzowane śliwki, Gilles oparł się łokciem na stole. Po zaspokojeniu głodu Katarzyna rzuciła na niego szybkie spojrzenie, oczekując, że przemówi. Marszałek ciągle jednak milczał, co zaczynało być denerwujące. W końcu, nie mogąc dłużej znieść napięcia, postanowiła odezwać się pierwsza. Wytarłszy usta jedwabną serwetą, zmusiła się do uśmiechu, pamiętając, że nie może zdradzić swego strachu.

- Wielkie dzięki, moźny panie! Sądzę, że nigdy w życiu nie jadłam tak dobrych rzeczy!

- Doprawdy? Nigdy?

- Nigdy! Jesteśmy biednymi wędrowcami, panie, a na naszych ogniskach gotujemy prostą strawę...

- Toteż ja nie pytam o nędzne kociołki Cyganów - przerwał Gilles zimno - lecz o kuchnię Filipa Burgundzkiego, który każe siebie nazywać Wielkim Księciem Zachodu! Myślałem, że jesteś bardziej wyrafinowana!

Katarzyna zamarła i nie mogła wydobyć słowa. Marszałek wstał, podszedł do niej i pochylając się nad jej głową, powiedział:

- Moje gratulacje! Potrafisz grać komedię jak wielka artystka, moja droga Katarzyno! Bardzo mi się podobałaś, zwłaszcza w scenie walki. Nigdy bym nie przypuścił, że pani de Brazey potrafi się bić jak uliczna dziewczka. Czyż jednak nie sądzisz, że lepiej było ze mną grać w otwarte karty?

Katarzyna uśmiechnęła się gorzko.

- A więc mnie rozpoznałeś?

- O, nie było to wcale trudne: wiedziałem, że tu jesteś w przebraniu Cyganki!

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Wszędzie mam swoich ludzi, w zamku Angers również. Jeden z nich, który widział cię w Champtoce, rozpoznał cię od razu. Śledził was, gdy szliście do Wilhelma Zdobnika. Muszę przyznać, że ten okropny człowiek długo nie chciał mówić, mimo że zastosowaliśmy pewne środki, aby go do tego zmusić...

- To ty go torturowałeś! To ty kazałeś poderżnąć mu gardło! Można się było tego spodziewać! - krzyknęła Katarzyna, trzęsąc się z gniewu.

- Istotnie, to ja. Niestety, ten nieszczęśnik nie chciał za żadne skarby wyjawić powodu tej maskarady mimo naszych nalegań.

- Z tej prostej przyczyny, że sam nie wiedział!

- Domyślałem się tego. Toteż liczę, że ty wyjawisz powód, chociaż wydaje mi się, że wiem...

Bliskość pochylonej nad nią twarzy napawała ją obrzydzeniem. Wstała i podeszła do otwartego okna, po czym spojrzała na marszałka, pragnąc przeniknąć jego myśli.

- A według pana po co tu przybyłam?

- Żeby odebrać swoją własność. Jest to rodzaj działania, które jestem w stanie zrozumieć.

- Moją własność?

Ale Gilles de Rais nie miał czasu na odpowiedź, gdyż w tej chwili ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie wkroczył do środka w towarzystwie dwóch strażników z halabardami, którzy stanęli nieruchomo przy drzwiach. Niespodziewany gość odznaczał się nieprzeciętną tuszą; była to istna beczka smalcu udrapowana kilometrami aksamitu

wyszywanego złotem. Pośrodku tej masy tłuszczu tkwiła obrzękła, czerwona twarz, wyrażająca próżność i arogancję. Był to Jerzy de La Tremoille we własnej osobie.

- Drogi kuzynie! Przyszedłem do ciebie na kolację! U króla można umrzeć z nudów! - wykrzykiwał od progu.

Katarzyna nie spodziewając się, że tak szybko dane jej będzie spotkać znieawidzonego człowieka, na widok nieoczekiwanego gościa cofnęła się. Nagle poczuła radość, gniew i nienawiść. Z dziką satysfakcją stwierdziła, że był grubszy niż dawniej, jego rozlazłe ciało pokrywała żółtawa skóra, a dychawiczny oddech świadczył wymownie o zdrowiu zniszczonym przez życie w sprośności. Wielki szambelan nosił na głowie złoty turban, który nadawał mu wygląd wschodniego satrapy.

Katarzyna, obserwując go uważnie, zauważyła wśród fałd turbanu lśniący jak gwiazda czarny diament... jedyny w swoim rodzaju, niepodrabialny czarny diament Garina de Brazeya!

Wokół niej zawirowały ściany. Przez chwilę myślała, że to sen. Po omacku odnalazła taboret i opadła na niego, nie rozumiejąc słów, jakie wymieniali między sobą dwaj mężczyźni. Starła się odgadnąć, w jaki sposób diament mógł wpaść w ręce szambelana. Przypomniała sobie chwilę, w której przekazała klejnot Jakubowi Coeurowi w oberży „Pod Czarnym Saracensem” i co jej wtedy powiedział. Że zastawi diament u Żyda z Beaucaire! Zapamiętała nawet jego nazwisko: Izaak Abrabanel! Jak się więc stało, że diament błyszczał na turbanie La Tremoille'a? A może Jakub wpadł w zasadzkę? A jeśli zginął?...

Jakub Coeur nigdy nie pozbyłby się z własnej woli rzeczy powierzonej mu przez Katarzynę. Nie oddałby nikomu diamentu. Zwłaszcza temu człowiekowi, którego nienawidził tak samo jak ona.

Zamknęła na chwilę oczy i nie widziała, że La Tremoille - przyjrząwszy się jej z wyraźnym zainteresowaniem - podszedł bliżej. Dopiero kiedy poczuła na swym podbródku dotyk miękkiego, tłustego palucha, drgnęła.

- Sapristi! Gdzie, do diaska, znalazłeś to чудо, kuzynie?

- W obozie Cyganów! - odpowiedział Gilles de Rais niechętnie. - Biła się właśnie z drugą taką czarną kozą. Rozdzieliłem je i zatrzymałem tę, bo mi się spodobała.

La Tremoille raczył się uśmiechnąć, ukazując zepsute zęby, których kolor wahał się między ciemną zielenią i czernią. Przy tym położył upierścienioną dłoń na głowie Katarzyny w geście nieznoszącym sprzeciwu, wywołując w niej dreszcz obrzydzenia.

- Dobrze zrobiłeś, kuzynie! Miałeś głowę na karku jak zwykle. Co za dzika tygrysica!... - cmokał oblesnie. - Wstań, mała, żebym mógł lepiej cię obejrzeć!

Katarzyna usłuchała bez słowa, bojąc się, co dalej nastąpi. Jeśli Gilles de Rais odsłoni prawdę, jest zgubiona. On i La Tremoille byli nie tylko kuzynami, ale łączył ich pakt, prawdziwy pakt. Jeszcze w Champtoce Gilles powiedział jej o nim. Z trudem zrobiła kilka kroków, śledzona łakomym spojrzeniem grubego szambelana.

- Rzeczywiście, bardzo ładna... - komentował bez żenady, jakby oglądał dzieło sztuki. - Prawdziwy klejnot godzien książęcego łoża... Krągła, dumna pierś... Rzeźbione ramiona... Nogi, jak mi się zdaje... długie... Tak, długie! Piękna twarz, to dosyć ważne! A do tego duże, czarne oczy... namiętne usta...

Jego astmatyczny oddech stawał się coraz krótszy; La Tremoille bez przerwy oblizywał językiem spieczone wargi. Katarzyna, czując, że zbyt powściągliwe zachowanie nie przystoi Cygance, zmusiła się za cenę

straszego wysiłku, aby się uśmiechnąć z wystarczającą kokieteryą do swego nieprzyjaciela. Kręcąc biodrami, puściła do niego perskie oko.

- Wyborna! - jęknął pasibrzuch, a jego czerwona twarz stała się fioletowa. - Jak to możliwe, że ja jej nie zauważyłem?

- To zbiegła niewolnica - wyjaśniał coraz bardziej niezadowolony Gilles de Rais. - Kilka dni temu, wraz z ciotką, przybyła do obozu Fera.

Katarzyna na chwilę odetchnęła. Najwyraźniej de Rais nie miał zamiaru wyjawić, kim jest naprawdę. Od razu poczuła się swobodniej w skórze Cyganki. Tymczasem La Tremoille nakazał milczenie swemu kuzynowi.

- Niech sama odpowie! Chcę słyszeć jej głos! Jak cię zowią, moja mała?

- Tchalai, panie! To znaczy „gwiazda” w naszym języku.

- Tak... To pasuje do ciebie. Podejź no, piękna gwiazdo, chcę ci się lepiej przypatrzeć! - Chwytnąc Katarzynę za rękę, odwrócił się w stronę kuzyna i rzucił pośpiesznie: - Dziękuję za prezent, kuzynie. Ty zawsze wiesz, jak zrobić mi przyjemność!

Jednak Gilles de Rais, nie dając za wygraną, stanął pomiędzy szambelanem a Katarzyną. Grymas jego ust nie zwiastował niczego dobrego, a ponure oczy błyszczały niebezpiecznym blaskiem.

- Za pozwoleniem, kuzynie! Rzeczywiście, to dla ciebie porwałem tę dziewczynę, ale nie mam zamiaru oddać ci jej od razu. Dziś wieczór należy do mnie!

Katarzyna popatrzyła na Gilles'a z niejakim zdziwieniem. Myślała do tej pory, że jest ślepo oddany swemu obmierzłemu kuzynowi. A tymczasem okazało się, że wcale nie byli sobie tacy bliscy, jak myślała. Wcale nie. Wybujala duma Gilles'a czynila z niego miernego wasala.

Trudno było wyobrazić sobie, jak zgina kolano przed kimkolwiek... A teraz w jego wzroku zabłysnęła chęć mordy! Jak skończy się pojedynek pomiędzy tygrysem i szakalem?

Małe oczka La Tremoille'a zwięzły się, znikając prawie całkowicie w fałdach tłuszczu, a mięsiste usta wyduły się pogardliwie. Katarzyna poczuła, że dłoń spoczywająca na jej głowie stała się bardziej wilgotna. Najwyraźniej La Tremoille bał się swego niebezpiecznego kuzyna! Jednak, o dziwo, w jego głosie nie znać było gniewu, kiedy zapytał:

- A dlaczego nie dziś wieczorem?

- Dlatego, że dzisiaj należy do mnie! To ja ją znalazłem, to ja ją wyrwałem ze szponów drugiej Cyganki, która byłaby ją zabiła, to ja kazałem ją tu przyprowadzić, to ja kazałem ją wykapać!... Jutro może być twoja, lecz dzisiaj...

- Tutaj wszyscy muszą mnie słuchać - przerwał mu La Tremoille, sącząc słowa z nienaturalną słodyczą. - Czy może wolisz, aby dwudziestu ludzi...

- Nie zrobisz tego, piękny kuzynie! Dlatego, że nie będziesz jej mieć! Wolałbym ją zabić! A poza tym wiem zbyt wiele, żebyś śmiał mnie zaatakować. Na przykład, co by powiedziała twoja małżonka, a moja kuzynka Katarzyna, gdyby się dowiedziała, że ten złoty naszyjnik, który tak pragnęła mieć, dałeś w prezencie żonie pewnego ławnika za jedną noc miłości?

La Tremoille, przed którym drżało całe królestwo, bał się swojej żony jak ognia. To była cenna informacja.

Na razie de Rais był górą. Nie wiedziała, czy ma się z tego cieszyć, czy nie. Gruby szambelan skierował kroki w stronę drzwi, obrzucając dziewczynę spojrzeniem pełnym żalu.

- Dobrze, już dobrze... - wymamrotał wzruszając ramionami. - Zatrzymaj ją sobie dziś wieczór, ale jutro po nią przyślę! I pamiętaj, kuzynie, abyś mi jej nie uszkodził, gdyż w takim przypadku mógłbym zapomnieć, jak bardzo cię lubię!

Wreszcie zniknął, a żołnierze z kamiennymi twarzami wyszli za nim, zamykając za sobą drzwi. Katarzyna i Gilles de Rais znowu zostali sami.

Katarzyna poczuła ucisk w gardle. Jej położenie było okropne, gdyż odkryła, że chcąc wyciągnąć La Tremoille'a z zamku, w którym był zbyt dobrze strzeżony, sama znalazła się w potrzasku. Miała nadzieję, że zostanie wezwana przed oblicze szambelana i że każą jej tańczyć, aby zabawić grubasa, a wówczas znajdzie okazję, by namówić go do krótkiego pobytu w Chinon dzięki pewnej sztuczce, którą dawno sobie obmyśliła. Tymczasem znalazła się pomiędzy strasznym Gilles'em a Tremoille'em. Gilles chciał się nią nacieszyć, a potem wrzucić ją do łóżka szambelanowi. Co będzie, jeśli przestanie się podobać? Czy wystarczy jej czasu na realizację planu?

Gilles oczywiście nie miał zamiaru zwrócić swemu więźniowi wolności. Po wyjściu szambelana podbiegł do drzwi i pozamykał je na wszystkie zamki. Potem podszedł do okna, wychylił się i odetchnął głęboko kilka razy, żeby ukoić nerwy.

Noc niosła ciche, melancholijne dźwięki lutni i wioli.

- U króla jest koncert - powiedział głosem, w którym nie znać już było gniewu. - Co za piękna muzyka... Nie ma nic bardziej boskiego, zwłaszcza te dziecięce głosy... Ale król nie lubi dziecięcych głosów...

Mówił sam do siebie, jakby zapomniał o istnieniu Katarzyny. Dziewczyna zrobiła kilka kroków w stronę czarnej postaci opartej o parapet.

- Dlaczego nie odkryłeś, panie, przed kuzynem mego prawdziwego imienia? - spytała, starając się ukryć strach.

- Ponieważ nic by mi nie przyszło z tego, gdyby Katarzyna de Brazey zgniła w lochu - odpowiedział, nie odwracając się. - Natomiast Cyganka o imieniu Tchalai przedstawia wielką wartość w moich oczach.

- Nie nazywam się już Katarzyna de Brazey! Przed Bogiem i ludźmi jestem żoną Arnolda de Montsalvy'ego!

Na dźwięk tego nazwiska Gilles de Rais skoczył jak oparzony. Odwrócił się w stronę Katarzyny i popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Jakże to? Montsalvy umarł w więzieniu w Sully-sur-Loire jakieś dwa lata temu! La Tremoille jest dobrym strażnikiem, a lochy jego zamku w Sully nigdy nie zwracają swoich więźniów!

- A więc należy sądzić, że jesteś źle poinformowany, panie, gdyż poślubiłam Arnolda de Montsalvy'ego w Bourges w kościele Świętego Piotra w nocy z 24 na 25 grudnia 1431 roku. Węzłem małżeńskim połączył nas brat Jan Pasquerel. Pamiętasz, panie, brata Jana? Był kapłanem Joanny...

- Nie wypowiadaj tego imienia - przerwał jej de Rais, czyniąc pośpiesznie znak krzyża. - Nigdy przy mnie! Boże... gdyby ona nas słyszała!

- Przecież nie żyje - powiedziała Katarzyna pogardliwie. - Czego się tak obawiasz?

- Umarła, lecz jej dusza żyje, a dusza czarownicy może być groźna. Wystarczy wymówić jej imię, a potrafi się zjawić. Nie chcę więcej słyszeć tego imienia!

- Jak sobie życzysz - powiedziała Katarzyna, wruszając ramionami.
- Ale pozostaje faktem, że jestem panią de Montsalvy... i że mam syna!

Słyszając obietnicę Katarzyny, że nie będzie wymawiać imienia Joanny d'Arc, Gilles uspokoił się, a na jego pobladłą twarz wróciły rumieńce.

- W takim razie, jak to się stało, że znalazłaś się tutaj, i to sama? Gdzie jest Montsalvy?

Katarzyna stała jak skamieniała. Spuściła powieki, aby de Rais nie zauważył dotkliwego bólu, jaki zawsze czuła, wypowiadając te okrutne słowa.

- Mój mążonek nie żyje... Oto dlaczego jestem sama. Zaległa cisza, która po chwili stała się nie do zniesienia.

Aby rozproszyć ponurą atmosferę, Katarzyna postanowiła za wszelką cenę zmienić tok rozmowy.

- A jak miewa się pan Jan de Craon, twój dziad, i Anna, jego mążonka, która była dla mnie taka dobra, kiedy przebywałam u ciebie?

Widząc reakcję Gilles'a, natychmiast pożałowała swych słów. Demoniczna twarz marszałka wykrzywiła się w bezgranicznej złości, a jego oczy zaczęły ciskać błyskawice.

- Mój dziad umarł zeszłej jesieni... przeklinając mnie. A swoją szpadę przekazał memu bratu, temu bękartowi Rene! I ty śmiesz mnie pytać o niego? Mam nadzieję, że teraz jego przeklęta dusza smaży się w piekle! Mam nadzieję, że...

- Skończmy z tym - przerwała Katarzyna. - Zapomnij swe urazy, powiedz raczej, dlaczego tak bardzo potrzebna ci jest Cyganka o imieniu Tchalai?

- Dlatego, że chcę tego, po co tu przyszedłaś: chcę mieć czarny diament! A wiadomo, że Cyganka potrafi szachrować, rzucać uroki i kraść!

- Ale ja nie jestem prawdziwą córą bohemy!

De Rais porzucił nagle kurtuazyjny ton, który starał się zachować dotychczas. W jego spojrzeniu zapalił się płomień pożądania. Podeszedłszy do Katarzyny, chwycił ją za ramiona tak mocno, że aż jęknęła.

- To prawda, lecz sądzę, że znasz się na tym lepiej niż te czarne kozy! Nie jesteś córą bohemy, ponieważ jesteś córą samego diabła! Jesteś czarownicą! Rzucasz na ludzi zaklęcia, każdy, pan czy prostak, przywlecze się do twych stóp i pokornie będzie jadł ci z ręki! Zawsze wychodzisz cało z najgorszych oparów, aby pojawić się znowu w pełnym blasku, coraz silniejsza i coraz piękniejsza! Jesteś kimś więcej niż zwykłą Cyganką! Czyż nie zostałeś wychowana przez tę diabolicę, którą chciałem spalić na stosie?

Mówił o Sarze! Jak mogła o niej zapomnieć!

- Straciłam moją wierną Sarę! Zniknęła dzisiaj rano i nie wiem, gdzie się może podziewać...

- Ale ja wiem! Jeden z moich ludzi natknął się na nią, jak biegała po mieście w poszukiwaniu tego tam... Tristana Eremity. Nie obawiaj się, teraz znajduje się w dobrych rękach... nie, nie, nic jej nie grozi... Przynajmniej na razie! Jej los zależy od twego posłuszeństwa!

- Byłabym wdzięczna, panie, gdybyś zaniechał tykania mnie - powiedziała Katarzyna surowym tonem. - I gdybyś mi wyjawiał, co się stało z panem Tristanem - dodała.

- Tego nie wiem - odparł Gilles. - Kiedy posłałem ludzi, żeby schwytali twego współnika w „Winnicy Królewskiej”, udało mu się, nie wiedzieć jakim cudem, uciec przed nimi. Od tej pory ślad po nim zaginął.

Katarzyna starała się wyrwać z rozdygotanych rąk, miętoszących jej ramiona, lecz na próżno. De Rais mocno trzymał zdobycz, pochylając się do jej twarzy. W jego oddechu czuć było nieprzyjemny odór wina.

- Puść mnie, panie! - powiedziała, zaciskając zęby. - I spróbujemy wyjaśnić pewne sprawy! Nie przybyłam tutaj, jak mógłbyś sądzić, w celu odzyskania czarnego diamentu. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam nawet, że wpadł w ręce twojego kuzyna!

Szczerłość tych słów uderzyła Gilles'a tak, że pod ich wrażeniem wypuścił swą ofiarę z uścisku. Patrzył na nią zdziwiony niepomniernie, jakby nie pojmował usłyszanych przed chwilą słów.

- Nie przybywasz po to, by odzyskać diament? - spytał z niedowierzaniem. - W takim razie, co cię tu sprowadza?

- Zastanów się, panie! Jestem wdową i mam syna. Nasza rodzina została zrujnowana, jesteśmy wyklęci i w każdej chwili grozi nam śmierć! A w czyich rękach jest nasz los? W rękach twojego kuzyna, La Tremoille'a! Oto dlaczego tu jestem! Muszę zbliżyć się do niego, uwieść go i wyrwać mu moje ułaskawienie, moje i mojej rodziny, wyrwać mu nasze dobra, które należą się mojemu synowi. Czyż to nie są wystarczające powody?

- Ale skąd to przebranie?

- Czyż nie zostałam natychmiast pojmana, gdybym przekroczyła bramy zamku jako pani de Montsalvy? Przypadek chciał, że dowiedziałam się o upodobaniu twojego kuzyna do tańców i śpiewów cygańskich. Przy pomocy Sary udało mi się dostać do obozowiska. Resztę znasz... A teraz chciałabym się dowiedzieć, co zamierzasz ze mną uczynić.

Gilles nie odpowiadał, lecz bawił się nerwowo rękojeścią sztyletu leżącego na kufrze. Katarzyna wstrzymała oddech, bojąc się zakłócić tę groźną ciszę. Nagle Gilles wbił sztylet w wieko drewnianego kufra i nie patrząc na Katarzynę, wycedził:

- Chcę, żebyś ukradła czarny diament... i żebyś mi go oddała...

- Zapominasz, panie, że należy do mnie! Ciekawe, jakim sposobem szambelan wszedł w jego posiadanie?

- Pewien oberżysta podsłuchał, jak człowiek, któremu powierzyłaś klejnot, mówił, że zastawi go u Żyda z Beaucaire, niejakiego Abrabanela. Licząc na sowiłą nagrodę, oberżysta doniósł o tym szambelanowi. Reszta była prosta.

- Czy kazał zgładzić Jakuba Coeura? - krzyknęła Katarzyna.

- Nie, do diabła, nie! Twój emisariusz dostał swoje złoto od Żyda i dawno ruszył w świat. Diament był w posiadaniu tego Abrabanela. Ale nie chciał oddać go wysłannikom mego kuzyna... więc musiał zginąć!

Katarzyna wydała okrzyk grozy, który przeszedł w śmiech, bolesny i ironiczny zarazem.

- Śmierć! Znowu śmierć!... I ty chcesz zdobyć ten przeklęty klejnot! Po stokroć przeklęty! Wszędzie, gdzie się pojawi, przynosi same nieszczęścia, krew i cierpienie! I mam nadzieję, że dzięki niemu twojego kuzyna spotka wszystko, co najgorsze! Jeżeli chcesz go zdobyć, zrób to sam!

Katarzyna, przejęta do żywego, zaczęła krzyczeć. W tej chwili Gilles rzucił się na nią z obłędem w oczach. Jego ręce znowu wczepiły się w jej ramiona, podczas gdy twarz - wykrzywiona ze złości i strachu - zbliżała się do jej twarzy.

- Przeklęta czarownico! Ty i te twoje uroki więcej napędzają strachu niż sam szatan! Wiedz jednak, że nie masz wyboru! Albo skradniesz klejnot, albo umrzesz w mękach, a wraz z tobą ta cała Tchalai! Jutro zostaniesz wydana szambelanowi! Wybór należy do ciebie! Jesteś tylko włóczęgą, zwykłą Cyganką bez wartości, z którą mogę zrobić, co mi się

żywnie spodoba! A tutejsi mieszkańcy nie znają większej uciechy jak widok jednego z twoich braci dyndającego na szubienicy!

- A więc będziesz musiał obciąć mi język! - rzuciła Katarzyna z pogardą. - Gdyż na mękach wszystko powiem, powiem, kim jestem i po co przywlokłeś mnie do zamku! Tak czy inaczej, jestem skazana na śmierć - dodała z goryczą. - Wiem, że nie wypuścisz mnie stąd żywej ... Tak więc nie ma szans, abym ukradła dla ciebie ten kamień...

- Mylisz się! - przerwał jej Gilles. - Jeśli zdobędę czarny diament, daruję ci życie! La Tremoille mieszka w tej wieży. Należy działać w nocy. Kiedy zdobędziesz diament i przyniesiesz mi go tu, puszcę cię wolno. Potem będziecie musieli jak najszybciej zwinąć obóz, gdyż wasze życie będzie zależeć od szybkości waszych nóg. Zostanie wam kilka ostatnich godzin nocnych... gdyż, oczywiście, zostaniesz oskarżona, a wraz z tobą reszta Cyganów.

- Zbrojni ludzie szybko nas odnajdą i poleje się niewinna krew.

- To mnie nie obchodzi. W twoim interesie będzie nie dać się schwytać. Gdyby cię jednak pojmano, pamiętaj, że wyjawienie prawdy na nic ci się nie zda! Nikt bowiem nie da wiary Cygance! Naraziłabyś się tylko na kpiny.

- A jeśli odmówię?

- Twoja droga Sara zostanie natychmiast zawleczona do sali tortur. Ty będziesz uczestniczyć w przedstawieniu, zanim sama podzielisz jej los.

Katarzyna odwróciła z obrzydzeniem twarz od ohydneho oblicza targanego drgawkami okrucieństwa i chciwości.

- Trudno... zrobię, czego żądasz... Myślę, że rzeczywiście nie mam wyboru...

- Ukradniesz diament i oddasz mi go?

- Tak... - odparła zmęczonym głosem. - Oddam ci go, panie, licząc na to, że i tobie przyniesie nieszczęście...

Policzek wymierzony jej przez Gilles'a zamienił jej słowa w krzyk bólu. Był tak silny, że myślała, iż odpadnie jej głowa.

- Nic mnie nie obchodzą twoje przekleństwa, diabelskie nasienie! Masz mnie słuchać, jeśli nie chcesz zginąć! Słuchać, zrozumiałaś? Z pokorą!

Katarzyna połykając łzy, patrzyła z nienawiścią na swego prześladowcę.

- A teraz pomożesz mi się rozebrać! - rozkazał, siadając na krześle i wyciągając nogi, aby zdjęła mu buty.

Najwyraźniej miał zamiar ją upokorzyć. Zawahała się, lecz знаła go zbyt dobrze, aby stawiać opór. Z cichym westchnieniem upadła na kolana i zaczęła zdejmować poszczególne części jego stroju. On tymczasem chwycił puchar wina ze stołu i wychyliwszy jego zawartość jednym haustem, cisnął nim precz w kąt komnaty. Potem opróżnił drugi i trzeci. Katarzyna z przerażeniem stwierdziła, że jego twarz spuchła, a oczy przekrzywiły się. Kiedy już był nagi, chwycił leżący na krześle długi, aksamitny szlafrok i nałożywszy go, ścisnął się w pasie sznurem. Następnie, rzuciwszy Katarzynie złe spojrzenie przekrwionych oczu, rozkazał:

- A teraz kolej na ciebie! Rozbieraj się!

Katarzyna zawrzała gniewem. Zacisnąwszy usta, z uporem rzuciła krótkie „nie”, spodziewając się wybuchu wściekłości swego adwersarza. Ku jej zdziwieniu nic takiego jednak nie nastąpiło. Gilles westchnął ciężko i oddalił się nonszalanckim krokiem w głąb komnaty, gdzie na jednym z krzeseł leżał pejcz.

- Jak wolisz... Sam cię tedy rozbiore... za pomocą tego!

I w tej samej chwili zadał pierwszy cios. Długi i ostry jak cięciwa bat ze świstem przeszył powietrze, owijając się z diabelną dokładnością wokół szerokiego rękawa tuniki Katarzyny i rozrywając go w ułamku sekundy. Jednocześnie Katarzyna poczuła piekący ból, a z jej rozciętego ramienia spływała strużka krwi. Zrozumiała, że jest przegrana, że musi być posłuszna, w przeciwnym razie ten szalowiec zaćwiczy ją na śmierć.

- Przestań... - powiedziała zupełnie przybita. - Już słucham...

Równocześnie zrzuciła z ramion jedwabną tunikę i cienką koszulę...

Kiedy nastał ranek, Katarzyna była na wpół żywa z wyczerpania. Noc w szponach Gilles'a miała odcisnąć się okrutnym wspomnieniem.

Marszałek był szalony, trudno o inne wyjaśnienie. Okazał się maniakiem krwi i perwersji i zmuszał Katarzynę do obrzydliwych praktyk, które dyktowała mu jego chora wyobraźnia w połączeniu z zanikającą męskością. Jej udręczone i podrapane ciało nie pozwalało jej zasnąć, a z ramienia, w które zboczeniec wpił się zębami, ciągle spływała krew.

Przez całą tę koszmarną noc marszałek nie przestawał pić, aż do zupełnego upojenia, lecz pomimo to nie dawał Katarzynie spokoju, pastwiąc się nad nią i aż do brzasku nie zmrużył oka. Kiedy strażnicy zadęli w rogi, zwiastując otwarcie bram miasta, wstał z łoża, przeciągnął się i nałożywszy szaty, wyszedł, nie racząc nawet spojrzeć na Katarzynę leżącą nieruchomo w skotłowanym pościeliu. Z dziedzińca dochodziły dźwięki trąbek i szczekanie psów. To pan marszałek, jak co ranka, udawał się na polowanie.

Za oknami wstawał piękny, wiosenny dzień. Ale tutaj w baszcie, za jej grubymi murami, panował smutny półmrok, rozjaśniony jedynie dogasającymi płomykami świec. Katarzyna czuła w ramieniu piekący ból i

pomimo wyczerpania wstała, aby nabrać trochę wody z konwi stojącej w rogu pokoju. Zaledwie jednak spuściła nogi na posadzkę, wszystko wokół niej zawirowało i z powrotem bezsilnie opadła na posłanie. Czuła się słabą, marną istotą. Wstrząsana dreszczami, naciągnęła na siebie całą pościel. A gdyby wezwać jakąś służącą? Może któraś przysłaby, żeby się nią zająć.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, w których ukazała się najpierw okrągła twarz, a potem tłuste ciało La Tremoille'a. Zanim wszedł, potoczył wzrokiem po komnacie, a upewniwszy się, że Gilles'a nie ma w środku, starannie zamknął drzwi za sobą i na palcach zbliżył się do łoża. Katarzyna patrzyła na niego z przestachem. Grubas miał na sobie szlafrok w kolorze soczystej zieleni bogato wyszywany złotem, a jego łysą czaszkę zdobiła gustowna szlafmyca. Katarzyną targnęły złe przeczucia: czyżby obleśny szambelan miał zamiar natychmiast zająć miejsce opuszczone przez Gilles'a? Aby powstrzymać jęk grozy, przygryzła koniuszek prześcieradła.

Tymczasem La Tremoille, rozszerzając mięsiste usta w szerokim uśmiechu, nachylił się nad nią, a widząc, że ma oczy otwarte, powiedział:

- Usłyszałem, jak mój kuzyn wychodzi, więc pomyślałem sobie, że złożę ci małą wizytę, śliczna panno! Nie zmrużyłem oka całą noc, bo myślałem o tobie. Na szczęście noc się skończyła i od tej chwili należysz do mnie!

Wyciągnął tłustą łapę w kierunku krągłego ramienia rysującego się pod pościelą i niecierpliwie zerwał z niej prześcieradło, aby dotknąć gładkiego ciała, gdy jego oczom ukazało się ramię pogryzione w przystępie szału przez Gilles'a. Na ten widok La Tremoille cofnął się pośpiesznie, spoglądając na ciało Katarzyny z osłupieniem. Wszędzie było pełno krwi.

- Litości, panie! - jęknęła Katarzyna. - Nie dotykaj mnie! Strasznie mnie boli!

Przeczuwając coś złego, La Tremoille chwycił prześcieradło i cisnął je na posadzkę. Ujrzał ciało posiniaczone, podrapane, pokryte zaschniętą i świeżą krwią. Szambelan poczerwieniał z gniewu.

- O, wściekły pies! Jak mógł okaleczyć ją w taki sposób, kiedy była przeznaczona dla mnie? Zapłaci mi za to! Tak, tak, zapłaci!

Pomimo cierpienia Katarzyna patrzyła ze zdziwieniem na tę beczkę smalcu, trzęsącą się z bezsilnej złości jak galareta. La Tremoille wziął jej zdziwienie za strach i z niezwykłą łagodnością przykrył jej nagie ciało jedwabnym prześcieradłem.

- Nie bój się mnie, maleńka! Ja ci krzywdy nie zrobię! Nie jestem takim prostakiem i zbyt kocham piękno, aby używać go w sposób tak barbarzyński. Należysz do mnie, a ten brutal śmiał cię uderzyć, śmiał cię zranić, wiedząc, że masz przyjść do mnie dziś rano!

Katarzyna pomyślała, że najbardziej nie mógł znieść myśli, że Gilles ośmielił się zniszczyć coś, co należało do niego. Z pewnością zachowałby się podobnie w przypadku psa, konia czy jakiejś sztuki srebra... No cóż, należało to wykorzystać...

- Panie, czy mógłbyś przysłać tu jedną ze służących, aby opatrzyła mi ramię? Bardzo mnie boli, a poza tym...

- Oczywiście, moje dziecko, nie tylko przyślę służące, ale również służących. Zostaniesz przeniesiona do mnie, moja piękna Tchalai... to twoje imię, prawda? Zapewnię ci opiekę i sam będę czuwał, abyś szybko przyszła do siebie!

- A co z panem de Rais'em? - spytała nieśmiało.

W kąciku grubych, wilgotnych warg szambelana pojawił się złośliwy grymas.

- Więcej o nim nie usłyszysz! Do mnie nikt nie ma prawa wstępu, on także. Wie dobrze, że gdybym chciał, szybko zostałby odesłany do swej pustelni w Andegawenii!

Już miał wyjść, kiedy popychany niepohamowanym pożądaniem, położył swoją pulchną dłoń na udzie Katarzyny rysującym się pod prześcieradłem.

- Im szybciej wyzdrowiejesz, malutka, tym szybciej uczynisz mnie szczęśliwym! Gdyż potem będziesz dla mnie miła, nieprawdaż?

- Jestem twoją służką, panie... - wybełkotała - lecz tymczasem jestem taka chora...

Szambelan niechętnie zdjął dłoń z jej uda, ale za to poklepał ją po policzku.

- No, już dobrze, dobrze! Muszę zachować rozsądek! Za to potem będzie jeszcze przyjemniej!

Tym razem rzeczywiście wyszedł z pokoju, i to z szybkością, o jaką nigdy by Katarzyna nie podejrzewała podobnej góry mięsa. Trzasnęły drzwi.

Nie mogąc zebrać myśli, Katarzyna zamknęła oczy, czekając, aż się nią zajmą. Myśl o przeprowadzce do La Tremoille'a nie napawała jej strachem. Nie mogło być nic gorszego od tej strasznej nocy spędzonej w szponach Gilles'a. A przecież o to jej chodziło: dostać się do jaskini wroga!

Po chwili do komnaty weszły dwie stare i pomarszczone jak *phuri dai* służące, które umyły Katarzynę, nabalsamowały jej rany i zawinęły bandażami. Przy tym nie wypowiedziały ani słowa. Obie były do siebie podobne jak dwie krople wody, nosiły czarne suknie, przypominając w

tym stroju posągi nagrobne, za to ich ręce były sprawne i delikatne. Po tych zabiegach Katarzyna poczuła się znacznie lepiej, a kiedy chciała im podziękować, pochyliły się w ukłonie i do komnaty weszli służący z czymś w rodzaju noszy, na których stare służące umieściły Katarzynę ubraną w koszulę i białą dalmatykę.

Cały ten pochód ruszył wąskimi schodami na górę. Wkrótce dotarli przed drzwi strzeżone przez dwóch służących z płonącymi pochodniami. Jeden z nich pochylił się, kiedy lektyka przesuwała się obok niego. Mimo liberii, mimo zapuszczonej brody i obfitego owłosienia Katarzyna rozpoznała w nim samego Tristana Eremitę!

Nie starała się nawet domyślać, w jaki sposób tutaj się znalazł. Ogarnęło ją dobroczynne uczucie ulgi; zamknąwszy oczy, dała się unieść w kierunku swego nowego więzienia.

Pani de La Tremoille

Przyjęcie, jakie zgotował wielki szambelan Katarzynie, pozwoliło domyślać się, iż przywiązywał wielkie znaczenie do jej osoby. Wprowadzono ją do przytulnego pokoju znajdującego się w małej wieżyczce przylegającej do jego apartamentów. Główne miejsce zajmowało w nim wielkie łóże z zasłonami z czerwonej serży. Katarzyna została ostrożnie ułożona na miękkich materacach i pozostawiona pod strażą dwóch starych służących, bliźniaczek, które czuwały nad nią, stojąc cicho i nieruchomo obok wielkiego łóża.

Katarzyna wkrótce odkryła powód ich milczenia. Obydwie były nieme. Dawno temu obcięto im języki w celu zapewnienia sobie ich całkowitej dyskrecji. La Tremoille powiedział Katarzynie, że są Greczynkami, nie wyjawiając jednak, w jaki sposób te kobiety dostały się z targu niewolników w Aleksandrii na dwór króla Karola VII. Wielki szambelan wygrał je w szachy od księcia miasta Orange. Od tamtej chwili Chryssoula i Nitsa, bo takie nosiły imiona, służyły mu wiernie, uczestnicząc we wszystkich jego ciemnych sprawkach. Zawsze pilnowały kobiet, które sprowadzał sobie ich pan. Były do siebie tak podobne, że nawet po upływie pięciu dni Katarzyna nie była w stanie odróżnić jednej od drugiej.

Jednak ciągła ich obecność zaczynała ją drażnić. Sto razy wolałaby samotność od tych cichych postaci z kamiennymi twarzami, w których jedynie oczy zdawały się żyć... W dodatku radość z nieoczekiwanego spotkania z Tristanem w przebraniu służącego minęła. Bardzo na to liczyła, że ten wkrótce ją odwiedzi, ale od kilku dni oprócz La Tremoille'a żaden mężczyzna nie przekroczył progu jej pokoiku. Wydawało się, że tylko Greczynki mają prawo w nim przebywać.

Szambelan odwiedzał ją dwa razy na dzień, traktując swego więźnia z niezwykle uprzejmością. Dla Katarzyny było to trudne do wytrzymania, gdyż nie tylko musiała odpowiadać mu równie uprzejmie, ale na dodatek, jak przystało na biedną Cyganekę, z pokorą i uniżonością. Zmuszała się do pozostawania w łóżku i udawania, że jest bardziej chora, niż była w rzeczywistości, tak bardzo bała się chwili, w której szambelan zażąda, aby była dla niego „miła”. Na myśl o cielesnym kontakcie z tym tłusciochem robiło się jej niedobrze. Pragnęła jego zguby całą siłą swej nienawiści. Pragnęła pomścić Arnolda i zemścić się za to, że doprowadził ich rodzinę do ruiny.

Toteż wysiłek, z jakim musiała ukrywać swoje prawdziwe uczucia i uśmiechać się do swego najgorszego wroga, był nadludzki. W tym celu bez przerwy wyobrażała sobie tę chwilę, w której szambelan będzie wił się u jej stóp, zdany na jej łaskę i niełaskę. Tę chwilę, o której śniła przez wiele miesięcy. Tylko wtedy znajdowała w sobie przyływ nowej energii. Ale po tamtej diabelskiej nocy spędzonej z Gilles'em de Rais'em przysięgła sobie jedno: nawet gdyby jej misja się nie powiodła, nawet gdyby nie udało się jej zwabić La Tremoille'a do Chinon, nigdy nie odda się temu potworowi. Jeżeli nie uda się jej trzymać go na odległość przed wyjazdem

z Amboise do Chinon, była zdecydowana po prostu go zabić, nawet gdyby sama miała potem zginąć.

Żeby jednak zadać śmiertelny cios, potrzebna była broń. Liczyła na Tristana, że ją dostarczy... lecz Tristan się nie pokazywał.

Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie Katarzyny przez długie godziny, jakie przyszło jej spędzić w łożu z czerwonymi zasłonami. Odgłosy dochodzące z zamku, nawoływania strażników, zmiany straży, krzyki służących, odgłosy końskich kopyt były jedynymi jej rozrywkami. A jednak ten przymusowy odpoczynek miał swoje dobre strony. Katarzyna szybko przychodziła do siebie i odzyskiwała siły.

W szóstym dniu odosobnienia postanowiła, że czas przystąpić do akcji. Pewne drobne zajście nakazywało przyspieszyć bieg wypadków.

Tego ranka, jak zwykle po porannej mszy, stara Chryssoula lub Nitsa przyniosła jej śniadanie: pieczone skowronki, dzban wina i chleb, w którym... wydrążony był otwór, a w nim znajdował się cienki pasek zwiniętego pergaminu.

Katarzynie udało się go ukryć przed przenikliwym wzrokiem starej i dopiero kiedy ta wyszła z pokoju z opróżnionymi naczyniami, rozwinęła go w pośpiechu. Pergamin zawierał trzy krótkie słowa: Pamiętaj o Sarze. Bilecik skreślony był ręką Gilles'a de Rais'go, który widocznie niecierpliwił się, chcąc wejść w posiadanie czarnego diamentu. W jaki sposób wyrwać z jego szponów Sarę? Ukraść diament? Katarzyna chętnie by to uczyniła, ale przecież musiała pozostać w zamku, aby schwytać La Tremoille'a w sidła, a poza tym nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie schowany był przeklęty klejnot.

Poprosić szambelana, aby uwolnił Sarę? Z pewnością to by było najłatwiejsze, gdyż szambelan za wszelką cenę starał się jej przypodobać.

Czyż nie podarował jej ciężkiego, złotego łańcucha, dając do zrozumienia, że zasypie ją podarunkami, jeśli wykaże pewną uległość? Jeżeli jednak wyrwie Sarę siłą, czy Gilles nie zemści się, wyjawiając, kim jest naprawdę Cyganka Tchalai, a wtedy nic nie zdoła jej uratować.

Przedłużające się odosobnienie zaczynało doskwierać jej do żywego. Nie mogła już dłużej wytrzymać w łóżku. Kiedy wróciła stara, Katarzyna już była na nogach i rozkazała:

- Ubierz mnie! Chcę wyjść!

Służąca popatrzyła na nią z niedowierzaniem, po czym zaprzeczyła ruchem głowy, wskazując palcem na drzwi prowadzące prosto do okrągłej komnaty La Tremoille'a. Katarzyna zrozumiała, że służąca nie zrobi nic bez rozkazu swego pana.

- A więc idź do niego! - rzuciła suchym tonem. - Muszę się z nim widzieć!

Przerażone spojrzenie starej kobiety nie wzbudziło w niej najlżejszego współczucia.

- Jestem silniejsza od ciebie - powiedziała, zbliżając się. - Jeśli nie pójdziesz po pana, przysięgam, że wyjdę, czy chcesz, czy nie! Choćby w samej koszuli!

Zdecydowany i groźny ton Katarzyny zmusił starą do spełnienia jej życzenia. Uczyniwszy znak, aby poczekała, służąca wyszła z pokoju, zamykając starannie za sobą drzwi.

Katarzyna podeszła do małego okna i stając na palcach, wychyliła się na zewnątrz. Zobaczyła kawałek rzeki błyszczącej w słońcu, zieloną trawę i drzewa na wyspie Świętego Jana. Błękitne niebo przeciął ptak i Katarzynę ogarnęła przemożna chęć wydostania się z ponurej fortecy i odetchnięcia świeżym, wiosennym powietrzem. Nagle obudzona młodość

domagała się swych praw, przepędzając na chwilę pragnienie zemsty i troskę o przyszłość. Żeby tak mieć mały domek nad brzegiem rzeki, cały w kwiatach i żyć w nim spokojnie z synem i ukochanym Arnoldem! Dlaczego nie mogła żyć tak jak inne kobiety?

Powrót starej przerwał jej smutne rozmyślenia. Służąca przyniosła ubrania. Towarzyszył jej paż, w którym, ku wielkiej radości, Katarzyna rozpoznała Tristana.

- Pan nie może przybyć - powiedział obojętnym głosem, nie patrząc Katarzynie w oczy - ale pozwolił, abyś się ubrała i wyszła na małą przechadzkę po dziedzińcu. Chryssoula będzie ci towarzyszyć i będziesz musiała wrócić, kiedy ci każe. - W głosie Flamanda zabrzmiała groźba. - Uważaj, abyś we wszystkim była jej posłuszna, córo Egiptu, gdyż możesz narazić się panu!

Katarzyna udając pokorę, odpowiedziała skromnie:

- Będę posłuszna. Pan jest dla mnie bardzo dobry. A czy nie powiedział nic więcej?

Jej fiołkowe, błagalne spojrzenie spotkało się z niewzruszonym wzrokiem Tristana.

- Tak. Był bardzo zadowolony, że chcesz wrócić do normalnego życia. Kazał ci powiedzieć, że dziś wieczorem król urządza bal, ale z pewnością jesteś jeszcze zbyt słaba, by tańczyć na dworze. Za to, po balu... przyjdzie do ciebie, aby osobiście się przekonać, czy szczęśliwie wróciłaś do zdrowia.

Ciało Katarzyny przeszył nieprzyjemny dreszcz. Zrozumiała, co ją czeka. Tego wieczoru La Tremoille będzie domagać się swoich praw, a ponieważ spędzi wesoły wieczór na balu, nie żałując sobie trunków, nie zdoła nad sobą panować. Katarzyna poczuła, że coś ściska ją za gardło.

Tymczasem Tristan, sztywny i wyniosły, jak przystało na pazia królewskiego dworu, skierował się w kierunku drzwi. W chwili kiedy miał je otworzyć, odwrócił się i rzucił od niechcenia:

- Byłbym zapomniał... W mieszku sukienki znajdziesz swoje rzeczy. Nasz pan ma zbyt dobre serce dla takich dziewczek jak ty! Kazał oddać ci wszystko, co do ciebie należy.

Obecność Chryssouli powstrzymała Katarzynę od rzucenia się na sakiewkę i sprawdzenia jej zawartości. Wszystko, co do niej należy? Ależ ona nie miała niczego oprócz podartej koszuli, kiedy przybyła do Gilles'a de Rais'go, nie licząc dwóch małych puzderek, które dostała od Wilhelma Zdobnika. Tak więc, o czym mówił Tristan?

Po kąpieli, którą wzięła w wielkim pośpiechu, gdyż od paru dni miała wrażenie, że jej skóra zaczyna się rozjaśniać, włożyła stroje, które podała jej Chryssoula. Szara sukienka, cienka płócienna koszula, na to plisowana bluzka z wysokim kołnierzykiem i kornet z białego płótna, przy pasku zaś skórzany, szeroki mieszek, który wydał się Katarzynie niezwykle ciężki. Cały ten strój był prosty, widocznie La Tremoille chciał, aby nie rzucała się w oczy i nie przyciągnęła zbyt bogatym strojem uwagi mieszkańców zamku.

Katarzyna dotknęła drżącymi palcami wypchanego mieszka. Płoneła z ciekawości, aby poznać jego zawartość. Zarzuciwszy na ramiona czarną pelerynę z cienkiej wełny, dała Chryssouli znak, że jest gotowa. Służąca otworzyła drzwi, prowadząc Katarzynę do olbrzymiej, urządzonej z przepychem komnaty wielkiego szambelana, prawdziwej świątyni złota, gdzie nawet baldachim i poduszki na krzesłach były przetykane złotem. Wreszcie wyszły na wąskie schody, gdzie panowały zupełne ciemności. Katarzyna pośpiesznie włożyła rękę do mieszka. Była w nim chusteczka,

różaniec, kilka monet, mały zwitek pergaminu. Na końcu wymacała przedmiot, którego dotyk nappełnił ją dziką radością. Nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, przebiegła go dłonią dwa, trzy razy. Nie było wątpliwości: tym przedmiotem był sztylet! Sztylet z krogulcem de Montsalvyeh! Tristan pomyślał o wszystkim! Katarzyną zawładnęło uczucie wdzięczności. Eremita czuwał nad nią i odgadł, że raczej wolałaby zabić szambelana, niż mu się oddać.

W tej chwili poczuła się wolna! Mogła żyć lub umrzeć! Mogła zabić albo okazać łaskę! Zbiegła z ostatnich schodów jak na skrzydłach. Teraz była w stanie pokonać nieprzyjaciela, mogła spełnić swoją zemstę! Czy to ma znaczenie, co się z nią stanie potem?

Pozostawał jeszcze zwitek pergaminu, który należało jak najszybciej odczytać. Może była to wiadomość od Tristana? Tylko jak to zrobić? Oznajmić, że czuje się zmęczona? Za wcześnie, to mogłoby wzbudzić podejrzenia starej. Należało trochę zaczekać...

Na dziedzińcu panowało wielkie ożywienie. Przy otworach strzelniczych krzatali się łucznicy, a ich żelazne hełmy błyszczały w wiosennym słońcu. Praczki, niosąc kosze pełne bielizny na głowach, schodziły w stronę rzeki. Myśliwi na koniach, trzymając sokoły na dłoniach chronionych przez skórzane rękawice, byli gotowi do ruszenia w pole, niecierpliwie oczekując na jeszcze jednego z nich, najznamienitszego rangą. W kierunku ogrodu warzywnego zaś podążała grupa dam dworu rozgadanych jak papugi, potrząsających spiczastymi czepkami. Katarzyna i nieodstępująca jej na krok Chryssoula przechadzały się wśród tego kolorowego tłumu. Maj zakwitał tysiącem kwiatów w przypałacowym ogrodzie, rozciągającym się za niskim, ażurowym ogrodzeniem. Katarzyna zauważyła z zachwytem, że w cieniu fortecy kwitły róże.

Kuszona przez świeżą zieleń ogrodu, bezwiednie tam skierowała swe kroki, gdy wtem zauważyła grupę dziewcząt w bladoniebieskich sukienkach z wiankami z kwiatów na rozplecionych włosach. Pośrodku kroczyła wysoka i wyniosła kobieta, której dumną urodę podkreślała bogata suknia z pomarańczowego brokatu przetykanego złotą nitką, podobnego do jej bujnych, rudych włosów. Na głębokim dekolcie błyszcząły wielkie szmaragdy, a głowę zdobił wysoki, jak kościelna wieża, czepek. Wszyscy rozstępowali się przed nią, pochyleni w głębokich ukłonach. Katarzyna byłaby wzięła ją za królową, lecz rozpoznała, kim jest ta kobieta, i zalała ją żółć. Oto spoglądała z nienawiścią na panią de La Tremoille, kobietę, która ośmieliła się uwodzić Arnolda i która skazała go na tortury, ponieważ ją odepchnął, kobietę, której ona, Katarzyna, poprzysięgła śmierć!

Poczuła, że zaniepokojona Chryssoula pociągnęła ją za rąbek peleryny, ale Katarzyna stała jak skamieniała. Nigdy jeszcze nie czuła takiej żądzy zemsty jak w tej chwili. W końcu ruda dama zwróciła na nią uwagę. Zmarszczyła brwi i władcym gestem kazała zbliżyć się nieznanym jej.

- Ty tam! Podejdź no bliżej!

Ale Katarzyna ani drgnęła, czuła tylko, jak Chryssoula drży za jej plecami. Jedna z dziewcząt otaczających hrabinę musiała rozpoznać starą Greczynkę, gdyż coś szepnęła na ucho swej pani, która po chwili wydeła usta w pogardliwym uśmiechu i wzruszyła ramionami.

- Och! Rozumiem! Jeszcze jedna z tych sprzedajnych dziewczek, w których gustuje mój małżonek! Jeśli tak lubi tarzać się w błocie, niech mu to wyjdzie na zdrowie!

Po chwili grupa kobiet wraz z ich panią zniknęła we wnętrzach królewskich apartamentów, nie zwracając sobie dłużej głowy jakąś tam dziewczką. Stara Greczynka zaczęła tak natarczywie pociągać Katarzynę za rękaw, że ta w końcu ruszyła z miejsca, dając się poprowadzić do wieży. Cały czas nie opuszczała jej myśl, że kiedy zabije La Tremoille'a, wreszcie zajmie się jego żoną.

W chwili kiedy miały przekroczyć próg, dwie silne ręce chwyciły ją za ramiona, obracając wokół własnej osi.

Pomimo chłopskiego przyodziewku powalanego błotem rozpoznała Fera. Krzyknęła z przestachu, gdyż twarz przywódcy Cyganów była zmieniona nie do poznania.

- Od wielu dni kręcę się wokół zamku, mając nadzieję, że cię zobaczę! I nareszcie udało mi się!

- Odejdź, Fero! Cyganom nie wolno wchodzić do zamku bez pozwolenia! Gdybyś został schwytany...

- Wszystko mi jedno! Nie mogłem dłużej żyć bez ciebie! Wlałaś w moje serce truciznę miłości, Tchalai! Pali moją krew.

Trudno byłoby nie dostrzec niszczycielskiej pasji w spojrzeniu młodego Cygana. Katarzyna nie wiedziała, co robić, gdy tymczasem stara Chryssoula czyniła próżne wysiłki, aby wyrwać ją z rąk Fera, wydając przy tym nieartykułowane dźwięki.

- Na litość boską, odejdź! Jeśli strażę...

Jeszcze nie zdążyła wypowiedzieć słowa, kiedy nadciągnął cały oddział łuczników sprowadzony okrzykami Greczynki. Musieli znać Chryssoulę, gdyż bez słowa wykonali jej rozkazy, które wydała im za pomocą gestów, jednym wskazując Fera, a drugim bramy zamku. Fero

został ujęty przez czterech osiłków i zawleczony w stronę wyjścia z zamku. Przy tym nie przestawał wykrzykiwać:

- Kocham cię, Tchalai! Jesteś moją żoną! Jeszcze tu wrócę...!

Po chwili zniknął za bramą, a Katarzyna, odetchnąwszy z ulgą, szła posłusznie za Chryssoulą, która okazywała niezwykle wzburzenie. Jak na jej gust, ta krótka przechadzka była zbyt bogata w wydarzenia. Kilka minut później Katarzyna znalazła się z powrotem w swoim pokoju, zamknięta na podwójny zamek, ale... sama! Nareszcie sama! Fero natychmiast zniknął z myśli Katarzyny, która mogła w końcu opróżnić sakiewkę i zapoznać się z treścią zwitka pergaminu.

Tristan napisał:

Nie bój się o Sarę. Wiem, gdzie jest, i czuwam nad nią, tak samo jak czuwam nad Tobą, Pani.

Katarzyna odetchnęła z głęboką ulgą. Te kilka linijek przekreślało groźbę zawartą w bilecie Gilles'a de Rais'go. Ani przez chwilę nie wątpiła w zapewnienia Tristana. W tym tajemniczym koniuszym konetabla Richemonta była jakaś siła woli, jakaś spokojna siła, której nie można było nie ulec. Wierzyła, że człowiek, który nie tylko umknął przed ludźmi Gilles'a de Rais'go, ale na dodatek potrafił zatrudnić się jako giermek u wielkiego szambelana, był zdolny do wszystkiego. Jeżeli czuwał nad Sarą, ona nie musiała się już obawiać o jej los.

Uspokojona czekała, aż przeminie dzień. Drzwi jej pokoju otworzyły się dopiero wieczorem. To Chryssoula przyszła zapalić świece i przyniosła wieczerzę. Ku zaskoczeniu Katarzyny po skończonym posiłku służąca nie wyszła z komnaty, a na dodatek dołączyła do niej siostra. Obie zajęły się toaletą Katarzyny. Została umyta, wyperfumowana, odziana w cienką koszulę nocną z białego muślinu, lżejszą niż mgiełka, i starannie ułożona

w łożu, w którym bawełniana pościel została zwinnie zastąpiona pościelą jedwabną w kolorze purpury. Wszystkie te przygotowania wypełniły serce Katarzyny trwogą. Wiedziała zbyt dobrze, o co chodzi. Przygotowywano ją w ten sposób, aby dogodzić orientalnemu gustowi szambelana. Za chwilę kobiety wyjdą, a ich miejsce zajmie potężna postać jej nowego pana. Myśl o tym, jak to tłuste, sflaczałe cielsko zwali się na nią, przyprawiała Katarzynę o mdłości. Przed oczami stanęły jej jego zepsute zęby, nabrzmiałe usta i mocno uperfumowana bródka. Co żywo zeskoczyła z łoża, podbiegła do mieszka, z którego wyjęła sztylet, i wsunęła go pod poduszki u wezglowia. Od razu poczuła się pewniej. Teraz nie musiała się niczego obawiać. Kiedy La Tremoille rzuci się na nią, sztylet Arnolda utkwi w jego ciele i wszystko się skończy. Z pewnością nie wyjdzie z tego żywa... chyba żeby Tristan, który dostarczył jej broń w konkretnym celu, przygotował ucieczkę. Gdyby mogła zamienić z nim choć słowo! A może... jest tu gdzieś blisko, czekając na chwilę, kiedy trzeba będzie wkroczyć do akcji...

Mijały godziny i nic się nie działo. Rozciągnięta na łożu nasłuchiwała odgłosów królewskiego balu, śmiechów, okrzyków, piosenek. Pobożna małżonka Karola VII, Maria, miała niebawem zjechać do dworu. Król najwyraźniej korzystał z jej nieobecności, aby się rozerwać w swoim towarzystwie... Katarzyna słyszała strażników oznajmających północ. Ile czasu przyjdzie jej jeszcze czekać? Świece przygasały, niedługo zapanują zupełne ciemności... A może La Tremoille był zbyt pijany, aby pamiętać o swym spotkaniu?

Kołysana tym miłym złudzeniem przysypiała prawie, kiedy drzwi pokoju otworzyły się cichutko.

Ku zdziwieniu Katarzyny w drzwiach ukazała się jedna z dwórek pani de La Tremoille. W ręku trzymała lichtarz z zapaloną świecą, który postawiła na stole. Przez chwilę piękne to stworzenie przyglądało się ciekawie Katarzynie, po czym powiedziało:

- Moja pani cię wzywa! Wstań i chodź ze mną!

- Ależ ja mam tutaj czekać...

- Na pana! Wiedz jednak, córo Egiptu, że kiedy moja pani rozkazuje, sam szambelan nie ma nic do gadania. Ubierz się i chodź ze mną. Będę czekać obok. Tylko pośpiesz się, jeśli miła ci własna skóra. Pani nie lubi czekać - dodała wyniośle.

I wyszła, pozostawiając Katarzynę osłupiałą i niewiedzącą, co czynić. Czego mogła od niej chcieć pani de La Tremoille? Co znaczył ten rozkaz wydany w środku nocy, który mógł całkowicie zniweczyć jej plany?

Pomyślała na koniec, że nie ma wyboru i że niczym nie ryzykuje. Dla dumnej hrabiny była przecież tylko jakąś tam Cyganką przeznaczoną dla uciech jej małżonka, czymś takim jak pies lub przedmiot, o który nie mogła być zazdrosna. Liczne kochanki La Tremoille'a zapewne wyleczyły ją dawno z tego uczucia. A przy tym, czyż można być zazdrosną o podobną górę słoniny? Małżonków łączyło jedynie zamięłowanie do złota, władzy i rozpusty.

Ale pani de La Tremoille przede wszystkim kochała złoto. Katarzyna przypomniała sobie dawno opowiedzianą jej historię, jak to ongiś, gdy w środku nocy żołnierze przyszli aresztować jej pierwszego męża, diabolicznego Piotra de Giaca, hrabina nie troszcząc się o niego, wyskoczyła z łoża jak ją Pan Bóg stworzył i w tak skromnym odzieniu goniła złodziei rozkradających złote naczynia.

Po chwili Katarzyna była gotowa. Do paska przytroczyła sobie mieszek, a sztylet ukryła w bluzce. Narzuciwszy pelerynkę na ramiona, otworzyła drzwi i rzuciła zdecydowanym głosem:

- Jestem gotowa!

Dwórka rozciągnięta w niedbałej pozie na poduszkach wyściełających ławę wstała i bez słowa skierowała się na schody, oświetlając drogę lichtarzem. Wkrótce przebyły dziedziniec oświetlony iluminacjami z królewskich apartamentów.

Kiedy znalazły się w środku, Katarzyna odniosła wrażenie, że są wewnątrz wielkiej muszli, w której ze wszystkich stron słychać odgłosy święta. Zewsząd rozbrzmiewały śmiechy i okrzyki, nad którymi górowały dźwięki lutni i wioł. Setki łuczyw i olbrzymich świec rzucały jasne, ciepłe światło. Przewodniczka prowadziła Katarzynę coraz wyżej. W końcu pchnęła niskie drzwi, wprowadzając ją do niewielkiego pokoju, podobnego do szkatułki, gdyż jego ściany pokryte były szczelnie zielonym welurem. Na podłodze leżały grube, miękkie dywany. Pomimo ciepła panującego na dworze w kominku płonął ogień, rzucając na ściany długie cienie.

Pośrodku tego urządzonego z przepychem i wypełnionego drogocennymi przedmiotami pomieszczenia stała pani de La Tremoille w otoczeniu dwórek. Niektóre z nich leżały leniwie na poduszkach rozrzuconych po podłodze, przygrywając na lutniach i pogryzając słodkości. Piękna hrabina ubrana była w przezroczyste, niebieskie jedwabie, które nie kryły jej obfitych kształtów, lecz to bynajmniej jej nie kępowało.

Katarzyna zauważyła, że jest niezwykle wzburzona, gdyż przygryzała wargi i zaciskała nerwowo palce.

- Oto dziewczyna, jaśnie pani - rzekła przewodniczka Katarzyny.

Pani de La Tremoille wydała okrzyk zadowolenia, po czym, wskazując na drzwi, rozkazała:

- Wyjdźcie wszystkie! I niech nikt mi nie przeszkadza pod żadnym pozorem!

- Nawet ja? - spytała dwórka, która przyprowadziła Katarzynę, a która musiała być faworytą hrabiny.

- Nawet ty, Wioletto! Chcę zostać z nią sama! Masz czuwać za drzwiami, żeby nikt nam nie przeszkodził. Wezwę cię, kiedy będziesz mi potrzebna.

Wioletta wyszła niechętnie, zamknąwszy drzwi, a wraz z nią pozostałe dwórki. Obie przeciwniczki, wielka pani i fałszywa Cyganka, zostały same, przypatrując się sobie badawczo. Katarzyna z dziką i typowo kobiecą satysfakcją stwierdziła, że uroda jej rywalki nieco przywiędła. Zauważyła zmarszczki w kącikach oczu i wokół ust i fioletowe podkowy pod szarozielonymi oczami. Jej biodra i długie nogi okryły się tłuszczem, a ciężkie piersi lekko obwisły. Piętno rozpustnego życia było aż nadto widoczne. Katarzyna starała się nie ukazać radości, jakiej doznała na ten widok. Tymczasem hrabina także rozbierała wzrokiem swą rywalkę.

- Na co czekasz, zamiast paść przede mną na kolana, dziewczko nikczemna? - krzyknęła. - Czy twój sztywny kręgosłup nie pozwala ci oddać hołdu twojej pani?

Katarzyna przygryzła wargi, oskarżając się o głupotę. Przez chwilę bowiem zapomniała o swojej roli. Szybko pochyliła głowę i wyszeptała:

- Przebacz, pani, prostej dziewczynie, ale zapomniałam przez chwilę, gdzie jestem. Moje oczy zostały oślepienie. Myślałam, że znalazłam się na dworze królowej keshalyi, wróżek naszego ludu.

Ponura twarz hrabiny zabłysła zarozumiałym uśmiechem. Komplement, chociaż wypowiedziany przez tak niegodną osobę, był zawsze komplementem.

- Możesz wstać - powiedziała łaskawie - i usiąść na tej poduszce. To, co mam ci do powiedzenia, może trwać długo.

Wskazała na poduszkę leżącą na stopniach jej łoża. Katarzyna spełniła rozkaz, a hrabina wyciągnęła się na posłaniu. Przy tym nie spuszczała oczu z przeciwniczki, taksując ją z natarczywością, która w końcu stała się nieznośna. Po chwili, która wydała się Katarzynie całą wiecznością, hrabina zaczęła mówić:

- Tak... Jesteś naprawdę piękna. Zbyt piękna! Nie wrócisz więcej do jaśnie pana. Mogłabyś być niebezpieczna na dłuższą metę, gdyż pan nie potrafi postępować z kobietami. W dodatku wyglądasz na inteligentną.

- Więc co się ze mną stanie? Jeżeli nie wrócę do pana, obawiam się, że...

- Niczego się nie obawiaj! Jeżeli będziesz mi dobrze służyć, zatrzymam cię przy sobie, a wtedy nic ci nie grozi. W przeciwnym razie...

Początek zdania zabrzmiał wystarczająco groźnie i Katarzyna nie prosiła o zakończenie. Pochyliła pokornie głowę, czekając, co dalej nastąpi.

- Spełnię twe rozkazy - odpowiedziała cicho.

Pani de La Tremoille nie spieszyła się z wyjawieniem dalszego ciągu. Leniwie wyciągnęła nagie ramiona po puchar wina stojący na stopniu łoża i wychyliła go do dna, powoli smakując każdy łyk. Po czym, rzuciwszy w kąt opróżnione naczynie, nachyliła nad Katarzyną zaróżowioną twarz z błyszczącymi oczami.

- Powiada się, że istoty twego pokroju znają się na czarach, na przepowiadaniu przyszłości i na przyrządzaniu tajemnych eliksirów. Mówi się, że potraficie sprowadzić nieszczęście, śmierć... a nawet miłość. Czy jest to prawdą?

- Być może... - odpowiedziała ostrożnie Katarzyna, domyślając się, do czego zmierza hrabina.

Przed nią pojawiła się pewna szansa... Jeżeli ta zepsuta, rozpustna kobieta uwierzy w jej sztuczki i jej oddanie, może uda się doprowadzić jej plan do końca i zniszczyć hrabinę, a wraz z nią jej obmierzłego małżonka...

- A czy znasz - ciągnęła poufnym tonem hrabina - eliksir wywołujący miłość, który wlewa żar w żyły, każe zapomnieć o mądrości, o wstydzie, a nawet o wstręcie? Czy znasz taki napój magiczny, który czyni człowieka powolnym drugiemu?

Katarzyna uniosła głowę, zmuszając się do spojrzenia w twarz rywalki. Przypomniała sobie chwile szaleństwa, jakie przeżyła w ramionach Fera, i mijając się z prawdą, oświadczyła:

- Tak, znam napój miłości, po którego wypiciu potrzeba miłości staje się torturą pożerającą ciało, jeśli się jej nie zadowoli. Nie ma takiej kobiety czy mężczyzny, którzy mogliby się oprzeć jego sile!

Twarc hrabiny pojaśniała zwycięsko. Zerwała się nagle, pobiegła w drugi kąt pokoju, otworzyła stojący tam kuferek i zanurzwszy w nim ręce, wyciągnęła z niego garście pełne złota.

- Patrz tylko, córo Egiptu! Całe to złoto będzie twoje, jeśli dasz mi ten napój!

Katarzyna potrząsnęła głową na znak dezaprobaty. Widząc jej pogardliwy uśmiech, hrabina wypuściła z dłoni klejnoty, które brzęcząc, opadły jak złoty deszcz na dno kufra.

- Nie chcesz? - spytała niedowierzająco.

- Nie! Złoto topi się i ulatuje na wietrze. O wiele bardziej cenna jest twoja ochrona, pani. Daj mi twe zaufanie, pozwól mi służyć... a będę w zupełności wynagrodzona!

- Na głowę mej matki! Mówisz hardo, córo Egiptu, i podobasz mi się! Jak cię zowią?

- Tchalai. To barbarzyńskie imię.

- Dziwne imię... Posłuchaj mnie, Tchalai! Podobasz mi się! Daj mi eliksir, o który cię proszę, a nie będziesz żałować!

- Nie mam go przy sobie, pani. Abym mogła go sporządzić, musisz spełnić dwa życzenia.

Hrabina rzuciła się w jej stronę, chwyciła jej rękę i ścisnęła je konwulsyjnie, pozerana jakąś tajemniczą pasją.

- Mów! Spełnię każde twoje życzenie!

- Muszę wrócić do swoich... nie, nie na długo - dodała szybko, widząc, że hrabina marszczy brwi - muszę tylko wziąć od nich odpowiednie składniki...

- Zgoda! O świcie, kiedy tylko otworzą bramy, odprowadzę cię pod eskortą do obozowiska! Tylko nie próbuj ucieczki: łucznicy, którzy będą cię pilnowali, dostaną rozkaz, aby strzelać.

- To zbyt ciężkie, pani! Bardzo mi dobrze w zamku!

- Doskonale! A drugie życzenie?

- Muszę wiedzieć, dla kogo przeznaczony jest eliksir. Aby nabrał mocy, muszę wypowiedzieć zaklęcia i podać nazwisko tego, który go wypije!

Nastąpiła cisza, podczas której Katarzyna domyśliła się, że to życzenie nie podobało się hrabinie, lecz koniecznie musiała się

dowiedzieć, jaki mężczyzna wzbudził w jej rywalce uczucie tak gwałtowne, że popchnęło ją do szukania pomocy u prostej Cyganki.

Po chwili pani de La Tremoille wyjęła z jednego z kufrów czarną aksamitną opończę, nakryła włosy srebrzystą woalką i odwróciwszy się do Katarzyny rzuciła:

- Zaraz się dowiesz! Chodź ze mną!

Hrabina ujęła płonąca pochodnię i obie kobiety wyszły z pokoju. Na korytarzu czuwała Wioletta, którą hrabina odesłała na spoczynek, i ruszyła schodami prowadzącymi do wielkiej komnaty. Po kilku krokach Katarzyna ujrzała, że otwiera małe drzwi ukryte w murze. Za nimi ciągnął się niski i wąski korytarz, który zdawał się nie mieć końca. W środku panowały wilgoć i zimno, a pochodnia hrabiny okropnie dymiła. Wreszcie hrabina zatrzymała się, podała pochodnię Katarzynie i powiodła ręką po jednej ze ścian. Pod naciskiem jej dłoni fragment muru uchylił się, ukazując mały, dobrze zamaskowany otwór, przez który dochodziły donośne odgłosy zabawy i widać było komnatę, gdzie król wydawał bal. Hrabina pociągnęła Katarzynę za ramię.

- Popatrz tam, w stronę kominka. Widzisz króla?

Katarzyna pochyliła się i rzeczywiście zobaczyła mężczyznę w złotej koronie siedzącego na tronie pod niebieskim baldachimem. Poznała go. Niewiele się zmienił od czasów Joanny d'Arc. Ciągłe ta długa, ponura twarz, te wypukłe, wodniste oczy. Trochę przytył. Jego twarz była jakby bardziej pełna, a spojrzenie straciło ten wyraz tropionego zwierzęcia, tak niepasujący do osoby królewskiej.

Władca uśmiechał się właśnie do młodzieńca niezwyklej urody, osiemnasto- lub dziewiętnastoletniego, którego ciało przeżyło się wygodnie

rozciągnięte na poduszkach pokrywających stopnie tronu. Katarzyna pomyślała, że w jego urodzie jest coś kobiecego.

Wtedy usłyszała za sobą głos hrabiny.

- Widzisz mężczyznę leżącego na stopniach?

- Widzę. Czy to...

- Tak! To on! To brat królowej. Nazywa się Karol Andegaweński, hrabia Maine.

Katarzyna powstrzymała w porę okrzyk zdziwienia. Brat królowej? A więc najmłodszy syn królowej Jolanty! Słynny hrabia Maine, o którego uroku słyszała już w Angers. I to w takim młodym mężczyźnie, któremu niedawno zaczął się sypać wąs, zakochała się pani de La Tremoille? Miała co najmniej dwadzieścia lat więcej niż on!

Tymczasem hrabina zasunęła ruchomą ścianę. Katarzyna nie miała nawet czasu, aby rozejrzeć się za La Tremoille'em. Znowu była sam na sam z hrabiną, której ogarnięta pasją twarz w świetle łuczywa wydała się odrażająca. Wyobraziła sobie, co się stanie z tą kobietą, kiedy lata poczynią na jej ciele spustoszenia. Prawdziwa czarownica... Jednak gra zapowiadała się obiecująco. Dlatego należało ciągnąć ją dalej. Popatrzyła na hrabinę niewinnie i udając wielkie zdziwienie zapytała:

- I jakże to? Nie kocha cię, pani?

- Właśnie! Odgrywa przede mną komedię szlchetnych uczuć i rycerskiego honoru, przedkładając nade wszystko mego małżonka... tak jakby rycerze królowej Jolanty raczyli szambelana innymi uczuciami niż nienawiść! Obawiam się, czy nie chowa w sercu uczucia do jakiejś młódki. A ja chcę, żeby pokochał mnie, tylko mnie! Rozumiesz, Tchalai? Musi być mój... przynajmniej przez jedną noc! Jeśli to się uda, potem będę umiała go zatrzymać!

Katarzyna milczała. Z pewnością diabelski napój Tereiny mógł spowodować, by hrabina otrzymała tę noc miłości, której tak pragnęła. Nagle jednak Katarzyna poczuła, że nie ma ochoty przyczynić się do tego. Ten czarujący młodzian, tak czysty i wesoły... trudno jej było wyobrazić go sobie w ramionach tej perwersyjnej, dojrzałej kobiety. Wydawało się jej, że popełniłaby świętokradztwo, profanację.

Ale hrabina nalegała.

- Uczyniłam, co chciałaś, córo Egiptu. Jutro rano moi łucznicy zaprowadzą cię do twego obozu, abyś mogła zaopatrzyć się w niezbędne składniki. Musisz dotrzymać słowa!

Katarzyna z trudem otrząsnęła się z nieprzyjemnego wrażenia. W końcu, jakie znaczenie miało, czy chłopiec spędzi jedną noc z tą kobietą? To z pewnością miłość hrabiny uchroniła go do tej pory od gniewu szambelana. Wiadome bowiem było, jak obecność młodego hrabiego przy królu była szambelanowi nie na rękę. Bez miłości hrabiny wystarczył zręczny wypadek, aby usunąć młodzieńca z placu boju.

Popatrzyła hrabinie prosto w oczy.

- Dotrzymam swej obietnicy! - oznajmiła.

- A więc wracajmy! Dzisiejszej nocy będziesz spała obok mego łóża, a jutro urządzimy ci posłanie w mojej garderobie.

I obie kobiety, jedna za drugą, wyszły z wąskiego tajemnego przejścia.

* * *

Na zaimprovizowanym posłaniu, złożonym z wielu aksamitnych poduszek, nie spało się wygodnie. Katarzyna nie mogła zmrużyć oka, myśląc z obawą o tym, jak zachowa się szambelan, kiedy odkryje, że jego smakowity kąsek zniknął. Ponadto w pokoju hrabiny, wypełnionym

mocnym zapachem perfum, panował zaduch nie do wytrzymania. Kiedy bladym świtem poczuła, że ktoś potrząsa jej ramieniem, była na wpół przytomna ze zmęczenia i bolała ją głowa. Z trudem rozpoznała dwórkę Wiolettę.

- No, dalej! Wstawaj! Na dole czeka na ciebie sierżant i dwóch łuczników, którzy mają zaprowadzić cię do twego obozu.

Katarzynę denerwował bezczelny ton Wioletty. Należało znaleźć sposób, aby skutecznie usadzić ją na miejscu! Najwyraźniej faworyta hrabiny nie czuła do niej najmniejszej sympatii. Ale widząc, że pani Tremoille smacznie śpi, pomyślała, że tę sprawę zostawi sobie na później, gdyż kłótnia z Wiolettą mogłaby obudzić hrabinę, a na tym wcale Katarzynie nie zależało.

Chwilę później w towarzystwie wielkiego, brodatego sierżanta, najwyraźniej niezadowolonego z porannej wyprawy, i dwóch łuczników zdążyła w kierunku wielkiej bramy. Różana jutrzienka rozjaśniała niebo, a nad wilgotną ziemią unosiła się mgła. Poranny ożywczy wiatr był błogosławieństwem po wielu dniach spędzonych w zamknięciu. Katarzyna przysła do siebie, lecz jej umysł drażyła jedna uparta myśl. Czy dotrze do Tereiny niezauważona przez Fera? Jeżeli nie bał się przedrzeć do zamku, aby się z nią zobaczyć, z pewnością gotowy był popełnić dla niej i inne szaleństwa. A jeśli przyjdzie mu do głowy, żeby ją wyrwać z rąk strażników?

Do obozu Cyganów nie było daleko. Po przebyciu barbakanu wystarczyło zejść do fosy otaczającej zamek.

Katarzyna sądziła, że o tak wczesnej porze obozowisko będzie pogrążone we śnie, lecz ku jej zdziwieniu wszyscy byli od dawna na nogach i wśród wozów panowało niecodzienne ożywienie. Jedne kobiety

rozpalały ogniska, inne nosiły wodę z rzeki. Wokół wozu *phuri dai* zgromadziła się starszyzna, tworząc milczący, ponury krąg. Katarzyna pomyślała, że stara umarła, lecz wkrótce ujrzała ją siedzącą na ziemi pośrodku zgromadzenia. Wszyscy patrzyli z wielkim przestraszaniem w stronę zamku. Fera nie było wśród nich.

Przybycie wystrojonej Katarzyny w otoczeniu straży wystraszyło i zdziwiło Cyganów. Czego mogła chcieć od nich ta nieznajoma, którą przez litość przyjęli do swego grona? Kilku Cyganów przyjęło bojową postawę, a ich zły wzrok nie wróżył niczego dobrego. W tej chwili jednak Tereina, rozpalająca ogień pod kociołkiem, rozpoznawszy tę, którą uważała za swoją siostrę, podbiegła do Katarzyny, uśmiechając się radośnie.

- Tchalai! Wróciłaś! A ja głupia myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę!

- Wróciłam tylko na chwilę, Tereino! I chcę rozmawiać tylko z tobą! Muszę cię o coś prosić, a jak widzisz... jestem pilnowana!

Sierzant eskortujący Katarzynę patrzył nieufnie na śniade twarze Cyganów; ten cały ruch w obozie najwyraźniej mu się nie podobał, gdyż nie spuszczał dłoni z rękojeści szpady. Zdenerwowanie sierżanta musiało się udzielić łucznikom, którzy wyciągnęli strzały z kołczanów i trzymali je w pogotowiu. Tereina patrzyła na te przygotowania z przerażeniem.

- Jaka szkoda! Miałam nadzieję, że przynosisz wiadomości od Fera - powiedziała zawiedziona.

Pomimo groźnej postawy rycerzy Cyganie zbliżyli się do obydwu kobiet na tyle, aby słyszeć, o czym rozmawiają. Jeden z nich krzyknął:

- Właśnie! Gdzie jest Fero? Powiedz, co się z nim stało, bo jeśli nie...

- Uciszcie się! - przerwała Tereina z gniewem. - Zapomnieliście, że według prawa jest jego żoną?

- I że moi ludzie nie pudłują? - dodał sierżant. - Rozstąpcie się! Tej kobiecie nie może spaść włos z głowy... chyba żeby chciała uciec.

Co mówiąc, wyciągnął szablę. Cyganie cofnęli się, pokazując zęby jak zbite psy.

- Nie wiem, gdzie jest Fero - odparła Katarzyna. - Wczoraj widziałam się z nim na dziedzińcu. Był przebrany za wieśniaka. Straż wyrzuciła go za bramę.

- Ale wieczorem znowu poszedł do zamku. Wiedział, że odbędzie się bal, więc wziął ze sobą tresowanego niedźwiedzia. Liczył na to, że każą mu pokazywać sztuczki podczas balu. Niedźwiedź wrócił w nocy sam... i był ranny...

- Przysięgam ci, Tereino, że nie wiedziałam, iż Fero wrócił do zamku! Co za nierozważny krok!

Tereina spuściła głowę. Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Kocha cię tak bardzo. Chciał cię uwolnić za wszelką cenę... Chciałabym wiedzieć, co się z nim stało...

Zapłakane oczy małej Cyganki zmiękczyły serce sierżanta, który słysząc to, wymamrotał:

- Człowiek z niedźwiedziem? Został pojmany, kiedy przełaził przez okno w wieży. Bronił się jak lew, a jego zwierzę oszalało. Wywiązała się szamotanina i niedźwiedź uciekł.

- A mój brat? A Fero?

- Został wrzucony do lochu i czeka go sąd!

- Po co sąd? - krzyknęła Katarzyna. - Został schwytany, kiedy próbował dostać się do wieży, zgoda. Ale czy to tak wielka zbrodnia, aby go trzymać w lochu i sądzić? Czy nie wystarczyło wyrzucić go za mury?

Twarz sierżanta spoważniała, a jego oczy stały się na powrót twarde.

- Był uzbrojony. Zabił jednego z naszych włóczyków! Musi iść pod sąd! A teraz dość tego! Załatw, co ci kazano, i wracajmy! Nie mam zamiaru sterczeć tu dłużej!

Tereina wybuchnęła szlochem. Zrozumiała równie dobrze jak Katarzyna, jaki los czeka Fera. Cygan zabił, a więc zostanie powieszony... jeśli nie gorzej. Katarzyna pociągnęła za ramię małą przyjaciółkę, czując, że i jej zbiera się na płacz. Weszły obie do wozu, a rycerze stanęli na straży po obu stronach wejścia.

Wiadomość o bliskiej śmierci Fera zabolą ją do żywego. Zakochał się w niej do szaleństwa i przez tę jedną noc miłości zaryzykował dla niej życie. A teraz musi oddać swe młode życie przez tę bezsensowną miłość... Trzeba byłoby coś zrobić, żeby go uratować! Jeśli przyniesie pani de La Tremoille upragniony eliksir, może zgodzi się ułaskawić Cygana. Ale trzeba było działać szybko.

Zdecydowanym ruchem chwyciła Tereinę za ramiona i potrząsnęła dziewczyną gwałtownie.

- Przestań płakać i posłuchaj mnie! Muszę wrócić do zamku, spróbuję go uratować. Ale przedtem musisz mi dać pewną rzecz.

Tereina wytarła spuchnięte oczy, usiłując się uśmiechnąć.

- Wszystko, co mam, należy do ciebie, siostrze. Czego ci potrzeba?

- Potrzebuję tego eliksiru, który mi dałaś tamtej nocy... przypominasz sobie? Powiedz, jak się go przyrządza. Życie nas wszystkich zależy, być może, od tego napoju. Możesz mnie nauczyć, jak się go robi?

Tereina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Nie wiem, w jakim celu prosisz mnie o ten eliksir, Tchalai, lecz jeżeli twierdzisz, że życie ludzkie zależy od niego, nie będę stawiała ci żadnych pytań. Musisz jednak wiedzieć, że przygotowanie napoju trwa

długo i że przepisu nie można nikomu przekazać. Aby go przyrządzić, nie wystarczy wiedza, trzeba jeszcze mieć coś w rodzaju daru. W przeciwnym razie nie będzie skutkował... Trzeba znać odpowiednie zaklęcia...

- Czy możesz mi go zrobić sama? - przerwała Katarzyna, niecierpliwiąc się. - To bardzo poważna sprawa... i niezwykle pilna!

- Dużo ci tego trzeba? Na ilu osobach chcesz go wypróbować?

- Tylko na jednej!

- W takim razie mam to, czego ci potrzeba!

Tereina prześlizgnęła się na tył wozu, spośród leżących tam kolorowych strojów wyciągnęła małą, okrągłą flaszeczkę z kamionki i włożyła ją ostrożnie w dłoń Katarzyny, zaciskając na swym skarbie palce przyjaciółki.

- Masz. Przygotowałam go na twą noc poślubną. Jest więc twój. Zrób z nim, co zechcesz. Wiem, że użyjesz go w dobrym celu.

Katarzyna odruchowo objęła małą czarodziejkę i pocałowała ją w oba policzki.

- Nawet gdyby coś złego przytrafiło się Ferowi, pozostanę na zawsze twoją siostrą. Chciałabym zabrać cię ze sobą, ale na razie nie mogę!

- I tak muszę tutaj zostać. Oni mnie potrzebują.

W tej chwili zniecierpliwiony sierżant rozchylił poły plandeki, wsadził głowę do wozu i krzyknął:

- Dostyc tego gadania! Pośpiesz no się, kobieto! Muszę wypełniać rozkazy!

Zamiast odpowiedzi Katarzyna jeszcze raz ucałowała Tereinę i wsunąwszy flaszeczkę do mieszka, zwinnym ruchem wyskoczyła z wozu.

- Jestem gotowa! Skończone!

Strażnicy otoczyli ją i cała grupa ruszyła z powrotem. Przechodząc wśród zgromadzonego plemienia, Katarzyna napotkała w tłumie wzrok Dunichy i odwróciła głowę, nie mogąc znieść jadu nienawiści. Dunicha z pewnością uważała, że Fero został uwięziony z winy Katarzyny... i jej nienawiść była sto razy silniejsza niż tamtego dnia, kiedy miały walczyć na noże o względy Fera...

Postanowiła być bardziej czujna; Dunicha miała wszelkie powody, żeby szukać zemsty.

Nagle odwróciła się, słysząc odgłos trąbek za sobą. Słońce stało już wysoko. W jego promieniach Loara błyszczała, tocząc swe wody między trawiastymi brzegami. Na moście widać było wielki, kolorowy orszak zmierzający w stronę zamku. Rycerze w wojennych zbrojach, niepasująca do nich grupa dam w jasnych strojach jadących na małych konikach, a w środku duża karoca z podniesionymi firankami. Wewnątrz dama cała w białych muślinach, mamka z niemowlęciem na ręku, dwie służące i trzy dziewczynki w wieku od trzech do ośmiu lat. Oddział łuczników, paziowie i herold na przedzie, chorąży trzymający ciężki sztandar, na którym Katarzyna z bijącym sercem zobaczyła herb Francji, a obok niego herb Andegawenii.

Sierżant zaczął ją popędzać.

- Nie widzisz, że to królowa? - zapytał. - Żebyś nie zapomniała ukłęknać, kiedy nasza dobra pani będzie przejeżdżać!

Katarzyna postanowiła spełnić rzetelnie rozkaz sierżanta. Obawiała się bowiem, że królowa - znana z doskonałej pamięci - rozpozna ją mimo przebrania, że przypomni sobie jedną ze swych ulubionych dam dworu, która spędziła u niej wiele długich miesięcy.

Toteż kiedy królewska kawalkada wśród okrzyków radości mieszkańców Amboise przechodziła obok niej, Katarzyna szybko uklękła, skromnie spuściwszy głowę... tym bardziej że zauważyła nadciągającą od strony zamku grupę panów na czele z Gilles'em de Rais'em, którzy mieli władczynię powitać.

Na szczęście nie zwrócono na nią uwagi. Kiedy orszak zniknął w czeluściach bramy mostu zwodzonego, pomyślała, że wreszcie może podnieść głowę, lecz wtedy ujrzała przed oczami końskie nogi i usłyszała młodzieńczy głos nad sobą.

- Co zrobiła ta kobieta i dlaczego prowadzisz ją, sierżancie?

Pytający mógł mieć nie więcej niż dziesięć lat. Chudy, z szerokimi kościstymi ramionami, miał małe, czarne i przenikliwe oczka. Po sposobie, w jaki nosił głowę, po dorodnym koniu, a zwłaszcza po stroju na wpół czerwonym, na wpół czarno-białym, jaki przystoi książętom krwi, Katarzyna poznała delfina Ludwika, starszego syna króla.

Tymczasem sierżant, czerwony z zadowolenia, odpowiedział:

- Nie prowadzę jej, panie, lecz eskortuję z rozkazu szlachetnej pani de La Tremoille!

Katarzyna ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że delfin wzruszywszy ramionami, przeżegnał się pośpiesznie i bezceremonialnie splunął na ziemię.

- Mauretańska niewolnica, czy tak? Nie cierpię tej przeklętej rasy, ale co do pani de La Tremoille, to nic nie zdoła mnie zdziwić... Jej podobne...

Nie zdążył skończyć zdania, gdyż w tej chwili jakiś jeździec zbliżył się do niego i szepnął mu coś na ucho, z pewnością doradzając więcej umiarkowania w doborze słów. Na widok tego rycerza Katarzyna poczerwieniała po czubek głowy, a jej strach zamienił się w prawdziwą

panikę. Pomimo zbroi okrywającej całe jego ciało rozpoznała krzyż Jerozolimy wyhaftowany na kolczudze, a w szczególności tę piękną twarz widoczną pod uniesioną przyłbicą. Piotr de Breze! Mężczyzna, który w Angers zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i prawie poprosił o jej rękę! Należał do spisku przeciw de Tremoille'owi, więc na pewno jej nie zdemaskuje. Bała się tylko, że może się zdradzić, wyrażając zaskoczenie z tak nieoczekiwanego spotkania.

Katarzyna patrzyła na niego z prawdziwym zachwytem i czuła radość, której nie potrafiła wyjaśnić. Rzeczywiście, Piotr de Breze wyglądał wspaniale na swoim siwym koniu bojowym. Wydawało się, że stalowa zbroja okrywająca jego postać jest lekka jak piórko, także samo długa lanca z drewna jesionowego, którą miał przytroczoną do uda.

- Panie - mówił de Breze - pośpieszmy się. Królowa czeka.

Wypowiadając te słowa, spojrzał wymownie na Katarzynę i lekko się uśmiechnął. Nie było wątpliwości, że ją rozpoznał i że przybył tu dla niej, narażając się na gniew króla i na nienawiść La Tremoille'a, gdyż w zamku nie życzone sobie jego obecności... Nie tylko odnalazł swą miłość, lecz na dodatek potrafił bez słów wyznać jej swe uczucia po raz drugi. Nieśmiały uśmiech Piotra de Brezego nie uszedł uwagi delfina, który poczęstował go kpiącym spojrzeniem.

- Do diaska, wydaje mi się, szlachetny rycerzu, że masz tak samo podły gust jak pani de La Tremoille. Ruszajmy!

Zostawiwszy Katarzynę, delfin spiął konia, zmuszając w ten sposób pana de Brezego, aby podążył za nim. Katarzyna patrzyła za oddalającą się dumną sylwetką rycerza, dopóki nie zniknął w bramie zamczyska. Chwilę potem, ruszając w dalszą drogę, czuła w sercu nadzieję i przyływ nowych sił. Zauważyła, że de Breze nosił dumnie przypiętą do ramienia czarno-

srebrzystą chustę, którą ongiś mu podarowała. Wtedy zadeklarował, że chce być jej rycerzem, i wszystko wskazywało na to, że był nim nadal. Od tej chwili jego obecność będzie dawać jej poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebne w tym zamku, gdzie wszystko napełniało ją strachem. Będzie mogła nawet, jeśli zajdzie taka potrzeba, umrzeć bez obawy, że nie zostanie pomszczona, gdyż przypomniała sobie przysięgę, którą składał jej na kolanach. Jeżeli jej plan się nie powiedzie, on własnymi rękami zabije La Tremoille'a, nawet gdyby musiał potem wpaść w ręce kata.

Przekraczając zwodzony most, Katarzyna starała się przepędzić myśli o rycerzu. W tym zamku uwięziony był bowiem człowiek, który mógł przez nią stracić życie.

Rozdział dziesiąty

W lochu

Kiedy Katarzyna ze strażnikami weszła na dziedziniec zamku, było tam pełno ludzi. Do orszaku królowej dołączyła służba zamkowa wyładowująca kufry podróżne, widać było wysokich rangą rycerzy i dygnitarzy. Wkrótce zobaczyła szczupłą postać króla, który prowadził swą małżonkę za rękę, kierując się do schodów. Katarzyna w tłumie szukała gorączkowo pewnego dumnego profilu, szerokich ramion i ciepłego

spojrzenia, łucznicy jednak pociągnęli ją w kierunku schodów, które prowadziły do komnat pani de La Tremoille.

Drzwi pokoju hrabiny były zamknięte. Przed nimi stała Wioletta ubrana w długi płaszcz. Faworyta ruchem dłoni odesłała rycerzy, lecz nie pozwoliła Katarzynie wejść do środka.

- Teraz nie wolno!

- Dlaczego?

Wioletta nie uznała za stosowne odpowiedzieć.

Tymczasem do uszu Katarzyny dotarły odgłosy gwałtownej kłótni, której nie były w stanie zagłuszyć grube, dębowe drzwi. Trudno było nie rozpoznać ostrego głosu hrabiny.

- Zatrzymam tę dziewczynę tak długo, jak mi się spodoba!

- Co za mucha cię ugryzła, żeby mieszać się w moje sprawy! Na co ci ona?

- To moja sprawa! Bądź cierpliwy... Oddam ci ją, kiedy już nie będzie mi potrzebna!

Katarzyna zrozumiała, że nie może się spodziewać niczego dobrego po kobiecie, którą, jak się jej zdawało, owinęła sobie wokół palca.

Wioletta, jakby odgadując jej myśli, roześmiała się szyderczo i wyszeptwała:

- Czy to cię dziwi? A co ty sobie wyobrażałaś? Że zostaniesz damą do towarzystwa?

Katarzyna wzruszyła ramionami i udając niewiniątko, powiedziała:

- Myślałam, że wielka pani potrafi się odwdzięczyć za oddaną przysługę. Ale, w końcu... to nie ma znaczenia.

Spokój Katarzyny musiał zrobić wrażenie na dwórcy, bo nagle przestała się śmiać i rzuciwszy na Cygankę nieufne spojrzenie, przeżegnała się pośpiesznie, jakby zobaczyła samego diabła. Rozmowa urwała się i w

tej samej chwili drzwi otworzyły się z łoskotem i wybiegł z nich hrabia w rozwianej czerwono-złotej opończy. Na widok Katarzyny zatrzymał się chwilę, rzucając dziewczynie płomienne spojrzenie, po czym bez słowa ruszył w kierunku schodów z prędkością niesłychaną jak na takiego grubasa.

Katarzyna przeszła wzrokiem Wiolette, która uśmiechnęła się z pogardą i niedbale pchnęła dębowe drzwi.

- Teraz możesz wejść!

Katarzyna ku swej radości usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi.

- Nie tak głośno, Wioletto! - krzyknęła pani de La Tremoille. -
Okropnie boli mnie głowa!

W pokoju panował niezwykle bałagan, a hrabina - ubrana, lecz nieuczesa - nerwowo przemierzała pokój tam i z powrotem. Wszędzie leżały porozrzucone liczne przedmioty, które poszły w ruch w czasie kłótni. Katarzyna odniosła wrażenie, że znalazła się w klatce jednego z tych dzikich zwierząt, które trzymają wielcy panowie i książęta.

Szakala już w niej nie było, lecz została rozwścieczona samica, sto razy groźniejsza niż on sam. I rzeczywiście, gniew hrabiny obrócił się przeciw Katarzynie.

- Mój szlachetny małżonek pragnie cię bardziej, niż to przystoi! Do diabła, zachowuje się jak zwierzę w rui!

- Jeśli tak zależy mu na mnie - odpowiedziała chłodno Katarzyna - to znaczy, że jeszcze mnie nie miał. To pani mnie przed nim uratowała.

- Uratowała? Co to znaczy? A czegoż więcej może pragnąć taka jak ty? Zapominasz, dziewczyno, że jestem jego żoną!

- Jestem twoją służką, pani. Otrzymawszy twoje rozkazy, myślałam, że mogę zapomnieć o szambelanie.

Spokojny ton Katarzyny ostudził wzburzenie hrabiny. Na dodatek przypomniała sobie, że istotnie potrzebuje usług tej Cyganki.

Gorączkowym głosem zapytała:

- Przyniosłaś mi to, o co cię prosiłam?

Katarzyna kiwnęła głową, lecz przy tym skrzyżowała ręce na piersi, jakby miała zamiar bronić skarbu, który ukryła pod bluzką.

- Przyniosłam, lecz muszę cię najpierw o coś prosić, pani!

Hrabina już wyciągnęła ręce po upragniony eliksir, a jej oczy zabłyśły niecierpliwym pożądaniem.

- Mów szybko i daj mi to!

- Wczoraj obiecywałaś mi złoto, jeżeli przyniosę ci cudowny napój miłości. Odmówiłam, a i teraz go nie chcę... lecz chcę czegoś innego...

- Wiem, chcesz mi służyć! Już raz to mówiłaś. A teraz daj!

- Owszem, mówiłam i podtrzymuję to, lecz dzisiejszego ranka sprawy przybrały inny obrót. Przywódca mego plemienia jest więziony w tym zamku. Jego życie wisi na włosku. Chcę, żeby darowano mu życie!

- Nic mnie nie obchodzi życie jakiegoś tam dzikusia! Dawaj buteleczkę, bo każę moim służącym, aby ci ją wyrwały siłą!

Katarzyna powoli wyjęła fiołkę zza bluzki i trzymała ją na wyciągniętej dłoni.

- Oto ona! Jeżeli jednak ktokolwiek się do mnie zbliży, roztlukę ją o ziemię! Twoje służące nie zdążą mi jej zabrać! I obiecuję, że nie dostaniesz jej, jeśli Fero nie wróci do swoich!

Wykrzywiona konwulsyjnie twarz hrabiny wskazywała, jak ostrą walkę toczyły w jej umyśle gniew, pasja i chciwość. W końcu zwyciężyła ta ostatnia.

- Zaczekaj tu na mnie! Pójdę zobaczyć, co się da zrobić.

I narzuciwszy na głowę i ramiona jedwabny szal, wyszła z pokoju.

Katarzyna została sama. Ten pokój przygniatał ją swoją duszną atmosferą. Wszystkie te ciężkie zapachy nie pozwalały zapomnieć o wszetecznicy, która tu mieszkała. Zacisnęła palce na krogulcu wygrawerowanym na rękojeści sztyletu, jakby szukając w nim wsparcia. Ileż to razy dotykała go silna ręka Arnolda! Musiała zostawić na nim trochę swej energii! Przypomniawszy sobie twarz drogiego męża, nie mogła powstrzymać łez, palących i ciężkich od wyrzutów sumienia... Co zostało teraz z tego pięknego ciała? Co zostało z dumnej twarzy? Na wspomnienie spotkanych po drodze trędowatych przeszył ją dreszcz grozy... Właśnie kobieta, która tu mieszkała, była przyczyną wszystkiego, całego nieszczęścia, które dotknęło Arnolda i Katarzynę! Z jaką radością wbiłaby jej ten sztylet prosto w serce! Ale trzeba było poczekać... ciągle czekać...

Powrót pani de La Tremoille przerwał tok jej myślenia. Hrabina uśmiechnęła się, lecz był to zły, okrutny uśmiech.

- Chodź ze mną - powiedziała. - Twoje życzenie zostało spełnione.

Tak jak poprzedniej nocy wyszły jedna za drugą, tym razem jednak nie szły do tajemnego przejścia. Po przebyciu dziedzińca udały się w kierunku wieży, w której znajdowało się więzienie. Po drodze Katarzyna zauważyła Tristana Eremite grającego w warcaby z chłopcami stajennymi.

Na jej widok rycerz odwrócił się i popatrzył na nią pytającym wzrokiem, jakby w jej spojrzeniu chciał znaleźć odpowiedź, po co udaje się do więziennych lochów, i to w takim towarzystwie.

U podnóża wieży widać było małe i tak niskie drzwi, że przy przechodzeniu przez nie obie kobiety musiały się schylić. Za progiem

panował okropny ziąb. Ani słońce, ani światło nie miały wstępu do tego świata ciemności i cierpienia.

W głębi kilku strażników grało w gąskę w świetle dymiącej lampki oliwnej. Na klaśnięcie palców hrabiny jeden z nich zerwał się i ruszył w stronę wąskich schodów ginących gdzieś nisko w ziemi, oświetlając drogę łuczywem, które zapalił od lampki. Katarzyna nie zwracała jednak uwagi na te wszystkie szczegóły, wsłuchana w okropne, mrozące krew jęki, które, o dziwo, słabły, w miarę jak schodzili w dół. Katarzyna spojrzała ze zgrozą na drzwi, przed którymi stanęli. To zza nich dobiegały potworne jęki, którym wtórowały odgłosy regularnych uderzeń.

Żołnierz bez słowa pchnął drzwi, które zresztą nie były zamknięte.

W środku, przywiązany do słupa, stał półnagi mężczyzna, którego biczowało dwóch odzianych w skóry katów z wygolonymi głowami. Obok na zydlu siedział de La Tremoille, przyglądając się scenie. Skazaniec nie miał już siły trzymać się na nogach i raczej zwisał wzdłuż słupa, naciągając przywiązane nadgarstki. Jego głowa zwisała nieruchomo, a tułów był jedną krwawą masą, na którą nie przestawały padać razy. Ziemia wokół była spryskana krwią.

Katarzyna cofnęła się pod ścianę, szukając oparcia w spojrzeniu hrabiny. Ta jednak nie patrzyła na nią, gdyż zbyt zajęta była tą sceną. Rozdymając nozdrza napawała oczy potwornym widokiem.

Po chwili jęki skazanego ustały. Kaci przestali uderzać i zanim jeden z nich odgarnął długie, czarne włosy spadające ofierze na twarz, Katarzyna poznała Fera...

Oślepiąca bezsilną wściekłością chciała chwycić za sztylet Arnolda, lecz jej dłoń napotkała glinianą fiolkę, na której się zatrzymała. W tej chwili jeden z katów oznajmił:

- Nie żyje, panie.

La Tremoille westchnął ze znudzeniem i z wielkim wysiłkiem podniósł swe tłuste ciało z drewnianego zydła.

- Cóż, nie był taki silny, na jakiego wyglądał. Wrzucić go do rzeki!

- Nie zgadzam się! - rzekła hrabina, wkraczając do akcji. -

Obiecałam tej oto dziewczynie, że wróci do swoich! A więc, niechaj wróci... a potem przepędzić ich stąd!

Jej spojrzenie, wypełnione perwersyjną radością, padło na przyklejoną do ściany, bladą z przerażenia Katarzynę.

- No widzisz - powiedziała, cedząc słowa z upiorną słodyczą. -
Spełniam każde twoje życzenie!

Katarzyna na jej obraźliwe spojrzenie odpowiedziała spojrzeniem wyrażającym taką nienawiść i pogardę, że hrabina odruchowo cofnęła się o krok.

Tymczasem Katarzyna wyjęła małą buteleczkę i powoli zaczęła zaciskać na niej palce z siłą, którą potęgował jej gniew, aż w końcu flakonik nie wytrzymał i pękł. Wtedy rzuciła go w twarz hrabinie.

- I ja także spełniam, pani, twoje życzenia!

Bladą twarz hrabiny wykrzywiła potworna złość. Jej warga, na którą spadło kilka kropel krwi skazańca, nadawała jej wygląd nienasyconej wampirzycy. Drżącym palcem wskazała na Katarzynę i syknęła:

- Zabrać stąd tę kobietę! Przywiązać ją na miejscu jej współnika i biczować! Bez litości! Biczować, aż zdechnie!

Katarzyna poczuła, że jest zgubiona. Wszystko zepsuła przez chwilę gniewu. Przepadła zemsta, przepadły plany królowej Jolanty. Zrozumiała, że nie wyjdzie żywa z tego lochu, lecz mimo to wcale nie żałowała tego, co uczyniła.

Kaci już się rzucili, aby ją pojmać, kiedy La Tremoille, który do tej pory tylko przyglądał się całemu zajściu, powstrzymał ich ruchem dłoni.

- Zaczekajcie! - krzyknął i zwracając się do hrabiny, dodał: - Moja droga, zapominasz, że ta kobieta należy do mnie i tylko ja mogę decydować o jej losie! Czyżbyś nie pamiętała, że ci ją jedynie... pożyczyłem?

Na te słowa hrabina zacisnęła pięści i rzuciła się na męża.

- Obraziła mnie! Ta wstrętne Cyganka! Uderzyła mnie. Musi być ukarana!

- Ależ, moja kochana, zostanie ukarana... w odpowiednim czasie. Tymczasem musisz się zadowolić tym, że zostanie wrzucona do lochu. Natomiast co do mnie, to chciałbym wiedzieć, co takiego zawierała buteleczka, której strata napawa cię takim gniewem.

- To nie twoja sprawa!

- A jednak chciałbym się tego dowiedzieć. Hej! Wy tam! Wrzucić Cygankę do lochu! I pamiętajcie! Niech nikt nie waży się jej tknąć bez mego rozkazu!

- Co za ostrożność! - syknęła hrabina z nienawiścią. - Można by rzec, że dziewczyna jest ci niesłychanie droga!

- W rzeczy samej, duszko. Jakże jednak ona cię nienawidzi! Zbyt cię kocham, droga hrabino, i użyję wszelkich środków, aby poznać przyczynę tej nienawiści. A teraz chodźmy już!

I uśmiechając się kpiąco, podał małżonce dłoń. Katarzyna pomyślała, że może szambelan wcale nie bał się aż tak bardzo swej połowicy. A może nabral pewności, bo wykrył przeciw niej broń, którą nie omieszka się posłużyć?

Dziwne to małżeństwo, złączone tak silnie łańcuchem chciwości i nienawiści, skierowało się do drzwi. Katarzyna pomyślała, że największą dla nich karą byłoby zamknięcie obojga w ciasnym pokoju, aby hiena żarła się z szakalem przez całą wieczność...

W tej chwili jeden z katów położył owłosioną łapę ze skórzaną opaską na jej ramieniu i pociągnął ją w głąb izby tortur. Jego kompan zabrał się do odwiązywania nieruchomego ciała Fera, które osunęło się na ziemię z głuchym łoskotem. Katarzynie zbierało się na płacz. Ten mężczyzna, którego ciało tak niedawno wibrowało wraz z jej ciałem, te namiętne usta, które obsypywały ją całą pocałunkami, szepcząc najgorętsze słowa miłości... teraz ten człowiek był jedną krwawą masą, która za chwilę powróci do obozu. Katarzyna wyobraziła sobie rozpacz Tereiny i jej piersią wstrząsnął szloch.

- Próżny twój płacz, dziewczyno, kiedy sama podpisałaś na siebie wyrok! Co cię ugryzło, że zaatakowałaś tę okropną kobietę?

Ponieważ Katarzyna nie odpowiadała, kat ciągnął dalej.

- I pomyśleć, że będę musiał uszkodzić taką ładną dziewczynę jak ty! Hrabina każe ci drogo zapłacić za zniewagę!

- Co mi może zrobić?

- Hrabina nie zadowolili się zwykłym powieszeniem... Każe cię torturować... Ale obiecuję ci, że postaram się być niezręczny, żeby skrócić twe męki.

Kat wykazał wiele dobrej woli, lecz to, o czym mówił, było straszne. Po wyjściu z izby tortur poprowadził swego więźnia wąskim korytarzem, w którym widać było troje drzwi z żelaznymi sztabami. Jedne z nich stały otworem. Kat wepchnął Katarzynę do wilgotnego i małego lochu, którego całe umeblowanie stanowił pozieleniały ze starości dzban, wiązka

zbutwiałego siana i żelazne kajdany przymocowane do muru zardzewiałymi łańcuchami. Odrobina dziennego światła przedzierała się do wnętrza przez małe okienko, które musiało znajdować się tuż nad ziemią, sądząc po sączących się z niego strużkach błota.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedział kat. - Daj ręce!

Wyciągnęła dłonie bez oporu. Ciężkie, żelazne kajdany zatrzasnęły się wokół jej delikatnych nadgarstków, które kat trzymał przez chwilę, nie wypuszczając, i przyglądał się im z podziwem.

- Masz ładne ręce - powiedział. - Jak prawdziwa dama. Szkoda takich rąk... Tak, są dni, kiedy mój zawód jest bardzo smutny.

- W takim razie dlaczego go wykonujesz?

Płaska twarz kata przybrała wyraz dziecięcego zdziwienia, a nieśmiały uśmiech ukazał krzywe i pożółkłe zęby.

- Zwyczajnie... Nie potrafię robić nic innego. Mój ojciec był katem, mój dziad również. To piękny zawód i może daleko zaprowadzić, jeśli się jest dość zręcznym. Może któregoś dnia zostanę katem przysięgłym w dużym mieście - rozmarzył się. - Gdyby tylko król chciał wrócić do Paryża!

Katarzyna ze zgrozą patrzyła na plamy jeszcze świeżej krwi błyszczącej na jego potężnym, owłosionym torsie. Zauważył to i uśmiechnął się, starając się ukryć zmieszanie.

- Nie musisz się mnie bać... A teraz spróbuj zasnąć! Katarzyna nie chciała go urazić ani uczynić z niego swojego wroga, więc spytała:

- Jak cię zowią?

- To miło, że pytasz. Nieczęsto mi się to zdarza, wiesz? Zowią mnie Czerwony Bonawentura... tak, Bonawentura. Moja matka mówiła, że to ładne imię...

- I miała rację - powiedziała poważnie Katarzyna. - To bardzo ładne imię.

* * *

Oczy Katarzyny szybko przyzwyczyły się do mroku panującego w lochu. Okienko, choć niewielkie, pozwalało przynajmniej rozróżnić dzień od nocy. Dziękowała Bogu, że nie wrzucono jej do jednego z tych lochów ukrytych głęboko pod ziemią, gdzie nie docierał ani jeden promień słońca, takiego, w jakim siedziała w Rouen.

Tkwiąc na przegniłym sianie, liczyła mijające godziny. Jej zakute w kajdany drobne ręce pomimo znacznego na nich ciężaru mogły się poruszać, a nawet, przy odrobinie wysiłku, mogłyby się z nich uwolnić... Ale na razie nie należało próbować, narażając się na potworny ból.

Miała jeden powód do radości: nie została przeszukana i czuła pod sercem ostatnią deskę ratunku, sztylet Arnolda. Dzięki niemu nie będzie musiała znosić tortur, które z pewnością wymyślała dla niej hrabina. Jeden zdecydowany cios i wszystko się skończy... Nie będzie jęczeć na mękach i nie dostarczy swej rywalce powodu do zadowolenia...

Z daleka dochodziły odgłosy z zamku, do których dołączył kobiecy śpiew, tajemniczy i rozdzierający... Katarzynie wydało się, że już kiedyś słyszała ten głos.

Nagle uzmysłowiła sobie, że ten śpiew nie był wytworem jej wyobraźni, lecz ktoś naprawdę śpiewał, i to bardzo blisko... Tak jakby głos dochodził zza muru... Chciała rzucić się w jego stronę, lecz powstrzymały ją łańcuchy, o których zapomniała i które napiąwszy się gwałtownie, zahamowały jej rozpęd i rzuciły nią o ziemię. Kajdany wpiły się w

przeguby rąk, lecz w tej chwili żadne pęta nie byłyby w stanie powstrzymać jej szaleńczego okrzyku radości.

- Saro! Saro! To ja... - Ugryzła się w język, żeby nie wypowiedzieć swojego prawdziwego imienia. - To ja, Tchalai! Słyszysz mnie? - Wstrzymała oddech i z bijącym sercem zaczęła nasłuchiwać.

W przylegającym lochu umilkł śpiew i nastąpiła cisza, a już po chwili dało się słyszeć stłumione:

- Bogu niech będą dzięki!

Jej głos był teraz ledwo słyszalny. Katarzyna pomyślała, że niełatwo będzie się porozumiewać, chyba że krzyżąc. Trudno. Najważniejsze, iż Sara przebywała obok. A Tristan? Przecież powiedział, że czuwa nad nią. A dzisiaj widział Katarzynę udającą się do więzienia z panią de La Tremoille. Z pewnością zauważył, że hrabina wyszła z więzienia bez niej, i wyciągnął z tego właściwe wnioski.

Jeśli szambelanowa nie każe zgładzić jej natychmiast, może będzie jakaś szansa ratunku. To w głębi ponurych lochów nadzieja przychodzi najszybciej i nie chce opuścić skazańca. Pomimo odradzającej się nadziei serce Katarzyny wypełniło się strachem przed zbliżającą się nocą, która pograży ją w nieprzeniknionych ciemnościach. Ponure otoczenie ztracało stopniowo kontury i w końcu przyszedł moment, kiedy nawet plama jej białej ręki przestała być widoczna. Sara odgadując w głębi swego lochu niepokój Katarzyny, zawołała:

- Spróbuj zasnąć, Tchalai! Teraz noce są krótkie.

Katarzyna ułożyła się na słomie i zamknęła oczy, starając się zasnąć, kiedy do jej uszu doszły jakieś dziwne hałasy. Znieruchomiała, nadstawiając uszu i wstrzymała oddech. Usłyszała ciche skrzypienie drzwi i wyczuła obecność jakiejś istoty ludzkiej w swej celi. Poczowała czyjś od-

dech, coraz bliżej i bliżej... Zimny pot wystąpił jej na czoło. Chwyliła sztylet, starając się nie poruszać łańcuchami. W tej chwili jakaś ciężka postać zwała się na jej brzuch. Katarzyna wydała potworny okrzyk, który odbił się głośnym echem aż na dziedzińcu. Dwie owłosione łapy chwyciły ją za szyję i zaczęły dusić. Jej twarz owionął okropny, kwaśny oddech napastnika. Powodowana dzikim pragnieniem życia uniosła sztylet w górę i uderzyła z całą siłą. Ostrze zagłębiło się w czyichś plecach aż po rękojeść. Ciałem napastnika wstrząsnęły drgawki, ręce trzymające jej szyję opadły bezsilnie i w tej samej chwili poczuła jakiś ciepły i lepki płyn spływający po jej ciele. Z trudem odsunęła trupa na bok. Równocześnie drzwi lochu otworzyły się i dwóch ludzi wpadło do środka, oświetlając sobie drogę łuczywem. Na widok trupa leżącego obok zakutej w łańcuchy i spływającej krwią Katarzyny mężczyźni stanęli jak wryci. Katarzyna spojrzała na nich jak lunatyk, z ledwością rozpoznając Tristana Eremitę i kata Bonawenturę.

- Chciał mnie udusić - powiedziała bezbarwnym głosem. - Zabiłam go.

- Dzięki Bogu... - wymamrotał Tristan blady jak kreda. - Bałem się, że przybędę za późno.

Następnie zwrócił się do kata, który patrzył na Katarzynę oniemiały z przerażenia.

- Czy zapomniałeś o rozkazach otrzymanych od pana? Wiesz, że odpowiadasz głową za życie tej kobiety!

Bonawentura poszarzał na twarzy i skierował na Tristana błagalne spojrzenie.

- Tak, panie... Ja... pamiętam.

- No, to masz szczęście, że przybyłem w porę! A teraz zabierz stąd to ścierwo i pozbądź się go dyskretnie. Tylko nas troje wie o tym.

Bonawentura schylił się i z wielkim trudem, pomimo swej siły, podniósł ciało i zarzucił je sobie na plecy.

- Wrzucę go do lochu obok.

- Pośpiesz się! Czekam na ciebie!

Kat, wychodząc z ciężarem, rzucił Tristanowi spojrzenie pełne wdzięczności. Kiedy tylko zniknął za drzwiami, Tristan pochylił się nad Katarzyną.

- Szybko! Nie mamy wiele czasu! Dziś wieczór, kiedy jak co dzień przyszedłem porozmawiać z Sarą pod okno piwniczne, zobaczyłem tego człowieka, pazia pani de La Tremoille, skradającego się do więzienia. Zrozumiałem, co się święci, i poszedłem za nim. Moja liberia stanowi najlepszą przepustkę... Potem usłyszałem twój krzyk i przybiegłem...

- Czy przyszedłeś po mnie?

Tristan ze smutkiem zaprzeczył ruchem głowy.

- Jeszcze nie tym razem. Mniej więcej za godzinę wielki szambelan odwiedzi cię tutaj...

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Przypadkiem usłyszałem, jak kazał jednej z niemych Greczynek włożyć do worka pieczonego kurczaka i flaszkę wina... Najwyraźniej ciągle mu na tobie zależy. Myślę jednak, że w podobnej norze nie zbierze mu się na cielesne igraszki. A poza tym, jest chory... i z pewnością niezdolny do większego wysiłku.

- Tak czy inaczej, nie dopuszczę do tego. Mój sztylet zadał śmiertelny cios jeden raz, zada i drugi!

- Tylko nie daj się ponieść emocjom, tak jak to zrobiłaś w izbie tortur. Mogłaś zgubić nas wszystkich! Teraz muszę odejść. Pan de Breze czeka na mnie w ogrodzie.

Kiedy wstał, szykując się do wyjścia, Katarzyna chwyciła go kurczowo za ramię.

- Kiedy ujrzę cię znowu?

- Być może następnej nocy... Może wcześniej, jeśli to będzie konieczne. Nie bój się niczego! Czuwamy nad tobą i sądzę, że dla ciebie pan de Breze gotów jest poderznąć gardło La Tremoille'owi na oczach samego króla! A więc odwagi!

W tej chwili do celi wszedł Bonawentura, więc Katarzyna spytała:

- Panie, a jak wyjaśnię, skąd wzięła się ta krew na moim ubraniu?

- Opowiesz, co się wydarzyło i że Bonawentura cię uratował, zabijając napastnika. On tylko na tym skorzysta w oczach szambelana, a tobie to kłamstwo nie może zaszkodzić.

Kat uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś dla mnie zbyt łaskaw, panie. Gdybym mógł się czymś odwdzięczyć...

- To się zobaczy później! A teraz zamknij drzwi i strzeż ich jak oka w głowie!

Nie patrząc na Katarzynę, Tristan wyszedł z lochu i ciężkie drzwi zamknęły się za nim. Znowu zapanowały egipskie ciemności. Z sąsiedniej celi nie dobiegały żadne dźwięki. Katarzyna pragnęła za wszelką cenę odzyskać utracony spokój. Potrzebowała go, aby stawić czoło La Tremoille'owi, który miał się za chwilę zjawić.

I rzeczywiście, po chwili zgrzytnęły zamki i do lochu wkroczył szambelan w towarzystwie kata, który oświetlał mu drogę, trzymając w

górze kaganek. Szambelan na widok zmaltretowanej twarzy Katarzyny i śladów krwi stanął jak wryty, nie mogąc opanować wzburzenia.

- Co tu się stało? Jesteś ranna? Przecież wyraźnie poleciłem...

Bonawentura wcisnął głowę w ramiona, trzęsąc się ze strachu. Katarzyna postanowiła natychmiast przyjść mu z pomocą.

- Ktoś próbował mnie zabić, panie! Ten człowiek usłyszał moje wołanie o pomoc... i uratował mi życie!

- Dobrze zrobił! Trzymaj... to dla ciebie! I zostaw nas samych!

Rzucił w stronę kata złotą monetę, którą ten złapał w locie i zaczął wycofywać się w ukłonach. La Tremoille rozejrzał się za czymś do siedzenia, lecz nie znalazłszy niczego, musiał pozostać w pozycji stojącej. Ze swojej opończy wyciągnął worek i podał go Katarzynie.

- Masz! Musisz być głodna. Jedz i pij! Potem porozmawiamy. Ale musisz się pośpieszyć.

Katarzyna, która nie miała nic w ustach od wielu godzin, nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Chciwie rzuciła się na kurczaka i na chleb, a po chwili wszystkie te smakołyki wraz z flaszką wina zniknęły w jej pustym żołądku.

- Dziękuję ci, panie, jesteś dla mnie taki dobry! - obdarowała szambelana spojrzeniem pełnym wdzięczności.

Jej serce wypełniła nadzieja. Pierwszy raz przebywała sam na sam z szambelanem. Czyżby nadszedł czas wyrównania krzywd? La Tremoille rozpląnął się w uśmiechu, który zamienił jego twarz w setki tłustych wałeczków. Katarzyna poczuła na głowie pulchną dłoń i jednocześnie usłyszała fałszywy szept:

- No, sama widzisz, że nie chcę, aby ci się stała krzywda. Wiem, że jesteś niewinna. Czyż nie opuściłaś mnie wbrew własnej woli?

- Tak było, panie! Jakaś młoda i bardzo piękna dziewczyna przyszła po mnie - odparła z dziecięcą prostotą.

- Wioletta de Champchevrier! Wiem, co to za jedna! To konfidentka mojej małżonki, lecz ty, moja mała, jesteś moją przyjaciółką, nieprawdaż? Czyż nie byłem zawsze dobry dla ciebie?

- Bardzo dobry, panie!

- A więc nadeszła pora, żebyś sobie o tym przypomniała... Powiedz mi, co zawierała buteleczka, którą stłukłaś i której skorupy cisnęłaś w twarz hrabiny?

Katarzyna schyliła głowę, jakby walczyła z samą sobą i nie odpowiedziała od razu. La Tremoille zniecierpliwił się.

- Dalejże, mów! Wiesz, że to jest w twoim interesie!

Uniosła głowę i spojrzała szambelanowi prosto w twarz z wyrazem niewinnej szczerości.

- Masz rację, panie... A ty nigdy nie zrobiłeś mi krzywdy... Otóż buteleczka zawierała eliksir miłości, który potrzebny był twej małżonce!

- Napój miłosny! - La Tremoille wykrzywił grube wargi, a jego źrenice zwęziły się. - A czy wiesz, dla kogo był przeznaczony?

Odpowiedz!

Katarzyna nie wahała się. Nie mogła narazić na niebezpieczeństwo młodego księcia du Maine. Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, panie, tego nie wiem!

Szambelan spochmurniał, bawiąc się nerwowo końcami złotego pasa.

- Napój miłości, mówisz... - wyszeptał w końcu. - Po co? Moja małżonka nie szuka miłości, lecz tylko rozkoszy.

Katarzyna zaczerpnęła głęboko powietrza, walcząc z silnym, ogarniającym ją podnieceniem. Nadeszła chwila, aby postawić wszystko na jedną kartę, wypowiedzieć słowa, które zmusiłyby przeciwnika do opuszczenia kryjówki.

- Jest to silnie działający eliksir, panie. Ten, kto go wypije, staje się bezwolnym narzędziem w rękach osoby, która kazała mu go wychylić... Pani de La Tremoille chciała za jego pomocą wydrzeć pewnemu mężczyźnie tajemnicę skarbu...

Słowa te wywołały nadspodziewanie mocny skutek. Szambelan poczerwieniał, a jego oczy zaczęły ciskać błyskawice. Chwyciwszy Katarzynę za ramiona, potrząsnął nią, wykrzykując:

- Jaki skarb? Powiedz wszystko, co o tym wiesz! Mówże wreszcie!

Katarzyna z doskonale odgrywanym przerażeniem skuliła się, patrząc na szambelana ze strachem.

- Jestem tylko prostą dziewczyną, panie. Ale potrafię słuchać i wiele rzeczy rozumiem... W moim dalekim kraju opowiada się o walczących mnichach, którzy ongiś przybyli, aby bronić grobu Zbawiciela i którzy odjechali, unosząc wielkie bogactwa. Kiedy wrócili do kraju Franków, ówczesny król kazał ich wszystkich stracić...

La Tremoille końcem rękawa wycierał pot spływający mu po twarzy. Jego oczy błyszcząły jak rozżarzone węgle.

- Templariusze! - wyszeptał, czując, że mu zaschło w ustach. - Mów dalej!

- Powiada się, że przed śmiercią ukryli swoje skarby, znacząc skrytki za pomocą niezrozumiałych znaków. Jeden tylko człowiek potrafi je odcyfrować! Ten właśnie człowiek interesuje hrabinę!

Twarz szambelana wyrażała rozczarowanie. Był zawiedziony i nie zamierzał tego ukrywać.

- Ale nikt nie wie, gdzie znajdują się te znaki, czyż nie?

Twarz Katarzyny pojaśniała w anielskim uśmiechu, a jej oczy spoglądały na szambelana z niewinną słodyczą.

- Nie powinnam tego mówić, panie... ale ponieważ byłeś dla mnie taki dobry... a pani taka okrutna. Obiecała mi, że ułaskawi Fera, a tymczasem pozwoliła mu umrzeć na moich oczach! Myślę, że ona wie, gdzie znajdują się znaki... Którejś nocy udawałam, że śpię, i usłyszałam, co mówiła. Mówiła o zamku, w którym uwięziono templariuszy, zanim posłano ich na stos... ale nie mogę przypomnieć sobie jego nazwy...

Wszystko to zostało wypowiedziane tak naturalnie, że gdyby szambelan zwiertzył podstęp, to po tych słowach z pewnością pozbyłby się podejrzliwości. Ponownie chwycił Katarzynę za ramiona.

- Masz sobie przypomnieć! Rozkazuję, abyś sobie natychmiast przypomniała! Czy chodzi o Paryż... czy to może wielka wieża Temple? Mów!

Katarzyna zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... to na pewno nie Paryż. Chwileczkę... to taka trudna nazwa... coś jak Ninon...

- Chinon! Chodzi o Chinon?

- Chyba tak, ale nie mam pewności. Czy jest tam bardzo wielka wieża?

- Olbrzymia! Wieża Coudray. To w niej zostali zamknięci templariusze wraz z ich mistrzem Jakubem de Molayem w czasie procesu.

- W takim razie to właśnie w tej wieży wyryte są napisy!

Pasibrzuch był tak podniecony, że zaczął chodzić po celi tam i z powrotem. Katarzyna patrzyła na niego z dziką satysfakcją. Tę historię opowiedział jej kiedyś Arnold. Pewnego wieczoru, po zniszczeniu dóbr Montsalvych, opowiedział jej, jak w zamierzonych czasach pewien templariusz z ich rodu został wyznaczony przez wielkiego mistrza wraz z dwoma innymi braćmi do ukrycia słynnego skarbu. Niedługo potem zabrał swój sekret do grobu.

- Ludzie powiadają, że w więzieniu - mówił Arnold - w wielkiej wieży w Chinon, mistrz templariuszy nakreślił znaki kluczowe, których nikt nie potrafi odczytać. Widziałem je sam, ale wówczas nie przywiązywałem do nich większego znaczenia. Wtedy byłem bogaty, beztroski... Teraz chciałbym odnaleźć ten skarb, aby odbudować potęgę naszego rodu.

Katarzyna przypomniała sobie opowieść Arnolda, jeszcze przebywając w Angers, kiedy wszyscy głowili się nad przynętą, która pozwoliłaby zwabić La Tremoille'a do Chinon. Teraz przynęta została zarzucona, ryba połknęła haczyk! Powodzenie akcji zdawało się przesądzone. Szambelan krążył po celi jak niedźwiedź w klatce. Słyszała, jak ogarnięty gorączką złota mamrotał pod nosem:

- Muszę znaleźć tego człowieka! Muszę zmusić go do mówienia...

- Panie - przerwała łagodnie Katarzyna - czy pozwolisz, abym ci dała pewną radę?

Spojrzał na nią tak, jakby zupełnie zapomniał o jej istnieniu.

- Na twoim miejscu, panie, utrzymywałabym sprawę w wielkiej tajemnicy i udałabym się do Chinon wraz z dworem, a nawet z królem, jeśli by zaszła taka potrzeba, żeby pilnować szlachetnej małżonki. Nie

spuszczając z niej oka, na pewno dowiedziałabym się, kim jest interesujący ją człowiek!

Szambelan pokraśniał z zadowolenia. Porwał swój kaganek i zaczął walić pięścią w drzwi.

- Strażnik! Do mnie!

Widząc, że gotuje się do wyjścia, Katarzyna krzyknęła:

- Panie, miej litość nade mną! Nie zapomnij o biednej Cygance!

Szambelan rzucił w jej stronę roztargnione spojrzenie.

- Tak... Tak! Możesz być spokojna. Ale pamiętaj, że masz milczeć jak grób, w przeciwnym razie...!

Nie dokończył, lecz Katarzyna zrozumiała, że w jednej chwili straciła całą wartość w jego oczach. Że od tej chwili liczył się dla niego tylko skarb. Wkrótce wyjedzie wraz z dworem do Chinon, zapominając o obiekcie swego dotychczasowego pożądanego i że w ten sposób zostanie zdana na niełaskę hrabiny, która zadba o to, aby się jej pozbyć. Czy Tristan przybędzie na czas z pomocą? Przycisnęła rękojeść sztyletu do drżących ust.

- Arnoldzie, będziesz pomszczony! Wykonałam swoje zadanie... A teraz niech Bóg ma mnie w swojej opiece!

* * *

Przez resztę nocy nikt nie pojawił się w więzieniu Katarzyny. Dopiero koło południa przyszedł Bonawentura, przynosząc podłą strawę, trochę zupy podejrzanego koloru, w której pływał głąb kapusty, kawałek czarnego chleba i dzban wody. Kat wydawał się bardzo przygnębiony. Miskę z chlebem i dzban postawił u stóp Katarzyny.

- Oto twój obiad - rzekł z głębokim westchnieniem. - Wolałbym przynieść ci coś lepszego, ale zjedz choć trochę. Musisz nabrać sił...

Katarzyna z obrzydzeniem odsunęła nogą okropną zupę, której nie potrzebowała po zjedzeniu kurczaka.

- Nie jestem głodna. Ale powiedz, dlaczego twierdzisz, że będą mi potrzebne siły.

- Dlatego, że to ma się stać tej nocy. Zostaniesz stąd zabrana, a ja będę musiał... Ale przebaczysz mi? Powiedz, że mi przebaczysz! To nie moja wina... Muszę spełniać swoje obowiązki.

Katarzyna poczuła ucisk w gardle. Zrozumiała, co kat miał na myśli. Tej nocy zostanie poddana torturom na oczach hrabiny. Sztylet pozwoli uniknąć tortur, ale nie śmierci, a ona nie chciała umierać, pragnęła wydostać się z tego ciemnego lochu, ujrzeć błękit nieba, ogrzać się w promieniach słońca, ujrzeć drzewa i kwiaty. Chciała ujrzeć synka, góry Owernii i Arnolda. Nie mogła umrzeć z dala od niego! Byle dotknąć jeszcze raz jego ręki, tylko jeden ostatni raz... i umrzeć. Ale nie wcześniej!

- Słuchaj, człowieku - powiedziała pośpiesznie. - Musisz odnaleźć rycerza, z którym tu przyszedłeś tej nocy.

- Giermka wielkiego szambelana?

- Właśnie! Nie wiem nawet, jak się nazywa, ale ty z pewnością go rozpoznasz. Przekaż mu to, co mnie powiedziałaś przed chwilą.

- A jeżeli go nie znajdę? Pan szambelan ma wielu giermków.

- Musisz go odnaleźć! Błagam cię!

Wstała i ujęła w swe drżące dłonie olbrzymie łapy kata, patrząc na niego błagalnie. Musi zawiadomić Tristana, w przeciwnym razie Flamandczyk przybędzie za późno!

Olbrzym zamrugał bezręszymi powiekami z wielkim zakłopotaniem.

- Mogę spróbować... Jednak to nie będzie łatwe. W zamku trwają przygotowania do wyjazdu. Jutro król wyrusza do Chinon.

Pod Katarzyną ugięły się kolana. Ta cenna wiadomość była jawnym dowodem jej zwycięstwa. Król i La Tremoille wraz z nim udawali się do Chinon, gdzie już czekali na nich ludzie konetabla Richemonta. Wściekłe zwierzę zmierzało prosto do zastawionej na nie pułapki. Jeżeli jednak Bonawentura nie odnajdzie Tristana, nie będzie jej dane dożyć dnia zwycięstwa...

Nastąpiły długie, niekończące się godziny oczekiwania, w czasie których Katarzyna słyszała jedynie bicie swego serca. Czowała obecność wiernej Sary za grubym murem, ale nie miała siły krzyczeć. Wraz z zachodem słońca jej strach przybrał na sile. Dobiegały ją odgłosy przygotowań, nawoływania służby, okrzyki rycerzy, cały ten radosny rozgardiasz poprzedzający chwilę wyjazdu. Wokół niej pulsowało życie, a ona czekała na śmierć...

W końcu usłyszała szcęk otwieranego judasza. W wąskim zakratowanym otworze ukazała się twarz kata, czerwona od blasku rozedrganego płomienia świecy.

- Nie znalazłem go... Przebacz mi.

- Szukaj dalej!

- Nie mogę. Muszę przygotować się do drogi - odpowiedział kat i zatrzaskał judasza.

Katarzyna zrozumiała, że to już koniec, że od ludzi nie może już niczego się spodziewać. Upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

- Panie mój... - wyszeptała - ponieważ taka jest Twoja wola, ponieważ muszę umrzeć, błagam Cię, oszczędź mi męczarni! Pozwól mi samej z tym skończyć!

Chwyciła za sztylet i przycisnęła go do piersi. W jej dłoni krogulec był gorący jak żywy ptak, pewny jak najlepszy przyjaciel. Wiedziała

dokładnie, w które miejsce należy wbić ostrze, aby dosięgło serca... Pod lewą piersią... Przytknęła ostrze do tego miejsca, rozcinając skórę pod bluzką.

To ukłucie obudziło ją z odrętwienia. Nie chciała umierać tu, w tym ciemnym lochu. Chciała zadać sobie śmiertelny cios na oczach wroga, okrasić ostatnią chwilę radością z przegranej hrabiny! Rzucić jej słowa nienawiści prosto w twarz przed wydaniem ostatniego oddechu! Tak, tak będzie lepiej!...

Na korytarzu dał się słyszeć szcęk ostróg. Katarzyna zamknawszy oczy, zaczęła się modlić, aby Bóg dał jej dosyć odwagi. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Skrzypnęły zamki.

- Żegnaj, Michale... Żegnaj, drogi Arnoldzie... Spotkamy się w raju. Będę tam na was czekać...

Za drzwiami stało czterech żołnierzy, a do lochu wszedł sam kat. Na głowie miał czerwony kaptur opadający aż na ramiona, z dwoma okrągłymi otworami na oczy.

Bez słowa zdjął kajdany z rąk Katarzyny i chciał je związać na plecach, ale Katarzyna powiedziała:

- Uczyń mi ostatnią łaskę i zwiąż me ręce z przodu!

Zobaczyła, że w otworach kaptura oczy kata są wyjątkowo błyszczące. Nie wyrzekł ni słowa, tylko związał jej ręce tak, jak sobie życzyła. Z ulgą stwierdziła, że sznura nie ścisnął zbyt mocno.

Zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom i gotowa do drogi stanęła między żołnierzami. Kat szedł na końcu. Katarzyna nie miała odwagi spojrzeć na drzwi lochu Sary. Nie odwracając się, krzyknęła tylko:

- Żegnaj, Saro! Żegnaj! Módl się za mnie!

- Będę się modliła, Tchalai!

Wkrótce otworzyły się przed skazaną niskie drzwi izby tortur. Po ich przekroczeniu Katarzyna odniosła wrażenie, że schodzi do piekieł. Pośrodku, ze skrzyżowanymi ramionami, stało dwóch muskularnych katów. Mieli nagie torsy, czerwone kaptury na głowach, a na ich ramionach zaciśnięte były skórzane opaski. Centralne miejsce izby zajmowało łoże tortur, z którego zwisały łańcuchy, a w koszach żarowych zanurzone były okropne narzędzia, szczypce, dzidy i noże. Na zydlu, który wczoraj zajmował szambelan, siedziała hrabina, cała w zielonych i złotych brokatakach, uśmiechając się z niezwykle okrucieństwem. U jej stóp, na czarnej aksamitnej poduszce, siedziała Wioletta, wdychając zapach perfum z pozłacanej kuli. Widok tych wystrojonych jak na bal kobiet był odrażający. Katarzyna zmierzyła je pogardliwym wzrokiem.

Hrabina wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Ależ z ciebie harda dziewczyna! Możesz mi jednak wierzyć, że już za chwilę ci to przejdzie, kiedy nasz poczciwy Bonawentura wypróbuje na tobie swoje wyrafinowane sposoby. Czy wiesz, co to za metody?

- Wszystko mi jedno!... Ale nie widzę tu księdza...

- Księdza? Dla takiej małej czarownicy? Pomiot szatański nie potrzebuje księdza, aby udać się w drogę do piekła! Natomiast bardzo mnie ciekawi, jak czarownica znosi tortury. Czy znasz, córo Egiptu, czary, które uśmierzają ból? Czy zachowasz zimną krew, kiedy kat będzie ci wrywał paznokcie, kiedy odetnie ci nos albo uszy lub, na przykład, choćby wtedy, kiedy będzie cię obdzierał ze skóry czy kiedy wyłupi ci oczy?

- Nie znam takiego zaklęcia. Ale jeśli jesteś prawdziwą chrześcijanką, pani, daj mi czas, abym mogła zmówić ostatnią modlitwę.

Hrabina zawahała się. Widać było, że ma ochotę odmówić ostatniej prośbie swej ofiary. Spojrzała na stojących obok żołnierzy. Wiedziała, że nie ma prawa tak postąpić, gdyż sama mogłaby być oskarżona o bezbożność. A to byłoby zbyt niebezpieczne.

- Niech tak będzie - zgodziła się niechętnie. - Tylko się pośpiesz!
Rozwiązać jej ręce!

Kat zbliżył się do niej i rozwiązał sznury kępujące jej dłonie. Katarzyna uklękła na ziemi, odwracając się tyłem do hrabiny. Pochyliła głowę, skrzyżowała ręce na piersi i ostrożnie wyjęła sztylet zza stanika. Jej serce waliło jak oszalałe. Zacisnęła dłoń na rękojeści i zamachnęła się.

W tej chwili Bonawentura, zauważywszy co się święci, rzucił się na nią, odepchnął z całej siły do tyłu i wyrwał śmiertelne ostrze z jej dłoni. Katarzyna upadając na ziemię, krzyknęła w rozpacz. Jej okrzykowi wtórowały krzyki hrabiny i dwórki.

Katarzyna jak przez mgłę zauważyła, że w izbie dzieje się coś dziwnego.

Ni stąd, ni zowąd rozgorzała bójka pomiędzy katami i zgromadzonymi w kącie żołnierzami. Kaci chwyciwszy za miecze, które nie wiadomo skąd się wzięły, cięli na lewo i prawo, posługując się nimi iście po mistrzowsku. Bonawentura zręcznym ciosem powalił jednego z żołnierzy i zagłębił w jego gardle sztylet Katarzyny. Walka nie trwała długo. Wkrótce ziemia usłana została trupami żołnierzy, a hrabina ze swą faworytą stały z odsłoniętymi szyjami, do których jeden z katów przyłożył ostrza szpad.

- Mordercy! - wyła hrabina. - Kanalie! Czego chcecie?

- Nic takiego, jaśnie urodzona - odpowiedział flegmatycznie jeden z katów, w którym - pomimo kaptura - Katarzyna poznała Tristana Eremitę.

- Chcieliśmy tylko nie dopuścić do tego, abyś popełniła kolejną zbrodnię!

- Kim jesteś? - nie dawała za wygraną hrabina.

- To nie twoja sprawa, za pozwoleniem... Hej, wy tam, jesteście gotowi?

Jeden z katów podniósł oniemiałą Katarzynę z ziemi, a potem podał rękę Sarze. Kobiety rzuciły się sobie w ramiona, lecz ich gardła były tak ściśnięte ze wzruszenia, że nie mogły wypowiedzieć słowa.

Tymczasem Tristan, nie spuszczać z nich oczu, rozkazał:

- Związać mi tamte damy, tylko żwawo, i wrzucić do lochu!

Rozkaz został wykonany z nadgorliwością godną pochwały.

Pani de La Tremoille wraz z Wiolettą, piniąc się ze złości, zostały zawleczone do lochu.

- Chętnie poderznąłbym im gardła - powiedział Tristan - ale mają jeszcze pewną rolę do spełnienia. Otóż bez swej małżonki La Tremoille zapewne nie udałby się do Chinon.

Co mówiąc, zdjął z głowy kaptur, który „pożyczył” sobie chwilowo od kata Bonawentury, ukazując Katarzynie uszczęśliwioną twarz.

- Katarzyno, twoje zadanie skończone! Spełniłaś je pierwszorzędnie! Teraz kolej na nas! Musimy cię stąd wyciągnąć!

- A co się stało z prawdziwym Bonawenturą? - zaniepokoiła się Katarzyna.

- O niego się nie martw! Pewnie śpi gdzieś w kącie snem sprawiedliwego, zmożony wielką ilością wina z dodatkiem usypiającego proszku, którym się raczył dla dodania sobie kurażu przed podjęciem obowiązków w izbie tortur!

- A pozostali kaci? Kim są?

- Zaraz ci ich przedstawię.

W tej chwili powrócili kaci i jednym ruchem ściągnęli z głów kaptury. Jednym z nich okazał się pan de Breze, drugim był nieznajomy, okazałej postury i o inteligentnym wyrazie twarzy. Piotr de Breze, nie zważając na miejsce ani porę, ukląkł przed Katarzyną i pocałował jej dłoń.

- Katarzyno, gdybym nie mógł cię uratować, wybrałbym śmierć!

Katarzyna ujęła jego głowę w obie ręce i przytuliła do siebie.

- Jak mam ci dziękować, Piotrze?... I pomyśleć, że przed chwilą straciłam wszelką nadzieję w Boga i ludzi...

- Widziałem, że zadasz sobie śmierć raczej, niżli miałabyś oddać się w ręce kata - powiedział Tristan zajęty zdejmowaniem ubiorów z żołnierzy. - Czuwałem nad tobą, bojąc się, byś nie próbowała zadać sobie zbyt wczesnie śmiertelnego ciosu. Musieliśmy poczekać na sposobną chwilę, aby nikt nie przeszkodził nam w akcji.

Sara szlochała z radości, ciesząc się jak dziecko z odnalezienia Katarzyny. Ale jak zwykle szybko przyszła do siebie i osuszając oczy ręką sukni, zapytała:

- Co tu jeszcze robimy?

- Ty, Katarzyna i Tristan założycie uniformy żołnierzy. Ja i Jan Armenga, który jest koniuszym Ambrożego de Lore'a, przywdziejemy nasze normalne stroje - powiedział de Breze. - Następnie wyjdziemy na dziedziniec. Przy wejściu czekają na nas okulbaczone konie. Ja stanę na czele. Mam glejt.

- Od kogo? Od La Tremoille'a? - spytała ze śmiechem Katarzyna.

- Nie. Od królowej Marii, która nam sprzyja. Wcale nie żyje w takim uśpieniu, jak się niektórym wydaje. Doprowadzimy was do granic

terytorium Amboise, a potem Armenga i ja wrócimy do zamku. Ale musimy się śpieszyć! Muszę was prosić, moje panie, abyście się rozebrały.

Katarzyna zaczęła rozsznurowywać sukienkę, przynaglając Sarę, która zrzędziła, że znowu musi przebrać się za mężczyznę. Panowie wyciągnęli schowane w kufrze stroje i kobiety ukrywając się w ciemnym kącie komnaty, szybko nałożyły męskie opończe, ale za nic w świecie nie chciały założyć kolczug. Krótkie płaszcze z wyhaftowanym herbem królewskim powinny wystarczyć do stworzenia odpowiedniego wrażenia. Żelazne hełmy, druczane siatki i za duże trzewiki były aż nadto niewygodne...

Kiedy ukazały się w nowym przebraniu, Piotr de Breze nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Całe szczęście, że jest noc... i że dwie mile stąd czekają na was inne stroje, bo w tym przebraniu daleko byście nie zaszły.

Po chwili zbliżył się do Katarzyny i ujął jej dłonie w swe ręce.

- Za chwilę znowu będę musiał cię opuścić, Katarzyno! A tak bardzo chciałbym czuwać nad tobą cały czas! Ale, niestety, powinienem zostać w zamku, gdyż moje zniknięcie mogłoby wzbudzić podejrzenia.

- Spotkamy się w Chinon, Piotrze!

- Nigdy się nie spotkacie, jeśli będziecie się tak grzebać! - wtrącił Tristan. - Ruszajmy w drogę! Ty, panie, idź przodem!

Piotr de Breze i koniuszy stanęli na czele grupy, która ruszyła schodami prowadzącymi do sali straży. Pomimo ciężkiego stroju Katarzynie zdawało się, że rosną jej skrzydła. Jeszcze nigdy nie czuła się taka lekka, taka szczęśliwa. Po tym, jak otarła się o śmierć, teraz cieszyła się życiem. Czy jest uczucie bardziej upajające? Wspanialsze? Jej zbyt duże buty ślizgały się po starych schodach, lecz nie zwracała na to uwagi.

Breze ze szpadą w dłoni otwierał pochód. W sali straży należało unieszkodliwić dwóch żołnierzy. Z żołnierzami uporano się z łatwością, związano ich, zakneblowano i ułożono na posadzce.

- Wychodzimy! - powiedział Piotr.

Wkrótce znaleźli się na dziedzińcu, gdzie nieliczne kosze żarowe ledwie rozjaśniały mroki nocy. Katarzyna z wdzięcznością wzniosła oczy do nieba, które wyglądało jak ciemny aksamit rozjaśniony bladym ogonem Drogi Mlecznej. Wdychała pełną piersią chłodne, orzeźwiające powietrze. Widziała przed sobą szerokie plecy Piotra de Brezego, który schował szpadę do pochwy. Pomimo tego czuło się, że zachowuje najwyższą ostrożność. Jan Armenga zamykał pochód. Minięto wieżę, przy której drzemało dwóch włóczników opartych ciężko na broni. Katarzyna rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę pięt. U Gilles'a de Rais'go panowały ciemności, ale za to La Tremoille'owi gorączka złota nie pozwalała zmrużyć oka, gdyż w jego apartamentach migotały płomienie świec.

Po burzliwym dniu nastąpiła spokojna noc. Dzięki obecności królowej ustały hałaśliwe rozrywki, a przygotowania do wyjazdu zmęczyły wszystkich. Potężny dziedziniec był opustoszały. W oddali widać było stojących strażników.

- Czy oni nas nie zatrzymają? - Katarzyna spytała Tristana.

- To by mnie bardzo zdziwiło - odpowiedział. - To ludzie królowej, których postawiliśmy na straży tej nocy. Nie wiem, co takiego naopowiadałaś La Tremoille'owi, ale widać, że musiało to zrobić na nim wrażenie, gdyż tej nocy wszystko idzie w zamku na opak.

- Czy nasza ucieczka nie odwiedzie go od wyjazdu?

- Z całą pewnością nie. Pomyśli, że jej sprawcami są Cyganie. Pani La Tremoille nie widziała naszych twarzy, a to, że hrabina spędziła noc w lochu, na pewno uraduje jej czułego małżonka.

- Cisza! - rozkazał de Breze.

Zbliżano się do straży. Należało jeszcze minąć spuszczaną kratę i most zwodzony, ale Katarzyna była spokojna. Człowiek, który siedł przed nią, wydawał się jej aniołem wyzwolenia. Pod jego opieką nic złego nie mogło się przytrafić...

Konie czekały przywiązane u studni. Katarzyna pomyślała z niepokojem, że w tym ciężkim ekwipunku nigdy nie wskoczy na siodło. Ale de Breze pomyślał i o tym. Podczas gdy on sam podszedł do straży, aby zamienić z nimi słowo, Jan Armenga wziął od niej pikę, oparł ją o mur, po czym chwyciwszy Katarzynę w pól, podniósł ją jak piórko i posadził na koniu. Następnie przy pomocy Tristana oddał podobną przysługę Sarze. Katarzyna czuła, że za chwilę parsknie śmiechem, gdyż wyobraziła sobie zdumienie strażników na widok pana wsadzającego kurtuazyjnie na konie dwóch zwykłych żołnierzy. Po chwili usłyszała głos Piotra.

- Wystarczy, jak otworzycie boczne drzwi. Jest nas tylko pięciu! W służbie królowej!

- Wedle rozkazu, panie! - odpowiedział czyjś głos i już po chwili mała krata uniosła się, a lekki most powoli zaczął się opuszczać.

Było jasne, że Piotr de Breze chciał uniknąć hałasu, jaki wywołałby wielki most zwodzony. Teraz on z kolei wskoczył na konia i rzucając krótkie „naprzód”, ruszył pierwszy, znikając pod niskim sklepieniem. Za nim podążyło trzech przebranych żołnierzy. Przejeżdżając obok strażników, Katarzyna i Sara pochyliły nisko głowy, opuszczając tak głęboko, jak tylko się dało swe hełmy i przybierając niedbałą postawę

mężczyzn... Wszystko przebiegło pomyślnie i wreszcie przed nimi nie było już żadnych przeszkód, tylko bezkresne, rozgwieżdżone niebo, błyszczące dachówki miasta i ciemna, lśniąca wstęga rzeki... Katarzyna upajała się rześkim powietrzem, wdychając je pełną piersią. Ten lekki wiatr niosący zapach róż i wiciokrzewów, po długich godzinach spędzonych wśród mdłych wyziewów piwnicznego lochu, był jak upojny eliksir życia...

Na nowo usłyszała głos de Brezego, który rozkazywał strażom, by nie spuszczały kraty, gdyż niebawem wróci.

Jeźdźcy pokonali galopem drogę dojazdową do zamku i wkrótce dojechali do bram uspiętego miasta, które podobnie jak bramy zamku otwarto się przed nimi dzięki glettowi de Brezego.

Teraz konie szły stępą. Droga wznosiła się w kierunku ciemnego lasu. Kiedy tylko zbiegowie zagłębili się wśród szeleszczących zarośli, Piotr de Breze podniósł rękę i zeskoczył z konia.

- Tutaj się rozstaniemy - powiedział. - Dalej pojedziecie sami, gdyż ja i Armenga musimy być przy królowej, kiedy będzie opuszczała zamek. Co do was...

- Wiem, panie - przerwał Tristan. - Mamy udać się do kasztelu w Mesvres, dwie mile stąd, gdzie na nas czekają.

Pomimo ciemności panującej wśród leśnej gęstwiny Katarzyna zobaczyła błyszczące w szerokim uśmiechu białe zęby Piotra de Brezego.

- Powiniennem wiedzieć, że nigdy nie zapominasz o niczym, przyjacielu! A więc, powierzam ci panią Katarzynę, Tristanie! Wiesz, jak bardzo jest mi droga. Kasztel w Mesvres należy do mego kuzyna Ludwika z Amboise. Tam będziecie bezpieczni. Odpoczniecie, odzyskacie siły i dacie paniom stroje odpowiednie ich randze...

- A gdzie potem mamy się udać, Piotrze? Czy się zobaczymy?
Chciałabym być w Chinon świadkiem końca La Tremoille'a! - rzuciła zaniepokojona Katarzyna.

Pan de Breze podszedł do niej, zdjął z jej głowy przytłaczający ją hełm i cisnął go w krzaki.

- Niechaj choć przez chwilę będzie mi dane popatrzeć na twą słodką twarz, zanim się rozstaniemy. Oczywiście, udasz się do Chinon, gdzie królowa Jolanta ma dołączyć do swego zięcia. Spotkasz się tam z nią, jak już będzie po wszystkim. W Chinon zatrzymasz się w oberży „Pod Krzyżem Wielkiego Świętego Mexme”. Powiedz oberżyscie, że ja cię przysyłam, a będzie ci wiernie służył. Jest to dobry i wierny poddany króla, a ponieważ ongiś dał schronienie Dziewicy Orleańskiej, dałby się pokrajać na kawałki przez pamięć o niej. Nakaż mu całkowitą dyskrecję, a nie dopuści do ciebie nikogo.

Nastąpiła tak głęboka cisza, że Katarzyna i pan de Breze mogli słyszeć bicie swych serc... Pozostali odeszli na bok. Katarzyna utkwiała w Piotrze oczy pełne wdzięczności i wyciągnęła do niego ręce, które uchwycił w locie, klękając uprzednio na jedno kolano, tak jak w izbie tortur.

- Dziękuję ci, mój rycerzu - wyszeptała z gardłem ściśniętym ze wzruszenia. - Dziękuję ci za wszystko. Jak mam wyrazić to, co czuję w tej chwili? Doprawdy, nie znajduję właściwych słów...

- Moja słodka pani, żyję tylko miłością do ciebie... Gdybyś zginęła, moje serce przestałoby bić... Nie szukaj zbędnych słów.

I złożył swe usta na dłoniach, które ścisnął jak szaleniec. Katarzyna pochyliła się nad klęczącym i wycisnęła skromny pocałunek na krótkich,

jasnych włosach młodzieńca, uwalniając jednocześnie swe dłonie z uścisku.

- Do rychłego zobaczenia, panie! Niech Bóg cię ma w swej opiece! -
I zwracając się do koniuszego, krzyknęła: - Pomóż mi, panie!

Armenga podbiegł, aby wsadzić ją na konia, Katarzyna podniosła dłonie i pozdrowiła Piotra, który stojąc w trawie, nie spuszczał z niej rozanielonych oczu.

- Kiedy spotkamy się następnym razem, będę na powrót Katarzyną - rzuciła radośnie. - Zapomnij o Egipcjance! I to tak szybko, jak ja sama pragnę o niej zapomnieć! Raz jeszcze dziękuję wam wszystkim!

Spiąwszy konia ostrogami, ruszyła w las, a za nią podążyli Tristan i Sara.

RS

Rozdział jedenasty

Chinon

Zachodzące słońce rzucało krwistoczerwone blaski na wysokie, szare budowle Chinon, na dachówki miasta, otoczonego potężnymi murami, które wyglądały tak, jakby wychodziły prosto z rzeki Vienne. Po jej spokojnych wodach wśród świergotania zimorodków i szybkiego lotu jaskółek sunęły barki przewoźników. Wieczór był ciepły i w powietrzu rozchodził się zapach świeżo skoszonego siana, kiedy Katarzyna wraz z Sarą i Tristanem Eremitą przeszli przez pierwszą bramę i znaleźli się pod murami kolegiaty Świętego Mexme. Należało jeszcze przejść drugą bramę, bramę Verdun, która broniła wstępu do samego miasta. Na wzgórzu stał zamek składający się z trzech części: fortu Świętego Jerzego, zbudowanego dawno temu przez Plantagenetów, zamku środkowego i najdalej stojącego Coudray, zwieńczonego okrągłą, trzydziestopięciometrową wieżą Chinon - miasto-twierdza zdecydowanie zasługiwało na taką nazwę i Katarzyna z rozkoszą kontemplowała imponującą kamienną pułapkę, w której wkrótce miał się znaleźć jej wróg.

Czas upływał szybko. Wydawało się jej, że wszystkie tragiczne wydarzenia z Amboise były daleko poza nią. A przecież minęły dopiero trzy dni, od kiedy Tristan z panem de Brezem wyrwali ją z objęć śmierci czyhającej w piwnicach królewskiego zamku...

Po rozdzieleniu się w lesie Katarzyna, Sara i Tristan w swych żołnierskich przebraniach dotarli do kasztelu w Mesvres, gdzie Katarzyna wreszcie mogła przybrać własną skórę. Dzięki gorącej kąpiel, mocnemu szorowaniu, nacieraniu alkoholem etylowym, potem tłustym kremem sporządzonym ze świńskiego sadła, jej skóra stała się taka biała jak dawniej. Pozostał tylko lekki, złocisty odcień, który zawdzięczała bardziej życiu na świeżym powietrzu niż emulsjom mistrza Wilhelma. Następnie odpięła czarne warkocze, umyła włosy, stwierdzając, że pokazały się jasne odrosty. Niestety włosy należało obciąć, i to bardzo krótko.

Katarzyna nie wahała się. Wręczyła Sarze nożyczki, mówiąc:

- No dalej, tnij!

Sara z ciężkim sercem zabrała się do dzieła. Po ostrzyżeniu Katarzyna miała na głowie krótką, jasną czuprynkę i wyglądała jak chłopię albo młody paż, co, rzecz dziwna, nie ujmowało jej kobiecości.

- To okropne! - oświadczyła Sara. - Nie mogę na ciebie patrzeć!

- Nie przejmuj się, ja również! - odparła Katarzyna.

Teraz, w czarnej sukni, pelerynie z czarnego adamaszku i wysokim stroiku z muślinu w kształcie księżyca, znowu była damą, a Sara odnalazła z prawdziwą ulgą swoje dawne, wygodne stroje służącej, Tristan zaś przywdział z powrotem kostium z czarnego zamszu. Przechodnie i przekupki odwracali głowy na widok pięknej i wyniosłej kobiety w surowej żałobie.

Po przejściu bramy Verdun troje podróżnych zagłębiło się w ruchliwej uliczce, w której wiosenny wiatr poruszał licznymi szyldami. Przez otwarte okna można było dostrzec gospodynie krzątające się przy kociołkach z jedzeniem. Sklepy nie były jednak tak pełne towarów jak dawniej. Z powodu trwającej wojny nie docierały tu towary z zagranicy.

Najgorzej wiodło się kupcom korzennym, sukiennikom i kuśnierzom, pozbawionym dawnych jarmarków. Za to stragany handlarzy jarzyn ugiwały się od świeżych warzyw i kwiatów. Rzeka dostarczała ryb, a wieś drobiu. Ulicę wypełniał swojski zapach kapusty i wędzonki.

- Jestem głodna jak wilk - oznajmiła Katarzyna.

- A ja mógłbym zjeść własnego konia - odparł Tristan.

W miejscu rozwidlenia uliczek, pod ścianą jednego z domów, przy wielkim głazie modlił się mnich odziany w czarny, wysłużony habit, wołając, że ten kamień pomógł Dziewicy Orleańskiej zsiąść z konia, kiedy zesłał ją tutaj Bóg, i że Joanna powróci pewnego dnia, by przegnać antychrysta.

Wokół niego zgromadziła się garstka mężczyzn i kobiet, którzy przytakiwali mu milcząco. Domy w tej części miasta wydawały się nowsze i bogatsze. Było to Grand Carroi, serce Chinon. Tristan począł rozglądać się za oberżą, która wkrótce ukazała się oczom zdrożonych podróżnych. Już z daleka zobaczyli jej piękny czerwono-niebieski szyld przedstawiający świętego Mexme w aureoli, który, przy całej swojej godności, miał potwornego zęza.

Skierowali się do wejścia. Katarzyna i Sara pozostały w siodle, podczas gdy Tristan udał się na poszukiwanie gospodarza. Była to piękna, błyszcząca czystością oberża. Małe okienne szybki połyskiwały w słońcu, a belki sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą zostały odkurzone. Nie minęła chwila, a w progu pojawił się Tristan w towarzystwie wysokiego jegomościa obdarzonego przez naturę owłosieniem pokrywającym prawie całą twarz. Spośród gęstej brody, krzaczastych brwi i sumiastych wąsów wyłaniał się wielki jak warząchew nochal i para czarnych, niespokojnych, nienapawających zaufaniem oczu. Katarzyna, po białym fartuchu i takim

samym czepcu oraz po wielkim nożu kuchennym wiszącym na jego brzuchu domyśliła się, że to sam imć Baranek, właściciel oberży „Pod Krzyżem Wielkiego Świętego Mexme”. Patrząc na niego, nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdyż ten baranek w zadziwiający sposób przypominał grubego zwierza.

Tymczasem imponująca ta figura zgięła się przed Katarzyną wpół ze wszystkimi oznakami głębokiego szacunku.

- To dla mnie wielki zaszczyt, szlachetna pani, że mogę cię przyjmować w mych niskich progach. Przyjaciele pana de Brezego są tutaj u siebie. Lecz obawiam się, że moje pokoje będą dla ciebie zbyt ciasne, pani.

- Nie przejmuj się, mistrzu Baranku - odparła Katarzyna, przyjmując dłoń, którą podał z wielką kurtuazją, żeby pomóc jej zsiąść z konia. - Wystarczy, że ja i moja służąca znajdziemy u ciebie wikt i posłanie, a przede wszystkim spokój. Co zaś się tyczy mistrza Tristana, to sądzę...

- O mnie się nie martw, pani - przerwał Flamandczyk. - Ruszam w dalszą drogę zaraz po wieczerzy.

Katarzyna uniosła brwi.

- A gdzież to, mój panie?

- Do Parthenay, gdzie czeka na mnie konetabl. Nie mam czasu do stracenia. Nie obawiaj się jednak, wrócę. Mistrzu Baranku, czy wiesz, co masz czynić?

Gospodarz mrugnął do niego porozumiewawczo i uśmiechnął się.

- Wiem, panie! Panowie zostaną zawiadomieni. A ta szlachetna pani będzie u mnie całkowicie bezpieczna. Raczcie wejść do środka, a każę natychmiast podawać do stołu!

Troje podróżnych, prowadzonych przez imć Baranka, weszło do środka. Ich końmi i sakwami podróżnymi zajęli się chłopcy, do których to należało.

Na gości oczekiwała tęga, czarnowłosa kobieta ze złotym krzyżem na szyi, odziana w piękną sukienkę z cienkiej bawełny. Na widok Katarzyny wykonała niski ukłon. Imć Baranek uśmiechnął się z dumą.

- To moja połówica! Ma na imię Pernelka. Jest prawdziwą paryżanką!

Prawdziwa paryżanka mizdrząc się, poprowadziła Katarzynę w głąb izby, otworzyła niskie drzwi wychodzące na prześlicznie urządzone i tonące w kwiatach dziedziniec. Dalej widać było drewniane schody prowadzące na zadaszone krużganki, z których wchodziło się do pokoi gościnnych. Pernelka otworzyła ostatnie z dębowych, rzeźbionych drzwi i odwracając się do Katarzyny, powiedziała:

- Mam nadzieję, że tutaj będzie wygodnie! Przynajmniej będzie pani miała spokój!

- Wielkie dzięki, dobra Pernelko. Jak widzisz, noszę żalobę i nade wszystko pragnę spokoju.

- Pewnie, pewnie - odparła oberżystka. - Wiem, co to znaczy... Mamy tu niedaleko kościół pod wezwaniem Świętego Maurycego. Nasz proboszcz to święty człowiek! A do tego ma taki głos, że najgorszy ból uśmierzy! Trzeba go słyszeć, jak mówi kazanie!

Imć Baranek, znając gadatliwość swej połówicy, zawołał:

- Hola! Hola! Dosyć tego, kobieto! Zejdź na dół i daj odpocząć szlachetnej pani!

Katarzyna uśmiechnęła się do Pernelki.

- Przyślij mi tu mego towarzysza, dobra Pernelko, i szybko podawaj wieczerzę! Jesteśmy zmęczeni i umieramy z głodu!

Oberżystka ukłoniwszy się, zniknęła, zostawiając Katarzynę z Sarą, która natychmiast zaczęła krzątać się po pokoju, próbując, czy materace są miękkie, czy drzwi i okna zamykają się, jak należy. Okno wychodziło na ulicę, pozwalając na obserwowanie, kto wchodzi i wychodzi. Meble były proste, lecz dobrej jakości, dębowe z okuciami z żelaza. Czerwone tapety dodawały przytulności temu miłemu wnętrzu.

- Będzie nam tu dobrze - powiedziała Sara z wyraźnym zadowoleniem.

Widząc, że Katarzyna spogląda w zamyśleniu przez okno, zapytała:

- O czym myślisz?

- Myślę... - westchnęła młoda kobieta - że dosyć mam już takiego życia. Oberża wydaje się miła, lecz wołałabym długo tutaj nie mieszkać. Chciałabym... ujrzeć mojego małego Michała. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi go brak! Tak długo go nie widziałam.

- Cztery miesiące - powiedziała Sara nieco zaskoczona.

Pierwszy raz Katarzyna dała wyraz tęsknocie za synkiem. Nigdy o nim nie wspominała, być może w obawie, że obraz dziecka osłabi jej odwagę. Jednak tego wieczoru w jej oczach pojawiły się łzy. Sara zauważyła, że Katarzyna przygląda się młodej kobiecie kołyszącej w ramionach berbecia z jasnymi włosami. Kobieta śmiała się, trzymając w dłoni ciastko z dziurką, do którego dziecię wyciągało niecierpliwie pulchne rączki. Ten zwykły i czarujący obrazek pozwolił Sarze zrozumieć, co czuło w tej chwili serce Katarzyny. Objęła ją czule i przytuliła.

- Jeszcze trochę cierpliwości, duszko! To już prawie koniec twych zmagañ!

- Tak... wiem, lecz ja nigdy nie będę taka jak ta kobieta. Jest radosna i szczęśliwa. Z pewnością ma męża. Musi go kochać. Popatrz, jak błyszczą jej oczy!... A cóż ja. Kiedy skończę tę tułaczkę, zamknę się w zamku i będę żyć tylko dla Michała, a potem, kiedy mnie opuści, zostanie mi już tylko Bóg i czekanie na śmierć, podobnie jak Izabeli, mojej teściowej...

Sara pomyślała, że czas usunąć tę ponurą mgłę, która opadła na myśli jej drogiej pani.

- Dostyc tego! Pomyśl o tym, co masz teraz do zrobienia! Zostaw przyszłość w spokoju. Tylko jeden Pan Bóg wie, co ci jeszcze pisane! Ale oto pan Tristan!

Istotnie, po krótkim pukaniu do pokoju wszedł Flamandczyk ze służącym, który niósł naczynia i białe serwetki, a za nim drugi ze wszystkim, co było potrzebne do nakrycia stołu. W mgnieniu oka stół był gotowy i troje wędrowców zasiadło do kielbasek z bobem i baraniej pieczeni.

Gdy zaspokoili pierwszy głód, czarne myśli Katarzyny gdzieś uleciały. Po skończonym, obficie popijanym miejscowym winem, posiłku Tristan wstał od stołu, aby się pożegnać.

- Zaraz ruszam, pani Katarzyno. Jutro wieczorem muszę stanąć w Parthenay, aby poznać ostatnie rozkazy. Król przybywa jutro, lecz o świcie do tej oberży zjadą panowie Pregent de Coetivy i Ambroży de Lore oraz wszyscy spiskowcy. Pan Jan de Bueil także ma się jutro zjawić. Kiedy już wszyscy będą na miejscu, odbędzie się tutaj zebranie spiskowców. Otóż w głębi dziedzińca, w skale, na której wznosi się zamek, znajdują się wykute groty służące za piwnice dla doskonałych, leżakujących tam win... One właśnie najlepiej nadają się na tajne spotkanie. Musisz czekać i czuwać. Lecz pamiętaj! Pani La Tremoille ma dobry wzrok!

- Możesz być spokojny - odparła Katarzyna, podając mu ostatni dzban wina. - Nie jestem szalona!

Tristan duszkiem wypił wino i zniknął jak zjawą.

* * *

Następnego dnia, kiedy orszak królewski zbliżał się do miasta, za rogatkami panowało niezwykle ożywienie. Gdy w mieście zaczęły dzwonić wszystkie dzwony, Katarzyna, pomimo ostrego zakazu, założyła na głowę czarny woal i wyjrzała przez okno. Ponad mrowiem głów zgromadzonych przy Grand Carroi łopotał las chorągwi, jeżyły się lance i piki rycerzy. Odzianego w zbroję króla otaczał szwadron rycerzy oraz karoce, w których jechała królowa i La Tremoille z małżonką. Już dawno żaden koń nie był w stanie unieść wielkiego szambelana. Na widok jego herbu Katarzyna cofnęła się odruchowo. Pomimo że w oberży czuła się bezpieczna, nie mogła powstrzymać uczucia strachu. Zresztą aż do tej chwili nie wierzyła w swoje zwycięstwo, a wyobraźnia mówiła jej o samych przeszkodach. Jednak stało się! La Tremoille był tu!

Orszak przeszedł powoli wśród tłumu, który wykrzykiwał: „Boże chroń!”, i zniknął na stromym podejździe prowadzącym do zamku... Kiedy zniknął ostatni rycerz i ostatni powóz, Katarzyna odwróciła się do Sary z oczami błyszczącymi triumfem.

- Przyjechał! Wygrałam!

- Tak - westchnęła Cyganka. - Wygrałaś. Teraz rycerze królowej Jolanty muszą osaczyć dzikie zwierzę.

- Nic nie odbędzie się beze mnie! - krzyknęła Katarzyna. - Muszę w tym uczestniczyć, a jeśli poniesiemy klęskę, chcę podzielić los spiskowców! Mam do tego prawo!

Sara nie odpowiedziała, lecz zabrała się do naprawy rozdartego płaszcza swej pani. Dopiero jeden dzień obie kobiety przebywały w oberży, a Sara już krążyła jak lew w klatce i wynajdywała sobie zajęcia. Dla Katarzyny ta przymusowa bezczynność także była trudna do zniesienia. Prawie cały czas spędzała przy oknie, obserwując ruch uliczny. Godziny upływały jednak powoli, a ona płonęła chęcią działania. Teraz, kiedy był tu La Tremoille, pragnęła wrócić na plac boju.

Gdy nadeszła noc i na wieży zegarowej zabrzmiały dźwięki dzwonu zwanego Marie Javelle, który nadawał rytm życiu w mieście, a na ulicy zapanowała cisza, Katarzyna otworzyła okno i wychyliła się, nie zasłaniając sobie twarzy woalką. Wokół zapadła noc błyszcząca gwiazdami, prawdziwa noc stworzona dla zakochanych, a nie intryg. Po przeciwnej stronie ulicy za zamkniętymi okiennicami spali dobrzy mieszczanie - wytwórca hełmów i aptekarz.

Katarzyna machinalnie wzniosła oczy na sklepienie niebieskie, jakby w poszukiwaniu srebrzystej zbroi Dziewicy Joanny.

- Joanno - wyszeptała. - Pomóż mi! Dzięki tobie uniknęłam śmierci i odnalazłam szczęście. Zawdzięczam je tobie... Spraw, żeby moje wysiłki nie poszły na marne... Spraw, abym odzyskała utraconą miłość, utracone szczęście...

Nagle jej rozmyślenia zostały przerwane: coś świeżego i pachnącego musnęło jej szyję i sprowadziło z powrotem na ziemię. Instynktownie wyciągnęła ręce, w które wpadł bukiet róż w chwili, kiedy już miał upaść na ziemię. Zbliżyła kwiaty do nosa. Spojrzała przed siebie i w cieniu domu z naprzeciwka ujrzała wysoką ciemną postać idącą w jej stronę. Z łatwością rozpoznała Piotra de Brezego, który stanął na środku ulicy,

spoglądając na wdzięczny obraz kobiety rysujący się w otwartym oknie. Katarzyna usłyszała, jak cicho wymawia jej imię...

Wzruszenie nie pozwalało jej mówić, a serce zaczęło bić szybciej. Poczowała, że czerwienieje po czubek głowy jak jakaś młódka, gdyż de Breze w cztery sylaby jej imienia włożył więcej uczucia niż w poemat. Nagle zapragnęła wyciągnąć ku niemu rękę...

W tej chwili promień księżyca oświetlił szczyt dachu, ześlizgnął się po dachówkach aż na ulicę i rzucił jasny blask na nieruchomą sylwetkę młodzieńca, po czym padł na otwarte okno i wsunął się do pokoju. Katarzyna odruchowo cofnęła się za framugę. Zauważyła, że młody człowiek posłał jej czubkami palców pocałunek.

Teraz było zbyt niebezpiecznie stać w oknie mimo silnej pokusy. Miała ochotę spojrzeć jeszcze raz w tę twarz, którą uczucie czyniło tak wzruszającą... Wychyliła się znowu, lecz na ulicy nie było już nikogo... Piotr zniknął. Powoli zamknęła okno i opuściła żaluzje, zapaliła świecę i z westchnieniem zawodu ujęła w dłoń bukiet róż leżący na stole. Zamknawszy oczy, jęła wdychać upajający zapach kwiatów. Ciepły głos Piotra wibrował ciągle w jej uszach...

Stała tak z twarzą ukrytą w świeżych pąkach pokrytych kroplami rosy, kiedy nagle dobiegł ją drwiący głos Sary, którą musiało obudzić światło księżyca.

- Co za dziwna oberża! Nie zauważyłam, żeby za murami rosły kwiaty!

Katarzyna, wyrwana brutalnie ze słodkiego zamyślenia, posłała jej poirytowane spojrzenie, lecz po chwili zaczęła się śmiać. Sara siedziała wyprostowana na posłaniu.

- Jakie piękne kwiaty! - rzuciła. - Dałabym głowę, że zostały zerwane w przyzamkowym ogrodzie i że przyniósł je tutaj pewien młodzian!

- Nie dawaj głowy. Ale... Masz rację... Piotr je tu wrzucił.

Sara przestała się uśmiechać, a na jej twarzy pojawił się cień smutku.

- To już mówisz mu po imieniu?

Katarzyna poczerwieniała i odwróciła się, żeby ukryć zmieszanie. W milczeniu zaczęła się rozbierać, lecz Sara postanowiła nie dać za wygraną.

- Powiedz prawdę, Katarzyno. Co czujesz do tego przystojnego rycerza o płowych włosach?

- A co mam ci odpowiedzieć? - powiedziała młoda kobieta ze zniecierpliwieniem. - Jest piękny, młody, uratował mi życie i kocha mnie... Uważam, że jest czarujący, to wszystko!

- To wszystko? - powtórzyła jak echo Cyganka. - To dużo!
Posłuchaj, moja droga. Ja wiem najlepiej, ile wycierpiałaś i że nadal cierpisz z powodu samotności, lecz...

Sara zawahała się, nie mogąc się zdecydować, czy wypowiedzieć to, co miała na końcu języka.

- Lecz?

- Strzeż się miłości. Wiem, że ten młody człowiek posiada wszelkie atuty, by zauroczyć kobietę, jestem też pewna, że jego uczucie jest szczere i że dobrze jest czuć się kochaną i samej kochać. Ale ja cię znam i wiem, że nie byłabyś długo szczęśliwa z innym człowiekiem, gdyż ten, którego nazwisko nosisz, zbyt głęboko zapadł ci w serce, abyś mogła o nim zapomnieć.

- A kto tu mówi o zapominaniu? - wyszeptała Katarzyna. - Jak mogłabym zapomnieć o Arnoldzie, ja, która żyję tylko dla niego?

- Jeśli pozwolisz, aby inny mężczyzna przekonał cię, że powinnaś oddać życie dla niego. Znam cię zbyt dobrze; jeśli mu ulegniesz, to wcześniej czy później stara miłość upomni się o swoje prawa, obraz Arnolda zniszczy tego drugiego, a ty staniesz się jeszcze bardziej sama i zrozpaczona, a na dodatek będą cię zżerać wyrzuty sumienia, że zdradziłaś... i będziesz się wstydzić samej siebie.

Katarzyna zdawała się nieobecna, stojąc nieruchomo w długiej białej koszuli. Po chwili wyszeptała z wyrzutem w głosie:

- A przecież po tamtej nocy z Ferem sama radziłaś mi, żeby oddawać się przyjemnościom bez skrupułów! Czy dlatego, że chodziło o człowieka z twego plemienia?

Sara pobladła. Zapadła głęboka, pełna napięcia cisza. Po chwili Cyganka wstała z posłania i podeszła do Katarzyny.

- Nie, nie dlatego, że był jednym z moich. To dlatego, że byłam święcie przekonana, iż Fero nigdy nie zagrozi twemu sercu. A młodość domaga się przyjemności. Rozkosz uwalnia zmysły, czyni ciało lekkim, rozgrzewa krew w żyłach... Podczas gdy miłość czyni z człowieka niewolnika i często jest niszczycielska... Gdybym wiedziała, że twoje serce nie ucierpi, sama pchnęłabym cię w ramiona tego rycerza. Kilka nocy rozkoszy dobrze by ci zrobiło, lecz ty nie należysz do tych, które oddają się na zimno. A czy wiesz, jak cierpiałby przez ciebie pustelnik z Calves, twój mąż? On musi czuć, że należysz tylko do niego, aby znieść swoje męczarnie. Wszyscy sądzą, że jesteś wdową, a twoje szaty są mylące także dla ciebie samej. Przed światem, przed Kościołem, a nawet w obliczu prawa jesteś wdową, gdyż za Arnoldem zamknęły się bramy przytułku dla trędowatych i został skreślony z listy żywych. Ale on żyje, Katarzyno, a

najmocniej żyje w twoim sercu. Jeśli wypędzisz go z serca... wtedy umrze naprawdę... A ty będziesz wiedziała, że to nieprawda.

W miarę jak Sara mówiła, Katarzyna pochylała swą ostrzyżoną głowę, aż całkiem zniknęła w ramionach przyjaciółki. Echo słów Sary zapadło ciężko w jej duszę, rozdzierając niezabliźnioną ranę.

- Jesteś okrutna, Saro... - wyszeptała z boleścią. - Ja przecież tylko wahałam kwiaty...

- Nie, nie, sama wiesz, że to nieprawda. Zawsze byłaś wobec mnie i innych szczerą. Bądź szczerą i tym razem. Twoja wdzięczność dla tego rycerza prowadzi cię na niebezpieczną drogę, którą nie powinnaś iść. Twoja prawdziwa droga prowadzi do wzgórz Owernii, do Michała i do Montsalvych!

Delikatnie przyciągnęła Katarzynę do siebie i pogłaskała ją po mokrym policzku.

- Nie miej żalu do swojej starej Sary, duszko. Wiesz, że oddałabym życie i swoją część raju, abyś mogła być szczęśliwa. Wiesz, że kocham cię jak własne dziecko. Jednak - dodała drżącym głosem - wiesz także, że oddałam kawałek serca temu dumnemu Arnoldowi, którego widziałam pewnej nocy płaczącego jak dziecko nad swoim zmarnowanym życiem, nad swoją potępioną miłością... Pamiętasz?

- Przestań! Przestań mnie dręczyć! - powiedziała Katarzyna, wybuchając szlochem. - Wiesz dobrze, że żaden mężczyzna nigdy mi go nie zastąpi, że nigdy nie pokocham innego tak, jak jego kochałam... jak ciągle go kocham.

Jej słowa były szczerze. Pomimo to... nie potrafiła zatrzeć w swej pamięci brzmienia tamtego głosu, spojrzenia tamtych błękitnych oczu...

Na wieży wielki dzwon Marie Javelle wydzwonił północ. Sara delikatnie, lecz zdecydowanie poprowadziła Katarzynę do łóżka. Samotny bukiet róż został na stole...

* * *

Rozterki sercowe nie były jednak w tej chwili najważniejsze i następnego wieczoru Katarzyna już o nich nie myślała, gdyż zbliżała się pora działania. Pod koniec dnia oberżysta przyszedł na górę i z wielkim szacunkiem, lecz bez niepotrzebnych słów oznajmił Katarzynie, że przyjdzie po nią, gdy wybije północ.

- Dokąd pójdziemy? - zapytała.

- Niedaleko stąd, szlachetna pani. A dokładnie, w głąb dziedzińca, ale proszę, abyś czyniła możliwie jak najmniej hałasu. Nie wszyscy mieszkańcy tej oberży nam sprzyjają...

- Wiem. Chciałabym jednak spytać, czy wszyscy, na których czekasz, już przybyli?

- Wszyscy, pani. Panowie de Lore i de Coetivy grają w szachy od wczoraj rana, a pan de Bueil właśnie przybył do miasta, ale udał się do zamku...

- A to dlaczego?

- Jest bratankiem wielkiego szambelana i chociaż służy królowej Jolancie, jeszcze go tam przyjmują. Nie zapomnij, szlachetna pani, o północy!...

Reszta dnia minęła Katarzynie bardzo szybko. Wkrótce okaże się, jaki czeka ją los. Jeśli spisek się uda, to młody Karol Andegaweński może zastąpić pana La Tremoille'a u boku króla. Byłby to powrót do łask, prawo do życia z odsłoniętą twarzą. Ale jeśli spisek się nie powiedzie... czeka wszystkich śmierć, niezależnie od płci i rangi.

Gdy rozległ się sygnał na gaszenie świateł, Katarzyna znowu podeszła do okna, ale go nie otworzyła. Wiedziała, że Piotr de Breze nie pojawi się tej nocy pod jej oknem. Zobaczy go dopiero później. Zresztą była zbyt zdenerwowana, aby się tym martwić.

* * *

Wybiła północ, kiedy ciche skrobanie do drzwi postawiło ją na nogi. Otworzywszy, zobaczyła na progu ciemną postać. Cały dom tonął w mroku, ogień w kuchni został przysypany popiołem, jak każdego wieczoru, ale rzucający mleczną poświatę księżyc oświetlał na dziedzińcu drewniane filary galerii i postać oberżysty, który ze względu na okoliczności zamienił biały strój na kaftan z ciemnej wełny. Wszędzie panowała cisza.

Gospodarz bez słowa ujął Katarzynę za rękę i wyprowadził ją na dziedziniec. Szli wzdłuż zabudowań, unikając światła księżyca, aż do skały, na której wznosiła się twierdza. Gdzieś tam pojawiały się kępki roślinności i wszędzie widać było ciemne groty.

- Tutaj dawno temu mieszkali jaskiniowcy - szepnął oberżysta, widząc, że Katarzyna zatrzymała się na chwilę, aby na nie popatrzeć. - Niektóre z nich są jeszcze zamieszkane, inne, jak na przykład moja, służą jako piwnice lub schronienie.

To mówiąc, popchnął okrągłe wrota wykonane z wielkich, niedbale ociosanych drewnianych pali, które zamykały wejście do groty. Przekroczywszy próg, oberżysta wziął ze skalnego wgłębienia lampę oliwną i zapalił ją. Oczom Katarzyny ukazała się wielka piwnica wykuta w skale kredowej, pełna różnej wielkości beczek. Wydobywał się z nich silny zapach wina. W rogu na stole leżały narzędzia bednarskie, w stojącej obok kadzi moczyły się puste butelki. Całość wyglądała tak zwyczajnie, że

Katarzyna spojrzała na gospodarza ze zdziwieniem. Czyż tak miało wyglądać miejsce konspiracji?

Za całą odpowiedź imć Baranek uśmiechnął się, poszedł w głąb piwnicy i przesunął beczkę, która nie wydawała się wiele ważyć, odsłaniając podłużny otwór.

- Przejdź tędy, szlachetna pani - powiedział oberżysta. - Ja przesunę beczkę na swoje miejsce. To wejście musi być ukryte. Znajdujemy się pod środkowym zamkiem. Nad naszymi głowami śpi król.

Katarzyna weszła bez wahania do małego, oświetlonego pochodnią korytarza, na którego końcu znajdowało się inne pomieszczenie. Korytarzyk mierzył zaledwie kilka kroków. Po ich przejściu Katarzyna i jej przewodnik znaleźli się u wejścia do olbrzymiej groty, gdzie wznosiły się i ginęły w cieniu sklepień schody wykute w kredowej skale. Tu także było kilka beczek, ale przewróconych, a na nich siedziało czterech mężczyzn.

Nie odzywali się ani słowem. Nieruchomi niczym posągi, wydawali się na coś czekać, skupieni wokół lampy. Wszyscy odwrócili się na widok przybywających.

Poza Piotrem de Brezem Katarzyna rozpoznała rude włosy i smutną twarz Ambrożego de Lore'a, elegancką i szczupłą sylwetkę Jana de Bueila, barczystego, o stanowczym wyrazie twarzy Bretończyka, Pregenta de Coetivy'ego, a kiedy powstali, ukloniła się im uprzejmie. Piotr ujął ją za rękę i podprowadził bliżej mężczyzn. Przywitał ją Jan de Bueil, poleciwszy uprzednio oberżystę, aby czuwał na zewnątrz.

- Jesteśmy szczęśliwi, pani, że cię widzimy, i jeszcze bardziej szczęśliwi, iż możemy ci pogratulować. Obecność pana de La Tremoille'a w Chinon stanowi oczywisty dowód pani sukcesu. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni...

- Nie dziękuj mi, panie de Bueil. Zrobiłam to dla was, to pewne, i dla dobra królestwa, ale również dla siebie samej oraz po to, by pomścić mego ukochanego małżonka. Pomóżcie mi w tej zemście, a będziemy kwita.

To mówiąc, wysunęła delikatnie dłoń z ręki Piotra i podchodząc do pozostałych mężczyzn, dodała:

- Wiercie, że idzie tu o honor... i o życie Montsalvych, panowie. Aby nazwisko, które noszę, mogło nadal istnieć, La Tremoille musi umrzeć!

- Stanie się podług pani życzenia - uciał krótko Coetivy. - Ale, do czarta, jak ci się udało sprowadzić tutaj tego wieprza? Wiem, że trudno jest odmówić czegoś kobiecie tak pięknej jak ty, ale widzę, że dysponujesz silniejszą bronią, niż sądziliśmy.

W lekko schlebiającym tonie, jakim przemówił bretoński szlachcic, dało się wyczuć wiele niedomówień. Katarzyna nie dała się na to nabrać. Ucięła sucho:

- Rzeczywiście, nie uważam siebie za całkiem głupią, panie, ale nie posłużyłam się bronią, do jakiej czynisz aluzje... lecz po prostu przypomniałam sobie historię, którą opowiedział mi niegdyś mój małżonek Arnold de Montsalvy.

Nazwisko nieszczęśnika wywołało odpowiedni skutek. Coetivy zaczerwienił się zawstydzony swoimi myślami i bez wykrętów powiedział:

- Wybacz mi, pani. Nie zasługujesz na takie aluzje.

Uśmiechnęła się do niego, nie odpowiadając, a następnie usiadła na beczce, którą jej podsunęto, i powtórzyła swoją ostatnią rozmowę z panem de La Tremoille'em. Słuchali z wypiekami na twarzach, jak dzieci, którym opowiada się niezwykłą historię. Słowo „skarb” wywołało jak zwykle wielkie wrażenie. Przywodziło na myśl pełne tajemniczości cienie

templariuszy, ich niepokojące i fantastyczne sylwetki i nieodłączne z nimi kolory i tajemnice Wschodu. Katarzyna spostrzegła z lekkim rozbawieniem, jak ich rozmarzone oczy błyszczą coraz silniej...

- Chciałbym się dowiedzieć, czy te napisy istnieją naprawdę - rzucił w końcu Ambroży de Lore.

- Mój małżonek widział je, panie - powiedziała łagodnie Katarzyna.

W tej chwili spod kredowego sklepienia doszedł do uszu zebranych donośny głos:

- Ja również je widziałem, ale, do czarta, chciałbym wiedzieć, co oznaczają!

Na schodach ginących w czeluściach grotty ukazało się dwóch mężczyzn w zbroi. Ten, który szedł pierwszy, z odkrytą głową, był człowiekiem już starszym, lecz dobrze zbudowanym. Katarzyna rozpoznała siwe włosy, wielką twarz i grube rysy oraz inkwizytorskie spojrzenie Raoula de Gaucourta, obecnie namiestnika Chinon, którego poznała jako gubernatora Orleanu. Już prawie od sześćdziesięciu lat Gaucourt zawsze walczył z Anglikami, którzy po oblężeniu Harfleur, mężnie bronionego przez niego w roku 1415, wzięli go przez dziesięć lat. Był to Berryjczyk powolny i ciężki jak woły z jego pól, uparty i waleczny, lecz niepozbawiony bystrości. Wierny królowi aż do zaślepienia, prostolinijny. Początkowo Joanna d'Arc wzbudzała w nim nieufność i walczył przeciw niej, ale miał zbyt wiele wrodzonej uczciwości, aby nie przyznać się do pomyłki. Jego obecność tej nocy w piwnicy imię Baranka była tego najlepszym dowodem.

Człowiek idący za nim był o wiele młodszy i chudszy. Jego fizjonomia nie wyróżniała się niczym szczególnym i mógłby przejść niepostrzeżenie, gdyby nie zacięte spojrzenie szarych oczu. Był to

przyboczny namiestnika. Nazywał się Olivier Fretard. Idąc trzy kroki za swoim panem, niósł pod pachą jego hełm i nie patrzył na zgromadzonych. Katarzyna miała jednak wrażenie, że bacznie ich obserwuje.

Raoul de Gaucourt gestem pozdrowił zebranych i stanął przed Katarzyną. Po jego kamiennej twarzy przesunął się cień uśmiechu.

- Z większą przyjemnością witam cię w Chinon, pani de Montsalvy, niż witałem cię w Orleanie jako panią de Brazey - rzekł bez wstępu. - Do licha, nigdy bym nie pomyślał, że to z miłości do Montsalvy'ego wpakowałaś się w to gniazdo os! A twój szlachetny mążzonek robił wszystko, żeby cię powieszono.

Katarzyna mimo woli zaczerwieniła się. To była prawda. Bez interwencji Dziewicy, która uratowała ją w drodze na szafot, niechybnie skończyłaby na szubienicy z wyroku sądu, któremu przewodniczyli Gaucourt i Arnold. Zaślepiiony nienawiścią Arnold marzył tylko o tym, aby się jej pozbyć... Ale te straszne wspomnienia nie pozostawiły żadnej goryczy... To, co pozostało, to była... tak, to była odrobina żalu...

Bez zmrużenia oka wytrzymała spojrzenie starego namiestnika.

- Czy uwierzysz mi, panie, kiedy powiem, że żal mi tamtych czasów? Ten, który został moim ukochanym mążzonekiem, żył i był w pełni sił, nawet jeśli używał ich przeciw mnie. Jakże mogłabym tego nie żałować?

Spojrzenie, jakim zmierzył ją Gaucourt, złagodniało. Nagle pochwycił jej dłoń, uniósł do ust, ucałował i puścił gwałtownie.

- No, no - mruknął. - Jesteś go, pani, godna. I wykonałaś dobrą robotę, ale koniec z uprzejmościami. Teraz, panowie, musimy omówić naszą akcję. Nie ma wiele czasu. La Tremoille nie lubi tego zamku i nie

pozostanie w nim długo. Jeśli się zgodzicie, jutro w nocy przystąpimy do działania.

- Czy nie musimy czekać na rozkazy konetabla? - zaproponował Breze.

- Rozkazy? Jakie rozkazy? - mruknął Gaucourt. - Mamy robotę do wykonania i trzeba zrobić to szybko. No, a gdzie się podział imć Baranek? Chyba znajdzie się jeszcze trochę wina w jego piwnicy. Umieram z pragnienia.

- Jest na zewnątrz na czatach - powiedział Jan de Bueil.

Ledwo co skończył zdanie, gdy pojawił się imć Baranek we własnej osobie z lampą oliwną w ręce, prowadząc dwóch zdrożonych ludzi.

Na ich widok z ust Katarzyny wyrwał się okrzyk radości, gdyż w jednym rozpoznała Tristana Eremitę. Powitał ich Pregent de Coetivy.

- Ach! Eremita! Rosnivinen! Czekaliśmy na was. Sądzę, że przynosicie rozkazy od konetabla?

- Rzeczywiście - odpowiedział Tristan. - Oto pan Jan de Rosnivinen, który będzie go reprezentował przy realizacji zadania. Ponieważ, rzecz jasna, nie ma mowy, aby przybył osobiście. Wicie wszyscy, w jakiej jest zażyłości z królem. Nie wolno, aby nasz pan sądził, że to zemsta, musi myśleć, że to działanie w imię dobra publicznego.

Mówiąc to, podszedł do Katarzyny i skłonił się z szacunkiem.

- Pan konetabl zobowiązał mnie, pani, do ucałowania w jego imieniu tej pięknej dłoni. Jest ci głęboko wdzięczny i ma nadzieję, że zechcesz w przyszłości zaliczyć go do grona swoich najbardziej oddanych sług.

Ta krótka przemowa miała nadzwyczajny skutek. Katarzyna poczuła natychmiast, że zmienia się wokół niej atmosfera. Do tej pory, pomimo miłych słów, nie czuła się swobodnie pośród tych mężczyzn. Odnosiła wrażenie, że okazywali jej szacunek ze względu na Arnolda. Jej zacho-

wanie musiało się wydawać tym mężczyznom zbyt dziwne, zbyt dalekie od panujących zwyczajów. Myśleli bez wątpienia, że powinna komuś zlecić wykonanie zemsty i czekać, oddając się modlitwom i medytacjom w klasztorze. Ale ona była gotowa grać do końca rolę, jaką sobie wyznaczyła. Cóż znaczyły dla niej ludzkie sądy?

Nie mówiąc słowa, Raoul de Gaucourt usadowił Katarzynę i sam usiadł obok.

- Siadajcie, panowie, musimy się w końcu dogadać. Czas ku temu najwyższy. Oberżysto, przynieście nam coś do picia i znikajcie.

Oberżysta w pośpiechu ustawił dzbany na desce pomiędzy dwiema beczkami. W czasie gdy to robił, w grocie panowała cisza. Dopiero kiedy wyszedł, Gaucourt przesunął wzrokiem po wszystkich zebranych.

- Wiecie już wszystko, co najważniejsze. La Tremoille mieszka w wieży Coudray pilnowanej przez piętnastu kuszników. Znaczy to, że beze mnie nie będziecie mogli nawet się tam zbliżyć. Pod moimi bezpośrednimi rozkazami mam trzydziestu ludzi, którzy stanowią stały garnizon w zamku. Z królem przybyło około trzystu zbrojnych, Francuzów i Szkotów. Wszyscy są, oczywiście, pod rozkazami szambelana. Pierwsze pytanie, czy macie żołnierzy?

- Ja mam pięćdziesięciu ludzi rozmieszczonych w lesie - odpowiedział Jan de Bueil.

- To wystarczy - ocenił Gaucourt. - Wykorzystamy działanie przez zaskoczenie i to, że zamek jest duży, co zmusza do rozproszenia oddziałów między fortem Świętego Jerzego a wieżą Coudray, oraz to, że ja stanę na czele, ja, namiestnik. Ponadto furta, którą otworzę wam jutro o północy, jeśli oczywiście dojdziemy do porozumienia, znajduje się między wieżą

Młyńską i wieżą Wieloboczną, gdzie mieszka największa podpora pana de La Tremoille'a, inaczej mówiąc, marszałek de Rais...

Na wspomnienie Gilles'a Katarzyna zadrżała i zbladła. Musiała zacisnąć zęby, zagryźć wargi, aby opanować strach, jaki to nazwisko w niej wywoływało. Z radości, że zmierza do celu, zapomniała o okrutnym sinobrodym rycerzu... Ale Jan de Bueil odpowiedział:

- Ja również mieszkam w wieży Wielobocznej, wprowadzę ludzi do zamku, a później powrócę do wieży wraz z Ambrożym de Lore'em. We dwóch unieruchomimy Gilles'a de Rais'go. Nie będzie mógł ujść z komnaty.

Zostało to powiedziane z takim spokojem, że strach Katarzyny zmalał. Dla tych rycerzy Gilles de Rais nie był wcale straszny.

Namiestnik przytaknął z aprobatą.

- Bardzo dobrze, zajmiecie się więc de Rais'em. Ja i Olivier Fretard, mój przyboczny tutaj obecny, będziemy starali się osłabić strażę najbardziej, jak to możliwe, i odepchnąć je od wieży Coudray.

Pięćdziesięciu ludzi de Bueila, prowadzonych przez panów Brezego, Coetivy'ego wraz z Rosnivinenem i Eremitą, zaatakuje wielkiego szambelana, który mieszka sam w baszcie.

- Gdzie mieszka król? - zapytała Katarzyna.

- W zamku środkowym, w apartamencie znajdującym się za Wielką Salą. Królowa poprosi go, aby spędził z nią noc, czego on nigdy nie odmawia, bo na swój sposób kocha żonę za słodycz i spokój, jaki znajduje u jej boku. Królowa zrobi wszystko, aby go uspokoić w przypadku alarmu... Najtrudniej będzie zbliżyć się do zamku. Noce są jasne i strażę czuwające na wałach mogą wszcząć alarm... W takim przypadku wszystko byłoby stracone.

- Dopilnujcie więc, panowie, aby wasi ludzie nie mieli żadnej zbroi, żadnego stalowego odzienia, gdyż hałas byłby niebezpieczny. Tylko skóra i wełna.

- Jaka broń? - zapytał krótko Jan de Bueil.

- Sztylety i miecze dla szlachty, topory i sztylety dla żołnierzy. A więc postanowiono: o północy otwieramy furtę. Wchodzicie. Następnie Bueil i Lore kierują się do wieży

Boisy, a w tym czasie inni zajmują się basztą. Coetivy i Tristan Eremita wraz z dziesiątką ludzi otoczą ją, podczas gdy Breze i Rosnivinen udadzą się na piętro, aby wykonać egzekucję na panu de La Tremoille'u.

Spiskowcy potwierdzili wszystko ruchem głowy. Wtedy dał się słyszeć głos Katarzyny:

- A ja?

W miarę jak Gaucourt mówił, czuła w sercu rosnące oburzenie, gdyż nie przydzielono jej żadnego zadania. Nie mogła już dłużej milczeć. Zrobiło się cicho. Wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę i we wszystkich wyczytała potępienie, nawet w oczach Piotra de Brezego. Ale to znowu Gaucourt wyraził opinię wszystkich.

- Pani - powiedział grzecznie, lecz stanowczo - prosiliśmy cię tutaj tej nocy, aby ci powiedzieć, co uczynimy. To było oczywiste, jesteśmy ci to winni. Ale to, co jest do zrobienia, dotyczy tylko mężczyzn. Zasłużyłaś sobie na naszą wielką wdzięczność, to pewne, ale...

- Chwileczkę, panie namiestniku - ucięła Katarzyna, wstając gwałtownie. - Nie przyjechałam do Chinon wyłącznie po to, aby wysłuchać komplementów, miłych słówek, a następnie położyć się wygodnie w łóżu i czekać, aż zaatakujecie zwierzynę. Chcę brać w tym udział!

- To nie jest miejsce dla kobiety! - wykrzyknął Lore. - W walce nie ma miejsca dla spódnic!

- Zapomnijcie, że jestem kobietą. Patrzcie na mnie jak na przedstawiciela Arnolda de Montsalvy'ego.

- Żołnierzy zdziwi twoja, pani, obecność.

- Włożę męski strój. Ale jeszcze raz mówię, panowie, muszę tam być. To jest moje prawo. Będę go dochodzić.

Zrobiło się cicho. Katarzyna zobaczyła, że wszyscy porozumiewają się wzrokiem. Nawet Breze był nieprzychylny jej prośbie, wyczytała to w jego wzroku. Jedynie Tristan ośmielił się stanąć po jej stronie.

- Nie możecie jej tego odmówić - powiedział z powagą w głosie. - Zgodziliście się, żeby narażała się na niebezpieczeństwa, aby umożliwić wam ten atak, a teraz ją odtrącacie? Byłoby niesprawiedliwe pozbawić ją zwycięstwa.

Nie odpowiadając, Raoul de Gaucourt skierował się ku schodom wykutym w skale, postawił nogę na pierwszym stopniu i dopiero wówczas się odwrócił.

- Masz rację, Tristanie. To byłoby niesprawiedliwe. Do jutra. O północy.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie ośmielił się zaprotestować. Ignorując Piotra de Brezego, który ofiarował jej ramię, chcąc odprowadzić ją do oberży, Katarzyna ujęła pod rękę Tristana.

- Chodź, przyjacielu. Najwyższy czas, abyś odpoczął - powiedziała łagodnie, kierując się ku wyjściu z grotty.

Nawet nie spojrzała na Piotra. Nie stanął przecież po jej stronie. Miała mu za złe tę zdradę.

Kiedy weszła do izby, Sara podniosła się na łokciu i popatrzyła na nią.

- No więc? - spytała.

- Jutro o północy.

- W samą porę. W końcu nadejdzie kres tej szalonej przygody.

Zadowolona z takiego obrotu sprawy Sara odwróciła się na drugi bok i zasnęła.

* * *

Czerwcową noc była jasna i wilgotna.

Katarzynie - ubranej w ciemny, płócienny, ciasno zasnurowany kaftan - było bardzo gorąco, kiedy udawała się wraz z innymi w kierunku zamku. Obok niej, ramię w ramię, maszerowali Bueil, Lore, Coetivy, Breze i Rosnivinen. Z tyłu Tristan wraz ze zbrojnymi zamykali pochód.

Oddział pięćdziesięciu ludzi przemieszczał się, nie czyniąc większego hałasu niż armia złożona z widm. Rozkazy Jana de Bueila były stanowcze i jasne: żadnej zbroi, gdyż stal czyniłaby hałas. Mężczyźni mieli na sobie skóry bawole i za pasem zatknięte sztylety i topory. Nic nie dało się wyczytać na skupionych twarzach. Milczący i zdyscyplinowani jak dobrze naoliwione maszyny wojenne, posuwali się w kierunku przybliżających się z każdą chwilą murów. Wkrótce skryli się w cieniu wieży Wielobocznej.

Katarzyna pomyślała, że ta piękna i jasna noc stanowi dziwną oprawę dla zbrodni. Wolałaby, aby niebo było czarne i mgliste, ale mimo wszystko przepelniała ją radosna duma. To ona spowodowała ten wymarsz mężczyzn. Jeśli byli tutaj, aby wziąć udział w tym polowaniu na szakala, w którym każdy ryzykował głową, to dlatego, że ona gorąco tego pragnęła.

Za parę chwil zwycięży lub przegra, bez możliwości odwrotu. Opuszczając oberżę, udzieliła Sarze ostatnich instrukcji i pożegnała się z nią.

- Jeśli nie wrócę, udasz się do Montsalvy i pojedziesz do mego małżonka powiedzieć, że umarłam dla niego. Potem będziesz się opiekować Michałem.

- Nic z tego - powiedziała spokojnie Sara. - Ty powrócisz.

- Skąd wiesz?

- Twoja godzina jeszcze nie nadeszła. Czuję to.

W miarę jak zbliżali się do zamku, Katarzyna zaczęła myśleć, że Sara mogła się tym razem pomylić.

Oddział, który wcześniej wydał się jej potężny, zdawał się maleć, w miarę jak rosły mury z błyszczącymi hurdycjami pokrytymi szarym łupkiem. Westchnęła ciężko i natychmiast ręka Piotra de Brezego chwyciła jej dłoń. Ale wyrwała ją gwałtownie... Nie była to odpowiednia pora na czułości; w tej chwili chciała być dla otaczających ją mężczyzn tylko i wyłącznie towarzyszem broni.

- Katarzyno - rzekł z wyrzutem młodzieniec - czemu stronisz ode mnie?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Wtrącił się Coetivy.

- Cisza! - rozkazał. - Zbliżamy się. Rzeczywiście, byli już na szczycie wzgórza u stóp murów, na których można było dostrzec strażę. Żadne światło nie paliło się w zamku. W królewskich apartamentach król bez wątpienia spał w szerokim łóżu u boku królowej Marii, lecz ta z pewnością miała oczy szeroko otwarte. Obiecała czuwać, aby uspokoić małżonka w razie alarmu. A poza tym, jakże mogłaby zasnąć, wiedząc, co się stanie?

Na rozkaz de Bueila oddział przywarł do muru i stał się niewidoczny dla straży, podczas gdy młody kapitan zmierzał w kierunku ukrytej furty. Katarzyna wstrzymała oddech. U swych stóp widziała strome dachy miasta, połyskujące w świetle księżyca, ściśnięte pasem kamiennych murów, i błyszczącą wstęgę rzeki. Głęboki dźwięk dzwonu Marie Javelle oznajmiający północ wywołał u niej drzenie. Za tą zamkniętą bramą czekali już zapewne Gaucourt i Fretard.

- Otwierają! - szepnął jakiś głos.

Rzeczywiście, w otworze pojawiło się rozedrgane, żółte światelko. Otwierający trzymał lampę. Katarzyna dostrzegła dwie postaci odziane w stal. Byli to namiestnik i jego przyboczny, którzy nie musieli się ukrywać i mogli nosić zbroje. Jeden po drugim spiskowcy wślizgnęli się przez furkę podtrzymywaną przez Fretarda. Katarzyna szła za Piotrem de Brezem, który nerwowym ruchem chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Zagniewana, wyrwała mu się. Znajdowała się na dziedzińcu Coudray, z drugiej strony wieży Młyńskiej, najbardziej wysuniętej na wschód z całego zespołu obronnego. Parę sążni przed nią stała olbrzymia okrągła wieża, w której spał jej wróg.

Nadszedł upragniony moment!

Gaucourt, trzymając w górze latarnię, przyglądał się uważnie wszystkim mijającym go ludziom i liczył ich. Po przejściu ostatniego żołnierza furta zamknęła się równie cicho, jak została otwarta, a namiestnik stanął na czele grupy. Wskazał uśpioną basztę. Ponad głową Katarzyna słyszała wolny, rytmiczny krok strażników na murach. Żaden nie przystanął. Operacja odbywała się w głębokiej ciszy. Bueil i Lore skierowali się ku wieży, podczas gdy Coetivy i Tristan na czele grupy zbrojnych zniknęli cicho w cieniu baszty. Przekraczając bramę wieży

Coudray, Katarzyna musiała kilka razy głęboko odetchnąć, gdyż bijące serce wstrzymywało oddech. Instynktownie chwyciła za sztylet wetknięty za pas, zacisnęła lewą rękę na jego rękojeści.

W słabym świetle lampek oliwnych spiskowcy wślizgiwali się teraz w ciszy, niczym długi, czarny wąż, na piętro, gdzie mieszkał wielki szambelan.

Strażnicy, rozpoznawszy namiestnika, nie reagowali. Zostali unieszkodliwieni, zanim nawet zdążyli otworzyć usta. Wszędzie było cicho. Otworzywszy drzwi gwałtownym ruchem, spiskowcy wtargnęli do olbrzymiej komnaty, gdzie spał La Tremoille. Jego potężny oddech poruszał aksamitne zasłony łoża. Paliała się tylko jedna złota lampka i w cieniu zasłon można było dostrzec zwalistą masę jego ciała ułożonego na boku.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Czterech mężczyzn rzuciło się w kierunku La Tremoille'a. Obudził się, lecz nie był w stanie się podnieść, więc zaczął krzyczeć. Rękojeść szabli uderzyła go w głowę, raniąc skroń, która zaczęła krwawić.

- Zabić go! - krzyknęła Katarzyna, tak upojona zemstą, że nie poznawała samej siebie.

Wydobywając sztylet zza pasa, rzuciła się do przodu, ale jakiś człowiek, w którym rozpoznała Jana de Rosnivinena, wyrwał go z jej ręki.

- To nie jest robota dla kobiet! - krzyknął Bretończyk, rzucając się do przodu. - Daj mi sztylet.

Ze wszystkich sił wbił go w brzuch szambelana, który zawył z bólu. Uderzyli i inni, ale nikt nie zdołał uciszyć grubasa, który był jak zarzynany w rzeźni wieprz.

Krzyki obudziły ludzi w zamku, narastał niebezpieczny hałas. Jeszcze chwila, a wpadnie zwabiona krzykami straż.

- Jest zbyt tłusty - krzyknął Gaucourt z niesmakiem. - Sztylety nie mogą dosięgnąć serca. Zwiążcie go, zakneblujcie i zabierzcie. Musi opuścić zamek w ciągu pięciu minut.

- Po co go zabierać - sprzeciwiła się Katarzyna. - Powiesić go!

- Nie mamy czasu - powiedział namiestnik - ani dobrego sznura.

Przewieziemy go do Montresor do Bueila. Zostawiłem na zewnątrz konie na wszelki wypadek. Niech jakiś człowiek pójdzie uprzedzić Bueila, aby związał i zakneblował Gilles'a de Rais'go i dołączył do nas na dole.

W mgnieniu oka La Tremoille zmienił się w wielką, wystraszoną, jęczącą masę toczącą wystraszonymi, wychodzącymi z orbit oczami.

W tym momencie przybiegł pozostający na dole Olivier Fretard.

- Król się obudził. Pyta, co oznacza ten hałas. Przyśle swoje strażę.

- Szybko, zabierzcie go! - krzyknął Gaucourt. - Ja idę do króla.

W ciągu kilku chwil wszystko zostało załatwione na oczach zdziwionej Katarzyny, której krzyki La Tremoille'a mroziły krew w żyłach. Dziesięciu ludziom udało się unieść nieruchome i ociekające krwią cielsko. Stoczyli się raczej, niż zeszli ze schodów, przebiegli błyskawicznie przez dziedziniec i wybiegli przez furkę. Piotr de Breze chciał zabrać również Katarzynę, ale ta krwawa jatka oraz rozchodzący się mdły zapach krwi były ponad jej siły. O mało nie zemdlała przy wielkim łożu. Czyjeś silne ramię podtrzymało ją w momencie, kiedy miała upaść, i pomogło wyjść z komnaty.

Na dziedzińcu świeże, nocne powietrze ocuciło ją. Otworzyła oczy i popatrzyła na de Brezego, niczego nie rozumiejąc. Jednak pamięć

powróciła jej natychmiast i zręcznym ruchem wyślizgnęła się z trzymających ją ramion.

- Proszę mnie puścić! - krzyknęła. - Dziękuję ci, panie... Gdzie jest La Tremoille? Co z nim zrobiono?

Piotr wskazał gestem na oddział oddalający się ścieżką w stronę miasta.

- Popatrz, pani! Zabrali go do Montresor. Będzie osądzony.

Fala krwi napłynęła do twarzy Katarzyny.

- A jego żona? - zapytała z wściekłością. - Zostawicie ją tutaj w spokoju? Jest gorsza od niego i nienawidzę jej jeszcze bardziej.

- Nie można się do niej dostać... Jej apartament znajduje się w zamku środkowym, w pobliżu apartamentów króla. Teraz musimy jechać.

- Doprawdy? - krzyknęła Katarzyna z wściekłością. - Jedź, panie, jeśli chcesz. Ja zostaję. Nie spocznę, dopóki z nią nie skończę... Muszę uregulować rachunki.

Mówiąc to, zaczęła szukać sztyletu za pasem i zdziwiła się, że go tam nie ma. Później przypomniała sobie, że Rosnivinen wyrwał go jej, aby wbić aż po rękojeść w brzuch szambelana, skąd Bretończyk wyrwał go i odrzucił precz. Z pewnością został na posadzce komnaty.

- Muszę wracać - powiedziała. - Zgubiłam sztylet.

- Co tam sztylet, Katarzyno! Jesteś, pani, szalona. Straż cię złapie.

- I cóż z tego? Niech mnie łapią, jeśli chcą. W każdym razie nie mam ochoty się ukrywać. Z podniesioną głową i w biały dzień chcę prosić króla o naszą rehabilitację. Królowa Jolanta obiecała mi to. Jeśli mnie złapią, poinformuj ją o tym. Co do sztyletu, mój małżonek nie rozstawał się z nim nigdy. Zależy mi na nim i idę po niego.

Rzuciła się znowu w kierunku baszty, gdzie przy wejściu kłębiła się grupka zbrojnych, niezdecydowanych, co mają robić. Wbiegła między nich i została z pewnością pojmana, gdyby w tym momencie nie pojawił się powracający z apartamentów króla Raoul de Gaucourt. Breze zawołał go i w kilku słowach wyjaśnił, co się dzieje. Ten odsunął żołnierzy ruchem szpady.

- Zostawcie tę... tego chłopca - powiedział groźnie. - Znam go...
Wracajcie do kwater.

Żołnierze oddalili się posłusznie i wkrótce zniknęli. U stóp baszty zostali tylko Breze, Katarzyna i Gaucourt.

Twarz namiestnika, jeszcze pokryta krwią, była ponura i surowa. Piotr wnioskował z tego, że sprawy nie mają się najlepiej i zapytał:

- Co z królem? Czy on wie? Co robi? Gaucourt wzruszył ramionami i zaśmiał się sucho.

- Król? Zasnął. Królowa zapewniła go, że hałas, który go obudził, jest dla jego dobra i uwierzył, nie domagając się dodatkowych wyjaśnień, zapytał tylko, czy konetabl bierze w tym udział. Powiedziała mu, że nie, i to mu wystarczyło. Mamy czas do rana na przygotowanie wyjaśnień.
Zareagował dokładnie tak, jak na śmierć de Giaca.

- Dziwny król - szepnął Piotr. - Zapomina w ciągu minuty o tych, których wyniósł na wyżyny, o tych niezastąpionych faworytach.

Katarzyna nie miała czasu na filozofowanie. Uważała, że ma jeszcze coś do załatwienia i zostawiwszy mężczyzn, chciała wejść do wieży Coudray. Powstrzymał ją Gaucourt.

- Chwileczkę, dokąd idziesz, pani?

- Na górę, po sztylet mojego małżonka.

- Ja pójdę. Mam tam jeszcze coś do załatwienia - uciał krótko namiestnik.

- Więc idę z tobą, panie. Czegóż się mam obawiać. La Tremoille jest już w drodze do Montresor. Jeśli mnie zatrzymają, ty, panie, mnie uwolnisz.

- La Tremoille rzeczywiście został wywieziony, lecz jego żona pozostała. Obudził ją hałas. Wychodząc od króla, widziałem ją biegnącą korytarzem, na wpół rozebraną, jakby była szalona. Rzuciłem się w pościg, ale uciekła. Widziałem, jak przeszła mostkiem do baszty. Jest na górze.

- I chcesz mi przeszkodzić, panie, abym tam poszła. Nie licz na to, namiestniku. Musiałbyś mnie związać!

Wyrywając ramię, które Gaucourt nadal trzymał, rzuciła się w stronę wąskich, kamiennych schodów, przeskakując po cztery stopnie ze zręcznością kota. Nienawiść dodawała jej skrzydeł. Ciesząc się, że w końcu stawi czoło nieprzyjaciółce, zapomniała nawet, że nie jest uzbrojona. Słyszała jedynie pieśń zwycięstwa.

Zatrzymała się na progu komnaty, pozbawiona tchu i zaskoczona widokiem, jaki zobaczyła. Pani de La Tremoille, ubrana w koszulę odsłaniającą ramiona i piersi, grzebała w kufrze, wyciągając z niego klejnoty, które gromadziła w jedwabnej chuście położonej obok. Sądząc po strasznym bałaganie, jaki wszędzie panował i który nie był wynikiem ataku, musiała już myszkować w innych miejscach. Katarzyna uśmiechnęła się z pogardą. Ta kobieta nigdy się nie zmieni. Mogli zabić jej męża, a ona bardziej przejmowała się spadkiem niż jego losem...

Zajęta grabieżą, nie zauważyła wchodzącej. Katarzyna złapała sztylet leżący na posadzce kilka kroków od niej. Powstrzymała grymas obrzydzenia, gdyż cały był pokryty krwią.

Nagle drgnęła. Hrabina de La Tremoille znieruchomiała i zaczęła dyszeć, jakby zabrakło jej powietrza. Katarzyna zobaczyła, jak podnosi w ręce i kieruje w stronę palącej się nadal lampki jakiś przedmiot, który zabłysnął tysiącami ognii. Czarny diament!

Nigdy jeszcze Katarzyna nie widziała na żadnej ludzkiej twarzy podobnego wyrazu zachłanności. Oczy kobiety wyszły z orbit, miała suche wargi. To tego właśnie szukała. Drżała z podniecenia...

Lodowaty głos Katarzyny poderwał ją na równe nogi.

- Proszę mi to oddać - powiedziała chłodno. - Ten diament należy do mnie.

Hrabina zwróciła na nią ogłupiały wzrok, jej źrenice zwęziły się i powróciły do nich przebiegłość i okrucieństwo.

- Kim jesteś?

Katarzyna zaśmiała się szyderczo i podeszła na środek komnaty. Lampka oświetliła jej drobną sylwetkę odzianą w męski strój.

- Przypatrz mi się, pani! Przypatrz się dobrze. Czy nigdy mnie nie widziałas?

Przyciskając diament do piersi, hrabina zbliżyła się nieufnie, ze wzrokiem utkwionym w twarzy oprawionej, niczym klejnot, w czarną, drucianą siatkę. Zmylona bez wątpienia męskim strojem, potrząsnęła głową.

- Nazywano mnie Tchalai... - zaczęła Katarzyna.

Tamta zaśmiała się bezdźwięcznie i odwróciła na pięcie.

- To możliwe, twoja twarz tak niewiele dla mnie znaczyła. Miałas szczęście i uciekłaś, no to teraz wynocha! Mam tu jeszcze coś do zrobienia! Co zaś tyczy się tego diamentu...

Uśmiech zgasł na ustach Katarzyny. Chwyliła hrabinę i wykręcając jej łokieć, zmusiła do odwrócenia twarzy.

- Posłuchaj uważnie, przekłeta! Mówię, że ten diament należy do mnie, bo ty i ten wieprz, twój mąż, ukradliście mi go.

- Wynocha! - wrzasnęła hrabina z wściekłością. - Od kiedy to osoby twego pokroju mają takie diamenty?

- Nie jestem Cyganką. Udawałam, że nią jestem, aby zniszczyć ciebie i twojego męża. Przypatrz mi się lepiej. W niczym nie przypominam cór Egiptu... Mam jasne włosy i brwi.

- Więc kim jesteś? Powiedz i idź do diabła, to boli! Katarzyna przytknęła czubek sztyletu do białej szyi hrabiny.

- To ty pójdziesz do diabła, a pošlę cię tam ja, Katarzyna de Montsalvy!

- Montsalvy... - hrabina wyjąkała nazwisko, a w jej zielonych oczach pojawił się strach.

Ostrze sztyletu zraniło ją, pokazała się krew. Palce Katarzyny zacisnęły się nerwowo na przegubie dłoni kobiety, która jęknęła z bólu.

- Na kolana!!! - rozkazała Katarzyna. - Na kolana. I proś Boga o wybaczenie za zło, jakie czyniłaś, za mego torturowanego małżonka, za Joannę d'Arc, za splądrowane królestwo, za tyle niewinnych ofiar...

- Łaski! - zawyła hrabina. - Nie zabijaj mnie! To nie ja...

- Co więcej, jesteś tchórzem - powiedziała Katarzyna z niesmakiem.

- No, na kolana!

Wściekłość dała jej rękom nieoczekiwaną siłę. Powoli kolana hrabiny zaczęły się uginać. Szczękała zębami. Na nieszczęście głos Gaucourta dochodzący z tyłu odwrócił na chwilę uwagę Katarzyny.

- Nie możesz zabić tej kobiety, pani Katarzyno. Należy do nas.

Przeciwniczka skorzystała z chwilowej nieuwagi. Wyrwała się Katarzynie ze zręcznością żmii i chwyciła sztylet. Bezbronna Katarzyna znalazła się naprzeciw prawdziwej furii. Oczy kobiety płonęły, zęby szczękały.

- Tym razem mi nie umkniesz - wysyczała.

Z oczami wbitymi w przeciwniczkę, Katarzyna cofnęła się o krok. Przewidując, że mężczyźni rzucają się na hrabinę, zatrzymała ich jednym słowem.

- Stójcie! Cokolwiek myślicie, ona należy do mnie.

Katarzyna wyczuła za sobą trójnog, na którym stała lampka. Przed sobą widziała wykrzywioną twarz pani de La Tremoille, zbliżającej się z podniesionym sztyletem.

Sięgnęła ręką do tyłu, uchwyciła lampkę oliwną i z całej siły rzuciła nią w twarz nieprzyjaciółki.

Odpowiedział jej krzyk bólu. Hrabina cofnęła się, rękami sięgając twarzy poparzonej rozgrzaną oliwą. Języki ognia ślizgały się po jej włosach, paliły przezroczystą koszulę. Gaucourt zerwał z łoża nakrycie i zarzucił na płonąca hrabinę, która skręcała się z bólu i wyła jak ranne zwierzę.

Katarzyna schyliła się powoli i podniosła upuszczony sztylet. Teraz, kiedy wszystko było skończone, poczuła, że opuszczają ją siły. Gdyby Piotr de Breze nie podtrzymał jej, upadłaby na kolana. Spojrzała przy tym na Gaucourta niewidzącym wzrokiem.

- Teraz zostawiam ci ją, panie... Co z nią zrobisz?

Gaucourt pochylił się, zarzucił sobie na ramię jęczący tobolek i spojrzał Katarzynie w twarz.

- To ty, pani, musisz zdecydować. Miałaś rację, to było twoje prawo. Breze opowiedział mi o wszystkim. Chciałem posłać ją do męża, lecz wrzucę ją do lochów, jeśli taka jest twoja wola. Na nic lepszego nie zasługuje.

Katarzyna potrząsnęła głową.

- Nie, zostawcie ją przy życiu! Zostawcie ich oboje przy życiu, gdyż Bóg nie chciał, aby zginęli z naszych rąk. Niech żyją obok siebie z trądem w duszach i plamą na honorze. Ona została oszpecona, on jest kaleką pokrytym ranami, z których, być może, nigdy się nie wyliże... Niech się usmażą w swoim własnym piekle! Niech świat o nich zapomni. Ja zostałam pomszczona!

Jej napięte nerwy puściły. Uczepiwszy się ramienia pana de Brezego, poprosiła:

- Zabierz mnie stąd, Piotrze! Zabierz mnie!

- Chcesz dołączyć do innych w Montresor? - spytał łagodnie.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie chcę nikogo widzieć. Skończcie sami rozpoczęte dzieło, moje jest już skończone. Wracam do oberży.

Gdy jednak opuszczała zniszczoną komnatę, spostrzegła na górze klejnotów połyskujący złowrogo czarny diament Garina. Wyciągnęła rękę, chwyciła go...

- Należy do mnie - wyszeptała.

Ręka pana de Brezego otoczyła jej drżące ramiona.

- Mówią, że ten wspaniały klejnot jest przeklęty i że przynosi nieszczęście.

Popatrzyła przez chwilę na spoczywający w jej dłoni kamień.

- To prawda - rzekła z powagą. - Ten kamień sieje śmierć i nieszczęścia. Ale ta, której go ofiaruję, potrafi odpędzić nieszczęścia i cofnąć śmierć.

Podtrzymywana przez młodzieńca opuściła w końcu basztę Coudray. Zatrzymała się na dziedzińcu i podniosła oczy ku niebu. Gwiazdy już zgasły. Została tylko jedna, cudownie połyskująca, a od wschodu na horyzoncie rysowała się jasna smuga. W powietrzu czuło się świeżość jutrzeńki. Piotr otulił ją opończą.

- Chodźmy - powiedział. - Zaziębisz się, pani. Ona nie poruszyła się jednak, patrząc na nieboskłon.

- Rodzi się dzień - szepnęła. - Nowy dzień. Wszystko się dla mnie skończyło, karta została odwrócona.

- Wszystko może rozpocząć się na nowo, Katarzyno - szepnął gorąco. - Ten dzień może być pierwszym dniem nowego życia, pełnego radości i słońca, gdybyś tylko zechciała. Katarzyno, powiedz mi...

Łagodnie, lecz stanowczo zamknęła mu usta dłonią i uśmiechnęła się smutno.

- Nie, Piotrze. Nie mów nic więcej... Jestem zmęczona, bardzo zmęczona. Odprowadź mnie tylko i nic nie mów.

Przytuleni do siebie jak para zakochanych, zaczęli schodzić powoli w kierunku śpiącego miasta.

Cień przeszłości

Przekroczywszy wysoką bramę o podwójnych skrzydłach okutych stalą, Katarzyna zobaczyła przed sobą olbrzymi dziedziniec zamku Chinon. Szkoccy łucznicy stojący naprzeciw siebie w dwóch szeregach tworzyli nieruchomy, jakby złożony z posągów, szpaler; jedynie pióra czapli ozdabiające ich czapki poruszały się łagodnie w wieczornym wietrze. Na osiemnastostopniowych schodach prowadzących do Wielkiej Sali, gdzie czekał na nich król, stało nieruchomo dziesięciu heroldów z trąbkami u boku.

Serce w piersi Katarzyny biło mocno. Minęło właśnie dziesięć dni od bohaterskiej, udanej akcji przeciw wielkiemu szambelanowi. Na wpół żywy, uwięziony w Montresor, La Tremoille czekał, aż zostaną spełnione wszystkie warunki, które miały ocalić mu życie: olbrzymi okup, dymisja ze wszystkich stanowisk, a w przyszłości obowiązkowe zamieszkanie w zamku Sully, jedynym, jaki mu pozostawiono. Młoda kobieta chciała zapomnieć o okrutnym tyranie, który tak strasznie zaważył na jej losach i losach Montsalvych. Dzisiaj wybiła godzina triumfu. Królowa Jolanta przekazała jej informację, że wieczorem, 15 czerwca, król przyjmie ją z wielką pompą.

Czekała na tę chwilę w oberży imć Baranka z niecierpliwością, ale nie w odosobnieniu. Teraz mogła wychodzić i przyjmować gości. Nie groziło jej już żadne niebezpieczeństwo.

Nazajutrz po upadku pana de La Tremoille'a Gilles de Rais ukradkiem opuścił Chinon o świcie. Arogancja nadal malowała się na twarzy marszałka, pomimo że wracał do swych andegaweńskich dóbr nie jako zwycięzca, lecz jako zwyciężony. Widząc go tak wyjeżdżającego, Katarzyna uśmiechnęła się do siebie ponuro:

- Któregoś dnia - mruknęła przez zęby - ty również zapłacisz mi za wyrządzone zło. Nie zapomnę ci tego.

Kiedy zbliżyła się do schodów, heroldowie podnieśli do ust długie srebrzyste trąbki. Ich dźwięk wypełnił powietrze i wywołał u Katarzyny drżenie. Odruchowo spojrzała za siebie na sylwetkę Tristana Eremity, który kroczył za nią z szacunkiem, w odległości trzech kroków. Pewna gorycz mąciła jednak radość tego wieczoru. Katarzyna miała nadzieję, że Piotr de Breze w tak ważnej chwili będzie obok niej. Ale od momentu, kiedy wyszli z baszty Coudray i odprowadził ją do oberży, gdzieś zniknął. Nikt nie umiał powiedzieć, co się z nim stało. Jedyne Tristanowi wydawało się, że tego samego dnia widział Piotra opuszczającego Chinon galopem. Nikt go już potem nie spotkał.

Kiedy fanfary zamilkły, a Katarzyna wstępowała wolno po schodach, otworzyły się wysokie drzwi do Wielkiej Sali, ukazując cudowną iluminację. Palila się tu co najmniej setka świec; ściany, wysokie na sześć metrów, pokryte były kobiercami, naręcza kwiatów zdobiły posadzkę aż do wielkiego kominka w głębi sali.

Gdy drzwi się otworzyły, zgromadzony tam wytworny, barwny tłum zamilkł. W pobliżu kominka Katarzyna dostrzegła wysoki królewski tron,

osłonięty błękitno-złotym baldachimem. Siedział na nim król, a Karol Andegaweński stał obok, tryskający młodością, w stroju ze złocistego sukna. W jednej z wnęk okiennych zobaczyła królową w otoczeniu dwórek, lecz wzrok jej spoczął na starszym mężczyźnie, który stał przy wejściu do sali i który ruszył w jej kierunku, wspierając się na białej lasce: był to książę de Vendome, wielki mistrz królewskiej ceremonii.

Uklonił się przed nią i podał ramię, chcąc podprowadzić do tronu, gdy nagle między grupkami pochylnych panów i pań przecisnęła się szybko kobieca postać w żałobie. Przepęlniona wzruszeniem Katarzyna rozpoznała królową Jolantę. Ta zwróciła się uprzejmie do kłaniającego się Lionela de Vendome'a:

- Jeśli pozwolisz, mój kuzynie, ja zaprowadzę panią de Montsalvy do króla - powiedziała.

- Protokół milknie, kiedy rozkazuje królowa - odpowiedział wielki mistrz z uśmiechem.

Jolanta wyciągnęła rękę do pochyłonej w ukłonie Katarzyny:

- Chodź, moja przyjaciółko.

Ramię w ramię, wśród głębokiej ciszy, obie kobiety przeszły przez długą salę; jedna okazała i piękna z koroną na ciemnych warkoczach, druga olśniewająca urodą pomimo surowości żałobnego stroju. Obie były w czerni, lecz strój Jolanty wykonany był z aksamitu i atlasu, podczas gdy Katarzyna miała na sobie suknię z delikatnej wełny, a jej jasną głowę przysłaniał żałobny welon. W miarę jak zbliżały się do tronu, Katarzyna bladła, a powaga chwili ścisnęła jej serce. Szczupła postać króla w stroju z ciemnoniebieskiego aksamitu delikatnie haftowanego złotem stawała się coraz większa i Katarzyna pomyślała z bólem, że ta przyjacielska dłoń, która ją wiedzie, winna należeć do Arnolda. Przeszliby razem pośrodku

triumfalnego szpaleru, bez tego szarpiącego bólu i z pewnością nie w strojach żałobnych. I właśnie jemu, swojej utraconej miłości, dedykowała tę chwilę.

Znowu stanął jej przed oczami obraz męża, powalonego niczym uderzony piorunem dąb na zgliszczach domostwa zrujnowanego i spalonego na rozkaz tego króla, który tu na nią czekał. Wydawało jej się, że słyszy jeszcze rozpaczliwy szloch tego najdzielniejszego ze wszystkich mężczyzn, i musiała zamknąć oczy, aby powstrzymać łzy.

Kiedy tak szły, panowie i szlachetne damy kłaniali się i przyklękali, a hołd składany królowej rozciągał się również na jej towarzyszkę. Widziała, jak książęta krwi schylają głowy, a kiedy podeszły do stóp tronu, król wstał. Jego brązowe oczy popatrzyły na nią z uwagą. Katarzyna poczuła, że się rumieni. Mimo że natura nie była dla Karola VII zbyt szczodra, z jego wątlej sylwetki i brzydkiej twarzy emanował majestat. Był przecież królem, tym królem, dla którego, nosząc nazwisko Montsalvy, ofiarowuje się krew, życie i majątek. Nie spuszczać wzroku z suwerena, Katarzyna zgięła wolno kolana, podczas gdy dał się słyszeć głos królowej Jolanty:

- Panie mój i synu - powiedziała. - Zechciej przyjąć w swej dobroci Katarzynę, księżnę de Montsalvy, panią Lasu Kasztanowego, która przybyła prosić cię o pomoc i naprawę szkód oraz strasznych cierpień, jakich doznała z rąk byłego wielkiego szambelana.

- Panie - dodała Katarzyna gorąco - proszę o sprawiedliwość nie dla siebie, lecz dla mego małżonka, umarłego w rozpacz, dla Arnolda de Montsalvy'ego, który zawsze wiernie ci służył. Jestem tylko jego żoną.

Król uśmiechnął się, zszedł do młodej kobiety, ujął ją za ręce i pomógł wstać.

- Pani - powiedział łagodnie - to raczej król powinien znajdować się u twoich stóp, aby prosić o wybaczenie. Wiem o wszystkich nieszczęściach, jakie stały się udziałem najwierniejszego z moich kapitanów, wstydę się tego i odczuwam wielki ból. To dla mnie teraz bardzo ważne, aby życie pani i jej syna powróciło do normy, żeby zamek w Montsalvy odzyskał swą dawną świetność. Niech przyjdzie nasz kanclerz!

Mieniący się tłum rozstał się ponownie, aby przepuścić Regnaulta de Chartres, arcybiskupa Reims i wielkiego kanclerza Francji. Katarzyna z pewnym zdziwieniem patrzyła na wchodzącego prałata, który był śmiertelnym wrogiem Joanny d'Arc, a teraz bez wątpienia przez ostrożność opuścił obóz pana de La Tremoille'a. Odczuwała do niego instynktowną niechęć, być może z powodu jego wyniosłego spojrzenia i wyrachowanego wyrazu twarzy. Ale nagle zrobiło się jej gorąco. Kilka kroków za kanclerzem szedł człowiek w zakurzonym ubraniu i ze zmęczoną twarzą: był to Piotr de Breze. Uśmiechnął się do niej z daleka, a Katarzyna, idąc za pierwszym impulsem, odwzajemniła uśmiech. Ale nie było czasu na stawianie pytań. Karol VII zwrócił się do Regnaulta de Chartres:

- Panie kanclerzu, czy masz to, po co pojechał do Montsalvy pan de Breze?

Za całą odpowiedź arcybiskup wyciągnął dłoń w stronę Piotra; młodzieniec podał mu zwinięty pergamin, brudny i pognieciony. Regnault de Chartres rozwinął przedziurawiony w czterech rogach pergamin.

Katarzynie odpłynęła z twarzy krew. Poznała ten potargany, brudny, podziurawiony, na wpół starty dokument. Ten sam, który przybito czterema strzałami na jeszcze dymiących ruinach Montsalvy. Był to edykt, który ogłaszał Arnolda de Montsalvy'ego zdrajcą króla i królestwa,

wiarołomcą skazanym na wygnanie. Widziała, jak lekko drży w palcach kanclerza, podobnie jak powiewał na wieczornym wietrze w Montsalvy.

Następnie podszedł człowiek ubrany na czerwono, w którym Katarzyna rozpoznała kata, a za nim dwóch służących niosących naczynie z rozżarzonymi węglami. Zawładnął nią strach, dusiła nieopanowana trwoga. Ta ponura czerwona postać przywoływała zbyt jeszcze bliskie i straszne wspomnienia. Oprawca nie skierował się jednak do nikogo z zebranych.

Regnault de Chartres podszedł z pergaminem. W ciszy dał się słyszeć jego głos:

- My, Karol, siódmy tego imienia z łaski Boga Wszechmogącego król Francji, rozkazujemy, aby edykt mówiący o zdradzie i skazujący na wygnanie potężnego i szlachetnego pana Arnolda, księcia Montsalvy, pana Lasu Kasztanowego w kraju owerniackim, jak również jego potomków, został na zawsze unieważniony. Rozkazujemy, aby ten edykt został uznany za fałszywy, kłamliwy i zdradziecki i aby jako taki został zniszczony dzisiaj na naszych oczach.

Kanclerz wydobył z kieszeni parę nożyc, przeciął czerwoną, zniszczoną wstęgę podtrzymującą Wielką Pieczęć Francji i podał ją królowi, ucałowawszy wcześniej z szacunkiem. Następnie wręczył pergamin katu. Ten chwycił go obcęgami i zanurzył w naczyniu z żarem. Delikatna materia skręciła się, jakby tkwiło w niej życie, a potem szerniała i spłonęła, wydając nieprzyjemny zapach, ale dopóki palił się jeszcze najmniejszy kawałek, Katarzyna nie spuściła z niego wzroku. Kiedy pergamin spłonął całkowicie, podniosła głowę i napotkała wzrok króla, który uśmiechnął się do niej.

- Twoje miejsce jest przy nas, Katarzyno de Montsalvy, w oczekiwaniu, aż twój syn dorośnie, aby móc nam służyć. Witaj w tym zamku, gdzie zamieszkas od dzisiaj. Jutro nasz kanclerz da ci dokumenty potwierdzające całkowity zwrot dóbr i włości, a skarbnik wypłaci ci w złocie należne odszkodowanie za wyrządzone krzywdy. Niestety, złoto wszystkiego nie naprawi i król bardzo tego żałuje.

- Panie - szepnęła wzruszonym głosem - jeśli taka jest wola Boga, ród Montsalvych nadal ci będzie służyć, jak to czynił zawsze. Dziękuję, że pozwalasz im czynić to nadal.

- Idź teraz, pani, pokłonić się swojej królowej. Czeka na ciebie.

Katarzyna odwróciła się w stronę Marii Andegaweńskiej stojącej o parę kroków dalej wśród dam dworu, które uśmiechały się serdecznie. Uklękła u stóp tej brzydkiej i dobrej kobiety, niepozornej z wyglądu, lecz nieumiejącej czynić zła. Maria przyjęła powracającą z otwartymi ramionami.

- Moja droga Katarzyno - powiedziała, całując ją. - Jestem szczęśliwa, że cię widzę! Mam nadzieję, że zajmiesz miejsce wśród dam dworu.

- Tylko na krótki czas, pani... bo muszę wracać do mojego syna.

- Możesz go tutaj sprowadzić. Miejsce dla księżnej de Montsalvy, która do nas wraca!

Przyjęcie, jakie zgotowano Katarzynie, było bardzo miłe. Znała już kilka dam dworu i z radością odnalazła miłą Annę de Bueil, panią na Chaumont, którą spotkała w Angers. Odnalazła też Joannę du Mesnil, którą poznała, kiedy tamta była damą dworu w Bourges, jak również panią de Brosset, ale nie знаła ani pani de La Roche-Guyon, ani księżniczki Joanny Orleańskiej, córki odwiecznego więźnia Londynu. Zdziwiła się, że

nie widzi Małgorzaty de Culan, która była jej przyjaciółką, i poczuła smutek, dowiedziawszy się, że dziewczyna wybrała służbę Bogu. Ale w obecnej szczęśliwej chwili, kiedy odnalazła swoje prawdziwe miejsce, nic nie mogło prawdziwie jej zasmucić. Była jak kamień wyrwany z muru przez silny huragan, który murarz osadził znowu na swoim miejscu pośród jemu podobnych. Przyjemnie było ponownie zobaczyć miłe, uśmiechnięte twarze, usłyszeć życzliwe słowa po tylu smutnych dniach!

Kilku mężczyzn spragnionych kontaktu z bohaterką dnia podeszło do grupki kobiet. Oszołomiona zobaczyła, że podchodzą do niej: piękny książę d'Alencon, bastard Orleanu, Jan de Dunois, który kiedyś uratował ją od tortur, marszałek de La Fayette i wielu innych. Nie wiedziała, komu odpowiedzieć, do kogo się uśmiechnąć, a jednocześnie szukała wśród mężczyzn Piotra, który wrócił z Owernii, więc chciała z nim porozmawiać.

Nagle jakiś głos z gaskońskim akcentem zadźwięczał radośnie za plecami i kazał jej się odwrócić.

- Mówiłem, że zobaczymy się na dworze króla Karola. Czy uśmiechniesz się także do starego przyjaciela?

Wyciągnęła do nowo przybyłego obie ręce, walcząc z chęcią rzucenia mu się na szyję.

- Kadet Bernard! - rzekła serdecznie. - Cieszę się, że cię widzę, panie. Nie zapomniałeś o mnie?

- Nigdy nie zapominam o przyjaciółach - odpowiedział Bernard d'Armagnac - szczególnie, jeśli noszą takie nazwisko. Pozwól, pani.

Ujął ją za ramię i odprowadził na bok. Nie przeszkadzano im. Grupki tworzyły się wokół króla i królowej, życie dworskie toczyło się dalej w oczekiwaniu na sygnał do wieczerzy. Idąc obok niego, Katarzyna spoglądała na przypominającą faunę twarz księcia de Pardiaca. Brunatne

oblicze o brązowych oczach i spiczastych uszach, przebiegłe i bystre, przypominało jej okrutne godziny w Montsalvy. Bernard uratował ją i Arnolda od śmierci, ukrywając ich w Carlat. Bez niego Bóg jeden wie, co by się z nimi stało.

Kiedy podeszli do wnęki okiennej, Bernard przystanął i poważnym głosem zapytał:

- Gdzie on jest? Co się z nim stało? Zbladła i spojrzała na niego z przestrawieniem.

- Arnold? Ależ... czy nie wiesz, panie? Jego już nie ma.

- Nie wierzę w to ani trochę - odrzekł. - W Carlat wydarzyło się coś, czego nie rozumiem. Hugo Kennedy, z którym się spotkałem, milczy jak ryba. Każdy przysięga, że Arnold nie żyje, ale ja jestem pewien czegoś zupełnie przeciwnego. Powiedz mi prawdę, Katarzyno, mam prawo wiedzieć.

Potrząsnęła głową ze smutkiem, odsuwając machinalnie czarny welon.

- To prawda, Bernardzie, prawda gorsza od śmierci i dlatego chciałabym, abyś nie stawiał pytań. Jest tak straszna! Wiesz przecież, panie, że dla całego świata mój małżonek nie żyje.

- Dla całego świata, ale nie dla mnie, Katarzyno. Jestem w podobnej jak ty sytuacji. Dopiero od kilku dni zostałem na nowo przyjęty na dwór. Do niedawna walczyłem na północ od Sekwany w towarzystwie La Hire'a i Xaintrilles'a. Oni również nie wierzą w niewytłumaczalną śmierć Montsalvy'ego.

- Jak to się dzieje, że nie ma ich tutaj - zapytała Katarzyna, starając się zmienić temat. - Chciałabym się z nimi spotkać.

Ale księżę de Pardiac nie zamierzał odstąpić od tematu.

Odpowiedział krótko:

- Walczyli przeciw Robertowi Willoughby nad rzeką Oise. Gdybym nie był z nimi, wróciłbym do Carlat. To moje włości, pamiętaj o tym, pani, i potrafiłbym wyrwać prawdę od tych z zamku, nawet gdybym musiał uciec się do tortur.

- Tortury! Tortury! Czy wszyscy musicie się posługiwać tą straszną metodą? - odpowiedziała Katarzyna z drzeniem.

- Metody są, jakie są - odpowiedział spokojnie - liczy się wynik. Mów, Katarzyno, wiesz, że wcześniej czy później i tak się dowiem. Daję ci słowo szlachcica, że twój sekret będzie dobrze strzeżony. Wiesz przecież, pani, że nie pytam przez próżną ciekawość.

Patrzyła na niego przez chwilę. Jakże mogłaby wątpić w szczerść jego słów po tym wszystkim, co dla nich zrobił? Zrobiła pełen rezygnacji ruch.

- Powiem ci, panie.

W krótkich słowach opowiedziała Bernardowi straszną prawdę na temat Arnolda. A kiedy zamilkła, księżę gaskoński był trupio blady. Brzegiem brokatowego rękawa stał spływający po twarzy pot. Nagle poczerwieniał ze złości i rzucił na młodą kobietę wściekłe spojrzenie.

- A ty, pani, zostawiłaś go w tym wiejskim lazarecie pośród pospólstwa, aby powoli konał? Jego, najbardziej godnego z nas wszystkich?

- Cóż mogłam zrobić? - wykrzyknęła Katarzyna z rozdrażnieniem. - Byłam sama przeciw całemu garnizonowi, przeciw całej wiosce... Tak być musiało. On sam tego chciał. Zapominasz, że nie mieliśmy już nic, żadnego innego schronienia oprócz Carlat, które zawdzięczaliśmy tobie?

Bernard d'Armagnac odwrócił głowę, wzruszył ramionami, a następnie obrzucił Katarzynę niepewnym spojrzeniem.

- To prawda. Wybacz mi, pani... ale on tam nie może zostać. Czy nie dałoby się umieścić go w jakimś ustronnym zamku i dać mu do dyspozycji kilku oddanych służących?

- Któż odważyłby się służyć choremu na trąd? - szepnęła Katarzyna.

- Ale może dałoby się coś załatwić. Tylko gdzie? On nie chce się zbyt oddalać od Montsalvy.

- Coś wymyślę i dam ci znać, pani. Boże Wszechmogący, nie mogę znieść myśli, że on się teraz znajduje w takim miejscu.

Katarzynie łzy napłynęły do oczu.

- A ja? Czy sądzisz, że mogę to znieść? Od miesięcy ta myśl mnie prześladowa. Gdybym nie miała syna, pojechałabym z nim, nie zostawiłabym go samego. Cóż znaczyłoby umrzeć na tę straszną chorobę, gdybym była razem z nim? Ale mam Michała... i Arnold mnie odepchnął. Miałam zadanie do wykonania, ale to już zrobione.

Kadet Bernard popatrzył na nią z zainteresowaniem, zagryzając cienkie wargi.

- Więc co teraz będziesz robiła, pani?

Nim zdążyła odpowiedzieć, wysoka postać odziana w błękitny strój stanęła obok nich, a ostry głos zapytał:

- Czyżbyś wywołał łzy u pani de Montsalvy, księżę panie? W tych oczach są łzy.

- Widzę, że masz dobry wzrok, panie - odpowiedział wyniośle Bernard, niezadowolony, że im przeszkadzono. - Mogę zapytać, co cię to obchodzi?

O ile wtargnięcie pana de Brezego zaskoczyło Bernarda d'Armagnaca, o tyle ton Bernarda wydał się nie podobać panu andegaweńskiemu.

- Żaden z przyjaciół pani Katarzyny nie lubi oglądać smutku na jej twarzy.

- Takim przyjacielem jak ja, ty nigdy nie będziesz, panie de Breze, a co więcej, jestem przyjacielem jej małżonka.

- Byłeś, panie - sprostował Breze. - Czyż nie wiesz, że szlachetny Arnold de Montsalvy odszedł w chwale?

- Twoja postawa, panie, pełna troski o... wdowę pozwala przypuszczać, że cię to wcale nie martwi. Co do mnie...

Katarzyna, przestraszona wiszącą w powietrzu kłótnią, wtrąciła:

- Panowie! Proszę! Nie chcecie chyba uczcić mego powrotu do łask sprzeczką? Co na to powie król, co powiedzą królowe?

Agresywna postawa Bernarda zdziwiła ją. Wiedziała jednak, że od dawna istniała rywalizacja między panami z północy i południa. Ci dwaj z pewnością nienawidzili się, a ona stanowiła jedynie pretekst. Obydwaj mężczyźni zamilkli, lecz spojrzenia, jakie wymienili, świadczyły o ich wściekłości. Katarzyna zrozumiała, iż płoną chęcią kontynuowania zwady, i wiedziała, że nie powstrzyma ich na długo. Odruchowo zaczęła szukać wokół siebie pomocy i dostrzegła Tristana Eremitę trzymającego się skromnie na uboczu. Dała mu wzrokiem znak, więc nadbiegł uśmiechnięty i uprzejmy.

- Królowa Jolanta szuka cię, pani Katarzyno. Czy mogę cię do niej zaprowadzić?

Piotr de Breze chciał jednak zachować Katarzynę dla siebie.

Uśmiechnął się więc chłodno do Tristana.

- Sam ją odprowadzę - rzekł żywo.

Słyszając to, Kadet Bernard otworzył usta, a zasmucona Katarzyna zrozumiała, że wszystko zacznie się od nowa. Umierała z chęci porozmawiania z Piotrem. Wracał z Montsalvy, musiał mieć wiele rzeczy do opowiedzenia. Ale jak ukryć się wraz z nim przed nieufnym spojrzeniem Kadeta Bernarda, który zdawał się uważać za obrońcę praw Arnolda? Na szczęście, dokładnie w tej chwili zbliżył się do nich wielki mistrz ceremonii.

- Życzeniem naszego pana jest, abyś spożyła wieczerzę przy jego stole, pani. Pozwól więc, że cię tam zaprowadzę.

Z piersi Katarzyny wydobyło się westchnienie ulgi. Skierowała w stronę księcia pełen wdzięczności uśmiech i przyjmując dłoń podaną przez starego szlachcica, pożegnała krótko obu przeciwników, kierując się do sali bankietowej.

Królewska wieczerza była dla Katarzyny wielkim triumfem, a zarazem próbą. Triumfem, bo siedząc po prawicy królowej Marii, była w centrum zainteresowania. Pośród tych jasnych atłasów i tych mlecznych ciał podkreślonych głęboko wyciętymi dekolami, kaftanów haftowanych w kwiaty, jej uroda otulona czarnym, surowym strojem lśniła niczym złowrogi diament połyskujący wśród klejnotów Garina. Król spoglądał na nią nieustannie. Kazał jej podawać jadło ze swoich półmisków, a królewski podczaszy nalewał jej to samo wino, które pił król, wino z Andegawenii, które lubił najbardziej. Ale była to też ciężka próba, gdyż widziała złe spojrzenia, jakie wymieniali siedzący blisko Bernard d'Armagnac i Piotr de Breze. Radość Katarzyny psuła obawa, że nawet obecność króla nie powściągnie ich gniewu. Wydawało się jej, że siedzi na beczce prochu, toteż ucieszyła się z zakończenia wieczerzy i powrotu wszystkich do

Wielkiej Sali, gdzie zaczęły się tańce. Żałoba zwalniała ją z dalszego uczestnictwa w zabawie, zwróciła się więc do królowej Marii i królowej Jolanty z prośbą, by pozwoliły jej odejść, na co zgodziły się bez słowa.

Dwaj służący z pochodniami odprowadzili ją do nowego miejsca zamieszkania. Opuściła salę z wysoko podniesioną głową, odprowadzona spojrzeniami pełnymi podziwu.

Komnata, którą jej przydzielono, znajdowała się w wieży Skarbniczej; Sara czekała już tam na nią z całym majdanem. Stroskana mina Katarzyny zaniepokoiła Cyganekę.

- Byłaś królową dzisiejszego wieczoru, czemu więc przypisać ten niepokój na twarzy?

Opowiedziała Sarze o wszystkim, wyjawiając, że miała wielką ochotę porozmawiać przez chwilę z Piotrem i że książe d'Armagnac przeszkodził jej w tym.

- Chciałabym się przecież dowiedzieć, jak czuje się mój syn! - wykrzyknęła. - Nie sądziłam, że to może być powodem do pojedynku.

- Są chwile, kiedy nie zastanawiasz się zbyt - stwierdziła Sara. - Sądzisz, że książe de Pardiac jest głupi? Dlaczego tak wielki pan jak de Breze jechał dzień i noc, aby przywieźć stary, pożółkły pergamin? Wystarczyłoby przecież wysłać któregoś z jeźdźców królewskich z rozkazem kanclerza. Ta wyprawa to wyznanie miłości, podobnie jak te czarno-białe wstęgi, które młody de Breze obnosi wszędzie z taką dumą, jakby nosił sam wizerunek Pana Boga.

- Cóż z tego? - zaprotestowała niezadowolona Katarzyna. - Jeśli nawet Piotr głosi się moim rycerzem i afiszuje swoją miłość, nie wiem, co to mogłoby obchodzić pana Bernarda d'Armagnaca. Fakt, iż jest kuzynem króla, nie daje mu prawa do wtrącania się w sprawy innych.

Oczy spoglądającej na Katarzynę Sary zwęziły się.

- To nie kuzyn króla miesza się do twoich spraw. To przyjaciel twojego małżonka z lat dziecięcych. Już raz cię ostrzegałam przed skłonnościami młodego de Brezego. Teraz robisz się niewdzięczna. Nie zarzucałaś Kadetowi Bernardowi, że miesza się do nie swoich spraw, kiedy zgasił stos pod tobą i Montsalvym, kiedy dał ci Carlat na siedzibę. Przypomnij sobie, jak wielka przyjaźń łączy go z panem Arnoldem. Ten człowiek nie zgodzi się nigdy, abyś należała do innego. Ma instynkt psa, który pod nieobecność pana strzeże jego własności. Należysz do jego przyjaciela i każdy musi o tym pamiętać.

- Jeśli taka jest moja wola, nikt inny nie ma nic do powiedzenia - przerwała Katarzyna.

Nie czuła się dobrze w swojej skórze i w czarnym welonie, który więził jej twarz. Czerwcową noc była ciepła, chciała zdjąć muślin, ale nerwowe palce okazały się niezręczne i przerwały cienki materiał.

- Pomóż mi! - wykrzyknęła poirytowana. - Widzisz, że nie mogę sobie poradzić.

Sara uśmiechnęła się i spokojnie zaczęła odpinać welon. Katarzyna siedziała na taborecie i nie odzywała się ani słowem.

Złość musiała z niej wyparować, musiała posiedzieć przez chwilę w ciszy, aby się uspokoić. Kiedy Sara skończyła pracę, Katarzyna zdjęła suknię i podała ją służącej, zostając tylko w cienkiej, batystowej koszuli. Sara zaczęła czesać jej krótkie, kręcone włosy, nadające jej dziwny i czarujący wygląd greckiego pastuszka. Widząc, że Katarzyna powoli się odpręży, zapytała łagodnie:

- Czy mogę ci zadać pytanie?

- Ależ... tak.

- Jak sądzisz, jak zareagowałby na pana de Brezego pan de Xaintrilles lub kapitan La Hire?

Katarzyna nie odpowiedziała i Sara poczuła się ukontentowana tą ciszą, która według niej stanowiła najlepszą odpowiedź. Oczywiście porywczy La Hire wyzwałby od razu, nawet w obecności króla, bezwstydnika ośmielającego się afiszować ze swą miłością do żony przyjaciela. Co do Xaintrilles'a, Katarzyna wyobraziła sobie bez trudu błysk złości w jego brązowych oczach, groźny uśmiech na wargach. Była zbyt uczciwa, aby nie rozumieć, że racja jest po ich stronie, ale nie godziła się, by traktowano ją jak osobę nieodpowiedzialną, jak małą, nierozsądną dziewczynkę, której trzeba pilnować. Zawładnęła nią potrzeba podkreślenia własnej niezależności.

Kiedy była już uczesana, włożyła lekką, białą sukienkę przepasaną pod piersiami szerokim srebrnym pasem, na usta nałożyła czerwoną szminkę i odwróciła się do Sary, rzucając jej pełne wyzwania spojrzenie.

- Idź po pana de Brezego! - rozkazała.

Przez moment Sara stała jak ogłupiała. Potem poczerwieniała i powtórzyła:

- Chcesz, żebym...

- ...żebyś poszła po niego - powtórzyła Katarzyna z uśmiechem. -

Chcę z nim rozmawiać. Załatw to tak, aby Kadet Bernard nie śledził go jak szpicel. Uspokój się, będziesz mogła asystować przy rozmowie.

Sara zawahała się przez chwilę. Miała chęć odmówić, ale wiedziała, że Katarzyna jest zdolna udać się po niego sama.

- Ach! - powiedziała. - W końcu to jest twoja sprawa.

Wyszła z godnością, co rozbawiło młodą kobietę. Sara wspaniale znała się na grze, a role tragiczne wychodziły jej najlepiej. W ten sposób okazywała sprzeciw.

Parę chwil później Cyganka wróciła z pobladłym ze szczęścia Piotrem de Brezem, który ledwie przekroczył próg, rzucił się do stóp Katarzyny i chwycił dłoń, którą okrył pocałunkami.

- Moja słodka pani! Pożerała mnie chęć, aby się z tobą spotkać. Wyczułaś to i posłałaś po mnie. Jakież jestem szczęśliwy...

Płonął z namiętności, gotowy na wszelkie szaleństwa, i Katarzyna cieszyła się przez chwilę z uległości tego młodego, przykutego do jej stóp lwa, którego siła szła w parze z urodą. Której z kobiet nie pochlebiałaby miłość takiego mężczyzny? Spostrzegła, że Sara, pomimo niechętnych słów, jakie wygłosiła, wychodząc, stanęła w głębi komnaty przy łożu z rękami skrzyżowanymi na brzuchu, niewidoczna, lecz obecna, przyjmując niewróżącą nic dobrego postawę pełną determinacji. Nie wolno było bardziej jej denerwować.

- Wstań, panie, i usiądź obok mnie na ławie. Chciałam się z tobą spotkać bez świadków... przede wszystkim dlatego, żeby ci podziękować za to, że pojechałeś do Montsalvy, chociaż mogłeś wysłać umyślnego. Jestem ci za to wdzięczna.

Piotr de Breze potrząsnął jasną głową i uśmiechnął się.

- Przecież nie chciałabyś, pani, aby ktoś obcy zajął się sprawą tak ci bliską. Chciałem również - oprócz pergaminu - przywieźć ci wieści o twoich najbliższych, za którymi pewnie tęsknisz.

Uśmiech szczęścia pojawił się na twarzy Katarzyny.

- To prawda - powiedziała łagodnie. - Opowiadaj o moim synku... Jak on się czuje?

- Wspaniale! Jest piękny, silny i radosny... Już dobrze mówi, wszyscy są pod jego urokiem, a najbardziej pewien olbrzym o imieniu Walter, który wszędzie za nim chodzi. To najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałem. Jest podobny do ciebie.

Ale Katarzyna potrząsnęła głową.

- Nie sil się, przyjacielu, na kłamstwa, jakich zawsze domagają się rodzice, Michał jest Montsalvym od stóp do głów.

- Ma twój urok... a to najważniejsze.

- Prawdziwy rycerz powinien być podobny do ojca - mruknęła zza kotar Sara. - To ci komplement powiedzieć kobiecie, że syn jest jej żywym portretem!

Zaskoczony Piotr rzucił spojrzenie w kierunku łoża. Katarzyna roześmiała się, ale niezbyt pewnie. Czowała, że nadchodzi burza, gdyż Sara nie należała do kobiet zachowujących swe myśli dla siebie.

- No, no, Saro, nie zrzędź. Pan de Breze chciał mi tylko zrobić przyjemność. Chodź tutaj.

Cyganka zbliżyła się niechętnie. Z trudem ukrywała antypatię, jaką wzbudzał w niej ten młody człowiek.

- Mnie nie sprawiłoby to przyjemności. A również nie sprawi mi przyjemności, jeśli jutro będą plotkować, że pan de Breze był w tej komnacie.

- Potrafię uciszyć złe języki - wykrzyknął młodzieniec. - Wtłoczę oszczerstwa do gardeł ich autorów, a jeśli zajdzie potrzeba, to nawet za pomocą szpady.

- Po każdym oszczerstwie coś pozostaje. Jeśli naprawdę lubisz panią Katarzynę, nie pozostawaj tutaj, panie. To jej pierwsza noc w tym zamku i jest wdową. Nie powinieneś się zgodzić na przyście tutaj.

- Przecież to ty po mnie przysłaś. A poza tym, który mężczyzna zrezygnowałby z ofiarowanej chwili szczęścia - dodał, patrząc na Katarzynę z podziwem. - Za każdym razem, kiedy cię widzę, pani, znajduję cię coraz piękniejszą... Czemu nie chcesz, abym się tobą zaopiekował na zawsze?

- Bo - wykrzyknęła Sara, widząc, że Piotr nie podnosi się i tracąc w końcu cierpliwość - moja pani jest dostatecznie dorosła, aby się sobą zająć. Ja również jestem tutaj po to.

- Saro! - wykrzyknęła czerwona ze złości Katarzyna. - Przekraczasz granicę. Proszę cię, zostaw nas samych.

- Nie pozwolę zniszczyć twojej reputacji. Jeśli temu panu zależy na tobie, tak jak twierdzi, zrozumie, o co mi chodzi.

- Zapominasz, że nas uratował.

- Jeśli po to, aby cię teraz pograżyć, nie jestem mu wcale wdzięczna.

Zbity z tropu tą nieoczekiwaną sceną, Piotr de Breze zawahał się przez chwilę, co robić. Walczył z chęcią ostrego skarcenia tej kobiety, którą uważał za krnąbrną służącą, ale nie chciał sprawić przykrości Katarzynie. Wolał więc skapitulować.

- Ona ma rację, Katarzyno. Lepiej, bym sobie poszedł. Chociaż nie wiem do końca, co ona ma mi do zarzucenia. Nie ma w tym nic złego, że kocham cię całym sercem i duszą.

- Właśnie to mam ci, panie, za złe - powiedziała Sara poważnie. - Ale nie możesz tego zrozumieć. Do widzenia, wyprowadzę cię, panie.

Teraz przyszła kolej na Katarzynę, aby uścisnąć młodzieńcowi rękę.

- Wybacz jej, panie, to nadmierne oddanie. Czuwa nade mną trochę zbyt zazdrośnie. Ale nie powiedziałaś mi nic o mojej teściowej. Jak ona się czuje?

Na czole pana de Brezego pojawiła się zmarszczka. Nie odpowiedział od razu, zawahał się najwyraźniej i Katarzyna zaniepokoiła się.

- Co z nią? Nie jest chyba chora?

- Nie, na honor! Wydaje się być w dobrym zdrowiu, lecz jakiś wewnętrzny smutek chyba draży jej serce. Och! - dorzucił pośpiesznie, widząc, że oczy Katarzyny wypełniają się łzami. - Nie powinienem był ci tego mówić. Może się mylę.

- Nie - powiedziała Katarzyna ze smutkiem. - Nie pomyliłeś się, panie. Wiem, co ją dręczy. Dobranoc, Piotrze... i dziękuję. Zobaczymy się jutro.

Wargi młodzieńca zatrzymały się na dłoni, która pozostała chłodna. Było tak, jakby starsza pani de Montsalvy weszła nagle do komnaty z twarzą przepelnioną smutkiem, który nie opuszczał jej od czasu, kiedy odszedł Arnold. Sara, śledząca wyraz twarzy Katarzyny, wyprowadziła pana de Brezego, który odszedł bez słowa, lecz z żalem, starając się napotkać już niewidzące spojrzenie. Katarzyna nie zauważyła nawet, kiedy odszedł. Dopiero po powrocie Sary zorientowała się, że już go nie ma, i podniosła na nią nieobecny wzrok.

- Już odszedł? - Ponieważ Sara potwierdziła ruchem głowy, dorzuciła z goryczą: - Jesteś zadowolona?

- Tak, jestem zadowolona... wystarczyło tylko wspomnieć panią Izabelę, abyś się od niego odwróciła. Błagam cię, Katarzyno, dla naszego wspólnego dobra nie daj sobie zawrócić w głowie temu czarującemu lekkoduchowi. Sądzisz, że ogrzeje cię ciepło tej miłości? Sparzysz się, jeśli nie będziesz ostrożna...

Ale Katarzyna nie miała ochoty na dyskusję. Wzruszyła ramionami i zaczęła wyglądać przez okno, za którym zalegała ciemna noc. Słowa wydały się jej nagle puste i niepotrzebne. Dźwięczały w głowie niczym serce dzwonu. Potrzebowała powietrza, przestrzeni. Spoglądając na uśpio-
ne miasto, wdychając zapach rzeki, poczuła nagle bolesny smutek, pustkę i zniechęcenie...

Triumf odniesiony dzisiejszego wieczoru zostawił posmak goryczy. To pewne, że La Tremoille został pokonany i okrutnie ukarany, jego żona również. To pewne, że ród Montsalvych odzyskał utracone ziemie. Ale jakim zwycięstwem mogła poszczycić się ona, Katarzyna? Czuła się jeszcze bardziej osamotniona i nawet jeśli król oddał jej pozycję i fortunę, to i tak z tego nie skorzysta. Wkrótce pojedzie do surowej Owernii, aby nadal pracować na chwałę Montsalvych. Nadal samotna!

Na tym radosnym i mieniącym się dworze, gdzie wszyscy zdawali się żyć chwilą obecną, ją zmuszano do umartwiania się. Choć była młoda i piękna, nie mogła kochać... i to właśnie w chwili, kiedy tak bardzo potrzebowała miłości, w momencie kiedy pragnienie trzymającej ją przy życiu zemsty nareszcie zostało ugaszone.

Odwrociła się gwałtownie, stanęła przed Sarą i krzyknęła ze złością:

- A jeśli mam ochotę żyć? Jeśli mam ochotę kochać, a nie być pogrzebaną za życia?! Nie chcę być przedmiotem czci. Mam ciało, które drży, serce, które bije, krew, która płynie. Chcę istnieć!

Czarne oczy Sary wytrzymały bez słowa spojrzenie Katarzyny, a litość, którą młoda kobieta w nich dostrzegła, jeszcze bardziej spotęgowała jej złość. Krzyknęła:

- No i co mi na to powiesz?

- Nic - odpowiedziała głucho Sara. - Nikt ci w tym nie przeszkodzi... nawet ja.

- Tak właśnie myślę. Dobranoc. Chcę zostać sama, bo to jedyne, co mi wolno.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Sara nie spała tej nocy w komnacie Katarzyny, lecz w sąsiadującej z nią ubieralni.

* * *

W następnych dniach Piotr de Breze nie opuszczał Katarzyny. Nosił jej mszalnik, kiedy szła do kaplicy, siadał obok niej przy stole, towarzyszył na spacerze, a wieczorami prowadzili długie rozmowy w zaciszu wnęki okiennej, podczas gdy królewscy muzykanci grali, a inni tańczyli. Na ich widok wszyscy zaczęli się uśmiechać. Nawet królowa Maria powiedziała, kiedy razem tkwały dywany:

- Piotr de Breze to czarujący młodzieniec, nieprawdaż, moja droga?

- Czarujący... wasza wysokość ma rację.

- A poza tym, to człowiek wartościowy. Sądzę, że znajdzie daleko i ta, która wybierze go za małżonka, dokona dobrego wyboru.

Katarzyna zaczerwieniła się i opuściła głowę, ale skrzępowanie nie trwało długo. Wokół niej wszyscy spiskowali. Rzeczy i ludzie zdawali się popychać ją w stronę Piotra, ułatwiać im spotkania. Jedyne Kadet Bernard mógłby im w tym przeszkadzać, ale ten, jakby za zrządzeniem jakichś czarów, zniknął. Udał się do Montresor, do Jana de Bueila. Co do Sary, zachowywała wobec Katarzyny postawę pełną rezerwy i odzywała się tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Nie było już niekończącej się paplaniny w czasie porannej toalety, nie było przestróg ani rad. Twarz Sary nie wyrażała niczego. Wydawała się obojętna, lecz czasem rankami Katarzyna odkrywała na jej twarzy ślady łez, które przez chwilę budziły

wyrzuty w jej sercu. Jednak nie trwało to długo. Wystarczyło, że pojawił się Piotr, a młoda kobieta, odpychając wszystko, co mogłoby przyćmić to nowe upojenie, Ignęła łapczywie w stronę tego źródła młodości i bez troski. Nocą, w ciszy komnaty, zdawała sobie sprawę, że coraz trudniej jest się jej bronić przed zalotami Piotra, przed słowami miłości, przed pieśczętą warg na jej rękach, przed rzucanymi spojrzeniami domagającymi się czegoś więcej; było to jak łagodne, trawiaste zbocze, trochę śliskie, lecz tak ukwiecone, że przyjemnie było po nim schodzić. Dla zbolełego serca Katarzyny ta letnia miłość miała świeżość róży.

Któregoś wieczoru, kiedy przechadzali się obydwójce po sadzie, spokój nocy, głęboki cień gałęzi pokrytych kwiatami i owocami, słowa miłości szeptane przez Piotra pchnęły Katarzynę w jego ramiona. Oparła głowę na piersi młodzieńca, pozwoliła mu się objąć...

Przytulił ją do siebie łagodnie i stali tak przez chwilę, nie śmiąc się poruszyć, wsłuchując się w bicie swych serc. Katarzyna nareszcie poczuła się bezpieczna. Kochał ją, należał całkowicie do niej. Wystarczyło jedno słowo, a należałby do niej na całe życie. A on czekał tylko na to właśnie słowo.

Podniosła głowę, aby popatrzeć poprzez gałęzie na rozgwieżdżone niebo, lecz w tej właśnie chwili wargi młodzieńca przywarły do jej warg, najpierw łagodnie, a potem chciwie. Czowała, że Piotr drży, i przywarła silniej do jego okrytych jedwabiem ramion. Ten pocałunek był jeszcze nieśmiały. Katarzyna czowała, że Piotr powstrzymuje się, aby nie zgnieść jej w ramionach, nie pociągnąć na miękką trawę. Usłyszała błagalne pytanie:

- Katarzyno, Katarzyno, kiedy będziesz moja? Widzisz przecież, że nie mogę żyć bez ciebie.

- Bądź cierpliwy, przyjacielu... Musisz dać mi jeszcze trochę czasu.

- Dlaczego? Będiesz moja, czuję to, jestem tego pewien! Przed chwilą, kiedy cię całowałem, drżałaś. Katarzyno, obydwójecie jesteście młodzi, namiętni... dlaczego mamy czekać, marnować piękne godziny, które ofiarowuje nam czas? Wkrótce będę musiał odjechać. Wielu z moich towarzyszy powróciło już do walki, pozostałem właściwie tylko ja, a Anglicy nadal zajmują lepsze pozycje w Maine i Normandii. Wyjdź za mnie, Katarzyno.

Potrząsnęła głową.

- Nie, Piotrze... jeszcze nie! Jest zbyt wcześnie...

- Więc przynajmniej bądź moja, a ja obiecuję czekać na ciebie. Gdy zostaniesz moją żoną, będę ciągle cię adorował. Katarzyno, bądź moja, zanim odjadę. Od pierwszego spotkania twój obraz nie daje mi spokoju za każdym razem, kiedy tylko zamknę oczy.

Katarzyna poczuła, że się czerwieni. Ona również pamiętała niespodziewane wtargnięcie Piotra do komnaty podczas jej kąpieli. Widział ją już bez odzienia i, co ciekawe, dzięki temu wydawał jej się kimś bliskim, jakby znała go już od dawna.

Wsparła się miękko na jego piersi. Jedną ręką przytulał ją do siebie, a drugą rozwiązywał powoli srebrne wstążki kryzy, poszerzając w ten sposób skromne wycięcie sukni i szukając ciepła jej ciała. Pozwalała mu na to bierna i szczęśliwa, czujna jedynie na ogarniający ją, wypływający z tajemnych głębi jej ciała, niepokój.

Zdecydowanym ruchem zdjął jej kryzę i odsłonił ramiona. Wydekoltowana sukienka odsłoniła piersi, które zaczął delikatnie pieścić, chcąc obudzić rozkosz w tym od dawna pożądanym ciele. Osunęli się powoli na trawę. Wszystkie zapachy lata sprzymierzały się przeciw wstydnemu Katarzyny, która spoczęła na miękkiej trawie z zamkniętymi

oczami, drżąc od pocałunków Piotra. Próbował rozwiązać szeroki pas u sukni, lecz niecierpliwym, niezręcznym dłońmi to się nie udawało. Zaczęła się śmiać i uniosła się nieco, aby mu pomóc. Nagle śmiech zamarł jednak na jej ustach, zmienił się w okrzyk przerażenia. Obok nich stał mężczyzna z obnażonym mieczem w dłoni. Rozpoznała krótką brodę Bernarda d'Armagnaca!

- Wstawaj, Piotrze de Breze, odpowiesz mi za to!

- Za co? - zapytał młodzieniec, podparłszy się na łokciu.

- O ile wiem, Katarzyna nie jest ani twoją żoną, ani siostrą.

- Za to, żeś uwłaczał honorowi Arnolda de Montsalvy'ego, mojego towarzysza broni, mojego przyjaciela! W czasie jego nieobecności pilnuję tego, co jest jego własnością.

- Własności umarłego? - zapytał pogardliwie de Breze.

- Katarzyna jest wolna, zostanie moją żoną, zostaw nas w spokoju.

Katarzyna odgadła, że Gaskończyk ma ochotę powiedzieć wszystko, wykrzyzczyć prawdę. Przestraszyła się i szepnęła błagalnie:

- Bernardzie, litości!

Zawahał się, po czym rzucił ostro:

- Nie wiesz, co mówisz, panie! Chwyć za broń, jeśli nie chcesz, abym nazwał cię tchórzem!

- Bernardzie - powtórzyła wystraszona Katarzyna. - Nie masz prawa... Zabraniam ci!

Złapała Piotra za szyję, nieświadoma swej nagości, szalona z przestachu, że poleje się krew. Ale odsunął ją stanowczo.

- Zostaw mnie, Katarzyno! To nie twoja sprawa. Zostałem znieważony!

- Zabraniam wam się bić się! Mogę się kochać, z kim mi się podoba!

- Chciałbym, pani - ryknął Bernard z wściekłością - aby La Hire lub Xaintrilles zobaczyli cię w takim stanie, na wpół rozebraną jak jakaś rozpusznicę, uczepioną samca, o którego życie się obawia! Udusiliby cię od razu. Lepiej wyglądałaś na stosie w Montsalvy.

- Za taką obelgę zabiję cię, Pardiak! - wrzasnął Piotr z wściekłością, podnosząc z trawy miecz. - Broń się!

Przy pierwszym uderzeniu mieczy posypały się iskry. Drżąca i chora ze wstydu Katarzyna wycofała się pod drzewa i machinalnie zaczęła poprawiać toaletę. W tej chwili nienawidziła samej siebie, zawstydzona słowami Bernarda.

Walka była zaciekła. Wydawało się, że siły są równe, Piotr de Breze był wyższy i potężniejszy, lecz Kadet Bernard dotrzymywał mu kroku dzięki zadziwiającej wprost zręczności. Atakował i wycofywał się z szybkością węża. Ciężki miecz wydawał się przedłużeniem chudego ramienia. Słysząc było szybkie oddechy walczących.

Wsparta o chropowaty pień Katarzyna starała się uspokoić bicie serca. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby Piotr został zabity, lecz gdyby śmierć dosięgła Bernarda, czułaby się, jakby to zginął Arnold. W każdym razie, jeśli któryś z nich zginie, ona będzie zhańbiona i zostanie przepędzona z dworu. Cały ciężar jej winy spadnie na syna. Michał zapłaci za błędy swej matki.

Załamano ręce, wstrzymując szloch.

- Panie Boże, zlituj się nade mną! - szepnęła błagalnie. - Zrób coś, aby powstrzymać tę walkę.

Od strony słabo oświetlonego o tej porze zamku nie dochodził żaden dźwięk. Szczęk mieczy zdawał się wypełniać powietrze. Dźwięczał w

uszech przerażonej Katarzyny niczym dzwon katedralny. Jak taki potworny hałas mógł nie zainteresować ciekawskich, chociażby straży?

Nagle rozległ się cichy krzyk, któremu zawtórowała Katarzyna. Zraniony w ramię Piotr osunął się na ziemię. Kadet Bernard cofnął się i opuścił miecz. Katarzyna rzuciła się w stronę rannego. Strugi krwi płynęły z rany, a grymas bólu wykrzywił piękną twarz młodzieńca.

- Zabiłeś go, panie! - szepnęła zrozpaczona. - On umrze.

Ale Piotr uniósł się na ramieniu i próbował się uśmiechnąć.

- Nie, Katarzyno!... Nie zabił mnie. Wracaj szybko do zamku i nie mów nikomu o tym, co tu zaszło.

- Nie zostawię cię, panie.

- Ależ tak! Nie ma powodu do obaw... On mi pomoże - dodał, wskazując ruchem głowy przeciwnika.

- Dlaczego miałby ci pomóc, skoro pragnie wyłącznie twojej śmierci?

W ciemności błysnęły wilcze zęby Gaskończyka, który spokojnie oczyścił miecz i wsadził go do pochwy.

- Zaprawdę, moja droga, nic nie wiesz o mężczyznach. Uważasz, że mógłbym go zabić? Masz mnie za rzeźnika? Twój zalotnik, pani, dostał lekcję, na jaką zasłużył. Mam nadzieję, że nauczy go to rozumu, ot i wszystko! Wracaj do siebie i milcz. Zajmę się nim.

Pochylił się już, aby pomóc rannemu we wstawaniu, ale Piotr powstrzymał go ruchem dłoni.

- W takim razie odmawiam. Nigdy z niej nie zrezygnuję, panie Bernardzie. Tak więc, będziesz musiał mnie zabić.

- No więc zabiję cię później! Kiedy wyzdrowiejesz - powiedział spokojnie Bernard. - Wracaj teraz do siebie, Katarzyno - dodał krótko - i pozwól mi działać. Życzę ci dobrej nocy.

Oddaliła się posłusznie, ujarzmiona rozkazującym tonem jego głosu, opuściła ogród, przeszła przez wysoką, jeszcze otwartą bramę prowadzącą na dziedziniec zamku, nie wiedząc nawet, w którą stronę idzie. Płonęła ze wstydu i poniżenia. Prowadził ją instynkt. Kiedy doszła do swej komnaty, zobaczyła, że na progu stoi Sara. Na ten widok wstyd zamienił się w złość.

Obrzuciła Cygankę wściekłym spojrzeniem.

- Kto przysłał Kadeta Bernarda do sadu? To ty? Sara wzruszyła ramionami.

- Czyś ty oszalała? Nawet nie wiedziałam, że wrócił. Widzę, że ten Breze zawrócił ci w głowie. Tracisz zdrowy rozsądek...

- Zachowaj dla siebie te uwagi. Tak, próbowano go dzisiaj zabić. Kadet Bernard pojedynkował się z nim... zranił go. Ale wszyscy tracicie czas, bo nie uda się wam nas rozdzielić! Kocham go, słyszysz? Kocham go i będę jego, kiedy tylko zechcę. A im szybciej, tym lepiej!

- Zgadzam się z tobą - rzuciła chłodno Sara. - Zachowujesz się dokładnie jak kotka w rui. Potrzebujesz mężczyzny, to go bierz! Ale nie wierzę nic a nic w twoją miłość do niego. Udajesz sama przed sobą, Katarzyno. Wiesz dobrze, że się okłamujesz.

Obróciwszy się na pięcie, Sara weszła do małego pokoiku, starannie zamykając za sobą drzwi. Zaskoczona jej gwałtownym wyjściem Katarzyna patrzyła na zamknięte drzwi z osłupieniem. Poczowała ucisk w gardle. Miała dziecinną ochotę zapłakać, znaleźć schronienie w ramionach starej przyjaciółki. Ta waśń, która je rozdzieliła, była dla niej bardziej bolesna, niż chciała to przyznać. Wykorzystała do obrony dumę i nagle

okazało się, że duma ta jest bardzo krucha. Przez te wszystkie lata łączyło je tyle uczucia, tyle przyjaźni, tak wiele wspólnie doświadczyły! Sara zastąpiła jej matkę. Katarzynie wydawało się, że straciła część siebie.

Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, podniosła rękę, aby zastukać, ale przypomniała sobie rannego Piotra, usłyszała jego słowa miłości. Jeżeli pozwoli Sarze, ta bez wahania wyrwie ją z rąk młodzieńca. A Katarzyna nie chciała stracić tego już nieoczekiwanego i tak kruchego szczęścia. Jej ręka opadła powoli wzdłuż sukni. Jutro pójdzie do Piotra, sama będzie się nim opiekować, nawet jeśli wszyscy dojrzą w tym przepowiednię przyszłego związku. A poza tym, któż mógłby jej przeszkodzić stać się panią de Breze? Piotr błagał, aby się zgodziła, a ona miała na to ochotę. Przekonana o swej racji osunęła się na łożo.

Rozdział trzynasty

Z otwartymi oczami

Było już późne popołudnie, kiedy Katarzyna opuściła swoją komnatę i skierowała swe kroki do wieży Wielobocznej, gdzie miał swoją kwaterę Piotr de Breze. Zasłaniając się migreną, wymówiła się ze spaceru do sadu, gdzie królowa Maria wraz z damami dworu zamierzały spędzić parę godzin na słuchaniu pieśni minstrela i wygrzewaniu się w słońcu.

Prawdę powiedziawszy, migrena nie była całkiem udawana. Od samego rana skronie Katarzyny ścisnęła metalowa obręcz. Młoda kobieta

spała bardzo źle i z trudem obudziła się późnym rankiem. Na próżno wzywała Sarę, nikt nie odpowiadał i kiedy zaniepokojona zdecydowała się przekroczyć próg zamkniętych drzwi, stwierdziła, że ubieralnia jest pusta. Nie było nikogo, a na skrzyni leżał kawałek pergaminu.

Dotknęła go czubkiem palca z nagle ściśniętym sercem, jakby obawiała się potwierdzenia tego, co odgadywała. Kilka słów nakreślonych niezręcznym pismem Sary wcale jej nie zaskoczyło: *Wracam do Montsalvy... Nie jestem Ci już potrzebna.*

Przeszył ją tak silny ból, że musiała oprzeć się o mur i zamknąć oczy. Zza zamkniętych powiek spłynęły gorące łzy...

Czuła się samotna, opuszczona... prawie wzgardzona! Wczoraj musiała znosić przepełnione pogardą spojrzenie księcia de Pardiaca, a dzisiaj uciekła od niej Sara. Łączące je więzi jakby zostały nagle przerwane... Więzi te, Katarzyna teraz to rozumiała, miały swe korzenie głęboko w sercu. Ich zerwanie pozbawiło ją części jej samej.

W pierwszej chwili chciała wybiec z komnaty, kazać ścigać Sarę i sprowadzić ją siłą. Musiała odejść wczesnym rankiem, kiedy otwarto bramy, a więc nie zaszła jeszcze daleko. Ale Katarzyna rozmyśliła się. Miałyby wysłać pościg za tą wspaniałą kobietą jak za jakimś złoczyńcą? Nie mogła jej tego zrobić. Jedynym rozwiązaniem było udać się samej na jej poszukiwanie... Była na to zdecydowana.

W chwili kiedy kończyła się ubierać, do drzwi zapukał paź i klękając, wręczył jej wiadomość, która tym razem pochodziła od Piotra:

Jeśli mnie kochasz chociaż trochę... przyjdź do mnie, Ukochana, dzisiaj po południu odeślę wszystkich... Przyjdź! Płonę z tęsknoty. Czekam na Ciebie... Nie odmawiaj.

Słowa te rozpały jej oczy, jak pocałunki młodzieńca, które wczoraj rozpały jej usta. Ogarnęła ją straszna chęć, aby biec do niego natychmiast i zapłakać w jego ramionach. Czar liściku zadziałał. Katarzyna straciła ochotę, aby ruszyć na poszukiwanie Sary i znajdowała dla siebie różne usprawiedliwienia. Przecież stara przyjaciółka nie poszła na koniec świata. Udała się po prostu do Montsalvy... za jakiś czas wszystko się ułoży. Co więcej, wyruszenie w ślad za Sarą znaczyłoby, że przywiązuje do tej ucieczki dużą wagę. To samo uczucie, które wczoraj nie pozwoliło jej zastukać do drzwi, powstrzymało ją od osiodłania konia.

Prawdę powiedziawszy, Katarzyna starała się nie analizować swoich poczynań. Podświadomie nie była z siebie dumna, ale im bardziej jej prawdziwa natura protestowała, tym bardziej ona sama umacniała się w buncie. Uśmiech Piotra nałożył opaskę na jej oczy. Był zwiastunem czegoś, na co nie miała już nadziei: miłości, przyjemności, słodczy, miłego życia w świecie bez cierpienia, wszystkiego, co było udziałem młodości. Była niczym skowronek zachwycony połyskującym lustrem. Jej oczy nie chciały, nie mogły zobaczyć niczego innego...

Przy wejściu do wieży, gdzie mieszkał de Breze, ten sam paż czekał, aby zaprowadzić ją do pana. Pokłonił się głęboko, a następnie w milczeniu wywiązał się ze swej misji. Otworzył jakieś drzwi i oczarowana Katarzyna znalazła się w pomieszczeniu zalanym światłem zachodzącego słońca, gdzie Piotr leżał w łóżu.

- Nareszcie! - wykrzyknął, wyciągając w jej stronę obie ręce, podczas gdy paż wycofał się dyskretnie, a młoda kobieta podeszła do łóża.
- Czekam już na ciebie, pani, tyle godzin!

- Zastanawiałam się, czy przyjść - wyszeptała wzruszona jego widokiem w tym łozu.

Nigdy jeszcze nie wydawał się jej tak piękny, bardziej pociągający jak w tej chwili. Jego mocna pierś rysowała się na tle poduszek z czerwonego jedwabiu. Opatrunek zasłaniał lewe ramię, lecz Piotr nie wydawał się bardzo cierpieć. Twarz miał może trochę bladą, lecz oczy błyszcząły. Ręce, którymi trzymał dłonie Katarzyny, były gorące, ale na pewno nie tylko z powodu gorączki.

- Zastanawiałaś się, pani? - szepnął z wyrzutem, starając się przyciągnąć ją do siebie. - Dlaczego?

Opierała się opanowana nagłym zażenowaniem. Obecność w komnacie mężczyzny wydała się jej nagle nie na miejscu.

- Bo nie powinno mnie tu być! Pomyśl, panie, co by się stało, gdyby ktoś mnie tutaj zobaczył. Po tym, co się zdarzyło wczoraj...

- Wczoraj nic się nie zdarzyło. Zwichnąłem sobie ramię, spadając ze schodów. Trochę gorączkuję, więc zostałem u siebie. Cóż w tym niezwykłego? Przyszłaś, pani, w swej anielskiej dobroci, aby dowiedzieć się, jak się czuję. Cóż bardziej normalnego?

- A... Kadet Bernard?

- Poluje z królem, który, jak zapewne wiesz, ściga dzika od samego rana. A poza tym, czy sądzisz, pani, że pozwolę, aby cię straszył? Usiądź tutaj. Jesteś zbyt daleko... Zdejmij welon, kryjący twą uroczą twarz.

Posłuchała, uśmiechając się, wzruszona wymaganiami rozpieszczonego dziecka, które tak mocno kontrastowało z jego wspaniałą sylwetką mężczyzny.

- Dobrze - powiedziała. - Ale zostanę tylko przez chwilę. Król wkrótce powróci, a Kadet Bernard wraz z nim.

- Nie chcę więcej słyszeć tego imienia, Katarzyno! - wykrzyknął czerwony ze złości młodzieniec. - Jesteś wolna i nie ma powodu, aby wtrącał się do nas. Potraktował cię niegodnie. Jeszcze się z nim policzę. Moja słodka przyjaciółko, pozwól mi się tobą opiekować.

- Przecież... nie przeszkadzam ci w tym, panie - powiedziała z westchnieniem Katarzyna. - Opiekuj się mną, mój przyjacielu. Bardzo tego potrzebuję!

- A ja pragnę tego ze wszystkich sił. Jeszcze nie zrozumiałaś, jak bardzo cię kocham, Katarzyno, w przeciwnym razie powiedziałabyś „tak”.

Mówiąc to, przyciągnął ją do siebie i delikatnie przywarł wargami do jej opuszczonych powiek. Jego głos zmienił się w szept.

- Na co mamy czekać? Od kiedy powróciłaś do łask, wszyscy spodziewają się, że ogłosimy nasze zaręczyny. Sam król...

- Król jest taki dobry... ale nie wiem, tak szybko...

- Szybko? Tyle kobiet wychodzi powtórnie za mąż w miesiąc po śmierci małżonka. Nie możesz być sama w tym bezużytecznie pięknym świecie. Potrzeba ci szpady i obrońcy, a dziecku potrzebny jest ojciec.

Jego usta przesuwwały się szybkimi pocałunkami w kierunku jej ust. Przywarł do nich namiętnie, a ona, szczęśliwa i pozbawiona wszelkich smutków, zamknęła oczy.

- Powiedz, że mnie kochasz, moja miłości - poprosił czule. - Zostań moją żoną! Powiedz „tak”, Katarzyno, moja ukochana.

Te czule słowa wyrwały Katarzynę z oszołomienia. „Moja ukochana”! Tak mówił do niej Arnold... i z jakim uczuciem. Wydawało się jej, że słyszy głos małżonka. „Katarzyno, moja ukochana”. Nikt nie potrafił mówić tego tak jak on... Oczy jej zwilgotniały, lecz szepnęła suchymi wargami:

- Nie... to niemożliwe!

Odsunęła się od niego, zmuszając do rozplecenia ramion, które jeszcze przed chwilą ścisnęły ją tak mocno. Zapytał z lekką irytacją:

- Ale dlaczego niemożliwe? Dlaczego? Już ci mówiłem, pani, nikogo to nie zdziwi, a tym bardziej twoich bliskich. Nawet pani de Montsalvy spodziewa się, że zostaniesz moją żoną. Dobrze rozumie, że nie możesz żyć samotnie.

Katarzyna wstała gwałtownie. Poblądła patrzyła na Piotra niedowierzającym, a jednocześnie przestraszonym wzrokiem.

- Co powiedziałaś, panie? Źle usłyszałam.

Zaczął się śmiać, ponownie wyciągając w jej stronę ramiona.

- Ależ jesteś wystraszona, pani. Moje serduszko, wyolbrzymiasz sprawy tak naturalne, a...

- Powtórz, panie, co powiedziałaś - rzekła twardo Katarzyna. - Co moja teściowa może mieć z tym wspólnego?

Piotr nie odpowiedział od razu. Uśmiech zgasł na jego ustach, a brwi zmarszczyły się lekko.

- Nie powiedziałem nic nadzwyczajnego! Jakim tonem do mnie przemawiasz, najdroższa!

- Zostaw ton, jakim się do ciebie zwracam, i, na miłość boską, odpowiedz! Co ma z tym wspólnego pani de Montsalvy?

- Prawdę mówiąc, niewiele. Powiedziałem tylko, iż spodziewa się, że zostaniesz moją żoną. W czasie pobytu u niej w Montsalvy zwierzyłem się jej z mojej wielkiej miłości do ciebie i wyjawilem mą gorącą chęć poślubienia cię i wiarę, że cię do tego przekonam. To normalne... tak bardzo obawiałem się, iż zechce, abyś żyła wspomnieniami u jej boku w Owernii. Ale ona to zrozumiała.

- Co zrozumiała? - zapytała Katarzyna z bólem w głosie. - Dlaczego ośmieliłeś się jej o tym mówić? Kto ci pozwolił?

Zmieniona twarz ukochanej zrobiła na Piotrze wrażenie.

Wyczuwając instynktownie, że musi się bronić przeciw nieprzewidzianemu niebezpieczeństwu, okręcił się prześcieradłem i wyskoczył z łóża. Katarzyna osunęła się na ławę z oczami ciężkimi od powstrzymywanych łez i drżącymi rękami. Powtarzała:

- Dlaczego... dlaczego to zrobiłeś, panie? Nie miałeś prawa.

Ukląkł przy niej i ujął w dłonie jej lodowate ręce.

- Katarzyno - szepnął. - Nie rozumiem twej rozpacz. Przyznaję, że może pospieszyłem się trochę, ale chciałem się zorientować, czy nie będzie przeszkód, jeśli zdecydujesz się mnie poślubić. Wcześniej czy później, jakie to ma znaczenie?

Było mu naprawdę przykro, zrozumiała to i nie mogła mieć mu za złe. Wyrwana gwałtownie z marzeń, którymi żyła od tygodni, winiła tylko samą siebie. Popatrzyła na niego ze smutkiem w oczach.

- A co powiedziała moja teściowa, panie?

- Iż ma nadzieję, że będziemy szczęśliwi, że zapewnię ci pozycję i życie, na jakie zasługujesz.

- Tak powiedziała? - zapytała Katarzyna ze ściśniętym gardłem.

- Ależ tak. Widzisz więc, że niepotrzebnie się martwisz. Odpychając ramiona usiłujące ją powstrzymać, Katarzyna wstała.

- Niepotrzebnie... Posłuchaj, Piotrze: źle zrobiłeś, mówiąc to tej szlachetnej kobiecie.

Poderwał się gwałtownie. Był zły i chwycił ją za ramiona.

- Przestań się tak dziwnie zachowywać! Popatrz na mnie, pani. To, co mówisz, jest głupie. Nie zrobiłem jej krzywdy i nie masz prawa karać

nas za to. To duma przemawia przez ciebie, Katarzyno, a prawda jest taka, że obawiasz się osądu. Ale nie masz racji. Jesteś wolna, mówiłem ci to sto razy i powtarzam jeszcze raz. Twój małżonek nie żyje.

- Żyje! - rzuciła Katarzyna w rozpacz.

Piotr ugiął się pod ciężarem tych słów. Ręce opadły mu bezwładnie.

- Żyje? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic ponad to, co usłyszałeś. Mój małżonek umarł dla ludzi i świata, lecz nie umarł dla Pana.

- Nie rozumiem... wytłumacz mi.

Jeszcze raz opowiedziała bolesną historię, wyznała straszną prawdę, a w miarę jak mówiła, czuła się wyzwolona. Było tak, jakby odrzuciła całe upojenie ostatnich dni, ten pociąg jednocześnie romantyczny i zmysłowy, który rzucił ją w ramiona młodzieńca. Przywołując Arnolda do życia, odzyskała świadomość swej miłości do niego. Wydawało się jej, że może się od niego odwrócić, zapomnieć o nim, ale oto ożył na nowo, obecny między nią a mężczyzną, którego, jak jej się wydawało, kochała. Kiedy powiedziała wszystko, spojrzała Piotrowi prosto w oczy.

- Teraz wiesz, panie, wszystko... Wiesz, że mówiąc tej biednej matce o małżeństwie, popełniłeś zły uczynek... za który jestem całkowicie odpowiedzialna. Nie powinnam była dawać ci najmniejszej nadziei.

Odwrócił się. Wydało się nagle, że postarzał się o dziesięć lat.

- To straszne, Katarzyno... i bardzo żałuję... Ale ośmielałam się powiedzieć, że to w niczym nie zmienia mej miłości do ciebie ani mej decyzji poślubienia cię wcześniej czy później. Moja ukochana, będę na ciebie czekał tak długo, jak będzie potrzeba.

- „Moja ukochana” - szepnęła. - On mnie tak nazywał... Mówił to tak pięknie.

De Breze zeszywniał, gdyż to porównanie nie było dla niego korzystne.

- Mówię to z całego serca... Katarzyno - powiedział oburzony. - Obudź się! Cierpiałś bardzo, ale jesteś młoda, pełna życia. Kochałaś swego małżonka, kiedy było to możliwe. Ale nie możesz już nic dla niego zrobić... A teraz kochasz mnie.

- Nie!

Kiedy cofnął się o krok ze ściągniętymi rysami i błyskiem złości w oczach, powtórzyła:

- Nie, Piotrze, nie kocham... Wierzyłam w to przez chwilę, przyznaję, nawet jeszcze godzinę temu w to wierzyłam. Ale otworzyłeś mi oczy. Sądziłam, że mogę cię pokochać, lecz myliłam się... Nigdy nie pokocham innego mężczyzny, bo kocham Arnolda.

- Katarzyno! - jęknął boleśnie.

- Nie możesz tego zrozumieć, Piotrze. Zawsze kochałam tylko jego, oddychałam tylko dla niego... Jestem ciałem z jego ciała i cokolwiek by mu się stało, jakiegokolwiek nieszczęścia by go dotknęły, będzie dla mnie tym jedynym... jedynym mężczyzną na świecie. Sara opuściła mnie dzisiaj rano z twojego powodu, a ona się nie myli. Należę do Arnolda... wyłącznie do niego. Dopóki będzie tliło się we mnie życie, tak już pozostanie.

Zapadło milczenie. Piotr odsunął się od niej i podszedł do okna. Słońce prawie zaszło, złociste światło stawało się powoli fioletowe...

Zza rzeki doszedł dźwięk trąbki, potem następnej, a odpowiedziało im szczekanie sfory psów.

- Król wraca - powiedział odruchowo Piotr. Głuchy dźwięk jego głosu wywołał u Katarzyny drżenie.

Odwróciła się w stronę Piotra. Nie patrzył na nią... Stał nieruchomo przy oknie.

Zdawał się zastanawiać z opuszczoną głową, lecz nagle Katarzyna spostrzegła, że jego ramiona drżą. Zrozumiała, że płacze... Poczula olbrzymią litość. Powoli podeszła, podniosła rękę, aby ją położyć na jego ramieniu, ale nie odważyła się.

- Piotrze - szepnęła - chciałabym, abyś się nie smucił.

- Nie możesz temu zapobiec - odpowiedział twardo. Ponownie zaległa między nimi cisza, a potem nie odwracając się, zapytał:

- Co zrobisz, pani?

- Wyjadę - odpowiedziała bez wahania. - Pojadę do rodziny, powiem im, że nic się nie zmieniło, że nadal jestem jego żoną...

- A potem w tych swoich górach będziesz czekała na śmierć? - zapytał z goryczą.

- Nie... potem wyrwę Arnolda z tego straszego lazaretu, gdzie pozwoliłam mu się zaszyć, zabiorę w jakiś odległy, spokojny zakątek i pozostanę z nim aż...

Panem de Brezem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Odwrócił się gwałtownie, zwracając ku młodej kobiecie zrozpaczoną twarz.

- Nie możesz tego zrobić... Masz syna, nie masz prawa popełnić samobójstwa, i to w tak straszny sposób.

- To życie bez niego jest samobójstwem... Spełniłam swoje zadanie. Ród Montsalvych ponownie stał się tym, czym był. La Tremoille został pokonany. Teraz mogę pomyśleć o sobie... i o nim.

Nie czyniąc najmniejszego hałasu, podeszła do drzwi i otworzyła je. Za nimi czekał paż. Na progu jeszcze się odwróciła. Stojący przy oknie Piotr uczynił ruch, jakby wyciągał ramiona.

- Katarzyno - szepnął błagalnie. - Zostań ze mną!

Ona jednak potrząsnęła głową, uśmiechając się łagodnie.

- Nie, Piotrze. Zapomnij o mnie. Tak będzie lepiej.

Następnie, jakby obawiając się tego głosu, który ją tak wzruszał, odwróciła się szybko i zbiegła po schodach.

Kiedy wyszła na dziedziniec, grający na rogach myśliwi przejeżdżali przez bramę. Pośród nich dostrzegła króla, a tuż obok niego drobną postać uśmiechniętego Bernarda d'Armagnaca.

Raptem mały dziedziniec zapełnił się pełnym życia, kolorowym tłumem. Przybiegło parę dam, inne wyglądały przez okna, żartując z myśliwymi. Słysząc było okrzyki i wybuchy śmiechu. Tym razem Katarzyna nie miała ochoty przyłączyć się do nich. Znowu zawładnęła nią myśl o Arnoldzie. Od tych ludzi oddzielał ją mur, zbyt wysoki, aby dało się go przekroczyć. Tylko jedna dłoń mogłaby wprowadzić ją z powrotem do tego świata, który stał się jej obcy. Ta dłoń nie miała jednak ani prawa, ani możliwości, aby to uczynić. Ale tak naprawdę, nie miało to znaczenia. Musiała pójść za przeznaczeniem i teraz spieszno jej było do swoich.

* * *

Następnego ranka Katarzyna pożegnała się z królem, uprzednio z trudem uzyskawszy od królowej Marii zgodę na wyjazd, gdyż ta nie mogła zrozumieć jej pośpiechu.

- Dopiero co przyjechałaś, moja droga. Czy już się nami znudziłaś?

- Nie, pani... ale tęsknię za synem i jestem potrzebna w Montsalvy.

- Więc jedź, lecz wróć z dzieckiem najszybciej, jak będzie to możliwe. Znajdziesz miejsce wśród moich dam dworu, a delfin już wkrótce będzie potrzebował paziów.

Karol VII powiedział młodej kobiecie mniej więcej to samo i dodał:

- Tak pięknych kobiet nie spotyka się często, a ty, pani, już chcesz nas opuścić? Cóż jest takiego w Owernii, że tak pragniesz się tam udać?

- To wspaniała kraina, panie, i na pewno byś ją pokochał. Czeka tam na mnie syn. I ruiny...

Zmarszczka pojawiła się na czole króla, ale zaraz znikła pod uśmiechem.

- A ty, pani, czujesz się na siłach, aby wziąć się za odbudowę? Wspaniale, pani Katarzyno! Lubię, kiedy kobieta łączy w sobie zdecydowanie, energię i tyle urody. Ale czy znajdzie się tam miejsce dla mego przyjaciela, Piotra de Brezego? Czy pojedzie z tobą, pani? Bardzo go tutaj potrzebuję...

Katarzyna zeszywniała i opuściła oczy, próbując opanować zmieszanie. Nie była jeszcze całkowicie wyleczona z marzeń. Imię Piotra wywoływało bolesne wspomnienia.

- On nie pojedzie ze mną, panie. Pan de Breze jest moim dobrym przyjacielem, prawdziwym rycerzem. Ale ma swoje życie, tak jak ja mam swoje. Wzywa go pole walki, a ja muszę zająć się domem.

Karolowi nie było brak ogłady. Z lekkiego drżenia głosu młodej kobiety wywnioskował, że coś się wydarzyło i więcej nie nalegał.

- Czas jest pomocny w wielu sprawach, piękna pani... przez moment myślałem, że będziemy mieć wkrótce zaręczyny, ale, jak widać, myliłem się. Czy pozwolisz jednak, pani Katarzyno, aby król dał ci radę? Nie chciałbym, abyś w przyszłości czegoś żałowała. To byłoby niesprawiedliwe.

Wzruszona królewską troskliwością bardziej, niż chciała przyznać, Katarzyna uklękła, aby pocałować dłoń Karola. Uśmiechnęła się dzielnie.

- Nie będę niczego żałowała. Ale jestem waszej wysokości wdzięczna za dobroć. Nigdy jej nie zapomnę.

Uśmiechnął się do niej z nieśmiałością, jaką zawsze odczuwał w obecności pięknych kobiet.

- Być może wkrótce udam się do Owernii - powiedział w zadumie. - Więc jedź teraz, księżno de Montsalvy. Jedź spełnić swoje zadanie. Wiedz tylko, że król ma nadzieję zobaczyć cię w niedalekiej przyszłości... I że zabierasz ze sobą jego szacunek.

Odszedł, pozostawiając pośrodku wielkiej sali klęczącą Katarzynę. Słyszała jego cichnące kroki i wstała powoli. Była trochę mniej smutna. Przepęłniała ją duma. Karol rozmawiał z nią nie jak z kobietą, lecz jak z jednym z kapitanów, tak jak z pewnością rozmawiałby z Arnoldem.

Musiała jeszcze pożegnać się z królową Jolantą. Udała się do niej natychmiast, mając zamiar po raz trzeci podać to samo wytłumaczenie, ale nie było to potrzebne. Królowa Czterech Królestw uściskała ją tylko.

- Dobrze robisz - powiedziała. - Tego się po tobie spodziewałam. Młody Breze nie byłby dla ciebie odpowiedni... właśnie dlatego, że jest młody.

- Jeśli tak uważasz, królowo, czemu mi o tym nie powiedziałaś?

- Bo przecież chodzi o twoje życie. Nikt nie ma prawa kierować losem innych. Nawet... co ja mówię... przede wszystkim stara królowa. Wracaj do Owernii. Nie brak tam pracy. Potrzebujemy w naszych prowincjach ludzi takich jak Montsalvy. Ludzie waszego pokroju, moja droga, są tacy jak góry w tej krainie: nie można ich zniszczyć! Ale nie chciałabym cię stracić całkowicie.

Ruchem dłoni Jolanta wezwała do siebie Annę de Bueil, która jak zwykle haftowała coś przy kominku.

- Podaj mi szkatułkę z kości słoniowej - poleciła królowa.

Kiedy dwórka ją przyniosła, królowa zanurzyła w niej długie, szczupłe palce i wyciągnęła wspaniały pierścień ze szmaragdem i z wygrawerowanym herbem, który podała zaskoczonej Katarzynie.

- Dawno temu emir Saladin dał ten szmaragd jednemu z moich przodków, który wybawił go od śmierci. Weź go, Katarzyno, na pamiątkę, na znak mojej przyjaźni i wdzięczności dla ciebie. Dzięki tobie możemy w końcu sprawować władzę, król i ja.

Katarzyna zacisnęła drżącą dłoń na wspaniałym klejnocie. Następnie uklękła, aby ucałować dłoń swej pani.

- Pani... Taki wspaniały prezent! Nie wiem, co powiedzieć...

- Nie mów nic. Jesteś taka jak ja: wzruszenie nie pozwala ci znaleźć odpowiednich słów i tak jest bardzo dobrze. Ten pierścień przyniesie ci szczęście i może będzie ci pomocny. Wszyscy moi poddani we Francji, w Hiszpanii, a także na Sycylii, Cyprze i w Jeruzalem na widok tego klejnotu okażą ci pomoc. Daję ci go jako list żelazny, gdyż czuję, że możesz go potrzebować. Zależy mi, aby cię kiedyś znów zobaczyć i to w dobrym zdrowiu.

Audiencja była skończona. Katarzyna ukloniła się po raz ostatni. - Żegnaj, pani...

- Nie, Katarzyno - uśmiechnęła się królowa. - Nie żegnaj, lecz do widzenia. Niech cię Bóg prowadzi!

Jeśli Katarzyna sądziła, że to już koniec pożegnań, była w błędzie. Gdy wyszła na dziedziniec, aby udać się do kancelarii po dokument rehabilitacyjny, wpadła prosto na Bernarda d'Armagnaca, który chodził po dziedzińcu tam i z powrotem, jakby na kogoś czekał. Nie widziała go od czasu wydarzeń w sadzie i spotkanie nie sprawiło jej najmniejszej

przyjemności. Chciała przejść, udając, że go nie dostrzega, ale rzucił się w jej stronę.

- Czekałem na ciebie, pani. W zamku mówi się tylko o twoim wyjeździe. Kiedy dowiedziałem się, że jesteś u królowej Jolanty, postanowiłem na ciebie zaczekać. Ani ty, ani ona nie należycie do kobiet przedłużających pożegnania.

- Masz rację. Żegnaj księżę! - powiedziała chłodno Katarzyna.

Skruszony uśmiech zmarszczył inteligentną twarz gaskońskiego szlachcica.

- Ach! Widzę, że jesteś bardzo na mnie obrażona! Pewnie masz rację. Przychodzę prosić cię o wybaczenie, Katarzyno. Tamtej nocy byłem wściekły. Mogłem was zabić.

- Ale tego nie zrobiłeś, panie. Wierz mi, jestem ci bardzo wdzięczna.

Sądziła, że jej godna postawa zawstydzi Kadeta Bernarda. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu nic takiego nie nastąpiło. Gaskończyk wybuchnął śmiechem.

- Katarzyno, przestań się dąsać. Wierz mi, to do ciebie nie pasuje!

- Pasuje czy nie, niczego innego nie mam w zanadru. Sądziś, panie, że po tym wszystkim rzucę ci się na szyję?

- Powinnaś, pani. Uratowałem cię przecież od straszego głupstwa. Gdybyś uległa zalotom tego bawidamka, żałowałabyś teraz z całego serca.

- Co możesz wiedzieć na ten temat?

- Przestań, pani. Breze nie umarł od ciosu mego miecza. Gdyby ci na nim naprawdę zależało, poszłabyś do jego komnaty jeszcze tej samej nocy, a nie uczyniłaś tego.

- Poszłam następnego dnia.

- Ale wyszłaś stamtąd z zaczerwienionymi oczami i z miną kogoś, kto podjął ważną decyzję. Widzisz, pani, że jestem dobrze poinformowany.

- Coś mi mówi, że twoi szpiedzy nie powiedzieli ci wszystkiego.

- Tak, Katarzyno! Przypomniałaś sobie o małżonku. Gdyby tak nie było, dlaczego opuszczałaś zamek? Dlaczego Breze przejechał przed godziną przez zwodzony most na czele swojego oddziału? Pojechał na pomoc panu de Lore, którego Anglicy zaatakowali w twierdzy Saint-Ceneri.

- Ach! - szepnęła cicho młoda kobieta. - Więc on wyjechał?

- Tak. Wyjechał. Bo go odepchnęłaś! Nie zawiodłem się na tobie, Katarzyno. Jesteś tą, którą wybrał wielki Montsalvy. Chcesz, żebyśmy zawarli pokój? Mam wielką chęć ponownie zostać twoim przyjacielem.

Jego żal i skrucha były autentyczne, a Katarzyna nie umiała długo się gniewać na kogoś, kto potrafił przyznać się do błędów. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do młodzieńca.

- Ja również się myliłam. Zapomnijmy o wszystkim, Bernardzie... Przyjedź do Montsalvy, kiedy będziesz w Lectoure. Jesteś tam zawsze mile widziany. Powierzę ci Michała, kiedy przyjdzie czas, aby został paziem. Wierzę, że potrafisz uczynić go takim, jakim chciałby go widzieć Arnold. A teraz pożegnajmy się.

- Możesz na mnie liczyć! Do widzenia, piękna Katarzyno.

Zanim zdała sobie sprawę, wziął ją za ramiona i ucałował w policzki.

- Powiem panom Xaintrailles'owi i La Hire'owi, jakim jesteś dzielnym kapitanem. Chciałem dać ci na drogę eskortę, ale zdaje się, że król już o to zadbał.

- Na szczęście tak. Wolę kogoś bardziej spokojnego od tych piekielnych Gaskończyków. Aby utrzymać ich w ryzach, potrzeba silnej ręki, a ja nie jestem Arnoldem de Montsalvym!

Kadet Bernard, który już się oddalał, zatrzymał się, odwrócił na chwilę, popatrzył na Katarzynę i rzekł poważnie:

- Sądzę, że jesteś.

* * *

Kiedy następnego ranka Katarzyna przejeżdżała koło wieży Zegarowej, dachy Chinon i spokojne wody rzeki Vienne rozświetlała jutrzienka. Wszystkie dzwony miasta były na Anioł Pański, a unoszący się w powietrzu dźwięk dotarł aż do małej grupki ludzi wyjeżdżających z zamku. Eskorta, którą król dał do dyspozycji Katarzynie, składała się z Bretończyków. Na ich czele stał Tristan Eremita, który poprzedniego wieczoru poinformował Katarzynę, że będzie jej towarzyszył aż do Montsalvy, a następnie dołączy do konetabla Richemonta w Parthenay. Bardzo się z tego ucieszyła. Król nie mógł lepiej wybrać. Ten cichy Flamandczyk bardzo się nadawał do takiego zadania. Cechowały go zimna krew, przebiegłość, spokojna odwaga i umiejętność dowodzenia. Powiedziała mu to.

- Zajdziesz daleko, przyjacielu Tristanie. Masz wszelkie dane, aby stać się kimś ważnym.

Zaczął się śmiać.

- Nie dalej jak wczoraj... powiedziano mi to samo. Czy wiesz, pani Katarzyno, że nasz dziesięcioletni delfin zainteresował się moją osobą? Obiecał mi, że się mną zajmie, kiedy zostanie królem. To chyba nasze wyczyny przeciw panu de La Tremoille'owi zrobiły na nim wrażenie.

Oczywiście nie przywiązuję zbyt dużej wagi do tego rodzaju obietnic. Książęta, zwłaszcza młodzi, nie mają dobrej pamięci.

Katarzyna potrząsnęła głową. Przypomniała sobie badawcze, ostre i z trudem dające się wytrzymać spojrzenie delfina Ludwika. Spojrzenie, które nie potrafi zapomnieć.

- Sądzę, że będzie o tym pamiętał - powiedziała krótko.

Tristan potrząsnął tylko głową z powątpiewaniem. Jechał teraz spokojnie obok niej, trochę ociężały, jak człowiek znający długie i monotonne jazdy, umiejący spać w siodle. Z kapturem naciągniętym na oczy, aby ochronić je przed promieniami wschodzącego słońca, poddawał się miarowemu marszowi konia.

Katarzyna nałożyła chłopięcy strój, który miała na sobie, opuszczając Angers. Lubiła wkładać męskie odzienie, w którym czuła się swobodniej. Z nogami wygodnie ułożonymi w strzemionach, spoglądała na miasto, jakby widziała je po raz pierwszy. Odniosła w nim zwycięstwo, którego pragnęła, i jeszcze inne, nieoczekiwane - nad samą sobą. Chinon stało się jej bardzo drogie w momencie, kiedy je opuszczała.

Pocziwi ludzie zaczęli dzień. Ze wszystkich stron słyhać było trzask odmykanych okiennic, otwierano sklepiki i stragany. Wczorajsza silna ulewa obmyła drobny bruk. Kiedy przybyli do wielkiego skrzyżowania, Katarzyna dostrzegła w pobliżu studni kilkunastoletnią dziewczynkę, która, siedząc na cembrowinie, wiązała bukiety róż. Te róże były takie świeże... i przypominały Katarzynie inny bukiet, który wrzucono jej któregoś wieczoru przez okno w oberży imię Baranka. Zatrzymała konia tuż obok kwaciarki.

- Twoje róże są piękne. Sprzedaj mi jeden bukiet. Dziewczynka podała jej najpiękniejszy.

- Należy się pięć centymów, szlachetny panie - powiedziała, kłaniając się z uśmiechem, ale zaraz poczerwieniała jak wiśnia, biorąc złotą monetę, którą dostała w zamian za kwiaty, i wykrzyknęła radośnie: - Och! Dziękuję, szlachetny panie!

Katarzyna ruszyła w dalszą drogę, kierując się w stronę mostu fortecznego na rzece Vienne. Zanurzyła twarz w kwiatach i z zamkniętymi oczami wdychała cudowny zapach. Tristan zaczął się śmiać.

- Długo już nie zobaczymy takich róż. W tej biednej Owernii nie rosną wcale. Ich dom jest tutaj, w Turenii.

- Dlatego je kupiłam. Będą przywoływać tę słodką krainę nad Loarą i jeszcze inne wspomnienia... wspomnienia, które może odejdą, kiedy te kwiaty zwiędną.

Zbrojny oddział przekroczył most, pozdrawiany przez żołnierzy ze straży, którzy rozpoznali ludzi konetabla. Po drugiej stronie rzeki konie ruszyły galopem. Katarzyna i jej eskorta zniknęli w tumanie kurzu.

Część trzecia

Droga świętego Jakuba

Rozdział czternasty

Ludzie z Montsalvy

Było już dobrze po dziesiątej wieczór i dawno zapadł zmrok, kiedy Katarzyna i Tristan Eremita wraz z eskortą zaczęli zbliżać się do Montsalvy, kresu wyczerpującej podróży. Słońce osuszyło drogi z błota, zamieniając je w kurz. Na szczęście dobra pogoda pozwalała na spanie pod gołym niebem i długą jazdę. Wzięli dużo żywności na drogę, więc w zajazdach zatrzymywali się rzadko. W większości zresztą nie można było nic dostać.

W miarę jak się zbliżali do celu, niecierpliwość Katarzyny zdawała się rosnać, a dobry humor całkiem ją opuścił. Niewiele mówiła i godzinami jechała z oczami utkwionymi gdzieś przed siebie, jakby gnał ją gorączkowy pośpiech. Tristan obserwował ją z boku, nie ośmieliwszy się zadawać pytań. Pędziła najszybciej, jak to było możliwe, wzdychając ze złością, kiedy trzeba było się zatrzymać. Ale konie potrzebowały wypoczynku.

Kiedy jednak przejechali przez Aurillac, Katarzyna kazała zwolnić, jakby obawiając się zbliżyć do tych gór, wśród których nadal biło serce Arnolda. A kiedy oczom ich ukazały się, niczym ciemna korona, mury i wieże Montsalvy, zatrzymała konia i stała przez chwilę nieruchomo, ze ściśniętym sercem, spoglądając na pejzaż, z którym nie miała czasu się oswoić.

Zaniepokojony Tristan podjechał do niej.

- Co się z tobą dzieje, pani Katarzyno?

- Nie wiem... przyjacielu Tristanie, nagle poczułam strach!

- Strach przed czym?

- Nie wiem - powtórzyła. - Jakby jakieś... przecucie.

Nigdy jeszcze nie czuła czegoś podobnego: dławiącego lęku przed tym, co czekało ją za tymi niemymi murami. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że nic się nie dzieje. Przecież tam był Michał, Sara, Walter. Jednak nawet obraz synka nie odsunął tego uczucia. Zwróciła wzrok w stronę Tristana.

- Jedźmy - powiedziała w końcu. - Ludzie są zmęczeni.

- Ty również, pani - rzekł Flamandczyk. - W drogę!

O tej porze bramy były już zamknięte, więc Tristan wyciągnął zza pasa róg i zatrąbił trzy razy. Po chwili zza blanki wychylił się człowiek z latarnią.

- Kto tam?

- Otwieraj - krzyknął Tristan. - Szlachetna pani Katarzyna de Montsalvy wraca do dworu. Otwieraj!

Strażnik wydał nieartykułowany dźwięk. Światło znikło, a w chwilę później ciężka brama otworzyła się ze zgrzytem. Człowiek pojawił się ponownie i podszedł do koni, podnosząc latarnię.

- To rzeczywiście nasza pani - powiedział uradowany. - Niech Bóg cię błogosławi, bo przybywasz w porę. Posłałem po zarządcę, aby przywitał cię godnie.

Rzeczywiście, jedyną, wąską, uliczką grodu biegła kołysząca się postać. Uradowana Katarzyna poznała starego Saturnina. Biegł tak szybko, jak pozwalały mu stare nogi i wykrzykiwał:

- Pani Katarzyna! Powróciła pani Katarzyna! Powróciła nasza pani. Dzięki ci Wszechmogący!

Był bardzo zdyszany. Wzruszona i lekko rozbawiona Katarzyna chciała zeskoczyć z konia, aby go powitać, lecz on rzucił się w jej stronę.

- Zostań w siodle, pani. Stary Saturnin chce cię poprowadzić do opactwa, jak niegdyś prowadził cię do swego folwarku.

- Jestem taka szczęśliwa, że cię widzę, Saturninie, i że jestem w Montsalvy.

- Zobacz, szlachetna pani, jak wszyscy cieszą się z twego powrotu.

Rzeczywiście, jakby za sprawą czarów, wszędzie otwierały się okna i drzwi, a z nich wychylały się postacie dzierżące w rękach łuczywa. W

jednej chwili uliczka rozświetliła się, a zgodny chór radosnych głosów jął wykrzykiwać:

- Wróciła nasza pani!

- Zazdroszczę ci - szepnął Tristan. - Takie powitanie musi cię bardzo radować.

- To prawda. Nie spodziewałam się tego, przyjacielu Tristanie.

Jestem taka szczęśliwa... Taka szczęśliwa!

Miała w oczach łzy. Sztywny z dumy Saturnin ujął konia za uzdę i prowadził powoli ulicą. Katarzyna przejechała wzdłuż dwóch szpalerów ludzi; płonące łuczycywa rozświetlały ich radosne twarze. Widać było jedynie błyszczące oczy i otwarte usta, z których wydobywały się okrzyki radości.

- Czegóż się więc obawiasz, pani? - szepnął Tristan. - Wszyscy cię tutaj uwielbiają.

- Chyba tak. Nadal nie wiem, czego się bałam. To jest cudowne! To jest...

Słowa zamarły na jej ustach. Zbliżyli się do otwartej bramy opactwa. Katarzyna zobaczyła na progu olbrzymią postać Waltera. Spodziewała się, że też podbiegnie do niej, jak to zrobił Saturnin. Ale olbrzym ani drgnął. Co więcej, skrzyżował ramiona, jakby broniąc przejścia. Jego twarz była jak z granitu. Nie malował się na niej ani cień uśmiechu. Katarzyna zadrżała, gdy jej spojrzenie skrzyżowało się z lodowatym spojrzeniem jego oczu.

Zsiadła z konia przy pomocy Saturnina i podeszła do Normandczyka. Patrzył na nią, nie czyniąc najmniejszego ruchu, nie robiąc w jej stronę najmniejszego kroku. Próbowwała się uśmiechnąć.

- Walterze! - krzyknęła. - Cieszę się, że cię widzę! Ale żadne słowo powitania nie wydobyło się z zaciśniętych ust. Zapytał sucho:

- Czy przybywasz pani sama?

- Jak to? - spytała ze zdziwieniem.

- Pytam, czy jesteś, pani, sama? - powtórzył niewzruszenie Normandczyk. - Nie ma z tobą tego bawidamka, którego zamierzasz poślubić? Z pewnością pozostał w tyle, abyś mogła wjechać do grodu.

Katarzyna poczerwieniała gwałtownie, trochę z upokorzenia, a trochę ze złości. Bezcelność Waltera nieco ją zmieszała. Ośmielał się atakować ją gwałtownie przed wszystkimi. Nie chciała stracić twarzy, musiała więc działać. Podeszła zdecydowanym krokiem w stronę bramy.

- Z drogi! - powiedziała chłodno. - Kto ci pozwolił zadawać mi pytania?

Walter ani drgnął. Jego olbrzymia sylwetka nadal zagradzała przejście. Tristan zmarszczył brwi, podniósł rękę do miecza. Ale Katarzyna powstrzymała go szybkim gestem.

- Zostaw, przyjacielu Tristanie. To moja sprawa. No, no - rozkazała twardo - daj mi przejść! Czy to tak wita się panią powracającą do domu?

- To nie jest twój dom, to dom opata. A ty, Katarzyno, czy jesteś jeszcze tego godna, aby być tutaj panią?

- Cóż za zarozumiałość! - wykrzyknęła wyprowadzona z równowagi.
- Czy to przed tobą mam się tłumaczyć? Chcę zobaczyć moją teściową.

Walter odsunął się z niechęcią. Katarzyna przeszła sztywno obok niego i weszła na dziedziniec opactwa. Wtedy on rzucił chłodno:

- Śpiesz się, pani! Ona już długo nie pożyje.

Katarzyna zatrzymała się gwałtownie. Przez chwilę stała nieruchomo, a następnie odwróciła w stronę Normandczyka wystraszone spojrzenie.

- Jak to? - wyjąkała. - Co powiedziałeś?

- Że umiera. Ale chyba nie przeszkadza ci to specjalnie. Zniknie jeszcze jedna kłopotliwa więź.

- Nie wiem, kim jesteś, przyjacielu - rzucił z wściekłością Tristan - ale twoje zachowanie jest dość szczególne. Czemu zachowujesz się tak niegrzecznie wobec swojej pani?

- A ty kim jesteś, panie? - zapytał pogardliwie Walter.

- Tristan Eremita, koniuszy Jego Wysokości konetabla, zobowiązany przez króla do przywiezienia księżnej de Montsalvy do domu i do przypilnowania, aby nie spotkało jej nic złego. Czy jesteś zadowolony?

Walter potwierdził ruchem głowy. Wyrwał pochodnię płonąca pod sklepieniem i poprowadził podróżnych w stronę domu gościnnego opactwa. Po ruchu, jaki panował w wiosce, cisza w klasztorze była zaskakująca. Mnisi spali już w celach, opata nie było widać. Paliło się tylko kilka świeczek. Na progu nie było nikogo i Katarzyna schwyciła Waltera za ramię.

- Co z Sarą? Czy ona tutaj jest? Popatrzył na nią zdumiony.

- Dlaczego miałyby tutaj być? Nigdy cię nie opuszczała...

- A jednak mnie opuściła - powiedziała Katarzyna ponuro. -

Zamierzała wrócić do Montsalvy. Nie wiem nic ponad to, że nie spotkałam jej na drodze.

Walter nie odpowiedział od razu. Jego szare oczy spojrzały na nią pytająco. Wzruszył ramionami i wyszeptał z gorzką ironią:

- Więc ona również, pani Katarzyno! Jak mogłaś uczynić tyle zła?

Zrozpaczona, prawie wykrzyknęła:

- Jakiego zła? Cóż takiego uczyniłam, aby zasłużyć na waszą niechęć? O co mnie oskarżacie?

- O to, że przysłałaś tutaj tego człowieka! - powiedział twardo Walter. - Mogłaś zostać jego, jeśli miałaś taką ochotę, ale nie musiałaś przysyłać go tutaj, aby paradował i głosił wszem i wobec wielką miłość do ciebie! Jak sądzisz, dlaczego umiera pani de Montsalvy... ta prawdziwa? Z powodu zwierzeń twojego kochanka, pani!

- Nie jest moim kochankiem! - zaprotestowała gwałtownie Katarzyna.

- Twojego przysłego małżonka, pani, jeśli tak brzmi lepiej.

Katarzyna chwyciła oburącz ciężką rękę Normandczyka. Odczuła olbrzymią chęć, aby się usprawiedliwić. Nie mogła już dłużej znieść ciężaru tych oskarżeń.

- Posłuchaj mnie, Walterze. Czy uwierzysz mi, jeśli ci obiecuję, że nie zostanie moim mężem, a może nawet nigdy więcej go nie zobaczę?

Olbrzym nie odpowiedział od razu, wydawał się szukać odpowiedzi w oczach Katarzyny. Ale powoli jego twarz zaczęła łagodnieć.

Spontanicznie ujął dłonie młodej kobiety.

- Tak - powiedział ciepło - uwierzę ci, pani. I jakże będę szczęśliwy! Chodź teraz szybko powiedz jej, że nigdy nie myślałaś, aby zastąpić kimś innym pana Arnolda. Bardzo z tego powodu cierpiała!

Tristan Eremita spoglądał na nich z szeroko otwartymi oczami. Najwyraźniej nic z tego nie rozumiał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego taka wielka pani usprawiedliwia się przed takim grubianinem. Spozregła to, uśmiechnęła się i rzekła krótko:

- Nie możesz tego zrozumieć, przyjacielu Tristanie. Wszystko ci wytłumaczę.

Skłonił się, nie odpowiadając i odgadując, że jest zbyteczny. Poprosił, aby zaprowadzono go tam, gdzie on i jego ludzie będą mogli odpocząć. Walter wskazał na grubego, zaspanego i ziewającego mnicha.

- To jest brat Euzebiusz, odźwierny, który zajmie się wami. Zaprowadzi konie do stajni, ludzie położą się na słomie w stodole, a ty, panie, dostaniesz komnatę.

Tristan skłonił się ponownie przed Katarzyną, a następnie wraz ze swoimi ludźmi oddalił się za bratem Euzebiuszem.

Młoda kobieta przekroczyła ze wzruszeniem próg domu gościnnego, który opuściła wiele miesięcy temu wraz z Arnoldem i Kadetem Bernardem, aby udać się do Carlat. Z całych sił starała się przepędzić smutne wspomnienia. Potrzebowała dużo odwagi, aby wyjść naprzeciw temu, co ją tutaj czekało.

W wąskim, niskim przedsionku spojrzała na Waltera.

- A mój syn?

- O tej porze śpi.

- Chcę go zobaczyć. Już tak dawno...

Walter uśmiechnął się zdawkowo i ujął Katarzynę za rękę.

- Chodź, pani, to doda ci odwagi.

Zaprowadził ją do małej, ciemnej izby, z której przechodziło się do innego, słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym Katarzyna dostrzegła starą Donatę, żonę Saturnina, śpiącą na ławie. Światło świecy ukazywało zmęczoną twarz kobiety.

- Już od trzech nocy czuwa przy naszej pani. Zwykle śpi przy paniczu.

To mówiąc, wziął z kufra świecę i zapalił ją od łuczywa płonącego nad drzwiami. Potem stanął przy łóżku małego Michała, unosząc drżący płomień nad głową dziecka. Zachwycona Katarzyna osunęła się na kolana, składając ręce jak przed tabernakulum.

- Mój Boże - wyjąkała. - Jaki on śliczny! A jaki podobny do ojca - dodała drżącym głosem.

Była to prawda. Pod gęstą czupryną złocistych loków rysował się już wyraźny profil Arnolda. Okrągłe, różowe policzki, na które długie rzęsy rzucały łagodny cień, miały dziecięcą słodycz, ale mały nos wyrażał już dumę, a zamknięte usta zdecydowanie.

Serce Katarzyny topniało z czułości, lecz nie ośmieliła się pochylić nad chłopcem. Wyglądał jak mały śpiący aniołek i obawiała się, że najmniejszy ruch może go obudzić.

Spostrzegł to Walter, który również przyglądał się dziecku z dumą.

- Możesz go, pani, pocałować - powiedział z uśmiechem. - Kiedy śpi, mogą bić pioruny, a on ani nie drgnie.

Pochyliła się więc z uwielbieniem i dotknęła wargami lekko wilgotnego czoła. Michał się nie obudził, ale na jego twarzyczce pojawił się uśmiech.

- Mój malutki - szepnęła przepełniona miłością. - Mój malutki!

Chętnie zostałaby tu przez całą noc, klęcząc przy łóżku syna i patrząc, jak śpi, lecz w sąsiednim pomieszczeniu dał się słyszeć kaszel. Przebudzona Donata rzuciła się w głąb izby.

- Pani Izabela musiała się obudzić - szepnął Walter.

- Idę do niej - powiedziała Katarzyna.

Teraz doszedł do niej świszczący oddech przerywany suchym kaszlem.

Wbiegła zwawo do pomieszczenia nieco większego od klasztornej celi. Na znajdującej się w rogu wąskiej pryczy leżała wychudzona Izabela de Montsalvy. Pochylona nad Izabelą Donata starała się napoić ją ziółkami zdjętymi z małego olejowego podgrzewacza. Chora jednak dusiła się i nie była w stanie przełknąć ani kropli. Katarzyna ze ściśniętym sercem pochyliła się nad poczerwieniałą od gorączki twarzą. Jak ona się postarzała, jak schudła od wyjazdu Katarzyny, jaka wydawała się słaba! Na obliczu, z którego odpłynęła cała krew, widać było jedynie szukające powietrza wysuszone wargi i zbyt wielkie oczy.

Zniechęcona Donata odwróciła się, aby odstawić leczniczą miksturę, i znalazła się twarzą w twarz z Katarzyną. W jej zmęczonych oczach błysnęły jednocześnie łzy i radość.

- Pani Katarzyna - wyszeptała. - Dzięki Bogu! Przybywasz na czas.

Katarzyna położyła szybko palec na ustach, aby uciszyć starą kobietę, lecz ta potrząsnęła smutno głową.

- Och! Możemy rozmawiać. Ona nas nie słyszy. Ma taką gorączkę, że tylko majaczy.

Rzeczywiście, z białych ust chorej wyrwało się kilka słów, wśród których wstrząśnięta Katarzyna usłyszała imiona swoje i Arnolda. Atak kaszlu wstrząsający gwałtownie starym ciałem uspokajał się po trochu. Stopniowo twarz Izabeli stawała się bledsza, lecz oddech był nadal głośny i chrapliwy. W oczach chorej było błaganie. Izabela zdawała się straszliwie cierpieć w tej gorączce, a Katarzyna czuła, że to ona jest przyczyną tego udręczenia.

Powoli ujęła gorącą dłoń zaciskającą się na szorstkim prześcieradle i złożyła na niej pocałunek, a następnie przyłożyła ją do policzka, jak często czyniła to dawniej.

- Matko - powiedziała łagodnie. - Matko, posłuchaj mnie. Spójrz na mnie. Jestem tutaj... obok ciebie. To ja, twoja córka... Katarzyna.

Wydawało się, że w pełnym bólu i niepewnym spojrzeniu starej kobiety pojawiło się ożywienie. Usta zamknęły się, następnie otworzyły. Wydobył się z nich dźwięk:

- Ka... tarzyna.

- Tak - powiedziała młoda kobieta. - To ja... Jestem tutaj.

Oczy chorej zaczęły krążyć, a jej wzrok spoczął na pochylającej się nad wychudłymi dłońmi młodej kobiecie.

- To na nic, pani Katarzyno - szepnęła ze smutkiem Donata. - Jest nieprzytomna.

- Ależ nie. Dochodzi do przytomności. Matko! Popatrz na mnie. Poznajesz mnie?...

Całą siłą woli usiłowała przywołać rozdygotaną pamięć chorej. Tak bardzo pragnęła przekazać swoją siłę temu wycieńczonemu ciału. Jeszcze raz szepnęła błagalnie:

- Popatrz na mnie. To ja, Katarzyna, twoja córka, żona Arnolda.

Na dźwięk tego imienia lekkie drzenie przebiegło przez wysuszone ciało Izabeli. Spojrzenie, tym razem przytomne, spoczęło na zatrwożonej twarzy młodej kobiety.

- Katarzyna - szepnęła. - Powróciłaś?

- Tak, matko... powróciłam. Już nigdy cię nie opuszczę... nigdy więcej.

Ciemne oczy chorej popatrzyły na nią z trwogą zabarwioną niepewnością.

- Zostaniesz? A ten młodzieniec... Breze?

- On wziął swoje marzenia za rzeczywistość. Nigdy więcej go nie zobaczę. Jestem Katarzyną de Montsalvy i chcę nią pozostać, matko. Jestem żoną Arnolda! I pozostanę nią na zawsze.

Wyraz szczęścia i ulgi rozjaśnił rysy chorej. Jej ręka, wczepiona w rękę Katarzyny, stała się miękka i wiotka.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła. - Tedy umrę spokojna.

Zamknęła na chwilę oczy, potem otworzyła je ponownie i popatrzyła z czułością na Katarzynę. Zrobiła znak, aby ta pochyliła się nad nią, i szepnęła tajemniczo:

- Wiesz, widziałam go.

- Kogo, matko?

- Mojego syna. Przyszedł do mnie... Nadal jest taki piękny. Taki piękny!

Gwałtowny atak kaszlu przerwał jej słowa. Twarz zrobiła się purpurowa. Wzrok stał się zamglony. Donata podeszła z filiżanką.

- Medyk mówi, żeby dawać jej do picia wywar z kwiatów maku, malwy i suszonych fiołków, gdy kaszle, ale to nie takie łatwe.

Z pomocą Katarzyny udało się, mimo trudności, wlać chorej do gardła kilka kropli płynu. Kaszel zelżał. Napięte ciało odprężyło się powoli, ale oczy pozostały zamknięte.

- Może teraz zaśnie - szepnęła Donata. - Idź odpocząć, pani Katarzyno. Tak długa podróż zmęczyła cię. Będę przy niej czuwała do samego rana.

- Ty też jesteś wyczerpana, Donato.

- Och! Jestem silna jak koń - odpowiedziała z uśmiechem stara wieśniaczka. - Twoja tutaj obecność, pani, dodaje mi sił.

Katarzyna wskazała ruchem głowy na chorą, która zdawała się zasypiać. - Od dawna to trwa?

- Od ponad tygodnia, szlachetna pani. Starsza pani udała się z Fortunatem tam... do Calves. W powrotnej drodze złapała ich ulewa, a ona nie chciała się nigdzie schronić, aby przeczekać. Powróciła przemoczona, przemarznięta, szczękająca zębami. W nocy dostała silnej gorączki. Od tego czasu nie domaga.

Katarzyna wysłuchiwała opowiadania Donatki, nie przerywając jej ani słowem. Przepęłniały ją wyrzuty sumienia. Tak dobrze rozumiała reakcję Izabeli. Matczyne serce chciało wynagrodzić Arnoldowi zło, jakie wyrządziła Katarzyna, nawet jeśli o nim nie wiedział. Bo jakby miał się dowiedzieć w tym grobowcu, jakim jest przytułek dla trędowatych? Odgłosy ze świata nie dochodziły do miejsca przebywania tych nieszczęsnych istot pogrzebanych za życia, które tolerowano jedynie pod warunkiem, że będą trzymały się na uboczu i że można będzie o nich zapomnieć.

Katarzyna zapytała odruchowo:

- No właśnie, a gdzie jest Fortunat?

Walter - przyglądający się śpiącemu Michałowi - odpowiedział:

- Dzisiaj jest piątek, pani Katarzyno. Fortunat udał się wczoraj do Calves, jak robi co tydzień. Nie opuścił ani jednego razu i zawsze idzie na piechotę na znak pokory.

- Macie więc tak dużo jedzenia, że możecie je tam posyłać?

- Nie. Czasami Fortunat zabiera tylko mały bochenek chleba lub ser, czasami zupełnie nic. Siada wtedy na kopcu, z którego widać przytułek trędowatych, i patrzy tak godzinami... To dziwny chłopak, ale przyznaję, pani Katarzyno, że nigdy nie spotkałem się z podobną wiernością.

Zmieszana Katarzyna odwróciła się, aby ukryć poczerwieniałą ze wstydu twarz. To pewne, mały, gaskoński stajenny dawał jej niezłą lekcję. Nic nie mogło usunąć z jego pamięci pana. Kiedy Katarzyna porównała swoje zachowanie z zachowaniem Fortunata, musiała przyznać, że Gaskończyk jest górą.

- Ja też nie - szepnęła. - Któż by pomyślał, że ten chłopak tak się przywiąże do Arnolda. A kiedy wróci... stamtąd?

- Jutro w ciągu dnia.

* * *

Jednak następnego dnia Fortunat nie powrócił. Katarzyna przypomniła sobie o nim wieczorem, kiedy zebrali się we wspólnej sali na wieczerzę. Cały dzień przesiedziała przy Izabeli, która czuła się trochę lepiej. Poza tym przeprowadziła długą rozmowę z przeorem opactwa. Był już najwyższy czas, aby zabrać się do odbudowy zamku. Teraz miała na to środki. Królewski skarbnik wypłacił jej okrągłą sumkę w złotych dukatach.

Bernard de Calmont, młody opat z Montsalvy, był człowiekiem energicznym i inteligentnym. Katarzyna ofiarowała mu wspaniały rubin w podzięce za opiekę nad bliskimi i zaczęła snuć projekty odbudowy zamku. Jeden z mnichów opactwa, brat Sebastian, został zobowiązany do sporządzenia planów, jeszcze inny do znalezienia kamieniołomu, skąd można by wydobywać budulec. Jak we wszystkich wielkich opactwach, również i w Montsalvy znajdowali się mnisi parający się różnymi zawodami.

- W każdym razie - powiedział jej opat - możecie mieszkać tutaj tak długo, jak chcecie. Dom gościnny znajduje się na uboczu zabudowań opactwa, tak więc obecność młodej kobiety, nawet dość długa, nie będzie nieodpowiednia.

Załatwiwszy tę sprawę, Katarzyna zajęła się Tristanem i jego ludźmi, którzy następnego ranka mieli odjechać do Parthenay. Żołnierze zostali szczerze wynagrodzeni. Co do Tristana, Katarzyna podarowała mu ciężki złoty łańcuch z turkusami, który niegdyś należał do Garina de Brazeya.

- Będiesz go miał na pamiątkę od nas - powiedziała, zakładając mu łańcuch na szyję. - Noś go często i wspominaj Katarzynę.

Tristan uśmiechnął się i szepnął głosem zapewne bardziej wzruszonym, niżby tego pragnął:

- Sądzisz, pani, że potrzebuję tego królewskiego klejnotu, aby o tobie pamiętać? Choćbym żył i dwieście lat, nigdy bym o tobie nie zapomniał. Ale z radością będę nosił ten łańcuch przy większych okazjach, a także z dumą, gdyż pochodzi od ciebie.

Wspólnie zjedzona wieczerza była ostatnią przed rozstaniem. Katarzyna odczuwała prawdziwy smutek z powodu rozłąki z tym małomównym, lecz oddanym i odważnym towarzyszem podróży. Chciała więc, aby - mimo choroby teściowej - wieczerza nie była zwyczajna. Przy pomocy Donaty i dzięki dobrej woli kucharki opactwa przygotowała posiłek, który może nie był zbyt kochany, ale wyśmienity.

Ubrana w jedną z nielicznych szykownych sukien, jakie jej jeszcze pozostały, zasiadła do wieczerzy, a Walter podawał do stołu, wykazując więcej dobrej woli niż umiejętności. Dwójka przyjaciół zjadła z dużym apetytem kapuśniak i pieczone kapłony.

Kiedy wstali od stołu, Katarzyna widząc, że nastąpiła już noc, zaniepokoiła się nieobecnością Fortunata. Przez cały dzień czekała na jego powrót z bezsensowną nadzieją, że przyniesie jakieś nowe wieści, jakby można się było spodziewać odmiany w przypadku chorego na trąd... Kiedy

dowiedziała się, że jeszcze nie powrócił, do rozczarowania dołączył niepokój. Stwierdziła, że i Walter wygląda na zatroskanego.

- Musiał się gdzieś zatrzymać po drodze - powiedziała, gdy wrócił od brata odźwiernego. - Powróci jutro.

Normandczyk pokręcił głową.

- Fortunat? On zawsze przybywa z dokładnością zegara. Wychodzi o tej samej porze i powraca o tej samej porze, tuż przed wieczerzą. To nie jest normalne, że go jeszcze nie ma.

Jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Katarzyny. Coś musiało się Fortunatowi przytrafić, ale co? Możliwe, że spotkała go jakaś zła przygoda, chociaż region był dość spokojny, od kiedy Armaniacy wzmocnili garnizon w Carlat, a energiczny opat Bernard de Calmont zarządzał opactwem. Poza tym Anglicy opuszczali kolejne fortece Owernii.

- Poczekajmy - powiedziała Katarzyna. - Jutro o świcie wyruszę mu na spotkanie.

Katarzyna miała ochotę rzec: „Pójdę z tobą”, ale powstrzymała się. Nie mogła pozostawić chorej Izabeli, która w chwilach powrotu do świadomości wzywała ją do siebie i była tak szczęśliwa z obecności Katarzyny, że ta nie chciała jej tego pozbawiać. Westchnęła więc tylko:

- Dobrze. Zrobisz, jak zechcesz.

Przed snem zrobiła obchód domu, starając się jak najlepiej spełniać obowiązki gospodyni. Ponieważ opat oddał jej do dyspozycji dom gościnny, chciała, aby wszystko szło jak najlepiej. Zajrzała nawet do stajni, gdzie umieszczono konie eskorty, ale raczej z sentymentu niż poczucia obowiązku. Zaskoczona, zobaczyła tam Morgane, białą klacz, którą Szkot, Hugo Kennedy, wierny danej obietnicy, przyprowadził z Carlat. Morgana

była dla niej jak przyjaciółka. Rozumiały się bardzo dobrze i przywitały radośnie.

- Tak więc będziemy się razem starzeć - powiedziała Katarzyna z odrobiną melancholii w głosie, głaszcząc białą sierść klaczy. - Zostaniesz pocziwą, starą szkapą swojej cnotliwej pani.

Wielkie, inteligentne oczy Morgany spoglądały na Katarzynę diabolicznie, a towarzyszące temu rzenie dawało jasno do zrozumienia, że mała klacz wcale w to nie wierzy... Było to tak zaskakujące, że Katarzyna wybuchnęła śmiechem. Dała Morganie kawałek cukru, a następnie klepnęła ją łagodnie po zadzie.

- Jak widzę, marzą ci się przygody, moja śliczna, lecz musisz o nich zapomnieć.

Po opuszczeniu stajni Katarzyna chciała pobyć przez chwilę na dziedzińcu, gdyż noc była wyjątkowo piękna, ale nadeszła Donata, mówiąc, że przygotowała jej łóżko w izbie sąsiadującej z izbą Izabeli.

- Chciałabym spać przy niej - zaprotestowała Katarzyna. - Czuwałeś już wystarczająco długo. Musisz się wyspać.

- Ja mogę spać nawet na ławie - rzekła wieśniaczka z dobrotliwym uśmiechem. - Myślę, że tej nocy będzie dobrze spała. Brat pigularz dał mi dla niej napar z maku... Ty, pani, powinnaś również napić się odrobinę. Jesteś taka zdenerwowana.

- Sądzę, że będę dobrze spała i bez tego.

Poszła ucałować Michała, który odmawiał modlitwę pod okiem Waltera. Przyjaźń łącząca dziecko i potężnego Normandczyka była jednocześnie zabawna i zaskakująca. Obydwaj rozumieli się bardzo dobrze. Chociaż Walter odnosił się do małego panicza z szacunkiem, to

jednak nie pozwalał mu na wszystkie fanaberie, zaś chłopczyk uwielbiał Waltera i podziwiał jego siłę.

Michał powitał matkę, jakby nigdy się nie rozstawali. Podbiegł na małych, jeszcze niepewnych nóżkach i rzucił się jej w ramiona, rączkami objął za szyję i przytulił jasną główkę do głowy Katarzyny, a następnie westchnął ze szczęścia.

- Mamusia...

Katarzyna rozplakała się.

Tego wieczoru sama zaniósła go do łóżeczka, pocałowała i zostawiła, aby mógł wysłuchać opowieści Waltera. Codziennie Normandczyk opowiadał małemu przyjacielowi jakąś historię lub jej fragment, jeśli była zbyt długa. Zawsze były to stare legendy z Północy, pełne duchów, fantastycznych bogów i walecznych dziewic. Malec słuchał z uwagą i w końcu zasypiał.

Katarzyna wycofała się na palcach, w momencie gdy Walter mówił: *„A wtedy syn Eryka Czerwonego wsiadł z towarzyszami na statek i odpłynął w stronę dal...”*.

W głosie Waltera było coś usypiającego. Chłopczyk był za mały, aby rozumieć te zbyt poważne na jego wiek opowieści, ale mimo wszystko przysłuchiwał się im z uwagą, oczarowany melodią nieznanymi słów i brzmieniem głosu mężczyzny. Leżąc w wąskim łóżku Katarzyna przysłuchiwała się im również. Poddawała się kojącemu działaniu słów. Jej ostatnia myśl dotyczyła Sary. Jechali tak szybko, że musieli ją gdzieś minąć po drodze, nie zdając sobie z tego sprawy. Ale z pewnością już wkrótce tu przybędzie. Nawet nie pomyślała, że Sarze mogłoby się coś przytrafić. Była niezniszczalna, znała sekrety przyrody i przyroda była jej przyjazna. Już wkrótce przybędzie. Tak, już wkrótce...

Syn Eryka Czerwonego przemierzał już od jakiegoś czasu zielone wody bezkresnego oceanu, a Katarzyna zapadła w głęboki sen.

Gdzieś w środku nocy miała dziwną wizję. Nie wiedziała, czy śpi, czy też jest na wpół obudzona. Wydawało się jej, że otwiera oczy i spogląda na izbę. Wszędzie panowała cisza, a w komnacie Izabeli paliła się jeszcze lampa. Ze swego łóżka Katarzyna widziała śpiącą na wyłożonej poduchami ławie Donatę... Nagle jakaś postać stanęła przy łóżu chorej... był to ubrany na czarno mężczyzna w masce. Strach ścisnął Katarzynie gardło. Chciała krzyknąć, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z gardła. Chciała się poruszyć, ale ciało stało się ciężkie i bezwolne, jakby przywiązane do łóżka. Zobaczyła, że mężczyzna pochyla się nad pryczą Izabeli, robi jakiś ruch, a następnie wyprostowuje się. Była przekonana, że nieznajomy chce zabić chorą, więc otworzyła usta, z których nie wydobył się żaden dźwięk...

Następnie mężczyzna cofnął się i odwrócił, maskę trzymając w ręce. Strach Katarzyny zmienił się nagle w olbrzymią radość. Rozpoznała dumny profil, ciemne oczy i stanowcze usta swego małżonka. Arnold! Bezkresna fala szczęścia, możliwa tylko w marzeniach, ogarnęła Katarzynę. Był tutaj, powrócił... Bez wątpienia Bóg uczynił ten cud, bo jego twarz była wyraźna i piękna. Nie było na niej najmniejszego śladu straszliwej choroby. Ale czemu był taki blady i smutny?

Ogarnięta miłością, która osłabła na chwilę, a teraz powracała jeszcze silniejsza, chciała go zawołać, wyciągnąć ramiona... ale była bez sił. Spowijająca ją mgła prawie dusiła... Zobaczyła, jak Arnold znika w niej bezlitośnie, kierując się w stronę izby Michała. Poczowała się opuszczona i smutna. Zniknął, pomyślała zrozpaczona Katarzyna, nie zobaczę go już nigdy... nigdy więcej!

* * *

Obudziła się o świcie. Usłyszała, jak Tristan wzywa Bretończyków na koń. Zbliżała się godzina ich odjazdu i Katarzyna wstała, aby się pożegnać. Dokonała tego z wielkim wysiłkiem, czuła się bowiem zmęczona, głowę miała ciężką, a nogi wiotkie. Ale przez okno wdarł się promień słońca, jeszcze nieśmiały o tej wczesnej porze. W sąsiedniej izbie usłyszała gaworzenie Michała. Szybko przemyślała twarz i nałożyła suknię.

Nie mogła zapomnieć o swoim śnie. Im dłużej o nim myślała, tym bardziej chciało jej się płakać, gdyż pamiętała przerażające historie o ludziach, którzy w godzinie śmierci pojawiali się tym, którzy ich kochali, aby ich o tym zawiadomić. Sen z ubiegłej nocy był tak prawdziwy, że mógł stanowić tragiczne ostrzeżenie! Może Arnold... nie, nie mogła nawet wypowiedzieć tego słowa. Ale ta przedłużająca się nieobecność Fortunata?

Może otrzymał tam złą wiadomość? Może choroba poczyniła straszne postępy?

Chyba oszaleję - pomyślała Katarzyna. - Walter musi tam pojechać... Albo raczej pojedę razem z nim. Donata zajmie się dzisiaj teściową, a dla Morgany pięć mil w jedną stronę i pięć mil z powrotem to żaden problem. Powrócimy na wieczór.

Poszła ucałować syna. Przechodząc, stwierdziła, że Izabela jeszcze śpi, i wyszła na dziedziniec. Bretończycy byli już na koniach, a u wrót stajni Tristan rozmawiał z Walterem. Widząc Katarzynę, podeszli do niej. Mimo smutku, który ścisnął jej serce, starała się uśmiechnąć do wyjeżdżającego.

- Szcześliwej drogi, przyjacielu Tristanie. Podziękuj konetablowi, że pozwolił ci towarzyszyć mi w podróży.

- Z pewnością będzie chciał wiedzieć, kiedy dostąpimy zaszczytu ujrzenia cię ponownie, pani Katarzyno.

- Obawiam się, że nieprędko, chyba że przyjedziecie tutaj. Mam w Owernii tyle do zrobienia. Wszystko musi być tu jak dawniej.

- Owernia nie jest daleko. Wiem, że król zamierza do niej przybyć, i kiedy w końcu pojedna się z Richemontem, może wszyscy będziemy zjednoczeni.

- Niech cię Bóg wspomaga. Do zobaczenia, przyjacielu. Ucałował dłoń, którą mu podała, i wskoczył na siodło.

Wrota opactwa otworzyły się szeroko, ukazując wioskę, gdzie już krzątały się gospodynie. Tristan stanął na czele oddziału, a kiedy przejeżdżał przez święty próg, odwrócił się, zdjął czarny, filcowy kapelusz i pomachał nim.

- Do zobaczenia, pani Katarzyno.

- Do zobaczenia, przyjacielu Tristanie!

Kilka chwil później zamknęły się ciężkie wrota, a dziedziniec opustoszał. Katarzyna podeszła do stojącego przy stajni Waltera.

- Miałam tej nocy dziwny sen, Walterze... Ogarnęły mnie smutne myśli. Postanowiłam więc udać się z tobą na spotkanie Fortunata. Nawet jeśli będziemy musieli pojechać aż do Calves, wrócimy na wieczór. Weź jakiegoś konia i osiodłaj mi Morganą.

- Chciałbym bardzo - odpowiedział spokojnie Normandczyk - ale, niestety, nie jest to możliwe.

- Dlaczego?

- Bo Morgany nie ma.

- Jak to?

- Mówię prawdę: Morgana zniknęła. Zobacz, pani, sama...

Zaskoczona Katarzyna poszła za Walterem do stajni. Stało tam kilka koni, ale nie było wśród nich białej klaczy. Katarzyna popatrzyła na Waltera ze zdziwieniem.

- Gdzie ona jest?

- Skąd mam wiedzieć. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Brak jest jeszcze jednego z koni ofiarowanych nam przez opata, Rolanda.

- To nieprawdopodobne! Jak te dwa konie mogły stąd uciec? Nikt tego nie widział?

- Może dlatego, że ten, kto je zabrał, wszedł niedostrzeżony. Musiał dobrze znać opactwo.

- No więc - powiedziała Katarzyna, osuwając się na wiązkę słomy - jaki z tego wniosek?

Walter nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się. Po chwili spojrzął na Katarzynę niepewnie.

- Roland to koń, którego często dosiadał Fortunat, gdy jechał do Aurillac lub gdzie indziej...

- A kiedy udawał się do Calves?

- Nie. Tam chodził tylko na piechotę... z powodu pana Arnolda.

Teraz zamilkła Katarzyna. Wyciągnęła źdźbło słomy i żuła je odruchowo. Różne myśli przychodziły jej do głowy. W końcu podniosła głowę.

- Zastanawiam się, czy to naprawdę był sen... czy to nie jakieś przeczucie.

- Co chcesz, pani, przez to powiedzieć?

- Nic, potem ci wytłumaczę. Osiodłaj dwa konie i uprzedź wszystkich, że wyjeżdżamy na cały dzień. Włóżę męski strój.

- Dokąd jedziemy?

- Do Calves, i to tak szybko, jak to możliwe.

Rozdział piętnasty

Opustoszała dolina

Na skrzyżowaniu dróg jeźdźcy zatrzymali się, nie wiedząc, w którą stronę się udać. Biedna wioska Calves była już bardzo blisko, a na horyzoncie Katarzyna spostrzegła z przestraszeniem bazaltową skałę Carlat najeżoną wieżami i murami. Przeżyła tam najokropniejsze w swym życiu chwile, a widząc to znajome otoczenie, poczuła, jak znika jej odwaga.

Do skrzyżowania zbliżył się wracający z pola wieśniak z motyką na ramieniu. Walter odezwał się do niego z konia:

- Czy wiesz, dobry człowieku, gdzie mieszkają trędowaci?

Człowiek przeżegnał się gwałtownie i wskazał na jedną z dróg.

- Jedźcie aż do rzeki, zobaczycie wielki ogrodzony budynek. To tam. Ale nie przyjeżdżajcie potem do wioski.

Przyspieszając kroku, ruszył w stronę chaty. Katarzyna skierowała konia we wskazanym kierunku.

- Jedźmy - powiedziała tylko.

Droga schodziła do małej rzeczki Embene, opływającej następnie skałę Carlat. Jej bieg znaczyły rosnące tam wierzby. Katarzyna jechała na czele, nic nie mówiąc. Ogarnęło ją wielkie wzruszenie, kiedy zbliżała się do miejsca, które tak często widziała w snach. Za chwilę znajdzie się obok

Arnolda, o kilka kroków od miejsca jego pobytu. Może nawet uda się jej go zobaczyć. Na tę myśl serce zaczęło jej bić szybciej, ale pomimo to z trudem udawało jej się zapomnieć o złych przeczuciach trapiących ją od samego rana.

Droga skręcała teraz w mały lasek. Nierówny, pełen kolein i błotnistych dziur teren musiał być rzadko uczęszczany. Niebo przysłaniała gęsta zasłona z liści. Było późne popołudnie. Droga do Calves zajęła Katarzynie i Walterowi o wiele więcej czasu, niż sądzili. Las ten wyglądał jak roślinna zapora stworzona przez ludzi chcących się odgradzić od trędowatych z Calves. Na dole zbocza dwoje jeźdźców okrążyło skałę i znalazło się poza granicą lasu, nad brzegiem rzeki.

Wąska dolina, gdzie dał się słyszeć jedynie łagodny szmer wody, była przeraźliwie smutna. Na skraju lasu Katarzyna zatrzymała się gwałtownie. Walter podjechał do niej i obydwójce, ramię w ramię, stali nieruchomo, skamieniali z osłupienia. Przed ich oczami, kilka sążni dalej, wznosiły się mury ogrodzenia... same mury, gdyż pośrodku nie było nic, z wyjątkiem poczerniałych ścian ostrołuku, który musiał być wejściem do kaplicy. Wielka wyrwana brama zwisała na zawiasach, ukazując wewnętrzny dziedziniec leprozorium pełen popalonych zgliszcz. Ciszę zakłócało jedynie złowróżbne krakanie krążących po niebie kruków.

Katarzyna zbladła, zamknęła oczy i zachwiała się w siodle, jakby zaraz miała zemdleć.

- Arnold nie żyje - wyjąkała. - To jego ducha widziałam tej nocy!

Jednym skokiem Walter znalazł się na ziemi. Mocne ramiona uniosły młodą kobietę z siodła. Ułożył ją, bladą i szcękającą zębami, przy drodze, a potem zaczął rozcierać jej lodowate dłonie.

- Pani Katarzyno... Weź się w garść! Odwagi... Błagam - prosił przerażony.

Ona stawała się jednak coraz bardziej nieobecna. Czuła, że życie z niej ucieka, odpływa z ciała jak woda. Uderzył ją więc dwukrotnie w twarz, starając się kontrolować siłę uderzenia. Błede policzki nabrały kolorów. Katarzyna otworzyła oczy i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Uśmiechnął się do niej niepewnie.

- Wybacz, pani. Nie miałem wyboru. Przyniosę ci wody.

Okrażył spalone budynki i pobiegł ku rzece, napełnił wodą zawieszony przy pasie kubek i dał jej pić. Opiekował się nią niczym matka. Jej reakcja była gwałtowna: wybuchnęła płaczem. Pozwolił jej się wypłakać, wiedząc, że łzy przynoszą ulgę. Nie powiedział ani słowa, nie uczynił żadnego ruchu, aby powstrzymać dławiący ją szloch. Powoli Katarzyna odzyskała spokój. Po długiej chwili zwróciła w stronę Normandczyka bladą twarz. W poczerwieniałych oczach czaiła się rozpacz.

- Trzeba się dowiedzieć, co się stało - powiedziała mocniejszym głosem.

Walter podał jej rękę i pomógł wstać. Uchwyciła ją mocno, szczęśliwa, że czuje siłę dającą oparcie przed tym, co ją jeszcze czeka. Przy jego pomocy podeszła do zniszczonej bramy, za którą widać było ruiny opactwa Saint-Geraud d'Aurillac, sprawującego opiekę nad przytułkiem dla trędowatych. Jej serce biło mocno, gdy przekraczała próg, który Arnold przekroczył... na zawsze.

Łzy płynęły wciąż po policzkach, powoli i bez końca, ale nie zwracała na to uwagi. Zniszczenie wewnątrz było całkowite. Pozostały jedynie szerniałe ruiny, tak bardzo przypominające Katarzynie ruiny

Montsalvy. Pożar strawił wszystko z wyjątkiem kilku najgrubszych murów. Ale nie pozostał ani jeden dach, ani jedna brama, tylko rozrzucone kamienie, nad którymi pochylał się teraz Walter.

- Pożar zgasł niedawno - powiedział. - Kamienie są jeszcze ciepłe.

- Mój Boże - jęknęła Katarzyna słabym głosem. - Tam pod gruzami spoczywa mój ukochany małżonek... moja miłość.

Uklękła na zgliszczach i próbowała odsuwać kamienie niezręcznymi, drżącymi dłońmi. Walter podniósł ją niemal przemocą.

- Pani Katarzyno, nie możesz tu pozostać. Idziemy. Ale opierała się z niespodziewaną siłą.

- Zostaw mnie... chcę tutaj zostać! On tu jest...

- Nie sądzę, a i ty, pani, w to nie wierzysz. A nawet gdyby tak było, na co się przyda twoja obecność na tych zgliszczach.

- Mówię ci, że on nie żyje! - krzyknęła wyprowadzona z równowagi Katarzyna. - Tej nocy widziałam jego ducha. Przyszedł w masce do izby mojej teściowej, pochylił się nad nią i zniknął.

- I nie wszedł do twojej izby, pani? Czy pani Izabela spała, czy nie?

- Spała. Nic nie widziała. Sądziłam najpierw, że to sen, ale teraz wiem, że nie śniłam, widziałam ducha Arnolda.

Znowu zaczęła szlochać. Walter chwycił ją za ramiona, silnie potrząsnął i zaczął mówić:

- Mówię ci, pani, że to nie był duch! Duch zbliżyłby się również do ciebie. Z całą pewnością pan Arnold nie wiedział o twoim powrocie, więc do ciebie nie podszedł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Katarzyna uspokoiła się natychmiast i popatrzyła na Waltera, jakby nagle zwariował.

- Chcę przez to powiedzieć, że duchy wiedzą wszystko, co się tyczy żyjących. Podszedłby do ciebie, pani. A poza tym, czemu miał na twarzy maskę?

- Sądzisz, że widziałam Arnolda?

- Trudno powiedzieć. Ale dzieją się dziwne rzeczy. Może Fortunat widział się z panem Arnoldem i powiedział mu, że jego matka jest umierająca? Na łożu śmierci trąd nie jest już niebezpieczny. Może chciał ją zobaczyć po raz ostatni. Do ciebie nie podszedł, bo nie wiedział, że wróciłaś. Przecież Fortunat o tym nie wiedział.

- No, to gdzie jest teraz? Co się tutaj stało? Skąd te ruiny, ta cisza?

- Nie wiem - odpowiedział zamyślony Walter - ale spróbuję się dowiedzieć. Może Fortunat mógłby nam powiedzieć, gdzie jest pan Arnold, może mógłby również wyjaśnić nam, co stało się z Morganą i Rolandem.

Powoli odciągnął ją od ruin. Katarzyna szła za nim jak wystraszone dziecko i spoglądała z nadzieją w oczach.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

- Czy kiedykolwiek mówiłem coś innego, niż myślałem? Szczególnie tobie, pani?

Bliska łez, uśmiechnęła się do niego, a Normandczyk poczuł, że ogarnia go wzruszenie. Był jej bardzo oddany i nie pragnął niczego innego, jak tylko widzieć ją szczęśliwą. Niestety. Wydawało się, że los wziął się na nią, a za chwilę słabości, o którą się oskarżała, czekało ją tyle łez zarówno teraz, jak i w przyszłości!

- Nie rób mi zbyt wiele nadziei - szepnęła błagalnie - jeśli nie chcesz mojej śmierci.

- Musisz być silna. Spróbujemy się czegoś dowiedzieć. Jedźmy stąd i poszukajmy kogoś, kto potrafi nam powiedzieć, co się tutaj stało.

Wsiadli na konie i opuszczając wymarłą dolinę, skierowali się w stronę siedlisk ludzkich, w stronę czystego nieba. Teraz jako pierwszy jechał Walter, szukając śladów życia w tym opustoszałym miejscu.

Katarzyna jechała za nim z opuszczoną głową, usiłując jakoś uporządkować myśli, w których równe miejsce zajmowały nadzieja i smutek. Nagle wszystko to, co do tej pory było dla niej ważne, przestało istnieć. Liczyła się tylko jedna sprawa, chciała się dowiedzieć, czy Arnold żyje. Nie zaznałaby już chwili spokoju, gdyby się tego nie dowiedziała.

Kiedy wyjechali z ciemnego lasu, Walter wspiał się w strzemionach i wyciągnął rękę w kierunku południowym.

- Popatrz, pani. Widzę dym i lepiankę na tym wzgórzu. Stamtąd z pewnością widać dachy przytułku dla trędowatych. To znaczy było widać!

Małą, skromną chatkę pokrywała wyblakła strzecha. Aby nie przstraszyć mieszkańców, Katarzyna i Walter przywiązali wierzchowce do drzewa i wspięli się stromą ścieżką, która wiodła aż do wrót. Odgłos ich kroków wywołał na próg starą zgarbioną wieśniaczkę w żółtym czepcu. W jednej ręce trzymała kądziel, a drugą wspierała się na kiju, jednak oczy, które podniosła na przybyłych, były młode i przenikliwe: dwa bławatki w zwiędłej, usianej zmarszczkami twarzy.

- Nie bój się, dobra kobieto - powiedział Walter najłagodniej, jak tylko umiał. - Nie uczynimy ci krzywdy. Chcemy cię tylko o coś zapytać.

- Wejdźcie, łaskawi panowie, czym chata bogata.

- Nie chcemy ci przeszkadzać - powiedziała Katarzyna - i mamy mało czasu.

Tak mówiąc, odwróciła się i spoglądała na krajobraz rozpościerający się u jej stóp. Rzeczywiście, poza ciemną linią drzew widać było ruiny leprozorium. Wskazała je ruchem dłoni.

- Czy wiesz, co tam się wydarzyło?

Na twarzy starej kobiety pojawił się strach, przeżegnała się parę razy i coś wymruczała, a potem rzekła:

- To przekłete miejsce... Nie wolno o nim mówić, bo przynosi nieszczęście.

- To zależy - powiedziała Katarzyna, wyciągając z sakiewki sztukę złota i wsuwając ją w pomarszczoną dłoń starej kobiety. - Mów, co wiesz, dobra kobieto, a dostaniesz jeszcze jedną.

Staruszka spojrzała z niedowierzaniem i nagryzła monetę, aby upewnić się, czy jest prawdziwa.

- Złoto! - powiedziała. - Ładniutkie i dobre złoto. Już dawno takiego nie widziałam. Co chcesz wiedzieć, młodzieńcze?

- Kiedy spłonął przytułek dla trędowatych?

Pomimo otrzymanego złota staruszka odwróciła głowę z wyraźną niechęcią. Zawahała się, zacisnęła pomarszczoną rękę na złotej monecie i podjęła decyzję.

- Czwartkowej nocy trędowaci zupełnie oszaleli. Dzień wcześniej zmarł od ukąszenia żmii mnich, który się nimi opiekował. Przez cały dzień słyszałam, jak płakali, wyli jak potępieńcy! Góry od tego drżały. Jakby nagle otworzyły się czeluści piekieł. Ludzie z wioski się wystraszyli. Myśleli, że trędowaci wyjdą i ich zaatakują. Pobiegli więc do Carlat prosić o pomoc. Wtedy przybyli zbrojni...

Przestała mówić, rzucając na ruiny wystraszone spojrzenie. Znowu się przeżegnała.

- I co było dalej? - zapytała Katarzyna, oddychając z trudem.

- Przybyli nocą - staruszka ciągnęła opowieść słabnącym głosem. - Trędowaci nadal zawodzili z rozpaczy... Ale później... było jeszcze gorzej!

Katarzyna czuła, że robi się jej słabo. Usiadła na stojącej przy chatce ławeczce i otarła rękawem spływający z czoła pot.

- Kończ... na litość!

- Ci żołdacy to byli prawdziwi barbarzyńcy - powiedziała stara gwałtownie. - Zabarykadowali bramę... a potem podłożyli ogień.

Odpowiedział jej podwójny okrzyk przerażenia. Jak gromem uderzona, Katarzyna wsparła się o ścianę.

- Arnold! - wyjąkała. - Mój Boże!

Stara nabrała rozpędu, mówiła dalej jakby ze złością.

- Żoldacy byli pijani, bo ludzie z wioski nie szczydzili im napitku, aby mieli odwagę udać się do trędowatych. Wrzeszczeli, że trzeba zniszczyć to gniazdo potępieńców, że dolina musi zostać oczyszczona. O północy nie było już słycać krzyków, tylko trzask ognia.

Zamilkła i był ku temu najwyższy czas. Katarzyna zasłabła. Walter pochylił się nad nią i ujął ją pod ramię.

- Idziemy - rzekł łagodnie. - Musimy jechać!...

Ale ona pozostawała nieruchoma, jakby nieobecna. Stara patrzyła na nią z zaciekawieniem.

- Młody panicz bardzo cierpi. Czy znał któregoś z tych nieszczęśników?

- To nie panicz, to kobieta - odpowiedział krótko Walter. - Tak, znała jednego z nich.

Katarzyna nic już nie słyszała. Siedziała jak skamieniała, a w głowie kołatała jej tylko jedna myśl.

- Nie żyje! Zabili go!

Zapomniała o wszystkim, co mówił Walter, oczami wyobraźni widziała tylko płonący nocą stos. Bolało ją serce, jakby stalowe szpony usiłowały je wyrwać z jej piersi.

Stara weszła chyłkiem do chałupy i wyniosła z niej kubek.

- Proszę, szlachetna pani, napij się ziołowego wina. To ci dobrze zrobi.

Katarzyna wypila i poczuła się lepiej, więc chciała wstać, ale staruszka zaproponowała:

- Możecie się tutaj przespać. Zbliża się noc, a drogi nie są pewne. Jeśli nikt na was nie czeka, zostańcie do rana... Nie ma tutaj wygod... ale ofiarowuję gościnę z całego serca.

Walter popatrzył na bladą twarz z trudem utrzymującej się na nogach Katarzyny. Była zbyt słaba, aby wracać tej nocy do Montsalvy.

- Zostajemy - powiedział. - Bardzo dziękujemy za gościnę.

Przez całą noc Walter czuwał u wezłowania słomianego materaca, na którym Katarzyna na próżno szukała snu. Przez całą noc usiłował tchnąć nadzieję w duszę młodej kobiety. Powtarzał ciągle to samo. To nie ducha widziała Katarzyna. Z pewnością był to Arnold, któremu udało się ująć z pożaru przy pomocy Fortunata... i obaj mężczyźni musieli uciec, zabierając konie. Nie chciała jednak mu wierzyć. Dlaczego Arnold miałby uciekać z Montsalvy? Tam przynajmniej znalazłby schronienie u Saturnina, który - pomimo strachu przed trędem - na pewno byłby go przyjął... Nie, odpowiadał na to Walter, z pewnością obawiał się, że może zarazić swych bliskich. Zbliżył się do matki tylko dlatego, iż wiedział, że jest umierająca. Fortunat zawiózł go może do innego leprozorium. Podobno w okolicach Conques jest jeszcze jedno.

- Nie rozpaczaj, pani Katarzyno... Pojedziemy do Montsalvy, a za kilka dni powróci Fortunat. Wierz mi.

- Bardzo chciałabym ci wierzyć - westchnęła Katarzyna - ale brak mi odwagi. Rozczarowałam się już tyle razy.

- Wiem. Jednak upór i odwaga pozwalają zwalczyć przeciwności. Któregoś dnia, pani Katarzyno, i do ciebie los się uśmiechnie.

- Nie, nie mów nic więcej. Spróbuję być rozsądna... Spróbuję ci wierzyć...

Ale to jej się nie udawało. Wstający dzień zastał ją wyczerpaną i zrozpaczoną. Podziękowała gorąco wieśniaczce za gościnę, a następnie w raniącym jej oczy i serce blasku słońca wyruszyła wraz z Walterem do Montsalvy.

Nie dostrzegła nic ze wspaniałego krajobrazu zielonej doliny wokół Truyere. Jechała z opuszczoną głową, z przymkniętymi oczami, z ciężkim jak armatnia kula sercem. Pamięć o tamtej nocy, która, jak przypuszczała, przyniosła Arnoldowi śmierć, spowodowała, że życie straciło barwy. Nie dostrzegała ani wspaniałej zieleni drzew, ani ukwieconych pól, ani blasku słońca. Było tak, jakby coś w niej umarło. Wyjałowiony umysł nie znajdował nawet modlitwy, aby prosić niebiosa o pomoc. Bliska bluźnierstwa, oskarżała Boga o tę straszną niesprawiedliwość. Jakaż cenę kazał jej płacić za każdą z łask, którymi obdarzał ją tak oszczędnie?

Zrozumiała teraz, że nigdy do tej pory nie uważała Arnolda za naprawdę straconego dla świata. Został wykluczony ze świata żyjących, ale był gdzieś nieopodal pod tym samym niebem i Katarzyna mogła się z nim połączyć, kiedy zakończy swoje dzieło. A teraz cóż jej pozostało? Bezgraniczna pustka i smak popiołu w ustach. Od czasu do czasu Walter kierował do niej jakieś słowa, aby wyrwać ją z unicestwiającego smutku.

Odpowiadała monosylabami, a następnie popędzała konia, wysuwając się o parę sążni do przodu. Wytrzymała tylko samotność.

Jednakże kiedy wjechali do Montsalvy, coś się w niej obudziło, coś, co przypominało radość. Na progu domu gościnnego zobaczyła Sarę trzymającą w ramionach Michała. Stała nieruchomo z dzieckiem przytulonym do serca niczym wiejska Madonna, ale gdy jeźdźcy wjechali na dziedziniec, przenikliwe oczy Cyganki dostrzegły zmienioną twarz Katarzyny, jej spojrzenie lunatyczki. Surowe rysy Sary złagodniały. Wystarczył jej widok Katarzyny, aby serce odgadło, że stało się coś złego. Nie spuszczać z niej wzroku, podała Michała Donacie i wybiegła jeźdźcom na spotkanie.

Nie padło żadne słowo. Kiedy Sara podeszła do wierzchowca Katarzyny, ta ześlizgnęła się z konia i przywarła ze szlochem do otwartych ramion Cyganki. Jakież wspaniałe wydawało się w chwili rozpaczliwego schronienia, na jakiś czas utracone! Wygląd Katarzyny był tak godny pożałowania, że z kolei Sara zalała się łzami. Weszły do domu, obejmując się wzajemnie.

Tutaj Katarzyna uspokoiła się trochę i podniosła na przyjaciółkę zapłakaną twarz.

- Saro! Moja dobra Saro!... Skoro powróciłaś, to znaczy, że nie jestem całkowicie przeklęta!

- Ty przeklęta? Moje biedactwo... Cóż ci przyszło do głowy?

- Jest przekonana, że pan Arnold zginął w płomieniach, które pochłonęły leprozorium w Calves - powiedział poważnym głosem Walter.

- Nie chce słuchać żadnych słów pocieszenia.

- Tak - powiedziała Sara, odzyskując całą swoją dzielność na widok dawnego wroga. - Opowiedzcie mi wszystko.

Pozostawiając Katarzynę, aby mogła przywitać się z synem, zabrała Normandczyka do kuchni. W kilku słowach Walter opowiedział jej o wszystkim: o powrocie Katarzyny, o chorobie pani Izabeli, o tajemniczych nocnych zwidach młodej kobiety, o zniknięciu koni i w końcu o dramacie, jaki rozegrał się w Calves. Sara wysłuchała go, nie przerywając. Odnotowywała w myślach najmniejszy szczegół opowieści. Kiedy skończył, stała przez chwilę w milczeniu ze skrzyżowanymi ramionami i spoglądała na ciemne palenisko kominka.

W końcu podeszła do siedzącej na taborecie i kołyszącej Michała Katarzyny, która spoglądała na nią z trwogą.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Walter.

- Że masz rację, mój chłopcze. Pan nie zginął. To niemożliwe.

- Jakby mu się udało uciec? - zapytała Katarzyna.

- Nie wiem. Ale ty nie widziałaś ducha. Duchy nie noszą masek.

Wiem coś na ten temat.

- Bardzo bym chciała ci wierzyć - westchnęła Katarzyna. - Ale powiedz mi, co mam robić?

- Poczekać kilka dni - tak jak mówi Walter. Do tego czasu powróci pewnie Fortunat.

- A jeśli nie powróci?

- Pojedziemy do Calves z Saturninem i kilkoma ludźmi.

Przeszukamy ruiny, aż nabierzemy pewności. Ale jestem pewna, że pan Arnold nie zginął w Calves...

Tym razem odrobina nadziei zaświtała w sercu Katarzyny nieco mocniej. Łączyły ją z Sarą tak silne związki, że uważała ją za osobę nieomylną w swoich osądach i mającą niekiedy dziwne widzenia... Nic nie powiedziała, tylko ujęła rękę przyjaciółki i przytuliła do swego policzka z

pokorą, jak dziecko proszące o wybaczenie. Sara popatrzyła z czułością na pochyloną w jej stronę jasną głowę. W zapadającym zmierzchu klasztorny dzwon wezwał na modły.

- Mnisi idą do kaplicy - powiedziała Sara. - Ty także powinnaś iść się pomodlić.

Katarzyna potrząsnęła głową.

- Nie mam ochoty, Saro. Po co mam się modlić? Jeśli Bóg przypomina sobie o mnie, to tylko po to, aby mnie skrzywdzić.

- Jesteś niesprawiedliwa. Udało ci się przecież wywalczyć dla Montsalvy prawo do istnienia.

- Ale za jaką cenę!

- Za cenę, jakiej jeszcze nie znasz... Chyba że żałujesz tego, którego pozostawiłaś w Chinon? - dodała Sara.

Chciała zobaczyć, jak Katarzyna zareaguje na wspomnienie mężczyzny, z którego powodu się rozstały.

- Kogóż mam żałować, jeśli nie wiem, co stało się z Arnoldem?

Te słowa mówiły same za siebie.

* * *

Gorączka trawiąca Izabelę zdawała się zmniejszać. Starsza pani już nie majaczyła, kaszlała mniej, ale była coraz słabsza, jak dogasająca lampka.

- Nie uratujemy jej - powiedziała Sara czuwająca przy jej wezgiłowiu na zmianę z Katarzyną.

- Można by rzec - powiedziała Katarzyna - że ona nie chce już żyć.

Ani żadne lekarstwa, ani wiedza medyka z Aurillac nie były w stanie zatrzymać życia w tym wyczerpanym ciele. Izabela gasła powoli. Leżała godzinami, spokojnie i nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na różańcu

lub książeczce do modlitwy. Jedyne poruszające się lekko wargi wskazywały na to, że się modli.

* * *

Któregoś wieczoru, trzy dni po powrocie Katarzyny i Waltera z Calves, stara dama uniosła powieki i popatrzyła na Katarzynę siedzącą obok niej na taborecie.

- Modłę się za ciebie, moje dziecko - powiedziała cichutko. - Za Michała i za mojego syna. Nie opuszczaj go w nieszczęściu, Katarzyno. Kiedy mnie już nie będzie, czuwaj nad nim z daleka. Spotkało go tak wielkie nieszczęście.

Katarzyna zacisnęła dłonie i zakaszła, aby ukryć wzruszenie. Izabela nie wiedziała nic o tym, co wydarzyło się w Calves. Jakże trudno było grać przed nią komedię, udawać spokój, kiedy duszę Katarzyny przepelniała trwoga! Każda minuta, jaka upłynęła od ich powrotu, była torturą. Wierząc w to, co powiedziała Sara, czekała bezskutecznie na powrót Fortunata. Mimo wszystko udało się jej uśmiechnąć czule do teściowej:

- Nie obawiaj się, matko. Nigdy go nie opuszczę. Chciałabym wybudować dla niego siedzibę niedaleko stąd, aby mógł żyć z dala od innych, ale w lepszych warunkach, bardziej odpowiednich dla jego przyzwyczajień, jego rangi. Marzę, aby wyrwać go z tego ohydneho leprozorium.

W oczach chorej zabłysła radość. Wyciągnęła chudą rękę i uścisnęła dłoń Katarzyny.

- Tak, tak. Uczyń to. Zabierz go z tego nieszczęsnego miejsca, skoro znowu jesteśmy bogaci.

- Bardzo bogaci, matko - uśmiechnęła się Katarzyna, powstrzymując łzy. - Montsalvy odrodzi się piękniejsze niż dawniej, silniejsze niż dawniej... Brat Sebastian, architekt z klasztoru, kreśli już plany nowego zamku, a Saturnin wspomagany przez brata Placyda przygotowuje się do otwarcia nowego kamieniołomu od strony Truyere. Cała wioska znajdzie tam zatrudnienie, jak tylko zostaną zakończone przygotowania. Niedługo będziesz miała godną siebie siedzibę.

Izabela potrząsnęła głową, uśmiechając się melancholijnie. Jej oczy spoczęły na zielonym szmaragdzie, подарowanym przez królową Jolantę. Katarzyna nigdy nie rozstawała się z nim. Widząc zainteresowanie tym pierścieniem, zdjęła go i wsunęła do spoczywającej na prześcieradle, jeszcze pięknej, choć wychudłej ręki, której kształt przypominał rękę Arnolda.

- To dowód przyjaźni Jolanty Andegaweńskiej dla naszej rodziny. Zachowaj go, matko, bardzo ci pasuje.

Izabela popatrzyła na klejnot z prawie dzieciinną radością, a następnie spojrzała na Katarzynę wzrokiem pełnym miłości.

- Przyjmę, ale tylko jako pożyczkę. Wkrótce, moja córko, odzyskasz go z powrotem. Tak, tak. Nie zaprzeczaj. Wiem i jestem przygotowana. Nie boję się śmierci, wręcz przeciwnie. Zabierze mnie wkrótce do tych, których opłakiwałam przez całe życie, do mojego drogiego małżonka, do mojego Michała, którego próbowałam uratować. Tak będzie bardzo dobrze.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, podziwiając szmaragd. Następnie zapytała:

- A ten wspaniały czarny diament? Co się z nim stało? Katarzyna poczuła lekki niepokój.

- Straciłam go, ale później odzyskałam. Uczynił wiele złego i obiecałam, że to już się nigdy nie powtórzy.

- Jak to?

- Za kilka dni ofiaruję ten przeklęty diament tej, która nie musi się obawiać jego diabelskiej mocy.

- Czy naprawdę jest taki niebezpieczny?

Katarzyna wstała i popatrzyła na małą izbę. Jak tamtej nocy, ujrzała pożar, który strawił Calves. Zaciśnęła zęby, aby nie krzyknąć z trwogi, a następnie szepnęła z nienawiścią i strachem:

- Bardziej, niż przypuszczasz, matko. Czyni zło każdego stworzonego przez Boga dnia, ale ja pozbawię go tej mocy! Przywiążę szatana u stóp tej, która zdusiła kiedyś węża gołymi stopami. W płaszczu Czarnej Madonny czarny diament straci swoją moc.

W oczach Izabeli błyszczały teraz łzy, ale zapaliło się jakieś światło.

- Katarzyno, byłaś nam przeznaczona. Instynktownie chcesz postąpić zgodnie ze starą tradycją panów na Montsalvy, którzy w czasach wojny i niebezpieczeństwa udawali się do Puy, aby prosić o pomoc boską i aby złożyć w ofierze najpiękniejsze klejnoty. Myślisz, Katarzyno, jak prawdziwa pani de Montsalvy.

Katarzyna nic na to nie odpowiedziała. Między nią a Izabelą słowa były zbyteczne, porozumiewały się w milczeniu. Zresztą w tej chwili wszedł do chorej z wizytą, jak każdego wieczoru, opat Bernard.

Ucałowawszy jego pierścień, Katarzyna wycofała się, pozostawiając ich samych. Chciała udać się do kuchni, gdzie Sara kąpała Michała, ale kiedy przechodziła przez refektarz, zobaczyła, że nadbiega brat furtian.

- Pani Katarzyno - powiedział - stary Saturnin prosi, abyś zechciała udać się do niego. Mówi, że chodzi o coś bardzo ważnego.

Pełniący funkcję zarządcy w Montsalvy Saturnin miał za zadanie rekrutować pracowników do budowy zamku. Sądząc, że chodzi o jakiś problem związany z zatrudnieniem lub zapłatą, Katarzyna uznała, że nie warto informować o tym Sary.

- W porządku, już idę - odpowiedziała. - Dziękuję, bracie Euzebiuszu.

Upewniwszy się w małym lusterku, że jej niebieska suknia i biały, lniiany czepek są czyste, Katarzyna wyszła z klasztoru i skierowała kroki w stronę domu Saturnina, który znajdował się przy głównej ulicy. Tego wieczoru wieśniacy wracali z pól, gdyż był to okres żniw. Po raz pierwszy od wielu lat pszenica i owies urosły bez przeszkód. Spieszono się, aby postawić stogi i zwieźć zboże do stodół.

Na ulicy Katarzyna natknęła się na grupki zadowolonych wieśniaków. Ich opalone twarze osłaniały słomiane kapelusze, a szeroko rozpięte bluzy odsłaniały spocone ciała. Kobiety podkasały suknie i szły z odkrytymi nogami, z grabiami i sierpami na ramionach. Wszyscy pozdrawiali Katarzynę uśmiechem, uniesieniem kapelusza lub ukłonem i radosnym: „Dobry wieczór, miłościwa pani”, które rozgrzewało jej serce. Ci dzielni ludzie zaakceptowali ją spontanicznie z powodu cierpień, jakie z nimi dzieliła, i ze względu na pamięć Arnolda...

W Montsalvy czuła się naprawdę u siebie.

Dom zarządcy Saturnina i Donaty znajdował się tuż przy południowej bramie do Montsalvy. Był to jeden z najładniejszych budynków w wiosce, prawie mieszczkański, a Donata utrzymywała w nim iście flamandzką czystość.

Stary Saturnin czekał na Katarzynę na progu domu, z czapką w ręce. Na jego twarzy malowała się troska. Przywitał Katarzynę z szacunkiem i podał rękę, aby poprowadzić ją do domu.

- Jest tutaj pewien pasterz, pani Katarzyno. Przybył niedawno z Vieillevie, wioski położonej o cztery mile stąd, w dolinie rzeki Lot, i opowiada dziwne rzeczy. Dlatego wolałem nie prowadzić go do opactwa i poprosiłem cię, pani, abyś przyszła.

- Dobrze zrobiłeś, Saturninie - odpowiedziała szybko Katarzyna.

Wstrzymała oddech, kiedy mówił o dolinie rzeki Lot.

- Cóż dziwnego opowiada?

- Zaraz się dowiesz, pani. Wejźmy do środka.

W kuchni, gdzie wiszące przy kominie cynowe naczynia błyszczą niczym srebra, a kamienna posadzka lśniła czystością, na ławie przy stole z czarnego dębu siedział młody chłopak ubrany w zgrzebne płótno i czapkę z baraniej skóry. Jadł chleb z serem, którym poczęstował go Saturnin, ale podniósł się grzecznie, kiedy weszła Katarzyna, i powitał ją niezdarnie, po czym stał, czekając, aż się do niego odezwą.

- Ten chłopak jest jednym z pasterzy pana de Vieilleviego. A ty, przyjacielu, stoisz przed panią de Montsalvy. Opowiedz jej, co widziałeś w niedzielę rano.

Pasterz zaczerwienił się trochę, bez wątpienia zawstydzony obecnością wielkiej pani, ale jego słowa, na początku ledwie słyszalne, wywołały w Katarzynie wielkie zaciekawienie.

- W niedzielę rano pasłem owce na wzgórzu nad Garrigue.

- Mów głośniej - nakazał mu Saturnin - ledwie cię słyszymy.

Chłopak odchrząknął i zaczął mówić głośniej.

- Widziałem dwóch jeźdźców, którzy zdawali się jechać od Montsalvy, jeden duży, ubrany na czarno, miał nawet czarną maskę i jechał na pięknej, białej jak śnieg klaczy.

- To była Morgana - rzekła wstrząśnięta Katarzyna. - Morgana i...

- Drugi to był mały, chudy, żółtawy człowieczek ze spiczastą brodą. Ten pierwszy... jeździec w masce nawet się nie odezwał i nie popatrzył na mnie. Trzymał się trochę na uboczu, głaszcząc dłonią w rękawicy kark swego konia, który niecierpliwie bił w ziemię kopytami.

- Co ci powiedział ten mniejszy?

- Zapytał mnie, czy znam zarządcę z Montsalvy. Odpowiedziałem, że widziałem go ze dwa lub trzy razy i że jestem pasterzem u pana de Vieillevego. Wtedy mały, żółty człowieczek zapytał, czy zgodziłbym się zawieźć list do mistrza Saturnina możliwie jak najszybciej. I dał mi jednego talara za fatygę.

- Gdzie jest ten list? - zapytała Katarzyna.

- Oto on - odpowiedział Saturnin, podając Katarzynie zapieczętowany list, który wzięła drżącą ręką.

- Nie otwierałeś go?

- Nie ja powinienem go otworzyć - powiedział zarządca. - Zobacz, pani, co tam zostało napisane.

Na pergaminie napisano kilka słów: *Dla pani Katarzyny de Montsalvy, kiedy powróci.*

Katarzynie wydało się nagle, że pobielone wapnem ściany zaczynają wokół niej wirować. Bez wątplenia te słowa napisał Arnold, Arnold we własnej osobie. Instynktownie przytuliła list do serca, walcząc z rosnącym wzruszeniem. Dostrzegł to Saturnin i chciał odesłać pasterza.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze. Idź teraz odpocząć. Ale Katarzyna zatrzymała go.

- Poczekaj, chcę ci wynagrodzić trud, pasterzu.

Zaczęła szukać w sakiewce, ale młody chłopiec uczynił gest odmowy.

- Nie, szlachetna pani. Już otrzymałem zapłatę. Jeśli chcesz, kup moje sery, nie przyjmę niczego innego.

- Kupię twoje sery, chłopcze. Niech Bóg cię błogosławi!

Opróżniła sakiewkę do ręki osłupiałego pasterza. Odszedł, wykrzykując słowa podziękowania, których Katarzyna już nie słyszała.

Chciała jak najszybciej zostać sama, aby przeczytać cenny list.

Kiedy pasterz znikł z pola widzenia, zwróciła spojrzenie na Saturnina.

- Nikt nie może się dowiedzieć, kogo spotkał ten chłopiec. A w szczególności pani Izabela.

- To był pan Arnold?

- Tak, Saturninie, to był on. Leprozorium spłonęło parę dni temu. Udało mu się uciec jakimś cudem. Ale lepiej, żeby pani Izabela nie dowiedziała się o tym. Powiemy tylko Donacie, Sarze i Walterowi.

- Nie ma obawy. Nikt się o niczym nie dowie. Dla wszystkich tutaj, nawet dla opata, pan Arnold zginął w Carlat. Nadal będą tak myśleć. Teraz zostawię cię, pani, przez chwilę samą.

- Dziękuję ci, Saturninie, jesteś taki dobry. Wyszedł na palcach, starannie zamykając za sobą drzwi.

Katarzyna usiadła na czystych kamieniach wygaszonego paleniska i powoli rozwinęła pergamin. Ręce drżały jej z podniecenia i radości, lecz do oczu cisnęły się łzy, tak że z trudem odcyfrowywała śmiałe pismo

swego małżonka. Przesunęła ręką po oczach i czole, jakby chciała usunąć niewidzialną zasłonę.

- Mój Boże - zaśmiała się nerwowo. - Nigdy mi się nie uda. Muszę się uspokoić!

Odetchnęła trzy razy głęboko, przetarła oczy. Teraz widziała już wyraźnie.

Katarzyno - czytała - nie jestem zręczny w piórze, ale zanim zniknę na zawsze, chciałem się z Tobą pożegnać i życzyć Ci szczęścia, na jakie zasługujesz. Powiedziano mi, że już je znalazłaś, więc moje życzenie nie ma znaczenia. Czyż nie jestem już trupem, który jeszcze oddycha i, niestety, nie przestał myśleć. Mogę więc Ci powiedzieć, że od tej chwili jesteś wolna, zgodnie z moją wolą.

Serce Katarzyny przestało bić. Palce zacisnęły się na pergaminie, ale odważnie kontynuowała lekturę. Ciąg dalszy był jeszcze gorszy.

Ten, którego wybrałaś, da Ci wszystko, czego ja nie mogłem Ci ofiarować. Jest dzielny i godny Ciebie. Będziesz bogata i szanowana. Jednak ja, Katarzyno, mimo że jestem trupem, nie potrafiłem jeszcze zabić w sercu mej miłości do Ciebie, nie mogę dłużej pozostawać w krainie, gdzie Ciebie nie będzie. To, co mogłem zaakceptować, kiedy byłaś blisko mnie, nie będzie już możliwe, kiedy stąd odjedziesz! Nie chcę zdychać jak sznur w swej norze, rozpadać się powoli w piwnicy. Chcę umrzeć w biały dzień... i samotnie. Fortunat, który mimo moich zakazów był stale ze mną w kontakcie i narażając swe życie, pomógł mi uciec, był moim ostatnim przyjacielem... Pamiętasz tego pielgrzyma, którego spotkaliśmy kiedyś?

Nazywał się chyba Barnaba i do dzisiaj słyszę, jak nam mówi:

„Wspominajcie w trudnych chwilach, jeśli takie nadejdą, starego pielgrzyma z drogi świętego Jakuba...”. Przypomnij sobie, Katarzyno! Przy grobie apostoła odzyskał wzrok... Jeśli Bóg pozwoli, przekłeta choroba opuści mnie w Galicji.*

**Galicia - historyczna kraina w północno-zachodniej Hiszpanii.*

Pojadę więc pod zmienionym nazwiskiem ofiarować Panu mój miecz przeciw niewiernym. Jeśli jednak łaska ozdrowienia zostanie odmówiona grzesznikowi, jakim jestem, znajdę sposób, aby umrzeć jak mężczyzna...

... Tutaj nasze drogi rozchodzą się na zawsze. Ty zmierzasz ku szczęściu, ja ku memu przeznaczeniu. Żegnaj, Katarzyno, moja ukochana...

List wypadł ze zdrtwiałych rąk Katarzyny. W jej duszy ból mieszał się ze złością. Ze straszną, gwałtowną złością przeciwko panu de Brezemu. Jakież nieszczęścia spowodowało jego gadulstwo, jego wyznania miłości. Rychłą śmierć Izabeli, ucieczkę Arnolda i jej okrutne wyrzuty sumienia. Arnold odjechał daleko, bardzo daleko, myśląc, że była mu niewierna. Pisał, że kocha ją nadal i dlatego odjeżdża. Jak długo jeszcze będzie trwała ta miłość bez jej wsparcia. Ogarnęła ją bezsilna złość również na siebie. Jak mogła zapomnieć starego pielgrzyma i radę, jakiej im udzielił. Dlaczego nie zostawiła tego wszystkiego, dlaczego szukała jakiejś mało znaczącej zemsty, zamiast zaprowadzić ukochanego mężczyznę tam, gdzie znajdował się ratunek? Dlaczego już dawno temu nie pojechała z nim, aby próbować niemożliwego. W swoim gniewie zapomniała, że Arnold nigdy nie zgodziłby się na wspólną wyprawę, aby jej nie zarazić.

Kiedy opadła złość, pozostał tylko ból. Skulona nad płytą paleniska Katarzyna szlochała bez opamiętania, wzywając nieobecnego. Myśl, że Arnold mógł się czuć zdradzony i zapomniany, była dla niej nie do zniesienia. Paliło ją to jak przypiekanie żelazem! Ze zgrozą przypomniawszy sobie, jak w ogrodach Chinon omdlewała w ramionach Piotra de Brezego, i zaczęła się przeklinać. Jakaż nieludzką cenę przyszło jej płacić za tę chwilę słabości?

Podniosła głowę, zobaczyła, że jest sama w tym zamkniętym pomieszczeniu, jak w środku pajęczej sieci. Jej wystraszone spojrzenie pobiegło w stronę okien i drzwi. Ona również musi uciec, musi jechać w ślad za Arnoldem. Potrzebny jest jej koń, natychmiast! Musi pognać przez doliny i góry! Musi go odnaleźć. Musi go odnaleźć za wszelką cenę, człogać się do jego stóp, błagać o wybaczenie i nigdy nie opuścić... nigdy więcej!

Jak szalona podbiegła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła:

- Saturnin, Saturnin, konia, a żywo!

Nadbiegł, zaniepokojony, i patrząc na zapłakaną kobietę z czerwonymi i płonącymi oczami, zapytał:

- Pani! Co się z tobą dzieje?

- Saturninie, potrzebuję konia, natychmiast. Muszę jechać!... Muszę go odnaleźć!

- Pani Katarzyno, zapada zmrok, bramy są zamknięte. Gdzie chcesz jechać?

- Muszę go odnaleźć, mojego pana... Arnolda! - wykrzyknęła z rozpaczą imię ukochanego.

Saturnin potrząsnął głową i zbliżył się do młodej kobiety. Nigdy nie widział jej tak bladej i wstrząśniętej.

- Ty drżysz, pani!... Chodź ze mną, zaprowadzę cię do klasztoru. Nie wiem, co się stało, ale tej nocy nic nie da się zrobić. Musisz odpocząć.

Podniósł pergamin, włożył jej do rąk i łagodnie wyprowadził ją na zewnątrz. Pozwoliła na to, protestując jakby z głębin snu.

- Nic nie rozumiesz, Saturninie. Muszę go dogonić. Odjechał tak daleko... i na zawsze!

- Już dawno odszedł na zawsze, pani Katarzyno. I to do miejsca, skąd się nie powraca. Chodź, pani, ze mną. W klasztorze czekają na ciebie Izabela, Walter, Sara. Oni cię kochają i pomogą ci, kiedy zobaczą twoją rozpacz. Chodźmy, pani Katarzyno.

Świeże, wieczorne powietrze pomogło jej przyjść trochę do siebie. Szła, wspierając się na ramieniu Saturnina i starając się uspokoić. Musiała rozważyć wszystko na chłodno. Saturnin miał rację, mówiąc, że Sara i Walter jej pomogą... Musi zapanować nad nerwami, musi przestać myśleć, że Arnold odszedł od niej na zawsze, że zerwał łączące ich jeszcze więzi.

Podniosła głowę i starała się trzymać dzielnie, kiedy mijali ludzi na ulicy. Gdy przybyli do klasztoru, zobaczyli opata stojącego w izdebce brata furtiana.

- Właśnie po ciebie szedłem, pani Katarzyno. Twoja teściowa straciła przytomność.

- Jeszcze niedawno była w dobrej formie.

- Wiem. Rozmawialiśmy spokojnie, ale nagle osunęła się na poduszki i zaczęła ciężko oddychać... Brat pigularz i Sara czuwają przy niej.

Wiele wysiłku kosztowało Katarzynę, aby zapomnieć o swych zmartwieniach i pobiec do wezglowia starej kobiety. Włożyła straszny list do sakiewki i udała się do Izabeli. Chora nadal leżała nieruchomo.

Pochylona nad nią Sara usiłowała ją cucić, podsuwając pod nos flakonik z solami, a brat pigularz nacierał jej skronie „wodą królowej węgierskiej”.

Katarzyna pochyliła się nad teściową.

- Czy bardzo z nią źle?

- Wraca do przytomności - szepnęła Sara.

- A już przypuszczałam, że to koniec.

- W każdym razie - rzekł mnich - nie pociągnie już długo. Ledwo się trzyma.

Izabela rzeczywiście zaczęła odzyskiwać przytomność. Sara podniosła się z westchnieniem i uśmiechnęła się do Katarzyny, lecz uśmiech ten zgasł prawie natychmiast.

- Ale ty jesteś bledsza od niej. Co się stało?

- Wiem, gdzie jest Arnold - powiedziała Katarzyna głucho. - Miałas rację, Saro, kiedy mówiłaś, że jeśli posłucham Piotra de Brezego, będę żałowała przez całe życie. Żal przyszedł bardzo szybko.

- No, mów wreszcie!

- Nie, nie teraz. Saturnin czeka w refektarzu. Poproś go, żeby tam został. Idź też po Waltera i poproś czcigodnego opata, aby do nas dołączył. Sprawa jest bardzo poważna.

* * *

Godzinę później wszyscy wymienieni udali się do kapitularza opactwa, gdzie zaprosił ich opat. Prowadzeni przez brata Euzebiusza, Katarzyna, Walter, Saturnin i Sara przeszli przez cichy o tej nocnej porze kościół, w którym przed posążkiem Najświętszej Marii Panny, patronki kolegiaty, migotał płomyk oliwnej lampki. Następnie weszli do dużej sali. Oświetlały ją cztery pochodnie umocowane przy podpierających sklepienie kolumnach. Czekał tam na nich opat niczym duch w czarnej, długiej

szacie. Przechadzał się powoli tam i z powrotem, z rękami ukrytymi w szerokich rękawach i z pochylonym czołem. Światło pochodni nadawało tej młodej, ascetycznej twarzy kolor kości słoniowej. Był to jednocześnie człowiek czynu - kierujący opactwem mocną ręką - i duchowny. Jego miłość do Boga była olbrzymia, w jego życiu nie było miejsca na słabości i jeśli na zewnątrz wydawał się surowy, a nawet groźny, chciał w ten sposób utwierdzić swój autorytet. W rzeczywistości pod tym pozornym lodowatym chłodem kryła się olbrzymia litość dla ludzi i gorące serce.

Na widok wchodzących stanął i ruchem dłoni wskazał Katarzynie taboret.

- Siadaj, moja córko. Jestem gotów wysłuchać cię i udzielić rad, tak jak prosiłaś.

- Dziękuję, ojcze, gdyż jestem w wielkiej rozpacz. Nieoczekiwane zdarzenie wstrząsnęło moim życiem, dlatego chciałam prosić cię o pomoc. Obecni tutaj to moi wierni słudzy, przed którymi nie mam żadnych tajemnic.

- Mów więc.

- Przede wszystkim muszę wyjawić ci prawdę na temat rzekomej śmierci mego małżonka Arnolda de Montsalvy'ego. Najwyższy czas, abyś się o tym dowiedział.

Opat wyciągnął bladą dłoń, chcąc Katarzynę powstrzymać.

- Oszczędź sobie fatygi, córko. Pani Izabela wyjawiała mi na spowiedzi ten bolesny sekret. Ponieważ chciałaś o tym mówić, zostałem zwolniony z tajemnicy.

- Więc zechciej przeczytać ten list, ojcze... przeczytaj go na głos. Walter nie umie czytać, a Sara z trudem składa litery.

Bernard de Calmont zaczął czytać. Katarzyna skrzyżowała ramiona i zamknęła oczy. Powolny i poważny głos opata nadawał słowom pożegnania rozdzierający ton, który ją poruszył, pomimo że starała się zachować spokój. Za plecami słyszała stłumione okrzyki swoich towarzyszy, ale nie patrzyła na nich. Otworzyła oczy dopiero, kiedy opat skończył czytać. Zobaczyła wówczas, że wszystkie spojrzenia są skierowane na nią i że w oczach opata maluje się głęboka litość. Sara położyła rękę na jej ramieniu.

- Jakiej rady oczekujesz ode mnie, córko? - zapytał. - I jakiej pomocy?

- Chciałabym pojechać za nim, ojczy, mimo żalu z powodu rozstania z moim dziecięciem. Ponieważ mam tylko jego, a on ma tylko mnie, muszę odnaleźć go za wszelką cenę. Pan de Breze sądził w dobrej wierze, gdyż okazywałam mu przyjaźń, że zgodzę się zostać jego żoną. Nie znał prawdy i nie wiedział, że za żadną cenę nie zgodzę się nosić innego - niż Montsalvy - nazwiska. Działał nieodpowiedzialnie, jak człowiek zakochany... i wywołał straszne nieszczęścia. Chciałabym cię prosić, abys zajął się moim synem, czuwał nad nim jak ojciec i zastąpił mnie w posiadłości Montsalvy, zajmując się budową zamku. Moi słudzy pozostaną. Ja ruszam w drogę.

- Dokąd chcesz jechać? W ślad za nim?

- Oczywiście. Nie chcę go stracić na zawsze.

- On już jest stracony na zawsze - rzekł opat surowo. - Zwrócił się ku Bogu. Czemu chcesz go sprowadzić na ziemię? Trąd jest nieuleczalny.

- Chyba że Bóg zechce inaczej! Czy mam ci przypomnieć, ojczy, że zdarzają się cuda? Kto ci powiedział, że nie odzyska zdrowia u grobu świętego Jakuba w Galicji?

- Więc pozwól mu się tam udać samemu, jak tego chce.

- A jeśli odzyska zdrowie? Czy mam mu pozwolić, aby z dala ode mnie dał się zabić, walcząc z niewiernymi?

- A co czyniły kobiety, kiedy ich mężowie wyruszali na wyprawy krzyżowe?

- Niektóre wyruszały z nimi. Chcę odnaleźć mężczyznę, którego kocham - rzuciła Katarzyna z tak gwałtowną nutą w głosie, że opat spuścił wzrok i lekko zmarszczył brwi.

- A... jeśli nie wyzdrowieje? - zapytał w końcu. - To rzadka łaska, nie uzyskuje się jej łatwo.

Zapadła cisza. Do tej pory pytania opata i odpowiedzi Katarzyny krzyżowały się szybko, jak miecze pojedynkujących się rycerzy. Ale ostatnie słowa wywołały wielki strach przed przeklętą chorobą. Drzenie przebiegło przez ciała wszystkich zgromadzonych. Katarzyna wstała i podeszła do Chrystusa na krzyżu.

- Jeśli nie odzyska zdrowia, zostanę z nim, żyjąc, dopóki on będzie żył, i umrę na tę przeklętą chorobę, ale razem z nim - rzekła stanowczo z oczami wpatrzonymi w krzyż, jakby chciała go wziąć za świadka.

- Bóg zakazuje samobójstwa. Życ z trędowatym to szukać dobrowolnej śmierci - zaprotestował chłodno opat.

- Wolę żyć z trędowatym niż ze zdrowymi. Wolę śmierć z nim niż życie bez niego, nawet potępienie, jeśli jest obrazą boską kochać ze wszech miar.

- Zamilcz! Jeśli chcesz, aby twoje prośby zostały wysłuchane, okaż skruchę. Wiedz o tym, że zew miłości cielesnej obraża czystość Pana.

- Wybacz mi, ojcze, ale nie potrafię kłamać, gdy chodzi o coś, co jest całym życiem, ani mówić inaczej. Czy zgodzisz się zastąpić mnie w

Montsalvy, opiekować się moimi bliskimi, być jednocześnie panem i opatem aż do mojego powrotu?

- Nie!

Słowo, które padło, było zdecydowane i ostateczne. Znowu zapadła dławiąca cisza. Trzej niemi świadkowie tej sceny, stojący za Katarzyną, wstrzymali oddech. Młoda kobieta popatrzyła z niedowierzaniem na szczupłą surową twarz.

- Nie? Dlaczego, mój ojczy?

Był to prawdziwy krzyk rozpacz. Powoli osunęła się na kolana i wyciągnęła ramiona w błagalnym geście.

- Dlaczego? - zapytała ze łzami w oczach. - Pozwól mi pojechać. Jeśli stracę moją miłość na zawsze, moje serce przestanie bić.

Surowe rysy opata złagodniały. Podeszedł do niej, pochylił się i podniósł ją łagodnie.

- Nie możesz teraz wyjechać, moja córko. Myślisz jedynie o swej ludzkiej namiętności, o swoim bólu, może zasłużonym. Czyż nie dawałaś temu młodzieńcowi nadziei? Nie, nie odpowiadaj. Powiedz mi tylko, czy to miłość popycha cię do okrucieństwa, czy nie ma w twoim sercu żadnej miłości dla bliźniego?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie mówiąc już o twoim synu, który powinien cię powstrzymać, czy chcesz, aby ta stara kobieta, która nie ma już nikogo innego, ta matka, której cierpienie jest z pewnością znacznie większe od twojego, bo ty masz w głębi serca nadzieję na odnalezienie małżonka, umarła samotnie, bez twojej czułości. Ona wie, że już nigdy nie zobaczy swego syna. Czy byłabyś aż tak nieczuła?

Katarzyna opuściła głowę. W swej rozpaczycy zapomniała o Izabeli umierającej w małej, klasztornej izbie. Michał był tym, który wzbudzał jej wahanie i mógł ją powstrzymać. Ale nie pomyślała o starej kobiecie. Teraz robiła sobie wyrzuty, czując jeszcze, jak protestuje jej miłość. Nikt się nie liczył, gdy chodziło o Arnolda.

- Nie - powiedziała, ale odwróciła się, by szukać pocieszenia w ramionach Sary, po czym dodała z westchnieniem: - Zostaję.

Wtedy dał się słyszeć szorstki głos Waltera.

- Musisz zostać, pani Katarzyno, dla umierającej i dla dziecka, ale ja jestem wolny i jeśli mi pozwolisz, mogę pojechać w ślad za panem Arnoldem. Nic nie stoi na przeszkodzie. - Gwałtownym ruchem odwrócił się w stronę opata, którego przewyższał o głowę. - Daj mi konia i topór, opacie! Nie boję się dalekich dróg ani długiej jazdy.

Katarzyna, ożywiona tym wybuchem, spojrzała na niego z wdzięcznością.

- To prawda. Przecież jesteś jeszcze ty... Będiesz mógł mi powiedzieć, że nigdy go nie zdradziłam, ale wiesz dobrze, że on nie zgodzi się do mnie wrócić. Nikomu nie udało się jeszcze nigdy zmienić jego woli.

- Zrobię, co będę mógł. Jeśli pan Arnold odzyska zdrowie, sprowadzę go tutaj, nawet siłą. Jeśli nie... powrócę sam. Czy zgadzasz się, pani, na mój wyjazd?

- Jakże mogłabym się nie zgodzić. Jesteś moją ostatnią nadzieją.

- A więc w drogę! - wykrzyknął Walter, który, jak wszyscy ludzie czynu, nie lubił zbędnych słów. - Straciliśmy już dużo czasu. Otwórzcie bramy grodu i na koń. Na Odyna, potrafię go odnaleźć... nawet gdybym miał jechać do samego Mahometa!

- Jesteś w domu Pana - oburzył się opat. - Fałszywi bogowie nie mają tu nic do roboty. Chodź, Katarzyno, moja córko... pójdziemy pomodlić się do Najświętszej Marii Panny za tego dzikusa, który nie ma o niej pojęcia. Następnie wyprawimy go w drogę. Pomogę ci.

Godzinę później, stojąc między Saturninem i Sarą przy południowej bramie Montsalvy, Katarzyna przysłuchiwała się niknącemu w dolinie rzeki Lot galopowi konia unoszącego na swym grzbiecie Waltera. Olbrzym zaopatrzony w żywność, ciepłe ubranie i pękata sakiewkę, odjeżdżał na silnym perszeronie śladami Arnolda i Fortunata.

Kiedy tętent ucichł, Katarzyna otuliła się mocniej ciemną oponczą i zaczęła szukać na firmamencie Drogi Mlecznej, którą nazywano również drogą świętego Jakuba. Westchnęła.

- Czy uda mu się znaleźć Arnolda? Te południowe regiony są mu równie obce jak kraina Wielkiego Chana.

- Opat poradził mu, żeby jechał drogą oznakowaną muszlami. Powiedział też, jak nazywają się pierwsze etapy, ponieważ nie mógł mu tego napisać - rzekł Saturnin. - Trzeba wierzyć, pani Katarzyno. Wiem, że święta Panienska i święty Jakub będą nad nim czuwać, chociaż on w nich nie wierzy. Nie opuszczają nigdy tych, którzy z dobroci serca wyruszają na odległe szlaki.

- On ma rację - włączyła się Sara, ujmując Katarzynę za rękę. - Walter jest silny, inteligentny i przebiegły. Ma w sobie wiarę, która pozwala przenosić góry. Wracajmy do domu. Pani Izabela czeka na nas. Całując synka, odnajdziesz siły do wykonania czekających cię jeszcze zadań.

Katarzyna nie odpowiedziała. Stłumiła westchnienie żalu i powoli ruszyła w stronę klasztoru. Wiedziała jednak, że chociaż na razie rozsądek wziął górę, to chęć udania się śladami Arnolda nie minie tak szybko.

Tego wieczoru długo kołysała w ramionach Michała, ogrzewając zbolełe serce miłością do dziecka.

Rozdział szesnasty

*Minstrel**

Izabela de Montsalvy zgasła spokojnie i bez cierpień w dzień po świętym Michale. W przeddzień śmierci doznała jeszcze ostatniej radości: widziała, jak jej wnuk przyjmuje hołd od wasali...

Saturnin i inni notable z Montsalvy zdecydowali, że w dniu swoich urodzin chłopiec zostanie oficjalnie uznany panem tego małego grodu... Teraz, kiedy król zwrócił rodowi Montsalwych tytuły i dobra, data 29 września wydała się bardzo odpowiednia na tę uroczystość, tym bardziej że zbiegła się ze świętem pasterzy, które każdego roku o tej samej porze gromadziło na wzgórzach Montsalvy wszystkich pasterzy baranów z całego regionu.

** Minstrel - średniowieczny śpiewak, recytator poezji, mim, akrobata.*

W tym dniu wzniesiono w wiosce na rynku, tuż przy bramie kościelnej, trybunę senioralną osłoniętą baldachimem w barwach rodziny, w której zasiedli - po uroczystej mszy odprawionej przez opata Bernarda - Michał z matką, aby przyjąć hołd od wasali odzianych na tę okazję w odświętne stroje. Saturnin w ubraniu z brązowego delikatnego płótna, ze złotym łańcuchem na szyi, podał im na poduszce kłosa zboża i kiście winogron.

Wygłosił uroczyste przemówienie, może trochę zagmatwane, ale wszyscy uznali je za wspaniałe, a następnie mieszkańcy Montsalvy i wieśniacy z okolicznych gospodarstw podchodzili kolejno, aby ucałować rączkę Michała. Malec śmiał się radośnie, uradowany pięknym strojem z białego aksamitu, uszytym przez Sarę. Najbardziej jednak interesował go złoty łańcuch z topazami, który matka włożyła mu na szyję. Uroczystość trochę dłużyła się małemu paniczowi, liczącemu zaledwie dwa latka, ale tańce pasterzy i walki wręcz wywołały jego entuzjazm. Stara pani de Montsalvy, którą przyniesiono na noszach i usadowiono na trybunie obok Michała, patrzyła na niego z uwielbieniem.

Pod koniec dnia Michał, wspomagany przez matkę, rozpałił na wzgórzu ognisko. A potem, kiedy chłopcy i dziewczęta zaczęli tańczyć na trawie przy dźwiękach skrzypek, mały panicz, śpiący już od pewnego czasu w ramionach Sary, został zaniesiony do domu.

Przez całą noc Katarzyna słyszała śpiewy i tańce wasali, ciesząc się z ich radości, której jej ciężka żałoba nie zdołała przyćmić. Przez cały dzień skrywała swój głęboki smutek, nie chcąc okazać, jak okrutne jest dla niej to święto. Hołd oddany Michałowi odsuwał na dalszy plan jego ojca, o którym nie mieli żadnych wiadomości od ponad półtora miesiąca.

* * *

Następnego ranka zacni mieszkańcy z Montsalvy, którzy położyli się spać późno i w dobrych nastrojach, zostali obudzeni posepnymi uderzeniami dzwonu i dowiedzieli się, że ich stara pani zakończyła życie. Sara znalazła ją martwą, kiedy przyniosła jej rano kubek mleka. Izabela leżała na łożu wyprostowana, z zamkniętymi oczami i rękami złożonymi na różańcu. Na bladym palcu połyskiwał w świetle słonecznym szmaragd królowej Jolanty. Sara stała przez chwilę na progu izby zaskoczona nadzwyczajnym pięknem zmarłej. Zniszczenia, jakie poczyniła choroba, zniknęły, zmarszczki wygładziły się. Dwa grube, siwe warkocze okalały gładką, spokojną twarz, a podobieństwo do syna było uderzające.

Sara przeżegnała się, stawiając przy drzwiach kubek z mlekiem, a następnie poszła po Katarzynę, której nad ranem udało się zasnąć. Potrząsnęła nią gwałtownie, a kiedy ta zerwała się, patrząc na Sarę nieprzytomnie, szepnęła:

- Pani Izabela przestała cierpieć, Katarzyno. Musisz wstać. Ja pójde uprzedzić opata. W tym czasie zabierz Michała z sąsiedniej izby i powierz Donacie. Śmierć to nie widowisko dla dziecka.

Katarzyna słuchała jak lunaticzka. Od swego powrotu do Montsalvy spodziewała się tej śmierci. Wiedziała, że starsza pani oczekuje jej jak wybawienia. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że nie powinna się martwić, gdyż Izabela osiągnęła w końcu upragniony spokój, lecz zdrowy rozsądek nie mógł nic zdziałać przeciw ogarniającemu ją smutkowi. Zdała sobie sprawę, że obecność Izabeli była cenniejsza, niż sądziła. Dopóki żyła matka Arnolda, Katarzyna miała z kim porozmawiać o nieobecnym, bo przecież była to osoba znająca go najlepiej. A teraz ten łagodny głos

zamilkł, pogłębiając jej samotność jeszcze bardziej. Arnold zniknął, Walter od miesiąca nie dawał znaku życia, a teraz Izabela...

Nieco później Katarzyna z Sarą przygotowały zmarłą do ostatniej drogi. Nałożyły jej habit klarysek, zgodnie z wyrażonym już dawno życzeniem. Surowość czarnego stroju nadawała zmarłej wyraz nadzwyczajnego majestatu.

Ubierając ją, Katarzyna zdjęła łagodnie z jej palca pierścień, którego świecka wspaniałość kontrastowała z zakonnym strojem. Potem długo spoglądały wraz z Sarą na zmarłą, a kiedy uklęły, aby odmówić modlitwę, nadszedł opat z dwoma klerykami, którzy przynieśli kadzielnicę i kropielnicę.

Trzy następne dni wydawały się Katarzynie jakimś strasznym snem. Ciało zmarłej zostało wystawione w prezbiterium kościoła; czuwali przy nim mnisi, a Katarzyna, Sara i Donata zmieniały się na klęczniku ustawionym u stóp katafalku. Te godziny czuwania w cichym kościele wydawały się Katarzynie czymś nierealnym. Otaczający ciało zmarłej mnisi, w kapturach zakrywających twarze, z rękami ukrytymi w szerokich rękawach, wyglądali jak duchy w drżącym świetle grubych świec z żółtego wosku. Aby zapomnieć o strachu, Katarzyna starała się modlić, chociaż z trudem jej to przychodziło. Nie wiedziała, jak zwracać się do Boga. O wiele łatwiej przychodziło jej rozmawiać ze zmarłą.

- Matko - mówiła cicho - tam, gdzie teraz jesteś, wszystko jest o wiele łatwiejsze. Pomóż mi! Spraw, aby Arnold powrócił lub przynajmniej dowiedział się, że nigdy nie przestałam go kochać! Tak mi ciężko!

Woskowa twarz pozostawała jednak nieruchoma, a półuśmiech na zamkniętych wargach zachował swą tajemniczość.

W miarę jak upływał czas, Katarzynie było coraz ciężej na sercu.

Czwartego dnia wieczorem ciało Izabeli de Ventadour, pani na Montsalvy, zostało pochowane w obecności tłumu ludzi. Zza drewnianych krat ogrodzenia dochodziły głosy mnichów z opactwa, śpiewających miserere. Katarzyna ukryta pod żałobnym welonem, który teraz nabrał nowego, podwójnego znaczenia, patrzyła, jak pod kamienną płytą znika ta, która trzydzieści pięć lat wcześniej dała życie ukochanemu synowi.

Kiedy opuszczała sanktuarium, jej spojrzenie napotkało spojrzenie opata, który wygłaszał ostatnie wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie. W spojrzeniu tym wyczytała jednocześnie pytanie i prośbę, ale odwróciła głowę, jakby chciała uniknąć odpowiedzi. Przecież śmierć Izabeli nie zwróciła jej wolności. Małe rączki Michała trzymały ją mocno na miejscu. Nie miała żadnego powodu, aby go opuszczać, gdyż Walter pojechał w ślad za Arnoldem. Dopóki nie przyśle jakichś wieści, trzeba będzie cierpliwie czekać...

* * *

Jesień zabarwiła góry wszystkimi kolorami złota i purpury. Okolice Montsalvy lśniły czerwienią, podczas gdy chmury na niebie stawały się szare, a stada jaskółek odlatywały na południe. Katarzyna śledziła je wzrokiem, aż zniknęły za horyzontem. Za każdym takim odlotem młoda kobieta stawała się coraz smutniejsza i bardziej zniechęcona. Z całej duszy zazdrościła tym beztroskim, spragnionym słońca ptakom, które odlatywały tam, gdzie i ona chciałaby się udać.

Nigdy dni nie mijały tak wolno i monotonnie jak teraz. Każdego popołudnia, jeśli było ładnie, Katarzyna, Sara i Michał udawali się aż do bramy Południowej, gdzie mnisi i wieśniacy zaczęli stawiać fundamenty pod nowy zamek. Za radą opata zdecydowano się nie odbudowywać fortecy na dawnym miejscu, koło wzgórza wulkanicznego, lecz przy

bramie do Montsalvy, tam gdzie zamek i wioska mogły sobie nieść skuteczną pomoc. W pamięci wszystkich żywe były jeszcze zniszczenia dokonane przez rozbójnika Valettego.

Obie kobiety i dziecko spędzały trochę czasu na budowie, potem szły do lasu, aby przyrzeć się pracy drwali. Obecnie, kiedy zmniejszyło się niebezpieczeństwo ze strony Anglików, należało zająć się wyrębem lasów, które w czasach pożogi rozrosły się i powróciły do stanu dzikości. Często służyły jako schronienie. Teraz trzeba było odzyskać ziemię pod uprawę zboża i paszy. Oczy Katarzyny kierowały się jednak ciągle poza ciemną linię drzew, w odległe błękity. Potem, trzymając Michała za rączki, kobiety wracały powoli do domu.

Którejś nocy zaczął wiać wiatr i drzewa straciły liście, a dzień później okolicę przysypał śnieg. Chmury wisiały tak nisko, że zdawały się sięgać ziemi, a zimne, poranne mgły długo nie chciały ustąpić. Nadeszła zima i Montsalvy zapadło w sen. Roboty przy budowie zamku zostały wstrzymane, każdy zamykał się w ciepłe swego domu. Katarzyna i Sara zrobiły to samo. Życie, które regulował dźwięk klasztornej dzwony, stało się bardzo monotonne. Następujące po sobie dni były bardzo do siebie podobne. Wypełniało je tkanie przy kominku. Patrząc na wciąż pokrytą śniegiem okolicę, Katarzyna zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek nadejdzie wiosna.

Każdego dnia jednak starała się wychodzić na powietrze. Wkładała ciepłe buty i otulała się grubą oponczą z kapturem, a następnie udawała się na przechadzkę... Zawsze kierowała kroki w stronę bramy Południowej, ale nie po to, by oglądać pokryte śniegiem miejsce swego przyszłego domostwa. Przysiadała na kamieniu, nie zwracając uwagi na poddmuchy wiatru czy śnieg, i obserwowała drogę biegnącą od rzeki Lot, wypatrując

znajomej sylwetki. Dużo czasu upłynęło od wyjazdu Waltera. Minęły trzy miesiące i nadeszło Boże Narodzenie. Do tej pory nie pojawił się nikt z wiadomością. Było tak, jakby Walter rozpułnął się w mgle...

Kiedy zaczynało zmierzchać - zimowe dni są przecież takie krótkie - Katarzyna wracała do domu wolnym krokiem, z duszą coraz bardziej przepełnioną trwogą, a coraz mniej nadzieją.

Boże Narodzenie minęło, niczego nie zmieniając w jej życiu. Katarzyna ciągle myślała o Arnoldzie. Z pewnością dotarł już do Composteli w Galicii. Ale czy niebo udzieliło mu łaski uzdrowienia? A Walter? Czy udało mu się dołączyć do uciekiniera? Czy byli razem, gdy o nich myślała? Niestety, pytania te pozostawały nadal bez odpowiedzi.

- Gdy nadejdzie wiosna - obiecywała sobie Katarzyna - a nie dostanę żadnej wiadomości, ja również udam się na poszukiwanie Arnolda.

- Nie powrócą wcześniej jak na wiosnę - stwierdziła któregoś dnia Sara, kiedy Katarzyna przez nieuwagę wypowiedziała swe myśli na głos. - Któż wyruszyłby przez góry, kiedy śnieg zasypał drogi? Zima tworzy bariery, których największa wola, najsilniejsza miłość nie są w stanie pokonać. Musisz czekać.

- Czekać i czekać. Nic, tylko czekać! Nie mogę już wytrzymać tego niekończącego się oczekiwania! - wykrzyknęła Katarzyna. - Czy całe moje życie ma upłynąć na ciągłym czekaniu?

Na tego rodzaju pytania Sara nie odpowiadała. Wolała przemilczeć lub zmienić temat rozmowy, gdyż wszelkie tłumaczenia i przemawianie do zdrowego rozsądku potęgowały tylko smutek Katarzyny. Cyganka nie wierzyła w możliwość wyzdrowienia Arnolda. Nigdy nie słyszała, aby ktoś wyleczył się z trądu. Było nawet dziwne, że święty Meen z Jaleyrac, patron dotkniętych tą straszną chorobą, zachował jeszcze „klientów”. Sara była

zbyt wielką poganką, aby wierzyć w moc cieszącego się renomą świętego Jakuba z Composteli. Spodziewała się natomiast, że jeśli nie wynikną nieprzewidziane okoliczności, wcześniej czy później nadejdą od Waltera jakieś wiadomości. Nie przeszkadzało jej to wzdychać, kiedy widziała, jak drobna, delikatna sylwetka Katarzyny w czarnym stroju oddala się mimo śniegu, aby sprawdzić, czy ktoś nie przybywa drogą od doliny.

* * *

Któregoś styczniowego wieczoru, kiedy udała się do swego punktu obserwacyjnego po długiej nieobecności spowodowanej strasznymi chłodami, wydało jej się, że dostrzega na białym szlaku jakiś ciemny punkt. Punkt ten stawał się coraz większy. Natychmiast zerwała się na równe nogi z bijącym sercem...

Jakiś człowiek zbliżał się doliną. Widziała powiewające na wietrze poły jego opończy. Szedł z trudem, gdyż wiatr wiał mu w twarz. Katarzyna postanowiła wyjść mu naprzeciw, lecz po paru krokach stanęła rozczarowana. Nie był to Walter ani Arnold. Człowiek, którego teraz widziała bardzo dobrze, był niski, szczupły, o ciemnej karnacji. Przez chwilę sądziła, że to Fortunat, ale i ta nadzieja szybko się rozwiała. Był to ktoś całkiem obcy.

Na głowie miał zielony kapelusz z lichym piórkiem. Ukryta pod nim śniada twarz wyrażała wesołość. Widząc kobiecą postać na skraju drogi, uśmiechnął się szeroko. Katarzyna dostrzegła, że na plecach pod opończą niesie jakiś podłużny przedmiot.

Wędrowny handlarz lub minstrel - pomyślała.

Kiedy podszedł bliżej, stwierdziła, że to minstrel. Pod czarną opończą miał wesoły, czerwono-zielony, trochę zniszczony strój. Na widok Katarzyny zdjął kapelusz w geście powitania.

- Kobieto - rzekł z silnym cudzoziemskim akcentem - co to za gród?

- To Montsalvy. Czy to twój cel podróży, panie minstrelu?

- Na dzisiejszy wieczór tak. Na Madonnę, jeśli wszystkie wieśniaczki są tutaj tak urodziwe jak ty, to Montsalvy musi być rajem.

- Niestety, to nie raj - odpowiedziała rozbawiona akcentem młodzieńca Katarzyna. - A jeśli sądzisz, panie minstrelu, że zostaniesz przyjęty na zamku, to spotka cię rozczarowanie. Zamek w Montsalvy przestał istnieć. Znajdziesz tu tylko stare opactwo, gdzie rzadko się śpiewa pieśni miłosne.

- Wiem o tym - odparł minstrel. - Jeśli nawet nie ma zamku, to przecież jest jego dziedziczka. Czy znasz panią de Montsalvy? Jak mi mówiono, to najpiękniejsza kobieta na świecie... ale nie sądzę, aby była piękniejsza od ciebie.

- Muszę cię rozczarować - rzekła Katarzyna. - Ja jestem panią de Montsalvy.

Uśmiech zgasł na wesołej twarzy wędrowca. Ponownie zdjął kapelusz i przykląkł na śniegu.

- Szlachetna pani, wybacz prostemu śpiewakowi tę poufałość...

- Przecież nie mogłeś tego wiedzieć. Dziedziczki zamków nie przechadzają się same, a szczególnie przy tak brzydkiej pogodzie.

Jakby na potwierdzenie tych słów gwałtowny poryw wiatru zerwał minstrelowi kapelusz z głowy, a Katarzynę zmusił do uchwycenia się pnia drzewa.

- Nie stójmy tutaj - rzekła. - Jest zimno i zapada mrok. Zamek legł w gruzach, ale w domu opactwa możemy ofiarować ci gościnę. Skąd o mnie słyszałeś?

Minstrel podniósł się i otrzepał kolana ze śniegu. Między jego brwiami rysowała się teraz zmarszczka, a na ustach nie pojawił się już uśmiech.

- Mówił mi o tobie, szlachetna pani, człowiek spotkany w górach na południu. Był wysoki i silny. Prawdziwy olbrzym. Powiedział mi, że nazywa się Walter Malencontre.

Katarzyna wydała okrzyk radości, chwyciła podróżnego pod ramię i poprowadziła w stronę domu.

- Przysłała cię Walter? Co za szczęście! Jak on się czuje? Gdzie i kiedy go spotkałeś?

Prowadząc minstrela, który teraz wydawał się zaniepokojony, skierowała się w stronę wioski, informując Saturnina, który naprawiał okiennice swego domu:

- Ten człowiek spotkał Waltera, ma od niego wieści! Stary zarządca dołączył do nich z okrzykiem radości.

Minstrel popatrzył na niego z przestraszeniem.

- Szlachetna pani - rzekł w końcu - nawet nie pozwoliłaś mi się przedstawić!

- Zrób to teraz - powiedziała Katarzyna radośnie. - Ale dla mnie nazywasz się Walter.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

- Nazywam się Guido Cigala... Jestem z pięknego miasta, Florencji. Aby uzyskać wybaczenie za moje liczne grzechy, udałem się do Galicji, do grobu apostoła. Pani, nie ciesz się tak bardzo, nie przyjmuj mnie tak dobrze. Wieści, które przynoszę, są złe.

Katarzyna i Saturnin zatrzymali się gwałtownie pośrodku drogi. Zaróżowiona z radości twarz Katarzyny pobladła.

- Ach - wyjąkała tylko.

Zaniepokojona spojrzała błagalnie najpierw na minstrela, potem na Saturnina, ale szybko odzyskała przytomność umysłu i rzekła:

- Złe czy dobre, potrzebujesz odpoczynku i nadal możesz liczyć na gościnę. Powiedz nam tylko, jak się czuje Walter?

Guido Cigala opuścił głowę, jakby czuł się winny.

- Pani - szepnął - sędzę, że on nie żyje. - Nie żyje!

Ten sam okrzyk wyrwał się Katarzynie i Saturninowi, który dodał:

- To niemożliwe. Walter nie mógł umrzeć.

- Nie powiedziałem, że na pewno - rzekł zmieszany Cigala. -

Powiedziałem, że wydaje mi się.

- Opowiesz nam wszystko - przerwała Katarzyna.

W domu gościnnym Sara zajęła się przybyszem, przyniosła mu miskę z wodą do umycia nóg, gorącą zupę, chleb i ser oraz trochę wina, a następnie posłała do dużej sali, gdzie czekali Katarzyna, Saturnin i Donata; prawa gościnności wzięły górę nad ciekawością. Młoda kobieta uśmiechnęła się smutno, widząc, że minstrel trzyma w ręce wiołę.

- Już od dawna nie słyszałam tutaj muzyki - rzekła łagodnie. - I nie mam wcale do tego serca.

- Muzyka jest dobra na ukojenie zasmuconej duszy - rzekł Guido, kładąc instrument na ławie. - Ale najpierw odpowiem na pytania.

- Kiedy widziałeś Waltera i gdzie?

- Było to na przełęczy Ibaneta, trochę przed przytułkiem w Roncevaux. Wpadłem do wąwozu i Walter przyszedł mi z pomocą. Spędziliśmy razem noc w górach. Powiedziałem mu, że wracam do mego kraju, zatrzymując się we wszystkich napotkanych po drodze zamkach. Zapytał mnie, czy mogę udać się do was i przekazać wieści. Obiecałem mu

to. Po tym, co dla mnie zrobił, nie mogłem mu odmówić. Trochę drogi więcej, trochę drogi mniej to dla mnie nic nie znaczy. Kazał mi przekazać wiadomość.

- Jaką wiadomość? - zapytała Katarzyna, pochylając się w stronę młodzieńca.

- Powiedział: „*Powiedz pani Katarzynie, że biała klacz nie jest już daleko i że jutro mam nadzieję ją dogonić*”.

- I... to wszystko?

- To wszystko. Nic więcej mi nie powiedział, ale potem coś się jeszcze wydarzyło. Rozstaliśmy się rano. Miał jechać drogą, którą przybyłem, ja zaś udałem się w stronę Roncevaux. Droga, którą szedłem, pięła się w górę i przez długi czas widziałem twego przyjaciela, szlachetna pani. Jechał spokojnie na koniu. I właśnie w chwili, kiedy miał zniknąć mi z oczu, stało się coś strasznego. Trzeba rzec, że w tamtych stronach lud jest dziki i groźny. Spotyka się wielu rozbójników. Nie zaatakowali mnie, bo uznali z pewnością, że jestem zbyt marną zdobyczą. Ale taki podróżnik jak Walter, dobrze odziany, na dobrym koniu, to nie byle jaka gratka. Widziałem z daleka, jak wyskoczyli zza skał i opadli na niego niczym rój os. Bronił się dzielnie, lecz było ich wielu. Widziałem, jak pada pod ich ciosami, a potem jeden z nich zabrał mu konia, inny ekwipunek. Trzech innych rozebrało ciało, po czym wrzucili je do jednego z tych głębokich jarów, których sam widok przyprawia o dreszcze... Z pewnością już nie żył, a jeśli było inaczej, to dopomógł mu upadek. Ale nie mogę przysiąc, że nie żyje.

- A ty - oburzył się Saturnin - nie powróciłeś, aby się upewnić? Nie chciałeś sprawdzić, czy ten, który cię uratował, nie potrzebuje pomocy?

Minstrel opuścił głowę i wzruszył ramionami z gestem świadczącym o niemocy.

- Bandy ci chyba mieli tam kryjówkę, gdyż zostali na miejscu, czekając bez wątpienia na kolejnych podróżnych. Cóż mogłem zrobić ja, słaby i bezbronny przeciw tym dzikusom. Otchłań była głęboka. Jak miałem tam zejść? Pani - dodał, odwracając się w stronę Katarzyny z wyrazem błagania na twarzy - proszę cię, uwierz mi, że gdyby można było coś uczynić dla twego przyjaciela, zrobiłbym to, ryzykując nawet życie. Guido Cigala nie jest tchórzem... musicie w to uwierzyć.

- Ależ wierzę ci, panie minstrele - powiedziała zmęczona. - Nie mogłeś nic uczynić, dobrze to rozumiem. Lecz wybac mi, jeśli okazuję ból. Walter był moim sługą, ale jego życie było dla mnie cenniejsze niż życie najbliższego przyjaciela, więc myśl, że nie ma go już wśród żywych...

Wzruszenie przerwało jej wywód. Łzy napłynęły do oczu i przez zaciśnięte gardło nie mogła już wydobyć ani słowa. Opuściwszy pospiesznie salę, pobiegła do swej izby, gdzie osunęła się na łożo i wybuchnęła szlochem. Teraz wszystko się skończyło, na zawsze. Straciła wszystko, bo wraz ze śmiercią Waltera znikła również nadzieja odnalezienia Arnolda. Zdrowy lub nie, jej małżonek nadal nie wiedział, że pozostała mu wierna i że jej miłość dla niego była coraz głębsza. Zniknął teraz dla niej całkowicie, jakby przykryła go płyta grobowca. Był to dla Katarzyny ostateczny cios...

Płakała przez dłuższy czas i nie dostrzegła, że Sara stała przy łożu, nie wiedząc, jak złagodzić ten olbrzymi ból. Po dłuższej chwili w końcu zaryzykowała:

- Może minstrel nie widział dokładnie? Może Walter nie zginął?

- Jak mógłby uniknąć śmierci? Jeśli nie został zabity, to z pewnością zmarł w przepaści.

Kobiety ucichły. Z dalekiej sali dochodziły odgłosy wioli. Minstrel grał dla służby, dla Donaty i Saturnina, a także dla paru notabli z Montsalvy, którzy chcieli posłuchać wędrownego pieśniarza, gdyż już od dawna nie mieli takiej okazji. Guido śpiewał starą pieśń o miłości rycerza Tristana i królowej Izoldy: Izoldo, moja pani, Izoldo, moja ukochana, jesteś moją śmiercią, jesteś moim życiem...

Katarzyna stłumiła szloch. Wydawało jej się, że poprzez pełen skargi śpiew minstrela słyszy ciepły i namiętny głos Arnolda, szepczący jej do ucha: „Katarzyno, Katarzyno, moja ukochana”.

Smutek, jaki ją ogarnął, był tak dotkliwy, że musiała zacisnąć zęby, aby powstrzymać okrzyk bólu. Tak, w swoim ziemskim życiu miała już nie zobaczyć Arnolda, swej wielkiej miłości, więc byłoby lepiej opuścić ten świat natychmiast, niż pogrążyć się w wiecznym cierpieniu. Zamknęła na chwilę oczy, zacisnęła dłonie, aby się opanować, a kiedy znów je otworzyła, jej wzrok był pełen determinacji.

- Saro - powiedziała tak spokojnie, że Cyganka zadrżała - muszę odjechać. Skoro Walter nie żyje, muszę udać się na poszukiwanie mego małżonka.

- Na poszukiwanie? Ale gdzie?

- Tam, gdzie wiem, że udał się na pewno: do Composteli w Galicji. Może zdołam się dowiedzieć, co się z nim stało. A po drodze spróbuję odnaleźć ciało biednego Waltera, aby pochować je w odpowiednim miejscu. Myśl, że w tej godzinie i od tak dawna jest wystawiony na żer ptactwa, jest nie do zniesienia.

- Ale droga jest długa i niebezpieczna... Jak sobie poradzisz, biedactwo? Jak może ci się udać, jeśli nie udało się Walterowi?

- Zbliża się święty dzień Wielkiej Nocy. Co roku w tym dniu grupa pielgrzymów z Puy-en-Velay udaje się do grobu świętego Jakuba. Pójdę z nimi. Niebezpieczeństwo będzie mniejsze w gromadzie.

- A ja? - zaprotestowała zbuntowana Sara. - Czy nie mogę iść z tobą?

Katarzyna potrząsnęła przecząco głową. Wstała, położyła dłonie na ramionach starej przyjaciółki i popatrzyła na nią z czułością.

- Nie, Saro. Tym razem pojedę sama. Po raz pierwszy, gdyż nasze rozstanie w Chinon się nie liczy, chcę pojechać bez ciebie. Dlatego, że musisz czuwać nad tym, co mam najcenniejszego na świecie... nad moim małym Michałem. Gdybyś pojechała, kto by się nim zajął? Donata i Saturnin są zbyt starzy. Będą ci pomagać, ale tobie powierzam mego syna. Będzie z tobą szczęśliwy i zajmiesz się nim równie dobrze jak ja. Będziesz mu opowiadała o mnie i o jego ojcu. A jeśli Bóg zechce, abym nie powróciła...

- Zamilcz! - krzyknęła Sara. - Nie wolno ci mówić takich rzeczy. To mi sprawia ból.

Teraz i ona miała łzy w oczach. Wzruszona Katarzyna ucałowała ją gorąco.

- Planowanie przyszłości jeszcze nikomu nie zrobiło krzywdy, moja dobra Saro. Jeśli nie wrócę, poprosisz panów Xaintrailles'a i Bernarda d'Armagnaca, aby zaopiekowali się ostatnim z Montsalvyh i zadbali o jego przyszłość. Ale - zapewniła z uśmiechem - mam nadzieję, że powrócę.

Sara otarła oczy, a następnie odeszła parę kroków.

- W porządku - rzekła. - Ja zostanę, a ty wyjedziesz. Ale jak opuścisz Montsalvy? Sądzisz, że opat zgodzi się na to teraz chętniej niż we wrześnieu?

- Nie dowie się. Już dawno temu złożyłam ślubowanie, że udam się do Puy, aby ofiarować Najświętszej Marii Pannie ten przeklęty czarny diament. Muszę się z nim rozstać za wszelką cenę, a im wcześniej, tym lepiej. Widzisz, że nieszczęście nie chce mnie opuścić. Mój wysłannik Walter, niezniszczalny Walter, został pokonany w drodze. Opat wie, jak bardzo pragnę spełnić to ślubowanie. Pozwoli mi wyjechać. Święta wielkanocne to dobry okres na uczczenie Najświętszej Pani. Uzna moją chęć za normalną.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź - rzekła Sara z goryczą. - Nie wierzę, abyś wymyśliła ten plan teraz, kiedy przyszedł ten przeklęty minstrel.

- Nie - wyznała Katarzyna. - Myślę o tym od dawna. Ale czy zgodzisz się na wszystko, o co cię poproszę?

Sara wzruszyła ramionami i podeszła do łoża, w którym zamierzała umieścić pojemnik z rozżarzoną węglą dla ogrzania prześcieradeł.

- Cóż za pytanie! Czyż odmówiłam ci kiedykolwiek pomocy? A skoro nie ma innego wyjścia... Ale tylko jeden Bóg wie, ile mnie to kosztuje!

Kiedy Sara otworzyła drzwi, aby udać się po pojemnik, głos Guida Cigala dotarł do izby. Śpiewał teraz starą pieśń trubadura Arnolda Daniela, a jej słowa tak uderzyły obie kobiety, że na chwilę zaniemówiły.

Złoto będzie warte tyle co żelazo, Kiedy Arnold przestanie kochać tę, Której oddał swe serce...

Katarzyna zbladła, lecz w jej ciemnych oczach zapaliły się iskierki nadziei. Głos minstrela dał odpowiedź na pytanie, którego nie miała już odwagi sobie zadawać. Sara gwałtownie przycisnęła pojemnik do serca.

- Chciałabym wiedzieć, kto przysłał nam tego przekłętą śpiewaka. Diabeł? A może Pan Bóg? W każdym razie jego głos przypomina głos przeznaczenia.

* * *

Katarzyna słusznie odgadła, że opat Montsalvy nie będzie jej przeszkadzał w udaniu się do Puy-en-Velay podczas świąt Wielkiej Nocy. Uparł się jedynie, aby ofiarować jej eskortę w osobie brata furtiana Euzebiusza, gdyż było nie do przyjęcia, aby szlachetna dama poruszała się po drogach sama. Towarzystwo mnicha oddalało od niej niebezpieczeństwo zarówno ziemskie, jak i duchowe.

- Brat Euzebiusz jest człowiekiem łagodnym - rzekł opat - ale zapewni ci skuteczną ochronę.

Prawdę powiedziawszy, towarzystwo furtiana nie zachwyliło Katarzyny. Różowa, krągła postać mnicha wydawała się jej zbyt prostoduszna, a ona nauczyła się ostrożności. Zastanawiała się, czy opat Bernard dając jej takiego strażnika, nie przydzielił jej jednocześnie szpiega, którego trzeba się będzie jakoś pozbyć w Puy. Jak go przekona, aby wrócił do Montsalvy sam?

Ale trudności minionego życia nauczyły Katarzynę, że nie należy martwić się na zapas, gdyż każdy dzień przynosi swoje troski... Kiedy znajdą się już na miejscu, wymyśli coś, aby pozbyć się swego anioła stróża. Myślała już tylko o tej podróży, w którą wybierała się z wielką nadzieją i gorącym sercem.

Kiedy nadszedł czas postu, biały kobierzec przykrywający całą okolicę gdzieś zniknął. Śnieg stopił się i wiele małych strumyków ruszyło we wszystkich kierunkach, żłobiąc całą równinę i górskie jary. Ziemia jeła ukazywać się czarnymi płatami, a potem większymi płaszczyznami, które nieśmiało zaczęły pokrywać się zielenią. Trochę błękitu pojawiło się w szarzyźnie nieba i Katarzyna pomyślała, że najwyższy czas wyruszyć w drogę.

W środę, po niedzieli Męki Pańskiej, Katarzyna i brat Euzebiusz opuścili Montsalvy na mułach pożyczonych od opata. Było ciepło, padał niewielki deszcz, a chmury przesuwwały się szybko gnane południowym wiatrem. Był to wiatr, który, według Saturnina, wywołuje u owiec kołowaciznę.

Sara i Katarzyna pożegnały się szybko. Obydwie uważały, że wzruszenie zabija odwagę i niszczy wolę. Zresztą wielkie sceny pożegnalne wzbudziłyby czujność opata Bernarda. Nie płacze się z powodu dwutygodniowej rozłąki.

Najgorsza była chwila rozstania z Michałem. Powstrzymując łzy, Katarzyna ucałowała synka. Miała wrażenie, że nie zdobędzie się na wypuszczenie go z ramion. Sara musiała się wtrącić i odprowadzić dziecko do Donaty. Michał, widząc wzruszenie matki, zaczął płakać, nie wiedząc dlaczego.

- Kiedy go znowu zobaczę? - szepnęła Katarzyna, która nagle poczuła się nieszczęśliwa.

Niewiele brakowało, aby zrezygnowała z tej szalonej wyprawy.

- Wrócisz, kiedy tylko zechcesz - powiedziała spokojnie Sara. - Nikt ci w tym nie przeszkodzi, jeśli nie uda ci się osiągnąć celu. I proszę cię, Katarzyno, nie kuś Pana Boga!

Nie rób nic ponad swoje siły. Są chwile, kiedy trzeba pogodzić się z losem, nawet jeśli jest okrutny. Pomyśl o tym, że ja nie zastąpię Michałowi matki... Jeśli przeszkody okażą się zbyt wielkie, wracaj, błagam cię... I na miłość boską...

- Na miłość boską - ucięła Katarzyna, uśmiechając się przez łzy - nie mów nic więcej. W przeciwnym razie za pięć minut zabraknie mi odwagi.

Kiedy jednak bramy opactwa otworzyły się, Katarzynę ogarnęło wspaniałe uczucie wolności, pewien rodzaj upojenia. Nie obawiała się już tego, co ją czekało. Musiała wyjść zwycięsko ze wszystkich zasadzek. Czowała się silniejsza, młodsza i waleczniej sza niż kiedykolwiek...

W małym skórzanym mieszku umieszczonym na piersi wiozła czarny diament. Stracił w jej oczach całą wartość, z wyjątkiem jednej: był kluczem do świata. Ofiarowanie go Madonnie z Puy znaczyło otwarcie drogi, która, być może, zawiedzie ją do małżonka.

Kiedy zostawili za sobą mury Montsalvy, Katarzyna poprawiła zsuwający się z ramion ciężki płaszcz, a następnie uniosła głowę, nie zwracając już uwagi na bicie dzwonów w oddali.

Z oczami utkwionymi przed siebie ruszyła w drogę bez słabości i łez.

Ostatnia więź

Miasto Puy-en-Velay wyglądało jak olbrzymia wielobarwna rzeka wypływająca z ogromnego romańskiego kościoła zwieńczonego kopułami i wieżami. Katarzyna i Euzebiusz zatrzymali się na chwilę, aby podziwiać ten niecodzienny widok. Kobieta spoglądała pełna oczarowania na święte wzgórze, pradawną górę Anis, odcinającą się od olbrzymiej skały, a dalej na dziwaczny szczyt wulkaniczny świętego Michała z Aiguilhe, sterczący w stronę nieba jak palec, z małą kapliczką na szczycie. Wszystko w tym dziwnym mieście zdawało się służyć Panu. Wszystko od niego pochodziło i zwracało się ku niemu...

W miarę jak posuwali się w głąb miasta, uderzył ich jego odświętny wygląd i ruch na ulicach. Wszędzie powiewały flagi i królewskie proporce, a z okien spływały dywany i sztuki jedwabiu.

Katarzyna ze zdumieniem spostrzegła królewskich Szkotów.

- Miasto świętuje - oświadczył brat Euzebiusz, który nie wypowiadał w ciągu dnia więcej niż dziesięć słów. - Musimy się dowiedzieć dlaczego.

Katarzyna nie odpowiedziała.

Uznała, że nie ma takiej potrzeby, lecz przywołała chłopca biegnącego z dzbankiem w ręku, najwyraźniej udającego się po wodę do najbliższej studni.

- Z jakiej okazji te proporce i wszyscy ci ludzie?

Chłopiec uniósł w górę twarz usianą piegami, w której błyszcząły wesołe oczy, i uprzejmie zdjął z głowy zieloną czapeczkę.

- Nasz pan, król, przyjechał wczoraj do miasta wraz z królową i całym dworem, aby modlić się do Najświętszej Pani i uczcić święta Wielkiej Nocy. Jeśli szukacie kwatery, będziecie mieli kłopot. Wszystkie oberże są przepelnione, gdyż mówi się, że pan konetabl ma tu dzisiaj zjechać.

- Król i konetabl? - zdziwiła się Katarzyna. - Przecież są skłóceni.

- Właśnie w katedrze król przywróci go ponownie do łask. Dzisiaj wieczorem zasiądą do wspólnej wieczerzy.

- Czy to tutaj gromadzą się pielgrzymi przed wyprawą do Composteli?

- Tak, szlachetna pani. W przytułku przykatedralnym jest ich pełno. Musisz się spieszyć, jeśli chcesz do nich dołączyć.

Chłopiec wskazał Katarzynie drogę. Była prosta: trzeba było iść długą ulicą zaczynającą się przy wieży Panessac, przy której się znajdowali, a która prowadziła aż do katedry Najświętszej Marii Panny.

Przed rozstaniem chłopiec dorzucił jeszcze:

- Wszyscy pielgrzymi zaopatrują się u mistrza Croizata w pobliżu przytułku. U niego można kupić mocne odzienie na długą podróż i...

- Dziękuję - przerwała mu Katarzyna, widząc, że oczy brata Euzebiusza, zwykle pozbawione wyrazu, spoczęły na niej z ciekawością. - Idziemy poszukać jakiejś kwatery.

- Niech Bóg wam dopomoże! Ale chyba wam się to nie uda. Nawet pałac biskupa Wilhelma de Chalenconna pęka w szwach. Tam ulokowany jest cały dwór królewski.

Chłopiec oddalił się, biegnąc. Nie było czasu do stracenia. Pielgrzymi wyruszali nazajutrz po uroczystej mszy, a ona chciała wyruszyć wraz z nimi. Ześlizgnęła się z muła i odwróciła w stronę brata Euzebiusza spokojnie czekającego na jej decyzję.

- Weź muły, mój bracie, i idź do przytułku, aby dowiedzieć się, czy znajdziemy tam miejsce. Oto złoto na zapłatę. Ja chcę udać się od razu do katedry, celu naszej pielgrzymki. Chciałabym jak najszybciej złożyć Najświętszej Panience w ofierze to, co przyniosłam, a nie wypada, abym pojechała na mule do świętego miejsca. Dołączę do ciebie później.

Stateczny brat odźwierny z Montsalvy skinął głową na znak, że rozumie, i wzięwszy do ręki lejce obu mułów, spokojnie udał się w dalszą drogę.

Katarzyna szła powoli brukowaną ulicą, na której dały się zauważyć liczne szyldy: handlarze dewocjonaliami sąsiadowali z oberżami, paszteciami i wszelkiego rodzaju kramikami. Siedząc na progach domów, kobiety zręcznymi palcami wprawiały w ruch klocki koronczarskie.

Podróżniczka przystanąła obok jednej z koronczarek, młodej i ładnej, która nie przerywając pracy, mile się do niej uśmiechnęła. Katarzyna nie byłaby kobietą, gdyby te cuda, które wyszły spod wprawnych palców, nie zwróciły jej uwagi. Jednak idąca od strony katedry i śpiewająca nabożne pieśni procesja przypomniała Katarzynie o celu wędrówki. Udała się więc w dalszą drogę.

W miarę jak szła w górę, zapominała o całym świecie.

Po stopniach wielkich zniszczonych schodów, ginących w cieniu wysokich łuków romańskich, wchodzili na kolanach ludzie. Szum inwokacji otaczał Katarzynę niczym brzęczenie pszczoł, lecz nie zwracała

na to uwagi. Z podniesioną głową patrzyła na przybliżającą się, pokrytą polichromią fasadę, na której widniały dziwne arabskie rysunki, przywołujące na myśl odległe kraje. Jeszcze nie chciała przyklęknąć. Chciała przybyć do sławnego ołtarza, idąc, tak jak przybędzie do grobu apostoła. Wchłonał ją cień kruchty. Żebracy, prawdziwe i fałszywe kaleki, domagali się jałmużny jęklivymi głosami. Jeszcze inni gromadzili się wokół starego kamienia z Fievres. Właśnie wykrzykiwali, że w Wielki Piątek jakiś sparaliżowany odzyskał władzę w nogach, ale Katarzyna nie zwracała na nich najmniejszej uwagi.

Spoglądała na stopień znajdujący się na wysokości wielkiej, złoczonej bramy do sanktuarium. Widziała na nim kilka słów po łacinie: *Jeśli jesteś grzeszny, nie przestępuj tego progu, gdyż Królowa Niebios pragnie służyć bez skazy*. Czy naprawdę była bez grzechu, jeśli za cenę kłamstwa chciała odzyskać wolność? Przez chwilę stała nieruchomo, patrząc na napis, a serce ścisnęła jej nagle trwoga. Teraz jednak nie mogła się już zatrzymać. Przekroczywszy próg, zanurzyła się w gęstym mroku kościoła. Stopnie tworzyły rodzaj tunelu, w którego głębi aż do samego prezbiterium migotały świece. Była to jakby świetlista jutrzienka po wyjściu z ciemnej nocy. Kamienną nawę wypełniał poważny, posępny i monotony śpiew.

Kiedy w końcu wynurzyła się z mroku, wydawało jej się, że opuściła ten świat, tak dziwną zobaczyła dekorację. Z kamiennego ołtarza wzniesionego między dwiema kolumnami z porfiru koloru krwi spoglądała na nią oczami z emalii Czarna Madonna, otoczona licznymi świecami i lampkami z czerwonego szkła.

Prezbiterium było puste, lecz postacie świętych z fresków bizantyjskich wydawały się ożywać w drżącym świetle świec. Katarzyną zawładnął przesądny strach, pierwotny strach przed niebem i piekłem

ukryty w sercach ludzi. Powoli zgięła kolana i osunęła się na stopnie ołtarza, zafascynowana dziwną figurą.

Niewielka i sztywno siedząca w złotym płaszczu wysadzonym cennymi kamieniami, Czarna Madonna miała dostojny i przerażający wygląd bóstw pogańskich. Mówiono, że to krzyżowcy przywieźli ją z Ziemi Świętej i że była stara jak świat. Pod złotą koroną połyskiwała czarna twarz z wymuszonym uśmiechem. Jedynie zbyt białe emaliowane oczy zdawały się żyć i pod ich spojrzeniem Katarzyna zaczęła drżeć, przytłoczona barbarzyńskim majestatem figurki.

Żałobny, posepny śpiew ustał. Kościół spowijała cisza, zakłócona jedynie lekkim migotaniem świec. Wolnym ruchem Katarzyna zdjęła z szyi skórzany woreczek, wyjęła z niego diament i wyciągnęła w złożonych dłoniach w stronę Madonny. Odwieczny gest ofiary rozpałił krwawe błyski w przeklętym kamieniu. Nigdy nie błyszczał tak jak w tym sanktuarium, gdzie czuło się boską moc. W rękach Katarzyny wyglądał jak czarne słońce zwrócone ku boskości.

- Dziewico Wszechmogąca - wyszeptała młoda kobieta. - Przyjmij ten kamień bólu i cierpienia. Zabierz go i spraw, aby zniknął z niego na zawsze zamieszkujący go demon, zabierz go, aby nieszczęście w końcu nas opuściło... aby w końcu do Montsalvy powróciło szczęście. Abym odnalazła mego małżonka.

Powoli położyła kamień u stóp figurki i padła na twarz bez strachu, lecz opanowana nowym wzruszeniem.

- Oddaj mi go - wyszeptała błagalnie. - Oddaj mi go, Madonno miłosierna. Nawet jeśli przyjdzie mi jeszcze cierpieć, spraw, abym na końcu tej drogi go odnalazła. Pozwól przynajmniej, abym mogła go zobaczyć... chociaż jeden, jedyny raz, żebym mogła mu powiedzieć, że go

kocham, że nigdy nie przestałam do niego należeć i że nikt... nigdy nie zajmie jego miejsca. Ulituj się!... Ulituj się! Pozwól mi go odnaleźć. Potem będziesz mogła zrobić ze mną, co ci się spodoba.

Ukryła twarz w dłoniach, które szybko stały się mokre od łez, i pozostała tak przez dłuższy moment, modląc się za swoje dziecko i za Sarę, płacząc cicho i czekając podświadomie na jakąś odpowiedź na żarliwą modlitwę.

Nagle usłyszała:

- Kobieto, nie trać nadziei. Jeśli twoja wiara jest wielka, będziesz wysłuchana.

Podniosła głowę. Przed nią stał mnich w długiej, białej szacie z pełną dobroci twarzą. Z tej białej postaci emanował taki spokój, że urzeczona Katarzyna pozostała przed nim na kolanach ze złożonymi rękami jak przed zjawą. Mnich wyciągnął bladą rękę w stronę połyskującego kamienia leżącego przy złotym płaszczu Madonny, ale go nie dotknął.

- Skąd masz, córko, ten bajeczny klejnot?

- Należał do mego zmarłego małżonka, wielkiego skarbnika Burgundii.

- Jesteś wdową?

- Już nie, lecz mężczyzna, którego poślubiłam, zaraził się trędem i wyruszył do grobu świętego Jakuba błagać o wyleczenie, a ja chcę się udać na jego poszukiwanie.

- Czy zostałam włączona do grupy pielgrzymów? Musisz mieć poświadczenie spowiedzi oraz zgodę od przewodnika grupy. Wyruszają jutro.

- Wiem... Ale dopiero co przybyłam. Sądysz, mój ojczy, że nie jest za późno? - zapytała Katarzyna z obawą.

Pełen dobroci uśmiech rozjaśnił twarz mnicha.

- Bardzo pragniesz udać się na tę pielgrzymkę, prawda?

- Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie!

- Więc chodź. Wysłucham twojej spowiedzi i dam ci poświadczenie, a następnie napiszę ci liścik do przeora.

- Możesz więc sprawić, aby przyjęto mnie w ostatniej chwili?

- Nigdy nie jest za późno, aby zbliżyć się do Boga. Nazywam się Wilhelm de Chalencon i jestem biskupem tego miasta. Chodź, moja córko.

Z sercem przepelnionym nadzieją Katarzyna ruszyła w ślad za białą postacią prałata.

Opuszczając kościół, czuła się tak, jakby wyrosły jej skrzydła.

Odżyła w niej nadzieja i nie było dla niej rzeczy niemożliwych.

Wystarczyło tylko mieć odwagę, a teraz miała jej w nadmiarze.

Przy wejściu do przytułku, którego gotycka brama strzeżona przez kamienne lwy wychodziła na stopnie katedry, natrafiła na czekającego na nią brata Euzebiusza, który siedział na kamieniu i spokojnie odmawiał różaniec. Kiedy podeszła, spojrzał na nią z nieszczęśliwą miną.

- Pani Katarzyno, nie ma już wolnych miejsc w dormitorium.

Pielgrzymi śpią nawet na dziedzińcu, lecz nie znalazłem wolnych sienników. Ja mógłbym przespać się w klasztorze, ale co będzie z tobą?

- Ze mną? To nie ma znaczenia. Prześpię się na dziedzińcu razem z innymi. Zresztą, bracie Euzebiuszu, czas najwyższy, abym wyznała ci prawdę. Nie powrócę z tobą do Montsalvy. Wraz z innymi pielgrzymami wyruszę jutro do Composteli. Nic nie może mi w tym przeszkodzić. Proszę cię o wybaczenie za kłopoty, jakie będziesz miał z mojego powodu. Opat...

Szeroki uśmiech rozpromienił okrągłą twarz brata Euzebiusza. Spod sutanny wyciągnął zwój pergaminu i podał go Katarzynie.

- Nasz czcigodny opat - przerwał - kazał mi przekazać ci ten dokument, pani Katarzyno. Miałem ci go oddać, kiedy spełnisz swoje ślubowanie. Czy to uczyniłaś?

- Uczyniłam.

- Oto dokument.

Katarzyna wzięła zwój z wahaniem, zerwała pieczęć i rozwinęła go. Zawierał tylko parę słów, ale przeczytawszy je, poczuła ogromną radość.

Odejdź w spokoju - napisał opat Bernard de Calmont - i niech Bóg Cię prowadzi. Będę czuwał nad Twym dzieckiem i nad Montsalvy.

Spojrzała z radością w stronę brata furtiana. Szczęśliwa, ucałowała podpis na liście, który następnie wsunęła do sakiewki, a potem wyciągnęła rękę do swego towarzysza podróży.

- Tak więc rozstajemy się. Wracaj do Montsalvy, bracie Euzebiuszu, i powiedz czcigodnemu opatowi, że wstyd mi, iż nie okazałam mu zaufania, ale mu dziękuję. Oddaj też muły, nie będą mi potrzebne. Przebędę drogę na piechotę wraz z innymi.

Potem odwróciła się i odeszła na drugą stronę ulicy, gdzie kołysał się piękny szyld przedstawiający pielgrzyma w wielkim kapturze, z kosturem w ręku. Był to szyld sklepiku mistrza Croizata z artykułami niezbędnymi w czasie pielgrzymki.

* * *

Na pielgrzymkę wyruszało około pięćdziesięciu mężczyzn i kobiet przybyłych z Owernii, z Franche-Comte i nawet z Niemiec. Grupowali się regionami, ale kilka osób pozostawało samych, decydując się na własne towarzystwo.

Katarzyna wysłuchiwała wraz z nowymi towarzyszami mszy wielkanocnej. Zobaczyła przechodzącego kilka kroków od niej króla

Karola VII, który zajął wysoki fotel, ustawiony dla niego w prezbiterium. Rozpoznała również stojącą obok króla rosłą sylwetkę Artura de Richemonta. Konestabl Francji w czasie Wielkanocy odzyskiwał oficjalnie swoją rangę i przejmował obowiązki. Widziała, jak w jego mocnych rękach lśni wielki miecz ozdobiony złotymi liliami burbońskimi. Widziała również królową Marię, a wśród ludzi Richemonta rozpoznała wysoką postać Tristana Eremity. Miała wielką chęć przerwać otaczający ją, milczący krąg i podejść do nich.

Nie, nie należała już do tego połyskującego, kolorowego, zbytkownego świata. Między nimi a nią było teraz wczorajsze ślubowanie oraz biała szata duchownego celebrującego mszę w oświetlonym prezbiterium. Katarzyna nie chciała przerywać tej niewidzialnej bariery dzielącej ją od dworu, do którego jeszcze formalnie należała. Przyszłość była gdzie indziej i Katarzyna starała się ukryć za plecami swych towarzyszy, brodatego, śpiewającego donośnym głosem chwata oraz chudej, bladej kobiety z fanatyzmem wpatrującej się w lśniący ołtarz. Katarzyna spoglądała na nią jednocześnie z litością i odrazą, powątpiewając, czy ta najwyraźniej chora i zanosząca się suchym kaszlem kobieta będzie w stanie znieść trudy pielgrzymki.

Co do niej, któż mógłby rozpoznać księżnę de Montsalvy, piękną wdowę z Chinon, w kobiecie odzianej w lnianą koszulę, suknię z grubej wełny, solidne buty i grubą opończę mającą ochronić przed deszczem i wiatrami? Na głowie miała wielki, czarny, pilśniowy kapelusz. W zawieszanej u pasa sakiewce znajdowały się złoto i sztylet Arnolda, wierny towarzysz trudnych i niebezpiecznych chwil. W prawej ręce dzierżyła znak pielgrzyma, słynny pielgrzymi kostur - długi kij, na którego końcu uczepiona była okrągła manierka... Nie, nikt nie rozpoznałby tak odzianej

Katarzyny, i to jej odpowiadało. Była tylko pielgrzymem pośród wielu innych...

* * *

Ceremonia dobiegała końca. Poważny głos biskupa życzył odchodzącym szczęśliwej drogi. Teraz poświęcił kostury pielgrzymie, które uniosły się w jednakowym geście. Księża z wielkim, procesyjnym krzyżem, mający odprowadzić pielgrzymkę aż do bram miasta, podnieśli się z miejsc. Katarzyna spojrzała po raz ostatni na króla, konetabla oraz bogato ubrany dwór, chroniony przez żołnierzy. W dali, nad ich głowami, połyskiwał przekłety diament Garina, leżący u stóp małej Madonny. Brama otwarła się i ukazało się bladoniebieskie, zachmurzone niebo.

Stojąc na progu, Katarzyna nabrała w płuca powietrza. Miała wrażenie, że bramy otworzyły się ku nieskończoności i ku nadziei.

Za mnichami wysypali się pokrzykujący radośnie pielgrzymi. Po obu stronach ulicy tłoczyli się ludzie przyglądający się odchodzącym. Niektórzy wykrzykiwali życzenia, inni słowa pożegnania skierowane do członków rodzin i przyjaciół.

Po przekroczeniu murów obronnych, na których powiewały królewskie proporce, ostatnia eskorta opuściła pielgrzymów. Ich przywódca, potężny zuch o płomiennych oczach, zaintonował mocnym głosem pieśń marszową, zawsze dodającą odwagi pielgrzymom znużonym długą wędrówką, dziwną, starą pieśń w dawnym języku.

E ul treia (A ponadto),

E sus eia (A na dodatek),

Deus aia nos (Bóg nam pomaga).

Prosty i rytmiczny śpiew wspierał ich w marszu. Biegł poprzez szeregi pielgrzymów niczym zapalający się proch.

Katarzyna również włączyła się do śpiewu. Czuła się lekko i spokojnie, przepelniała ją większa niż zwykle energia. Za jej plecami dzwony znikającego już miasta rozbrzmiewały z całą siłą. Ich zwycięski ton przytłumił straszne wspomnienie dzwonu z Carlat, które od tak dawna wzbudzało trwogę w jej sercu. Przepelniona wiarą równie silną jak ta, która prowadziła niegdyś krzyżowców na podbój Ziemi Świętej, była teraz pewna, że na końcu otwartej przed nią drogi któregoś dnia odnajdzie Arnolda. I gdyby musiała iść na koniec świata, aby go odnaleźć, a nawet umrzeć dla niego, zrobiłaby to bez wahania.

Na szczycie stromego wzgórza pielgrzymów przywitała fala zimnego wiatru z deszczem. Katarzyna opuściła głowę, aby się przed nim ochronić, i wsparta na kosturze szła mu naprzeciw. A ponieważ nie chciała się poddać siłom natury zaraz przy pierwszym zetknięciu, zaczęła śpiewać głośniejsz niż zwykle. Wiejący wiatr był wiatrem z południa. Zanim dotarł do niej, przemierzył nieznaną ziemię, do których dzień po dniu zbliżała się coraz bardziej, aby odnaleźć utraconą miłość.

Sprzyjał jej.